

# Melancholia sukuba

*Dziennik Bridget Jones...  
z piekła rodem*

**RICHELLE  
MEAD**

# Rozdział 1

Statystyki pokazują, że większość śmiertelników zaprzeda je dusze z pięciu powodów: seksu, pieniędzy, władzy, zemsty i miłości. W tej kolejności.

Nie powinnam więc mieć wyrzutów sumienia, że przyszło mi asystować przy *numero uno*, ale cała ta sytuacja wydawała mi się... cóż, obleśna. A skoro ja to mówię, to coś znaczy.

Może po prostu nie ma już we mnie empatii, zastanawiałam się. Minęło zbyt wiele czasu. Kiedy byłam dziewczcą, ludzie wierzyli, że łabędzie mogą zapładniać dziewczęta.

Parę kroków dalej Hugh czekał cierpliwie, aż pokonam swoje opory. Z rękami w kieszeniach idealnie odprasowanych spodni opierał potężne ciało o swojego lexusa.

- Nie rozumiem, o co tyle krzyku. Robisz to bez przerwy.

To nie do końca prawda, ale oboje wiedzieliśmy, co miał na myśli. Zignorowałam go, udając, że uważnie rozglądam się po okolicy. Co nie poprawiło mi humoru. Przedmieścia zawsze mnie dołowały. Identyczne domy. Ulizane trawniki. O wiele za dużo SUV-ów. Gdzieś w ciemnościach nie przestawał ujadać pies.

- Akurat tego nie robię - odparłam w końcu. - Nawet ja mam zasady.

Hugh parsknął, wyrażając swoją opinię na temat moich zasad.

- Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to nie myśl o tym w kategoriach wiecznego potępienia. Uznaj to za akt litości.

- Akt litości?

- Właśnie tak. - Wyciągnął palmtop natychmiast upodabniając się do zajętego biznesmena. W czym nie było nic dziwnego.

Hugh to profesjonalny diablik, mistrz namawiania śmiertelników

do sprzedaży dusz, ekspert od cyrografów i kruczków prawnych, tak otrząskany, że każdy prawnik zzieleniałby z zazdrości. I mój przyjaciel. Co poniekąd nadaje nowe znaczenie porzekadłu: „Kiedy ma się takich przyjaciół, komu potrzebni...”

- Posłuchaj tego - ciągnął. - Martin Miller. Mężczyzna, oczywiście. Rasy białej. Niepraktykujący luteranin. Pracuje w sklepie z gramami w centrum handlowym. Mieszka tutaj, w piwnicy domu rodziców.

- Jezu.

- Mówiłem ci.

- Litość czy nie, mimo wszystko to takie... ekstremalne. Mówiłeś, że ile ma lat?

- Trzydzieści cztery.

- Fuj.

- No właśnie. Gdybyś ty była taka stara i nigdy nie zaliczyła, pewnie też szukałabyś ekstremalnych rozwiązań. – Spojrzał na zegarek. - To jak: zrobisz to czy nie? Pewnie spóźniał się przeze mnie na randkę z jakąś seksowną śmiertelniczką o połowę młodszą od niego - oczywiście mam na myśli wiek, na jaki wygląda. Tak naprawdę Hugh dobiega setki. Położyłam torebkę na ziemi i posłałam mu groźne spojrzenie.

- Jesteś mi winien przysługę.

- Jestem - przyznał. To była jednorazowa robota, chwala Bogu. Diablik zwykle zatrudnia do talach zleceń kogoś „z zewnątrz”, ale dzisiaj temu komuś coś się pochrzańiło z harmonogramem.

Nie wyobrażałam sobie, komu zwykle zlecał takie fuchy. Ruszyłam w stronę domu, ale zatrzymał mnie.

- Georgina?

- Tak?

- Jest... coś jeszcze...
- Odwróciłam się. Nie podobał mi się ton jego głosu.
- Tak?
  - On, ehm, no... miał specjalną prośbę.
- Uniosłam brew i czekałam.
- Bo widzisz, ehm, on jest naprawdę wkręcony w... to całe zło. No wiesz, wyobraża sobie, że jeśli sprzedaje duszę diabłu, to powinien stracić dziewictwo z... no, demonicą... Przysięgam, nawet pies przestał szczekać, kiedy to usłyszał.
- Żartujesz.
- Hugh nie odpowiedział.
- Ja nie jestem... nie. Nie ma mowy...
  - Oj, Georgina. To przecież nic. Ozdobnik. Trochę iluzji. Proszę? Zrób to dla mnie? - Smutna mina, przymilny ton. Trudno było mu odmówić. Jak już wspomniałam, jest świetny w swoim fachu. - To naprawdę ważne... pomóż mi... Jęknęłam niezdolna oprzeć się żalosemu wyrazowi jego szerokiej twarzy.
- Jeśli ktoś się o tym dowie...
  - Buzia na kłódkę. - Miał nawet czelność wykonać pantomimę zamykania ust na kluczyk.
- Zrezygnowana schyliłam się i rozpięłam paski pantofli.
- Co robisz? - zapytał.
  - To moje ulubione buty. Od Bruno Maglisa. Nie chcę, żeby mi je wessało w trakcie przemiany.
  - No tak, ale... przecież możesz je stworzyć z powrotem.
  - Nie będą takie same.
  - Będą. Możesz stworzyć każde buty, jakie zechcesz. To jakaś głupota.
  - Słuchaj - rzuciłam ze złością. - Mam się tu z tobą wykić o buty czy iść zrobić faceta z twojego prawiczka?

Hugh wreszcie zamilkł i zapraszającym gestem wskazał mi dom. Podreptałam po trawie, czując, jak żdźbła łaskoczą moje białe stopy. Furtka na patio od tyłu, z którego schodziło się do piwnicy, była otwarta, jak obiecał Hugh. Weszłam do uspiętego domu modląc się, żeby nie mieli psa, i zastanawiając się ponuro, jakim cudem osiągnęłam takie dno. Moje oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności i wyłowiły z niej wygodny rodzinny salon klasy średniej, z kanapą, telewizorem i regałami książek. Po lewej były schody prowadzące na górę, na prawo odchodził korytarz.

.Skręciłam w korytarz, po drodze zmieniając postać. Uczucie było tak znajome, tak naturalne, że nie potrzebowałam lustra, żeby wiedzieć, co się dzieje. Moje drobne ciało stało się wyższe; wciąż było szczupłe, ale bardziej żyłaste, jakby wyrzeźbione. Lekko opalona skóra przybrała odcień śmiertelnej bladości. Sięgające do połowy pleców włosy pozostały tej samej długości, ale stały się kruczoczarne. Ich delikatne fale wyprostowały się jak drut. Moje piersi - już i tak imponujące - urosły jeszcze bardziej. Teraz mogłam z powodzeniem konkurować z bohaterkami komiksów, na których Martin Miller z pewnością się wychował.

Co do stroju... zniknęła bluzka i śliczne spodnie z Banana Republic. Na moich nogach pojawiły się czarne skórzane buty sięgające ud, pasujące do skózanego gorsetu i spódnicy, w której nie mogłam się schylić. Spiczaste skrzydła, rogi i pejcz uzupełniały kreację.

- Dobry Boże - mruknęłam, przypadkiem dostrzegając efekt mojej metamorfozy w małym ozdobnym lustrze. Miałam nadzieję, że żadna z okolicznych demonie się o tym nie dowie. Te dziewczyny naprawdę miały klasę. Odwróciwszy się od lustra, spojrzałam na swój cel: zamknięte drzwi na końcu korytarza z żółtą tabliczką „Roboty na wysokości”. Wydawało mi się, że słyszę dobiegające zza nich

odgłosy gry komputerowej, ale wszystko ucichło, kiedy zapukałam.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanęłam twarzą w twarz z gościem metr siedemdziesiąt wzrostu, z sięgającymi ramion mysimi włosami, mocno przerzedzonymi nad czołem. Duży owłosiony brzuch wyzierał spod koszulki z Homerem Simpsonem. Facet trzymał w dłoni paczkę chipsów. Kiedy mnie zobaczył, paczka upadła na podłogę

- Martin Miller?
- T-tak - sapnął.

Strzeliłam z bata.

- Jesteś gotów się ze mną zabawić?
- Dokładnie sześć minut później opuściłam rezydencję Millerów. Jak widać, poważny wiek klienta nie idzie w parze z jego wytrzymałością.

- Szybko ci poszło - stwierdził Hugh, widząc, jak idę przez ogródek od frontu. Znów opierał się o samochód, paląc papierosa.

- Co ty powiesz. Masz jeszcze jednego?

Wyszczrzył zęby i podał mi własnego papierosa, taksując mnie wzrokiem.

- Obrazisz się, jeśli powiem, że te skrzydła nawet mnie kręcą?

Wzięłam papierosa i spojrzałam na Hugh. Potem szybko się rozejrzałam i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, przeobraziłam się, wracając do swojej zwykłej postaci.

- Wiesz mi ogromną przysługę - przypomniałam mu, wkładając z powrotem szpilki.

- Wiem. Oczywiście ktoś mógłby powiedzieć, że to ty wiesz mnie. Nieźle się podładowałaś. Lepiej niż zwykle.

Nie mogłam zaprzeczyć, choć nie czułam się z tym dobrze. Biedny Martin. Fajtłapa czy nie, skazanie duszy na wieczne potępienie to słona cena za sześć minut.

- Chcesz iść na drinka? - zapytał Hugh.

- Nie, już późno. Wracam do domu. Chcę poczytać książkę.

- Ach, oczywiście. Kiedy jest ten wielki dzień?

- Jutro - oznajmiłam uroczyście.

Diablik roześmiał się, kpiąc z mojej obsesji.

- To tylko autor mainstreamowych kryminałów, dziewczyno. Nie Nietzsche czy Thoreau.

- Nie trzeba bawić się w surrealizm czy transcendentalizm,

żeby być świetnym pisarzem. Wiem coś o tym, bo spotkałam ich paru w życiu, a to już ładnych kilka lat.

Hugh odchrząknął, widząc moją dumną minę, i skłonił się szyderczo.

- Nie śmiałybym dyskutować z damą na temat jej wiek

Cmoknęłam go w policzek i przeszłam dwie przecznice, do miejsca, gdzie zaparkowałam. Otwierałam właśnie drzwi auta, kiedy poczułam ciepłe mrowienie - nieomylny znak, że w pobliżu jest inny nieśmiertelny. Wampir, stwierdziłam na milisekundę, zanim pojawił się przy mnie. Do licha, ale oni są szybcy.

. - Georgino, moja śliczna, mój słodki sukubie, moja bogini rozkoszy - wyrecytował, kładąc teatralnie dłonie na sercu. Cudownie. Tylko tego mi było trzeba. Duane jest chyba najbardziej obleśnym nieśmiertelnym, jakiego znam. Goli jasne włosy tuż przy skórze i przejawia fatalny gust zarówno jeśli chodzi o strój, jak i dezodorant.

- Idź sobie, Duane. Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Oj, nie bądź taka - zagruchał, kładąc rękę na drzwiach samochodu, które chciałam otworzyć. - Nawet ty nie możesz tym razem udawać cnotki. Popatrz na siebie. Promieniejesz. Udane polowanie?

Nachmurzyłam się na tę aluzję do życiowej energii Martina

- wiedziałam, że spowija mnie jak obłok. Uparcie spróbowałam otworzyć drzwi, przytrzymywane przez Duane'a. Bez skutku.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz, będzie nieprzytomny przez parę dni - dodał wampir, przyglądając mi się uważniej.

- Domyślam się, że ktokolwiek to był, podobała mu się jazda. I na tobie, i do piekła. - Posłał mi leniwy uśmiech, odsłaniając koniuszki spiczastych zębów. - To musiał być ktoś wyjątkowy, skoro teraz wyglądasz tak sexy. Co to się stało? Myślałem, że obsługujesz tylko szumowiny. Prawdziwych sukinsynów.

- Zmiana polityki. Nie chciałam ci dawać fałszywej nadziei.

Pokręcił głową z podziwem.

- Och, Georgino, na ciebie zawsze można liczyć. Twoje docinki nigdy nie rozczarowują. Zawsze wiedziałem, że dziwki potrafią robić użytek z języka i w pracy, i poza nią.

- Puszczaj - warknęłam, jeszcze mocniej szarpiąc za drzwi.

- Gdzie ci się tak spieszy? Mam prawo wiedzieć, co ty i półdiabły tam robiliście. Eastside to mój teren

- Nie musimy się stosować do waszych podziałów terytorialnych, i dobrze o tym wiesz.

- Mimo to grzeczność nakazuje przynajmniej się przywitać, kiedy jest się w okolicy. Poza tym dlaczego nigdy nie spotykasz się ze mną? Należy mi się trochę czasu w twoim towarzystwie. Z tamtymi fajfusami spędzasz go mnóstwo.



Fajfusy, o których wspomniał, to moi przyjaciele i jedyne przyzwoite wampiry, jakie znam. Większość wampirów - jak Duane - jest arogancka, pozbawiona ogłady i ma obsesję na punkcie własnego terytorium. Podobnie jak wielu śmiertelnych mężczyzn, których spotykam.

- Jeśli mnie nie puścisz, poznasz całkiem nowe znaczenie wyrażenia „grzeczność”.

Okej, to był kiepski tekst, ale nic lepszego nie zdołałam wymyślić na poczekaniu. Mój złowrogi ton był wyrazem brawury, niczym więcej, i Duane o tym wiedział. Sukuby są obdarzone charyzmą i zdolnością zmieniania postaci; wampirom dostały się nadnaturalna siła i szybkość. Co oznacza, że jedno z nas jest chętniej widziane na przyjęciach, a drugie potrafi złamać człowiekowi nadgarstek jednym uściskiem dłoni.

- Grozisz mi? - Pogłaskał mnie po policzku, tak że dostałam gęziej skórki. W złym znaczeniu. Zrobiłam unik. - To urocze. I nawet mnie kręci. Fajnie byłoby zobaczyć trochę agresji w twoim wykonaniu. Może gdybyś zachowała się jak grzeczna dziewczynka... au! Ty suko!

Widząc, że ma zajęte obie ręce, wykorzystałam okazję. Błyskawiczna przemiana i na mojej prawej dłoni pojawiły się ośmiocentymetrowe szpony. Chlasnęłam go nimi po policzku. Jego nadprzyrodzony refleks nie pozwolił mi na wiele, ale zdążyłam utoczyć mu krwi, zanim chwycił mnie za nadgarstek i przycisnął mi rękę do samochodu.

- No co? Za mało agresji jak na twój gust? - wydusiłam, opanowując ból. Kolejny tekst jak z filmu.

- Urocze, Georgino. Naprawdę urocze. Zobaczmy, jaka będziesz urocza, gdy...

W ciemności rozbłyły reflektory. Z bocznej ulicy wyjechał samochód i skręcił w naszą stronę. Dostrzegłam niepewność

na twarzy Duane'a. Nasze tete-a-tete z pewnością zostało zauważone przez kierowcę. Choć Duane z łatwością mógłby zabić śmiertelnika, który zechciałby interweniować - do licha, przecież żył z zabijania śmiertelników - to zabójstwo w połączeniu z napastowaniem mojej osoby nie byłoby dobrze widziane przez naszych przełożonych. Nawet taki dupek jak Duane musiał pomyśleć dwa razy, zanim uruchomił biurokratyczną maszynę.

- Jeszcze nie koniec - syknął, puszczając mój nadgarstek.

- Oj, chyba jednak tak. - Teraz, mając wsparcie, czułam się odważniejsza. - Następnym razem, kiedy się do mnie zbliżysz, będzie twoim ostatnim.

- Trzęsę się ze strachu - wycedził z szyderczym uśmiechem. Jego oczy błysnęły w mroku, i już go nie było. Rozpłynął się w nocy w chwili, kiedy samochód nas mijał. Bogu niech będą dzięki za schadzkę czy lody, czy co tam wyciągnęło kierowcę z domu w odpowiedniej chwili.

Czym prędzej wsiadłam do swojego auta i odjechałam, chcąc jak najszybciej znaleźć się w centrum. Próbowiałam ignorować drżenie dłoni na kierownicy, ale prawda była taka, że Duane mnie przeraził. Wiele razy mówiłam mu, żeby się odwalił w obecności moich nieśmiertelnych przyjaciół, ale rozmowa z nim sam na sam na ciemnej ulicy to było zupełnie coś innego, szczególnie że wszystkie moje pogroźki były gołosłowne. Nie cierpię przemocy. Pewnie to dlatego, że miałam okazję żyć w epokach tak okrutnych i brutalnych, iż współczesnym nie pomieściłoby się to w głowie. Ludzie mawiają, że teraz żyjemy w brutalnych czasach, ale nie wiedzą, o czym mówią. Oczywiście, wieki temu można było odczuwać pewną satysfakcję, wiedząc, że gwałcielem zostanie wykastrowany za swoje zbrodnie szybko i bez niekończących się przedstawień

w sali sądowej czy wcześniejszego zwolnienia za „dobre zachowanie”. Na nieszczęście ci, którzy zajmują się samosądami i biorą prawo w swoje ręce, mało kiedy wiedzą, gdzie wyznaczyć sobie granicę, sto razy bardziej wolę więc biurokrację dzisiejszego systemu sądowniczego.

Przypomniawszy sobie podejrzenie, że mojego zbawcę wygoniła z domu chęćka na lody, uznałam, że i mnie dobrze zrobi mały deser. Kiedy wjechałam już do Seattle, wpadłam do całodobowego supermarketu i odkryłam, że jakiś marketingowy geniusz stworzył lody o smaku tiramisu. Tiramisu i lody. Pomysłowość śmiertelnych nie przestaje mnie zdumiewać.

W drodze do kasy minęłam stoisko z kwiatami. Były tanie i nie pierwszej świeżości, ale zobaczyłam, że jakiś młody człowiek podszedł i przyjrzał im się nerwowo. W końcu wybrał kilka chryzantem w kolorach jesieni i poszedł sobie. Śledziłam go tęsknym wzrokiem, trochę zazdroszcząc dziewczynie, która miała je dostać.

Jak zauważył Duane, zwykle żeruję na draniach - mężczyznach, którym mogę robić krzywdę albo pozbawiać ich przytomności na kilka dni bez wyrzutów sumienia. Tacy nie przysyłają kwiatów i z zasady unikają wszelkich romantycznych gestów. Co do facetów, którzy przysyłają kwiaty, hm, cóż, unikam ich. Dla ich własnego dobra. To nietypowe dla sukuba, ale jestem zbyt zblazowana, żeby jeszcze się przejmować, co mi wypada, a co nie.

Smutna i samotna wybrałam sobie bukiet czerwonych goździków i zapłaciłam za nie i za lody.

Kiedy wróciłam do domu, zadzwonił telefon. Odłożyłam zakupy i spojrzałam na wyświetlacz. Numer zastrzeżony.

- Mój pan i władca - powiedziałam do słuchawki. -  
Doskonałe zakończenie doskonałego dnia.

- Daruj sobie żarty, Georgie. Dlaczego dokuczasz Duane'owi?
- Jerome, ja... co?
- Właśnie dzwonił. Powiedział, że napadł na niego bez powodu.
- Napadł? Na niego? - Byłam oburzona. - To on zaczął! Zakradł się do mnie i...
- Uderzyłaś go?
- No więc...
- Uderzyłaś czy nie?

Westchnęłam. Jerome jest arcydemonem na terenie Seattle i moim przełożonym. Jego zadaniem jest zarządzanie naszą trzódką, pilnowanie, żebyśmy wypełniali swoje obowiązki, i trzymanie nas w ryzach. Ale, jak każdy leniwy demon, woli mieć z nami jak najmniej roboty. Jego irytacja aż buchała ze słuchawki.

- Tak jakby. Właściwie bardziej go zadrapałam.
- Rozumiem. Zadrapałaś. I groziłaś mu?
- Jeśli chcesz się czepiać semantyki, to trochę... Daj spokój,

Jerome! Duane to wampir. Nie mogę go tknąć. Przecież wiesz. Arcydemon zawahał się, zapewne rozważając wynik mojej ewentualnej konfrontacji z Duane'em. Widocznie przegrałam w tej hipotetycznej bitwie, bo po chwili usłyszałam westchnienie.

- Tak. Pewnie tak. Ale nie prowokuj go więcej. Mam w tej chwili dość pracy i bez waszych dziecinnych przepychanek.
- A od kiedy ty pracujesz? - Dziecinnych, też coś.
- Dobranoc, Georgie. I trzymaj się z daleka od Duane'a. Rozłączył się. Demony nie są najlepsze w towarzyskich pogaduszkach.

Odłożyłam słuchawkę urażona. Nie do wiary, że Duane narzucił na mnie i zrobił ze mnie taką złą. A co gorsza, Jerome chyba mu uwierzył. Przynajmniej na początku. To zabolalo mnie najbardziej, bo mimo mojego niefrasobliwego podejścia do obowiązków sukuba arcydemon zawsze traktował mnie trochę jak pobłażliwy nauczyciel swoją pupilkę.

Szukając pocieszenia, zabrałam lody do sypialni, zrzuciłam ciuchy i przebrałam się w luźną piżamę. Aubrey, moja kotka, wstała z kołdry w nogach łóżka i się przeciągnęła. Biała jak śnieg, z wyjątkiem kilku czarnych smużek na czole, zmrużyła oczy na powitanie.

- Nie mogę iść spać - oznajmiłam jej, tłumiąc ziewnięcie  
- Najpierw muszę poczytać.

Usadoviłam się wygodnie z pojemnikiem lodów i książką, po raz kolejny przypominając sobie, że jutro, podczas podpisywania książek mojego ulubionego pisarza. Proza Setha Mortensena zawsze do mnie przemawiała, budząc emocje, o które nigdy bym siebie nie podejrzewała. Jego najnowsza książka, Pakt z Glasgow, nie złagodziła wyrzutów sumienia z powodu tego, co zrobiłam Martinowi, ale wypełniła bolesną pustkę w mojej duszy. Zdumiewało mnie, że śmiertelni, żyjący przecież tak krótko, potrafią tworzyć tak niesamowite dzieła.

- Ja, kiedy byłam śmiertelna, nigdy niczego nie stworzyłam - powiedziałam do Aubrey po przeczytaniu pięciu stron. Zaczęła się łąsić do mnie, mrużąc ze współczuciem. Miałam na tyle przytomności umysłu, żeby odstawić lody, zanim zasnęłam.

## Rozdział 2

Następnego ranka ze snu wyrwał mnie telefon. Słabe szare światło sączyło się przez cienkie zasłony, sugerując jakąś koszmarnie wczesną godzinę. Choć, prawdę mówiąc, w Seattle taka ilość światła może oznaczać dowolną porę dnia od świtu po południe. Po czwartym dzwonku raczyłam odebrać, niechcący zrzucając Aubrey z łóżka. Wylądowała na podłodze z oburzonym „miau” i obrażona odeszła się umyć.

- Halo?
- Hej, Kincaid?
- Nie. - Moja odpowiedź była szybka i stanowcza. - Nie przyjdę.
- Nawet nie wiesz, czy cię o to poproszę.
- Oczywiście że wiem. Inaczej nie dzwoniłbyś do mnie o tej porze. No więc, nie zrobię tego. Mam wolny dzień, Doug. Doug, drugi zastępca kierownika w mojej „śmiertelnej” pracy, jest całkiem miłym facetem, ale nie potrafi zachować pokerowej twarzy - czy raczej głosu - choćby zależało od tego jego życie. Jego udawany luz natychmiast ustąpił miejsca desperacji.
- Wszyscy poszli dzisiaj na zwolnienie i brakuje personelu.  
Musisz przyjść.
- Ja też jestem chora. Uwierz mi, nie chcesz mnie tam. Okej, nie byłam chora, ale wciąż otaczała mnie świetlista aura po seksie z Martinem. Śmiertelnicy nie mogli jej zobaczyć, tak jak widział ją Duane, ale mimowolnie ją wyczuwali i lecieli do niej jak ćmy - i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Pozostając dzisiaj w domu zapobiegałam wielu głupim zachowaniom, wynikającym z nagłego zakochania. W gruncie rzeczy było to bardzo przyzwoite z mojej strony.
- Kłamczucha. Ty nigdy nie chorujesz.

- Doug, i tak zamierzałam przyjść dziś wieczorem na spotkanie z Mortensenem. Jeśli przepracuję też dzienną zmianę, będę tam cały dzień. To chore.

- Witaj w moim świecie, mała. Nie mamy innego wyjścia. Jeśli naprawdę obchodzi cię los księgarni, jeśli leży ci na sercu szczęście naszych klientów...

- Nudzisz mnie, kowboju.

- Pytanie brzmi - ciągnął - czy przyjdiesz tu z własnej woli, czy będę musiał pójść do ciebie i osobiście wywlec cię z łóżka. Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko drugiej opcji.

Przewróciłam w duchu oczami, wyrzucając sobie po raz setny, że mieszkam dwie przecznice od miejsca pracy. Jego tyrada o dobru księgarni była skuteczna, o czym doskonale wiedział, gdyż trwałam w błędnym przekonaniu, że księgarnia nie przetrwa beze mnie.

- Chyba będę musiała przyjść, żeby oszczędzić sobie kolejnych nieudolnych prób dowcipkowania w twoim wykonaniu.

Ale Doug... - Mój głos stwardniał.

- Tak?

- Nie stawiaj mnie przy kasie.

W słuchawce zapadło milczenie.

- Doug, mówię poważnie. Nie stawiaj mnie przy głównych

kasach. Nie chcę mieć zbyt wiele do czynienia z klientami.

- No dobra - powiedział w końcu. - Nie przy głównych kasach.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Pół godziny później wyszłam z domu i ruszyłam do księgarni. Ciemne chmury wisiały nisko, zasłaniając niebo, a w powietrzu czuć było chłód, który zmusił niektórych

przechodniów do włożenia kurtek i płaszczy. Darowałam sobie wierzchnie okrycie, uznając, że spodnie khaki i sweter z brązowej szenili w zupełności wystarczą. Ubranie, podobnie jak błyszczki i kredka do oczu, które starannie nałożyłam przed wyjściem, nie było efektem przemiany postaci - było prawdziwe. Rytuał nakładania makijażu i dobierania części garderoby sprawiał mi przyjemność, choć Hugh pewnie znów stwierdziłby, że jestem dziwna.

Księgarnia Emerald City Books & Cafe mieści się w rozłożystym piętrowym budynku, zajmującym niemal cały kwartał w dzielnicy Queen Anne. Część kawiarniana zajmuje narożnik pierwszego piętra, z którego okien widać było Space Needle. Główne wejście osłania wesoła zielona markiza, pod którą teraz chronili się klienci czekający na otwarcie sklepu. Minęłam ich i weszłam bocznymi drzwiami, używając własnego klucza.

Doug napadł na mnie, zanim zdążyłam przejść przez próg.

- No, wreszcie jesteś. Już... - Przerwał i przyjrzał mi się uważniej. - Rany... ładnie dziś wyglądasz. Zrobiłaś coś ze sobą? Bzyknęłam tylko trzydziestoczteroletniego prawiczka, pomyslałam.

- Chyba masz przywidzenia z radości, że przyszedłam rozwiązać twoje problemy kadrowe. Co mam robić? Układać towar?

- Ehm, nie. - Doug z trudem wyrwał się ze stuporu, choć wciąż mierzył mnie wzrokiem, a to wytrącało mnie z równowagi.

Od dawna próbował się ze mną umówić, co nie było żadną tajemnicą, podobnie jak moje uparte odmowy. - Chodź, pokażę ci.

- Mówiłam, że...

- To nie są główne kasy - zapewnił.



„To" okazało się barem w kawiarni na górze. Personel księgarni rzadko chodził tam na zastępstwo, ale zdarzało się i to.

Bruce, kierownik kawiarni, podniósł się z klęczek zza baru. Często myślę, że w jakiejś alternatywnej rzeczywistości Doug i Bruce mogliby być różno rasowymi bliźniakami. Obydwaj mają długie mizerne kucyki i noszą sporo flaneli, składając hołd erze grunge'u, z której żaden z nich do końca nie wyrósł. Różnią się głównie kolorytem. Doug jest z pochodzenia Azjatą, czarnowłosym, o nieskazitelnej cerze. Jasnowłosy, niebieskooki Bruce to uosobienie ideału Aryjczyka.

- Cześć Doug, cześć, Georgino - powiedział Bruce.

Otworzył szeroko oczy na mój widok. - Rany, świetnie dziś wyglądasz.

- Doug, to jest równie fatalne miejsce! Mówiłam ci, że nie chcę mieć do czynienia z klientami.

- Powiedziałaś mi, że nie chcesz na główne kasy. Nie mówiłaś nic o barze.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale Bruce mnie uprzedził.

- Nie bądź taka, Georgino. Alex wziął na dzisiaj zwolnienie, a Cindy w ogóle odeszła. - Widząc moją niewzruszoną minę, dodał szybko: - Nasze kasy są prawie identyczne jak wasze.

To nic trudnego.

- Poza tym - zapiszczał Doug, naśladowując głos naszej kierowniczkii - zastępcy kierownika powinni być w stanie zastąpić obsadę każdego stanowiska.

- No tak, ale kawiarnia...

- ...też jest częścią sklepu. Słuchaj, muszę iść otworzyć.

Bruce pokaże ci, co i jak. - Zwiąż, zanim zdążyłam zaprotestować.

- Tchórz! - krzyknęłam za nim.

- Naprawdę, nie będzie tak źle - uparcie zapewniał mnie

Bruce, nie rozumiejąc mojego niepokoju. - Ty tylko przyjmujesz pieniądze, a ja robię kawę. Poćwiczmy na tobie. Chcesz

mokkę z białą czekoladą?

- Tak - odparłam zrezygnowana. Wszyscy współpracownicy wiedzieli o mojej słabości. Zwykle udawało mi się wypić trzy mokki w ciągu dnia.

Bruce wprowadził mnie w temat, pokazując, jak mam oznaczać kubki i odnajdywać właściwe pozycje na dotykowym ekranie kasy. Miał rację. Nie było tak źle.

- Masz wrodzony talent - zapewnił, podając mi mokkę. Odchrząknęłam w odpowiedzi i pochłonęłam dawkę kofeiny, myśląc, że poradzę sobie ze wszystkim, byle tylko nie od-cięto mi dostaw kawy. Poza tym tutaj nie mogło być tak źle jak przy głównych kasach. O tej porze w kawiarni pewnie nie ma dużego ruchu.

Myliłam się. Kilka minut po otwarciu w kolejce stało już pięć osób.

- Duża latte - powtórzyłam za pierwszą klientką, uważnie wprowadzając zamówienie.

- Już mam - powiedział Bruce, puszczając w ruch ekspres, zanim zdążyłam oznaczyć kubek. Radośnie przyjęłam pieniądze od kobiety i przesłałam do następnego zamówienia.

- Duża chuda mokka.
- Chuda to inaczej beztłuszczowa, Georgino.

Nabazgrałam na kubku „BT”. Spoko. Damy radę. Następna klientka podeszła do kasy i zagapiła się na mnie oszołomiona. Pokręciła głową, przytomniejąc, i wyrzuciła z siebie serię zamówień.

- Poproszę jedną małą parzoną, dużą beztłuszczową waniliową latte, podwójne małe cappuccino i dużą latte bezkofeinową.

Teraz mnie zatkało. Jak ona to spamiętała? Poza tym kto jeszcze pija parzoną kawę?

I tak to jakoś szło. Mimo moich obaw szybko odzyskałam dobry humor i zaczęłam się nawet nieźle bawić. Nic na to nie poradzę - właśnie w taki sposób funkcjonuję, tak idę przez życie. Lubię próbować nowych rzeczy, nawet czegoś tak banalnego jak nabijanie kawy na kasę. Ludzie bywają dziwni, oczywiście, ale przeważnie lubię mieć do czynienia z klientami. To dlatego w końcu wylądowałam w handlu i usługach.

A kiedy przewyciężyłam senność, mój wrodzony czar sukuba zadziałał na całego. Stałam się gwiazdą swojego prywatnego małego przedstawienia, dowcipkowałam i flirtowałam bez wysiłku. Dzięki dodatkowi blasku zapożyczonego od Martina po prostu nie sposób było mi się oprzeć. I choć wynikiem tego była seria prób podrywu i propozycji randek, urok ratował mnie też przed konsekwencjami wszelkich pomyłek. Klienci nie potrafili mieć do mnie pretensji.

- Nic nie szkodzi, moja droga - zapewniła mnie starsza pani, kiedy odkryła, że przez pomyłkę zamówiłam dla niej dużą mokkę z cynamonem zamiast bezkofeinowej i beztłuszczowej latte. - Właściwie powinnam spróbować nowych smaków.

Uśmiechnęłam się uroczo. Miałam tylko nadzieję, że nie jest diabetyczką.

Później zjawił się facet z egzemplarzem Paktu z Glasgow Setha Mortensena pod pachą. Był to pierwszy zwiastun dzisiejszego doniosłego wydarzenia.

- Wybiera się pan na spotkanie? - zapytałam, nabijając na kasę jego herbatę. Bezkofeinowa. Ble.

Przyglądał mi się długą, pełną napięcia chwilę, więc przygotowałam się na odmowę randki. Ale on powiedział tylko cicho:

- Tak, wybieram się.

- Tylko proszę wymyślić dla niego jakieś dobre pytania.

Niech pan nie pyta o to samo, co wszyscy.

- To znaczy?

- Oj, no wie pan: „Skąd pan bierze pomysły?” i „Czy Cady i O'Neill będą kiedyś razem?”

Zastanawiał się nad tym, kiedy wydawałam mu resztę. Był nawet całkiem do rzeczy, w trochę niedbałym stylu. Miał kasztanowe włosy z rudawo złotym połyskiem, który był bardziej zauważalny w krótkim zarostie pokrywającym jego szczękę. Trudno było stwierdzić, czy zapuścił zarost specjalnie, czy tylko zapomniał się ogolić. Tak czy inaczej, szczecina była mniej więcej równa, a w zestawieniu z koszulką z Pink Floyd sprawiała, że wyglądał jak krzyżówka hippisa z drwalem.

- Nie sądzę, żeby „zwykłe pytania” miały mniejsze znaczenie dla pytającego - stwierdził w końcu nieśmiało, jakby wstydził się mieć inne zdanie niż ja. - Dla fana każde pytanie jest nowe i wyjątkowe.

Odsunął się na bok, żebym mogła obsłużyć kolejnego klienta. Przyjmując zamówienie, kontynuowałam rozmowę, nie chcąc przepuścić okazji do inteligentnej rozmowy o Secie Mortensenie.

- Do licha z fanami. A biedny Mortensen? Pewnie ma ochotę nadziać się na pal za każdym razem, kiedy słyszy coś takiego.
- „Nadziać się na pal” to dość mocne określenie, nie sądzi pani?
- Absolutnie nie. Ten facet to geniusz. Wysłuchiwanie idiotycznych pytań musi go śmiertelnie nudzić. Na ustach mężczyzny zaigrał uśmieшек rozbawienia. Jego spokojne brązowe oczy mierzyły mnie uważnie. Kiedy zdał sobie sprawę, że się na mnie gapi, zażenowany odwrócił wzrok.
- Nie. Skoro jeździ na spotkania, to znaczy, że zależy mu na fanach. Nie przeszkadzają mu powtarzające się pytania.
- Nie jeździ na te spotkania z altruizmu. Jeździ, bo zmuszają go do tego spece od reklamy z wydawnictwa - odparłam.
- Co zresztą jest stratą czasu. Ośmielił się znów na mnie spojrzeć.
- Spotkania z fanami to strata czasu? Nie chce go pani poznać?
- Ależ... oczywiście że chcę. Tylko że... okej. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wielbię ziemię, po której stąpa ten człowiek. Bardzo się cieszę, że go wreszcie poznam. Umieram z niecierpliwości. Gdyby chciał mnie stąd wynieść i zrobić ze mnie swoją seksualną niewolnicę, zgodziłabym się, byle tylko mieć wcześniejszy dostęp do jego powieści. Ale jeżdżenie po księgarniach... to zabiera czas. Czas, który spożytkowałby lepiej, pisząc następną powieść. Nie zauważył pan, jak długo trwa wydanie każdej kolejnej książki?

- Tak. Zauważyłem.

W tej chwili wrócił poprzedni klient, skarżąc się, że dostał karmelowy syrop zamiast karmelowego sosu. Cokolwiek to zna-czyło. Dostał ode mnie kilka uśmiechów i słodkie przeprosiny i po chwili miał już w nosie karmelowy sos. Ale zanim odszedł od mojej kasy, fan Mortensena też zdążył się ulotnić.

Kiedy wreszcie około piątej skończyłam zmianę, przyszedł po mnie Doug.

- Słyszałem parę interesujących rzeczy o twoich gościnnych występach.

- Ja bez przerwy słyszę interesujące rzeczy o twoich „wy-

stępach", Doug, ale nie dowcipkuję sobie na ten temat.

Poprzekomarzał się ze mną jeszcze chwilę i wreszcie zwolnił mnie, żebym mogła przygotować się na spotkanie z Mortensenem. Najpierw jednak zmusiłam go, by przyznał z pokorą, jak bardzo jest wdzięczny za moją dobroć. Najpierw Hugh, teraz on - niedługo całe Seattle będzie mi winne przysługę.

Niemal przebiegłam dwie przecznice do domu, żeby zdążyć coś zjeść i wymyślić, w co się ubiorę. Moje radosne podniecenie narastało. Za niecałą godzinkę poznam mojego ulubionego pisarza wszech czasów. Czy życie może być jeszcze piękniejsze? Podśpiewując pod nosem, wbiegłam na swoje piętro, przeskakując po dwa schody naraz, i wyjęłam klucze teatralnym gestem, który tylko ja mogłam podziwiać i docenić.

Kiedy otworzyłam drzwi, jakaś dłoń chwyciła mnie nagle i brutalnie wciągnęła w ciemność mieszkania. Wrzasnęłam z zaskoczenia i strachu, kiedy pchnęła mnie na drzwi, które zatrzasnęły się za moimi plecami. Światła rozbłyły

niespodziewanie, a w powietrzu rozszedł się słaby zapach siarki. Choć blask kazał mi zmrużyć oczy, widziałam wystarczająco dobrze, by zorientować się, co jest grane. Piekło nie zna furii straszliwszej od wkurzonego demona.

## Rozdział 3

Powinam w tym miejscu wyjaśnić, że Jerome nie wygląda jak demon, a w każdym razie nie w tradycyjnym znaczeniu - żadnej czerwonej skóry czy rogów. Może i ma je w innej płaszczyźnie egzystencji, ale teraz, tak jak Hugh, ja i inni nieśmiertelni chodzący po ziemi, występował w ludzkiej postaci. A konkretnie w postaci Johna Cusacka.

Serio. Nie żartuję. Arcydemon twierdzi, że nigdy nie słyszał o takim aktorze, ale nikt z nas nie kupuje tego kitu.

- Au - rzuciłam z irytacją. - Puszczaj.

Jerome rozluźnił uścisk, ale jego czarne oczy wciąż błyszczały groźnie.

- Dobrze wyglądasz - powiedział po chwili, jakby sam zaskoczony własnym stwierdzeniem.

Wygładziłam sweter, który podciągnął się, kiedy Jerome mnie złapał.

- Masz dziwny sposób okazywania podziwu.

- Naprawdę dobrze - ciągnął zamyślony. - Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że...

- ...lśnisz - mruknął głos za jego plecami. - Lśniesz, Córo Lilith, jak gwiazda na nocnym niebie, jak brylant migoczący w czerni wieczności.

Drgnąłam zaskoczona. Jerome spojrział przez ramię i rzucił na mówiącego ostre spojrzenie. Nie był zachwycony, że mu przerwano. Ja też zmierzyłam go złym wzrokiem niezadowolona z nieproszonej wizyty anioła w moim mieszkaniu. Carter tylko uśmiechnął się do nas.

- Jak mówiłem - warknął Jerome - wyglądasz, jakbyś spędziła noc z dobrym śmiertelnikiem.
- Wyświadczyłam przysługę Hugh.
- Więc to nie jest początek nowego, bardziej rzetelnego podejścia do obowiązków?
- Nie za pensję, jaką mi płacisz.

Jerome prychnął. Była to wymiana zdań typowa dla naszych stosunków. On beształ mnie za niepoważne traktowanie zawodu, ja rzucałam w odpowiedzi kilka dowcipnych uwag i status quo pozostawało zachowane. Jak już wspomniałam, jestem pupilka nauczyciela.

Kiedy jednak patrzyłam na niego teraz, widziałam, że żarty się skończyły. Urok, który tak czarował moich klientów, nie działał na tych dwóch. Twarz Jerome'a była ściągnięta i poważna, podobnie jak twarz Cartera mimo jego tradycyjnego ironicznego półuśmiechu.

Jerome i Carter regularnie spędzali ze sobą czas, szczególnie jeśli w grę wchodził alkohol. Zdumiewało mnie to, skoro rzekomo powinni zmagać się ze sobą w gigantycznej kosmicznej bitwie. Zapytałam kiedyś Jerome'a, czy Carter jest upadłym aniołem, z czego demon potężnie się uśmieł. Kiedy opanował wesołość, powiedział mi, że nie, Carter nie upadł. Gdyby upadł, z technicznego punktu widzenia nie byłby już aniołem. Ta odpowiedź mnie nie zadowoliła. W końcu uznałam, że ci dwaj muszą trzymać się razem, bo w okolicy nie ma nikogo innego, kto mógłby się pochwalić istnieniem od początku stworzenia. Każdy z nas, niższych nieśmiertelnych, w którymś momencie życia był człowiekiem; Jerome i Carter



ludźmi nie byli nigdy. Moje stulecia były ledwie punktem na wykresie ich egzystencji.

Bez względu na powód jego obecności w moim mieszkaniu, nie lubię Cartera. Nie jest tak okropny jak Duane, ale zawsze sprawia wrażenie okropnie zadowolonego z siebie i wyniosłego. Może po prostu anioły tak mają. Carter ma też najdziwniejsze poczucie humoru, z jakim się spotkałam. Nigdy nie wiem, czy się ze mnie nabija, czy nie.

- Więc co mogę dla was zrobić, chłopcy? - zapytałam, rzucając torebkę na blat w kuchni. - Mam plany na wieczór. Jerome spiorunował mnie wzrokiem spod zmrużonych powiek.

- Chcę, żebyś mi opowiedziała o Duanie.

- Co? Przecież już opowiedziałam. To palant.

- I dlatego kazałaś go zabić?

- Ka...co?

Na moment znieruchomiałam, po czym powoli odwróciłam się od szafek kuchennych, w których właśnie grzebałam. Spojrzałam na Jerome'a i Cartera, spodziewając się, że to żart. Ale obaj przyglądali mi się z bardzo poważnymi minami.

- Zabić? Jak... jak to się robi?

- Ty mi powiedz, Georgie.

Zamrugałam, nagle zdając sobie sprawę, do czego zmierza Jerome.

- Oskarżasz mnie o zabicie Duane'a? Ale zaraz... to jakaś bzdura. Duane nie może być martwy.

Jerome zaczął chodzić w tę i z powrotem. Jego głos był przesadnie grzeczny.

- Och, zapewniam cię, że jest. Znaleźliśmy go dziś rano, tuż przed wschodem słońca.

- Umarł od ekspozycji na światło słoneczne? - To jedyny sposób, w jaki wampir może zginąć. Jedyny, o jakim słyszałam.

- Nie. Umarł, bo wbito mu kołek w serce.
  - Auć.
  - Więc powiesz mi, kogo na to namówiłaś, Georgie?
  - Nikogo na to nie namówiłam! Nie potrafię nawet... w ogóle nie rozumiem, co do mnie mówisz. Duane nie może nie żyć.
  - Przyznałaś mi się wczoraj, że się pokłóciliście.
  - Tak...
  - I że mu groziłaś.
  - Tak, ale to były żarty...
  - Wspomniałaś mi, że mówiłaś, że ma się do ciebie więcej nie zbliżać.
  - Byłam wściekła i przestraszona! Molestował mnie. To jakieś szaleństwo. Poza tym Duane nie może nie żyć. To była jedyna rozsądna myśl w całym tym obłądzeniu, więc powtarzałam ją im i sobie. Nieśmiertelni z definicji są nieśmiertelni. Kropka.
  - Niczego nie wiesz o wampirach? - zapytał ze zdziwieniem arcydemon.
  - Chodzi ci o to, że nie mogą umrzeć?
- W szarych oczach Cartera błysnęło rozbawienie, ale Jerome nie uważał mnie za zabawną.
- Pytam cię po raz ostatni, Georgino. Kazałaś zabić Duane'a czy nie? Po prostu odpowiedz na pytanie. Tak czy nie.
  - Nie - odparłam stanowczo.
- Jerome spojrział na Cartera. Anioł przyglądał mi się zza fi-ranki prostych jasnych włosów, które częściowo zasłaniały mu twarz. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego Jerome zabrał go ze sobą. Anioły zawsze potrafią odróżnić prawdę od kłamstwa. Wreszcie Carter kiwnął szorstko głową.
- Cieszę się, że zdałam test - mruknęłam.
- Ale oni przestali zwracać na mnie uwagę.

. - No cóż - rzucił ponuro Jerome. - Chyba wiemy, co to znaczy.

- Nie wiemy na pewno...

- Ja wiem.

Carter posłał mu znaczące spojrzenie. Milczeli przez kilka sekund. Zawsze podejrzewałam w takich chwilach, że ci dwaj porozumiewają się telepatycznie, czego żaden z niższych nieśmiertelnych nie potrafi sam z siebie.

- Więc Duane naprawdę nie żyje? - zapytałam.

- Tak - odparł Jerome, przypominając sobie o mojej obecności. - Naprawdę.

- Ale kto go zabił? Skoro już ustaliliśmy, że nie ja.

Demon i anioł spojrzeli na siebie, wzruszając ramionami.

Żaden nie odpowiedział. Dwaj niedobrzy tatusiowie, niech ich cholera. Carter wyjął papierosa i zapalił. Boże, nie cierpię, kiedy zaczynają się tak zachowywać. Wreszcie Jerome powiedział:

- Łowca wampirów.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Naprawdę? Jak ta laska z telewizji?

- Niezupełnie.

- To gdzie się dzisiaj wybierasz? - zapytał uprzejmie Carter.

- Na spotkanie z Sethem Mortensenem. I nie zmieniam tematu. Chcę dowiedzieć się czegoś o tym łowcy wampirów.

- Prześpisz się z nim?

Co takiego? - Przez chwilę myślałam, że anioł pyta mnie o łowcę wampirów. - Chodzi ci o Setha Mortensena?

- Jasne. Gdybym to ja był sukubem z obsesją na punkcie śmiertelnego pisarza, tak bym zrobił. Poza tym myślałem, że wasza strona chce mieć jak najwięcej sławnych ludzi?

- Mamy już całe mnóstwo sławnych ludzi - rzucił półgłosem Jerome.

Przespać się z Sethem Mortensenem? Rany. To była najbardziej nedorzeczna sugestia, jaką słyszałam. Wręcz oburzająca. Gdybym wchłonęła jego energię życiową, kto wie, kiedy ukazałaby się jego następna książka.

- Nie! Oczywiście że nie.
- Więc co zrobisz, żeby cię zauważył?
- Zauważył?
- No. Przecież facet codziennie widuje tłumy fanów. Nie chcesz się jakoś wyróżnić?

Ostępiałam. Do tej pory nie przyszło mi to do głowy.

Powinam się wyróżnić? Przez moje zblazowanie cieszy mnie już tak niewiele rzeczy. Książki Setha Mortensena są jedną z moich nielicznych przyjemności. Czy w uznaniu tego faktu nie powinam spróbować nawiązać kontaktu z autorem? Sama dziś żartowałam ze zwyczajnych fanów. Czy miałam stać się jednym z nich?

- Eee... Paige pewnie przedstawi mu personel. Wtedy będę się wyróżniać.

- No tak, oczywiście. - Carter zgasił papierosa w kuchennym zlewie. - Bo poznanie personelu księgarni to dla niego nadzwyczajne wydarzenie.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale Jerome mi przerwał.

- Dość. - Posłał Carterowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Musimy iść.

- Zaczekajcie! - Carterowi jednak udało się odciągnąć mnie od tematu. Nie mogłam w to uwierzyć. - Chcę wiedzieć coś więcej o tym łowcy wampirów.

- Jedyne, co musisz wiedzieć, to to, że powinnaś być ostrożna, Georgie. Bardzo ostrożna. Nie żartuję.

Przełknęłam ślinę, słysząc stalowy ton demona.

- Ale ja nie jestem wampirem.

Nieważne. Łowcy często śledzą wampiry, mając nadzieję znaleźć innych. Możesz być narażona przez samą znajomość z nimi. Nie afiszuj się. Staraj się nie być sama. Trzymaj się w towarzystwie, śmiertelnych czy nieśmiertelnych, nieważne. Może przy okazji weźmiesz przykład z Hugh i zdobędziesz dla nas jeszcze parę dusz.

Przewróciłam oczami na tę uwagę. Jerome i Carter ruszyli do drzwi.

. - Mówię poważnie. Uważaj. Nie wychylaj się. I nie miesza się w to.

- Pozdrów ode mnie Seta Mortensena - dodał Carter, puszczając do mnie oczko.

Wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi. Miło z ich strony, biorąc pod uwagę, że mogli się po prostu teleportować. Albo rozwalić mi drzwi.

Odwróciłam się do Aubrey, która z drgającym ogonem nieufnie obserwowała wszystko z oparcia kanapy.

- Widziałaś? - powiedziałam do niej ze złością. - I co ja mam o tym wszystkim myśleć?

Duane naprawdę nie żyje, pomyślałam. Owszem, był gnojkiem, i wczoraj, kiedy mu groziłam, byłam nieźle wkurzona, ale nigdy nie chciałam, żeby umarł. I o co chodzi z tym łowcą wampirów? Dlaczego niby mam uważać, skoro...

- Cholera!

Niechący spojrzałam na zegarek na mikrofalówce.

Poinformował mnie chłodno, że muszę natychmiast wracać do księgarni. Wyrzuciłam Duane'a z głowy, pognałam do sypialni i popatrzyłam w lustro. Aubrey leniwie przyszła za mną. Co na siebie włożyć? Mogłam zostać w ubraniu, które miałam na sobie. Przypominało trochę strój bibliotekarki. Spodnie i sweter wyglądały skromnie, choć kolory za bardzo zlewały się z moimi jasno kasztanowymi włosami. Czy chciałam wyglądać skromnie? Może i tak. Wbrew temu, co

sądził Carter, nie zamierzałam robić niczego, co wzbudziłoby romantyczne zainteresowanie mojego ulubionego pisarza.

Ale...

Pamiętałam też, co anioł powiedział o wyróżnianiu się. Nie chciałam być dla Mortensena tylko jeszcze jedną twarzą w tłumie. To było jego ostatnie spotkanie promocyjne. Przez poprzedni miesiąc oglądał pewnie tysiące fanów, którzy zlewa-li się w jedną masę ze swoimi nijakimi twarzami i niemądrymi komentarzami. Facetowi w kawiarni radziłam, żeby wykazał się inwencją przy zadawaniu pytań, i sama zamierzałam zrobić to samo w kwestii wyglądu.

Pięć minut później znowu stanęłam przed lustrem ubrana w ciemnofioletowy jedwabny top na ramiączkach, z głębokim dekoltem. Dobrałam do niego kwiecistą szyfonową spódnicę, która prawie zakrywała mi uda i ładnie podfruwiała, kiedy się obracałam. To byłby świetny strój do tańca. Wkładając brązowe szpilki, spojrzałam pytająco na Aubrey.

- I jak? Za bardzo sexy?

Zaczęła myć sobie ogon.

- Jest sexy - przyznałam - ale z klasą. Pewnie dzięki fryzurze.

Włosy spięłam w romantyczny kok, zostawiając wokół twarzy wijące się kosmyki, które podkreślały kolor moich oczu.

Szybciotkie przeobrażenie nadało im bardziej zielony odcień niż zwykle. Po chwili jednak zmieniłam zdanie i przywróciłam im normalny orzechowy kolor ze złotymi i zielonymi plamkami.

Aubrey ani myślała przyznać, że świetnie wyglądam.

Spojrzałam na nią ze złością, chwytając kurtkę z węzowej skóry.

- Mam gdzieś, co sobie myślisz. Ten strój to strzał w dziesiątkę.

Wysłałam z mieszkania ze swoim egzemplarzem Paktu z Glasgow i wróciłam do pracy odporna na mżawkę - jeszcze jeden plus zdolności do przemiany postaci. Fani kłębili się w głównej sali sklepowej, by na własne oczy zobaczyć człowieka, którego ostatnia książka po pięciu tygodniach wciąż okupowała szczyty list bestsellerów. Przecisnęłam się przez tłum w stronę schodów.

- Książki dla młodzieży są tam, pod ścianą - usłyszałam w pobliżu przyjazny głos Douga. - Proszę dać mi znać, gdyby potrzebował pan jeszcze czegoś.

Odwrociłam się od klienta, którego obsługiwałam, zobaczyłam mnie i upuścił stertę książek, którą trzymał w rękach. Klienci rozstąpili się uprzejmie, kiedy kłęknął, by podnieść książki. Od razu rozpoznałam okładki. Miękkie wydania wcześniejszych powieści Setha Mortensena.

- Świętokradztwo - skomentowałam. - Pozwolić, żeby do-

tknęły ziemi. Teraz będziesz musiał je spalić, jak flagę.

Ignorując mnie, Doug pozbierał książki, po czym zaprowadził mnie kawałek dalej, poza zasięg słuchu klientów.

- Miło, że skoczyłaś do domu i przebrałaś się w coś wygodniejszego. Chryste, czy ty możesz się w tym w ogóle schylać?

- A myślisz, że będę się musiała dzisiaj schylać?

- No, to zależy. W końcu Warren tu jest.

- To było niemiłe, Doug. Bardzo niemiłe.

- Sama się o to prosiłaś, Kincaid. - Niechętnie zmierzył mnie pełnym podziwu spojrzeniem. - Ale wyglądasz całkiem nieźle.

- Dziękuję. Chciałam, żeby Seth Mortensen mnie zauważył.

- Wierz mi, zauważy cię, chyba że jest gejem. A może nawet i wtedy.

- Nie wyglądam zbyt wulgarnie?
- Nie.
- Ani tanio?
- Nie.
- Chciałam wyglądać sexy, ale z klasą. Co o tym myślisz?
- Myślę, że nie będę więcej karmił twojego ego.

Doskonale

wiesz, jak wyglądasz.

Weszliśmy na piętro. Stało tu mnóstwo krzeseł zajmujących większość części kawiarnianej i ciągnących się aż do działu ogrodniczego i geograficznego. Paige, kierowniczka sklepu i na-sza przełożona, zawzięcie szamotała się z mikrofonem i systemem nagłaśniającym. Nie wiem, co mieściło się w tym budynku przed księgarnią, ale nie jest on idealnym miejscem, jeśli chodzi o akustykę i przyjmowanie dużych grup ludzi.

- Pomogę jej - oznajmił rycersko Doug. Paige była w trzecim miesiącu ciąży. - Radziłbym ci zająć się czymś, co nie wymaga zginania ciała o więcej niż dwadzieścia stopni. Aha, a jeśli ktoś będzie chciał cię namówić, żebyś zetknęła łokcie za plecami, nie daj się podpuścić. Dziabnęłam go jednym z rzeczonych łokci w żebra, przez co omal znów nie upuścił książek.

Bruce, wciąż obsługujący bar kawowy, zaparzył mi czwartą tego dnia mokkę z białą czekoladą. Poszłam z kubkiem do działu geograficznego, żeby spokojnie ją wypić i poczekać na rozpoczęcie imprezy. Kiedy spojrzałam w bok, dostrzegłam faceta, z którym dyskutowałam dziś o Mortensenie. Wciąż trzymał pod pachą swój egzemplarz Paktu z Glasgow.

- Cześć - rzuciłam.

Pogrążony w lekturze przewodnika po Teksasie, aż podskoczył.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie chciałam pana wystraszyć.



- N... nie, nie wystraszyłem się - wyjąkał. Zmierzył mnie szybko od stóp do głów, na mgnienie zatrzymując wzrok na biodrach i piersiach. Najdłużej przyglądał się mojej twarzy. - Przebrała się pani. -Widocznie zdał sobie sprawę z miliona podtekstów, które mogły kryć się za tą uwagą, bo dodał pospiesznie:

- Nie żeby brzydko. To znaczy, ładnie. Eee, to znaczy... Coraz bardziej skrępowany odwrócił się i niezgrabnie spróbował odstawić przewodnik na półkę. Tyłem na przód. Po-wstrzymałam uśmiech. Był uroczy. Nieczęsto spotyka się takich mężczyzn. Współczesne zwyczaje miłosne wymagają od facetów popisywania się swoją wspaniałą osobą na każdym kroku, co niestety rajcuje większość kobiet. No dobrze, nawet ja czasem na to lecę. Ale temu tutaj też należało się dobre słowo. Uznałam, że odrobina niewinnego flirtu przed rozpoczęciem spotkania dobrze wpłynie na jego ego. Pewnie miał pecha do kobiet.

- Ja to zrobię - powiedziałam, pochylając się do niego. Moja dłoń dotknęła jego dłoni, kiedy brałam od niego książkę. Ustawiłam ją starannie na półce grzbietem na zewnątrz. - No. Odsunęłam się o krok, jakbym podziwiała swoje dzieło. Oczywiście stanęłam bardzo blisko niego, niemal dotykając go ramieniem.

- Pozory to ważna rzecz, jeśli chodzi o książki - wyjaśniłam. - W tym biznesie okładka ma ogromne znaczenie.

Ośmielił się na mnie spojrzeć. Wciąż był podenerwowany, ale powoli odzyskiwał panowanie nad sobą.

- Mnie bardziej obchodzi zawartość.

- Czyżby? - Przesunęłam się tak, że znów się dotykaliśmy.

Miękka flanela jego koszuli muskała nagą skórę mojego ramienia. - Mogłabym przysiąc, że przed chwilą mocno zajął pana  
wygląd zewnętrzny.

Znów spuścił wzrok, ale widziałam, że na jego ustach igra uśmiech.

- Cóż. Niektóre zjawiska są tak uderzające, że trudno nie zwrócić na nie uwagi.

- Ale czy to nie budzi ciekawości, co jest w środku?

- Przede wszystkim budzi we mnie chęć zaoferowania pani wcześniejszego dostępu do moich powieści.

Wcześniejszego dostępu? Co...?

- Seth? Seth, gdzie... a, tu jesteś.

Paige, z Dougiem drepzczącym jej po piętach, skręciła w naszą alejkę. Rozpromieniła się na mój widok, a ja poczułam, jak mój żołądek zjeżdża w dół i z głuchym hukiem uderza o podłogę. Wreszcie skojarzyłam fakty. Nie. Nie. To nie może być...

- Ach, Georgino. Widzę, że poznałaś już Setha Mortensen.

## Rozdział 4

Zabij mnie, Doug. Zabij mnie, i to zaraz. Skróć moje cierpienia. Pomijając fakt, że jestem nieśmiertelna, moje pragnienie było szczere.

- Chryste, Kincaid, co ty mu powiedziałaś? - mruknął Doug. Staliśmy obok rzędów krzeseł wraz z wieloma innymi osobami. Wszystkie miejsca były zajęte, każdy skrawek wolnej przestrzeni był na wagę złota, a widoczność praktycznie zerowa.

Szczęśliwie znajdowaliśmy się w sekcji zarezerwowanej dla personelu, dzięki czemu miałam doskonały widok na Setha Mor-tensena czytającego urywek Paktu z Glasgow. Nie żebym szczególnie chciała znajdować się w zasięgu jego wzroku. Prawdę mówiąc, wolałabym nigdy więcej nie spojrzeć mu w oczy.

- Po pierwsze - odparłam, uważając, by nie usłyszała nas Paige - drwiłam z jego fanów i z tego, jak długo zajmuje mu napisanie nowej książki.

Doug wybałuszył na mnie oczy, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Potem powiedziałam, nie wiedząc, kim jest, oczywiście, że zostałam jego seksualną niewolnicą w zamian za wcześniejszy dostęp do jego powieści. Temat flirtowania przemilczałam. I pomyśleć tylko, że wyobrażałam sobie, iż podbudowuję ego nieśmiałego faceta! Boże, Seth Mortensen mógłby zaliczać co wieczór inną fankę, gdyby tylko chciał.

Choć nie wyglądał na takiego. W obecności widowni wydawał się tak samo zdenerwowany jak w czasie rozmowy ze mną. Dopiero kiedy zaczął czytać, wyluzował się, dając się

porwać treści. Jego głos unosił się i opadał, pełny przejęcia i cierpkiego humoru.

- Co z ciebie za fanka? - zapytał Doug. - Nie wiedziałaś, jak on wygląda?

- Na okładkach nigdy nie ma jego zdjęć! Poza tym myślałam, że jest starszy. - Teraz obstawiałam, że Seth ma około trzydziestu pięciu lat. Z pewnością wyglądał na starszego niż moje śmiertelne wcielenie, ale był dużo młodszy niż poważny pisarz pod pięćdziesiątkę, jakiego sobie zawsze wyobrażałam.

- Spójrz na to z jasnej strony, Kincaid. Udało ci się osiągnąć cel. Zauważył cię.

Stłumiłam jęk i żałośnie wsparłam czoło na ramieniu Douga. Paige odwróciła głowę i zgromiła nas wzrokiem. Nasza kierowniczka wyglądała jak zwykle olśniewająco. Czerwony kostium pięknie podkreślał czekoladowy kolor jej skóry. Pod żakietem rysowała się leciutka wypukłość ciąży. Na jej widok nie potrafiłam opanować ukłucia zazdrości i tęsknoty. Kiedy zawiadomiła nas o swojej nieplanowanej ciąży, wyśmiała całą sprawę, mówiąc:

- Wiecie, jak to jest, wpadki się zdarzają. . Ale ja nie wiedziałam, jak to jest. Jako śmiertelna kobieta rozpaczliwie próbowałam zajść w ciążę, bez skutku, aż w końcu stałam się obiektem politowania i skrywanym - choć nie dość starannie - żartów. Przemiana w sukuba ostatecznie przekreśliła moje szansę na macierzyństwo, choć wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Poświęciłam zdolność mojego ciała do dawania życia w zamian za wieczną młodość i urodę. Przehandlowałam jeden rodzaj nieśmiertelności za inny. Długie stulecia to dużo czasu na pogodzenie się z tym, co można, a czego nie można mieć, ale przypominanie sobie tego i tak boli.

Posłałam Paige skruszony uśmiech i znów poświęciłam całą swoją uwagę Sethowi. Właśnie skończył czytać i przeszedł do

pytań publiczności. Zgodnie z przewidywaniami pierwsze z nich brzmiały: „Skąd bierze pan pomysły?” i „Czy Cady i O'Neill kiedykolwiek będą razem?”

Nim odpowiedział, zerknął w moją stronę. Skuliłam się z zażenowania, przypominając sobie, jak powiedziałam, że pewnie ma ochotę nadziać się na pał, kiedy słyszy te pytania. Zwracając się do fanów, na pierwsze odpowiedział z całą powagą, a drugie zręcznie zbył.

Na wszystkie pozostałe pytania odpowiadał zwięźle, często z subtelną ironią. Nigdy nie mówił więcej, niż musiał, i zawsze dostarczał tylko tyle informacji, by zadowolić wymagania pytającego. Publiczność wyraźnie go peszyła, co było dla mnie lek-kim rozczarowaniem.

Sądząc po dynamicznym, dowcipnym stylu jego książek, spodziewałam się, że będzie mówił w taki sam sposób, jak pisze. Oczekiwałam swady, popisu krasomówstwa i inteligencji, charyzmy, która dorównywałaby mojej. Wcześniej, kiedy rozmawialiśmy, udało mu się parę uwag, ale potrzebował czasu, żeby się rozgrzać i ośmielić.

Oczywiście porównywanie go ze mną było nie fair. Seth Mortensen nie miał wrodzonego daru olśniewania innych ani setek lat praktyki. Mimo to... Nigdy nie pomyślałam, że moje ulubione książki może tworzyć niepozbierany introwertyk. To było niesprawiedliwe z mojej strony, ale nie mogłam nic na to poradzić.

- Wszystko w porządku? - zapytał głos za nami.
- Obejrzałam się i zobaczyłam Warrena, właściciela sklepu i, od czasu do czasu, mojego kochanka.
- Doskonale - odparła Paige energicznym, rzeczowym tonem. - Za jakieś piętnaście minut zacznie się podpisywanie książek.
- Świetnie.

Jego oczy omiotły od niechcenia resztę personelu, po czym zwróciły się na mnie. Nie powiedział nic, ale kiedy tak mi się przyglądał, niemal czułam na sobie jego dłonie. Nauczył się oczekiwać ode mnie regularnego seksu, a ja zwykle nie protestowałam, jako że dawało mi to szybką i pewną - choć niewielką - porcję energii życiowej. Jego moralny charakter zapobiegał wszelkim wyrzutom sumienia, jakie mogłam mieć z tego powodu.

Kiedy skończyły się pytania, wszyscy rzucili się po autografy. Konieczna była interwencja personelu. Zaoferowałam swoją pomoc, ale Doug stwierdził, że nad wszystkim panuje. Trzymałam się więc z boku, starając się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z Sethem.

- Przyjdź do mojego gabinetu, kiedy to się skończy - mruknął Warren, stając obok mnie.

Miał na sobie szyty na miarę grafitowy garnitur, w sam raz dla poważnego właściciela dużej księgarni. Mimo całego niesmaku, jaki czuję dla człowieka, który po trzydziestu wspólnych latach zdradzał żonę z dużo młodszą pracownicą, musiałam przyznać, że ma w sobie pewien fizyczny urok. Jednak po wszystkim, co dzisiaj zaszło, nie byłam w nastroju, żeby pokładać się na jego biurku po zamknięciu sklepu.

- Nie mogę - odparłam cicho, wciąż obserwując Setha podpisującego książki. - Będę zajęta.

- Nieprawda. Dzisiaj nie prowadzisz lekcji tańca.

- Nie prowadzę - przyznałam. - Ale robię coś innego.

- Niby co?

- Mam randkę - skłamałam gładko.

- Nie masz.

- Mam.

- Nigdy nie chodzisz na randki, więc nie wciskaj mi kitu.

Jedyną randkę masz ze mną, w moim gabinecie, najlepiej na ko-

lanach. - Przynął się bliżej i nachylił tak, że czułam na uchu jego ciepły oddech. -Jezu, Georgina. Wyglądasz dzisiaj tak cholernie sexy, że mógłbym cię wziąć nawet w tej chwili. Masz po-

jęcie, co ze mną robisz w tym stroju?

- Co z tobą „robisz”? Ja niczego nie „robisz”. To właśnie przez takie podejście miliony kobiet na całym świecie chodzą z zasłoniętymi twarzami. Najlepiej zwalić winę na ofiarę. Roześmiał się.

- Zabawna jesteś, wiesz? Masz pod tą spódnicą jakieś majtki?

- Kincaid? Możesz nam pomóc?

Odwrociłam się i zobaczyłam Douga, obserwującego na nas ze zmarszczonymi brwiami. Typowe. Kiedy widzi, że Warren się do mnie przystawia, nagle potrzebuje mojej pomocy. Kto powiedział, że na świecie nie ma już rycerskości? Doug jest jedną z niewielu osób, które wiedzą, co łączy mnie z Warrenem, i nie pochwała tego. I choć jego odsiecz była trochę spóźniona, z wdzięcznością skorzystałam z okazji do ucieczki. Posłałam pomoc przy sprzedaży książek, chwilowo umykając przed żądzą Warrena.

Podpisywanie książek trwało prawie dwie godziny. Kiedy wreszcie udało nam się wypchnąć całą kolejkę klientów, do zamknięcia księgarni pozostało piętnaście minut. Seth Mortensen wyglądał na zmęczonego, ale chyba był w dobrym nastroju. Mój żołądek wywinął koziołka, kiedy Paige przywołała tych z nas, którzy nie byli zajęci przy zamykaniu sklepu, by podeszli z nim porozmawiać.

Przedstawiła nas.

- Warren Lloyd, właściciel księgarni. Doug Sato, zastępca kierownika. Bruce Newton, kierownik kawiarni. Georginę Kincaid, naszego drugiego zastępcę kierownika już znasz. Seth uprzejmie kiwał głową, ściskając nam dłonie. Kiedy dotarł do mnie, odwróciłam oczy, czekając, aż załatwi sprawę i przejdzie dalej. Kiedy tak się nie stało, spięłam się z zażenowania, przygotowując się na jakiś komentarz na temat naszych wcześniejszych spotkań. Ale on powiedział tylko:

- G.K.

Zamrugałam.

- Hm?

- G.K. - powtórzył, jakby znaczenie tych liter było oczywiste. Widząc, głupawy wyraz mojej twarzy, wskazał ruchem głowy jedną z ulotek promocyjnych przygotowanych na dzisiejszą imprezę. Było na niej napisane:

*„Jeśli nie słyszeliście o Secie Mortensenie, to chyba przez ostatnich osiem lat mieszkaliście na innej planecie. Jego powieści to absolutne przeboje współczesnej literatury sensacyjnej, przy których dzieła innych autorów to dziecinne bazgroły. Znakomity pan Mortensen, mający już na koncie kilka bestsellerów, tworzy zarówno samodzielne powieści, jak i kolejne części niezwykle popularnej serii Cady i O'Neill. Pakt z Glasgow to kontynuacja przygód pary nieustraszonych detektywów, którzy rozwiązując archeologiczne zagadki, nieustannie bawią nas dowcipnymi, pełnymi erotycznych podtekstów dialogami, za które tak ich kochamy. Panowie, jeśli zastanawiacie się, gdzie podziały się dzisiaj wasze dziewczyny, to są tutaj, z egzemplarzem Paktu z Glasgow, i żałują, że nie jesteście tak pociągający jak O'Neill. (G.K.)”*

- Ty jesteś G.K. To ty napisałaś tę notkę.

Patrzył na mnie, czekając na potwierdzenie, ale ja milczałam jak zaklęta - nie byłam w stanie wydusić z siebie dowcipnej riposty, która cisnęła mi się na usta. Za bardzo się bałam. Po



wcześniejszych wpadkach obawiałam się, że znów powiem coś niewłaściwego.

Wreszcie, skonfundowany moim milczeniem, zapytał niepewnie:

- Jesteś pisarką? To jest naprawdę niezłe.
- Nie.
- A. - Minęła chwila chłodnego milczenia. - Cóż.

Niektórzy piszą powieści, inni nimi żyją.

Zabrzmiało to jak przytyk, ale ugryzłam się w język i wciąż nie odpowiadałam. Twardo trzymałam się roli zimnej zołzy, starając się zatrzeć wspomnienie mojej wcześniejszej kokieterii. Paige, choć nie rozumiała powodów napięcia między nami, wyczuła je i spróbowała rozładować.

- Georgina to jedna z twoich najwierniejszych fanek. Była zachwycona, kiedy się dowiedziała, że do nas przyjedziesz.

- Tak - dodał złośliwie Doug. - Wprost nie może się oderwać od twoich książek. Zapytaj ją, ile razy przeczytała Pakt z Glasgow.

Sporunowałam go wzrokiem, ale Seth spojrzał na mnie ze szczerym zainteresowaniem. Pewnie chciałby, żebym znów była dla niego taka miła jak przedtem, pomyślałam ze smutkiem. Teraz nie mogłam już sobie na to pozwolić.

- Ile razy?

Przełknęłam ślinę. Nie chciałam odpowiadać, ale ciężar skierowanych na mnie spojrzeń był nieznośny.

- Ani razu. Jeszcze nie skończyłam. - Wieki praktyki pozwoliły mi ukryć zażenowanie i wypowiedzieć te słowa spokojnie i pewnie.

Seth zrobił zdziwioną minę, podobnie jak pozostali. Wszyscy gapili się na mnie skołowani. Tylko Doug wiedział, w czym rzecz.

- Ani razu? - spytał Warren, marszcząc brwi. - Przecież to wyszło ponad miesiąc temu.

Doug, skończony drań, wyszczerzył zęby.

- Powiedz im resztę. Przyznaj się, ile stron czytasz dziennie.

Co za koszmar. W tej chwili zapragnęłam, żeby ziemia się rozstała i mnie pochłonęła. Nie dość, że wyszłam przed

Sethem Mortensenem na arogancką ładacznice, to jeszcze Doug zmuszał mnie do ujawnienia mojego śmiesznego nałogu.

- Pięć - powiedziałam w końcu. - Czytam tylko pięć stron dziennie.

- Dlaczego? - zapytała Paige. Najwyraźniej nigdy nie słyszała tej historyjki.

Czułam, że się czerwienię. Paige i Warren gapili się na mnie jak na kosmitkę, a Seth wciąż milczał zamyślony i zdezorientowany. Wzięłam głęboki wdech i powiedziałam pospiesznie:

- Bo... bo ta powieść jest tak cholernie dobra, i mam tylko jedną szansę, żeby przeczytać ją po raz pierwszy, więc chcę, żeby to trwało. To uczucie. Inaczej skończyłabym w jeden dzień, a to by było jak... jak zjedzenie całego pojemnika lodów. Za dużo przyjemności naraz i kończy się za szybko. W ten sposób mogę to przeciągnąć. Sprawić, żeby książka trwała dłużej. Smakować ją. Nie mam innego wyjścia, skoro wychodzą tak rzadko.

Natychmiast się zamknęłam, zdając sobie sprawę, że właśnie po raz kolejny zakwestionowałam sprawność pisarską Seta. Nic nie odpowiedział na mój monolog, a ja nie potrafiłam rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Może się zastanawiał. Znów zaczęłam błagać w duchu, żeby ziemia mnie pochłonęła i oszczędziła mi upokorzenia. Ale ziemia ani drgnęła.

Doug dodał mi otuchy uśmiechem. On uważa, że mój zwyczaj jest uroczy. Mina Paige, która najwyraźniej była innego zdania, mówiła, że równie mocno jak ja pragnie, żebym zniknęła. Odchrząknęła uprzejmie i zmieniła temat rozmowy. Ale ja nie zwracałam już uwagi na to, co kto mówi. Wiedziałam tylko, że Seth Mortensen uważa mnie pewnie za nieprzewidywalną wariatkę, i nie mogłam się doczekać końca wieczoru.

- .. Kincaid będzie chętna.

Kilkanaście minut później otrzeźwił mnie dźwięk mojego nazwiska.

- Co? - zwróciłam się do Douga, który to powiedział.

- Prawda? - zapytał.

- Na co będę chętna?

- Żeby jutro oprowadzić Setha po mieście - odparł Doug cierpliwie, jakby mówił do dziecka. - Pokażesz mu okolicę.

- Mój brat jest za bardzo zajęty - wyjaśnił Seth.

Co ma z tym wspólnego jego brat? I dlaczego Seth chce poznać okolicę?

Zająknęłam się, nie chcąc przyznać, że odleciałam na chwilę, by poużalać się nad sobą.

- Ale...

- Jeśli nie chcesz... - zaczął Seth z wahaniem.

- Oczywiście że chce. - Doug dał mi kuksańca w bok. -

No. Wyleż ze swojej dziury.

Wymieniliśmy znaczące spojrzenia, warte Jerome'a i Cartera.

- Tak, dobrze. Nie ma sprawy.

Dograliśmy szczegóły mojego spotkania z Sethem. W co ja się wpakowałam? Nie chciałam się już wyróżniać. Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby na zawsze wymazał mnie z pamięci. A wspólna wycieczka po Seattle nie wydawała się najlepszym sposobem osiągnięcia tego celu. Pewnie tylko jeszcze bardziej się wygłupię.

Tematy do rozmowy wreszcie się skończyły. Kiedy mieliśmy się już rozejść, coś sobie uświadomiłam.

- Och. Hej. Panie Mortensen. Seth.

Odwrócił się do mnie.

- Tak?

Gorączkowo szukałam słów, które ucięłyby fatalny ciąg sprzecznych sygnałów i żenujących wpadek. Niestety, jedyne co przychodziło mi do głowy to: „Skąd bierzesz pomysły?” i „Czy Cady i O'Neill będą kiedyś razem?” Odrzucając tak absurdalne myśli, po prostu podetknęłam mu swoją książkę.

- Czy mogę prosić o autograf?

Wziął książkę.

- Ee, jasne. - Pauza. - Przyniosę ci ją jutro.

Chce mnie pozbawić książki na wieczór? Czy nie dość już wycierpiałam?

- A nie możesz podpisać teraz?

Wzruszył bezradnie ramionami, jakby nie miał na to wpływu.

- Nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym napisać.

- Napisz po prostu swoje nazwisko.

- Przyniosę ją jutro - powtórzył, jakby mnie nie usłyszał, i odszedł z moim egzemplarzem Paktu z Glasgow. Oburzona poważnie zastanawiałam się, czy nie pobiec za nim i nie dać mu za to w nos, gdy Warren pociągnął mnie za łokieć.

- Georgino - powiedział towarzyskim tonem, gdy z żalością patrzyłam za moją oddalającą się książką - mimo wszystko chciałbym przedyskutować tę kwestię w moim gabinecie. O nie. Nie ma mowy. Nie miałam najmniejszej ochoty bzykać się z nim po tym koszmarnym wieczorze.

Odwrociłam się do niego powoli i pokręciłam głową.

- Mówiłam ci, że nie mogę.

- Tak, wiem. Twoja fikcyjna randka.

- Nie jest fikcyjna. Jest...

Rozejrzałam się, rozpaczliwie szukając ratunku. Choć w sekcji kulinarnej nie pojawił się żaden magiczny portal, mój wzrok napotkał oczy faceta przeglądającego pozycje w dziale obcojęzycznym. Uśmiechnął się zaciekawiony moją uwagą, a ja w mgnieniu oka podjęłam brawurową decyzję.

- ...z nim. Mam randkę z nim.

Kiwnęłam ręką na nieznanomego, przywołując go do nas. Zrobił zaskoczoną minę, ale odłożył książkę i posłusznie podszedł. Kiedy stanął obok mnie, wzięłam go pod rękę i posłałam spojrzenie, przed którym klękali królowie.

- Gotowy?

W jego oczach - pięknych, niebieskozielonych błysnęło zdziwienie. Ku mojej uldze, podjął grę i po mistrzowsku odbił piłeczkę.

- Jasne. - Objął mnie ramieniem, kładąc mi dłoń na biodrze z zaskakującym tupetem. - Byłbym wcześniej, ale utknąłem w korku.

Nieźle. Spojrzałam na Warrena.

- Pogadamy kiedy indziej, okej?

Warren patrzył to na faceta, to na mnie.

- Tak. Oczywiście. - Warren jest dosyć zaborczy wobec mnie, ale nie na tyle, by stawać w szranki z młodszym konkurentem.

Kilku moich współpracowników przyglądało się całej scenie z zaciekawieniem. Tak jak i Warren, nigdy nie słyszeli, bym umawiała się na randki. Seth Mortensen zajął się pakowaniem teczek i ani razu nie spojrzał mi w oczy, zupełnie jakby zapomniał o moim istnieniu. Nie odpowiedział nawet, kiedy na od-chodne rzuciłam „do widzenia”. Może i dobrze. Wyszedłam z moim „chłopakiem” z księgarni na chłodne, wieczorne powietrze. Deszcz przestał padać, ale chmury i blask miejskich światłał wymazały gwiazdy z nieba.

Przyglądając się mojemu towarzyszowi, trochę żałowałam, że nie jesteśmy na-prawdę umówieni na randkę.

Był wysoki - bardzo wysoki. Przynajmniej dwadzieścia pięć centymetrów wyższy niż ja z moim marnym metrem sześćdziesiąt dwa. Czarne pofalowane włosy miał zaczesane do tyłu. W mocno opalonej twarzy błyszcząły oczy w kolorze morza. Miał na sobie długi, czarny wełniany płaszcz i szalik w czarno-bordowo-zieloną szkocką kratę.

- Dzięki - powiedziałam, kiedy zatrzymaliśmy się na rogu.

- Uratował mnie pan przed... przykrą sytuacją.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wyciągnął rękę. - Jestem Roman.

- Ładne imię.

- Może być. Kojarzy mi się z romansidłami.

- Naprawdę?

- Owszem. W prawdziwym życiu nikt się tak nie nazywa.

Ale w romansach są całe tłumy Romanów. „Roman, Piąty Książę Wellington”, „Roman Straszliwy acz Elegancki i Przedziwnie

Pociągający Pirat z Mórz Południowych”.

- Ha, chyba czytałam to ostatnie. Jestem Georgina.

- Właśnie widzę. - Ruchem głowy wskazał identyfikator dla personelu, który miałam na szyi. Pewnie skorzystał z okazji,

żeby zerknąć na mój dekolt. - Czy ten strój to standardowy uniform zastępcy kierownika?

- Prawdę mówiąc, mam go już serdecznie dość - odparłam,

myśląc o reakcjach, jakie wywoływał.

- Możesz włożyć mój płaszcz. Więc dokąd pójdziemy?

- Dokąd...? Nigdzie nie pójdziemy. Tak jak mówiłam, uratowałeś mnie tylko przed drobną nieprzyjemnością.
  - Oj, to też jest coś warte - odparł. - Chusteczkę? Całusa w policzek? Numer telefonu?
  - Nie!
  - Och, nie bądź taka. Przecież byłem świetny. Nawet nie mrugnąłem, kiedy ściągnęłaś mnie tym swoim spojrzeniem. Temu nie mogłam zaprzeczyć.
  - No dobrze, 555-1200.
  - To numer księgarni.
  - Skąd wiesz?
- Wskazał szyld Emerald City za moimi plecami. Widniały na nim dane kontaktowe sklepu.
- Bo umiem czytać.
  - Rany. To daje ci potężną przewagę nad większością chłopaków, którzy do mnie startują.
- Spojrzał na mnie z nadzieją.
- Czy to znaczy, że się ze mną umówisz?
  - Nie. Doceniam twoją pomoc, ale nie chodzę na randki.
  - Więc nie uważaj tego za randkę. Uznaj to za... spotkanie umysłów.
- Jego wzrok sugerował, że ma ochotę spotkać coś więcej niż tylko mój umysł. Mimowolnie zadrżałam, choć nie było mi zimno. Prawdę mówiąc, zaczęło mi się robić denerwująco ciepło. Roman rozpiął płaszcz.
- Proszę. Trzęsiesz się z zimna. Włóż to, odwiozę cię do domu. Mam samochód za rogiem.
  - Chodzę do domu pieszo. - Jego płaszcz był ciepły od jego ciała i ładnie pachniał. Mieszaniną CK One i, hm, faceta.

Mniam.

- Więc cię odprowadzę.

Jego upór był uroczy, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że powinnam jak najszybciej zakończyć nasze tete-a-tete. Właśnie takich porządnych i fajnych facetów staram się unikać.

- Zgódź się - zaczął błagać, kiedy nie odpowiedziałam. - Nie proszę o wiele. Nie jestem świrem, nie nachodzę kobiet.

Chcę cię tylko odprowadzić do domu. Potem już nigdy mnie nie zobaczysz.

- Słuchaj, ledwie mnie znasz... - urwałam, kiedy dotarło do mnie, co powiedział. - Okej.

- Okej co?

- Okej, możesz mnie odprowadzić.

- Naprawdę? - rozpromienił się.

- Tak.

Trzy minuty później, kiedy dotarliśmy pod mój dom, uniósł ręce z udawaną rozpaczą.

- To było nie fair. Mieszkasz dwa kroki od księgarni.

- „Chcę cię tylko odprowadzić do domu”. Powiedziałeś, że nie prosisz o nic więcej.

Roman pokręcił głową.

- Nie fair. Absolutnie nie fair. Ale - spojrzał z nadzieją na moją kamienicę - teraz przynajmniej wiem, gdzie mieszkasz.

- Hej! Powiedziałeś, że nie nachodzisz kobiet.

Uśmiechnął się - prześliczne białe zęby błysnęły na tle opalonej skóry.

- Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć. - Pochylił się, pocałował mnie w rękę i puścił do mnie oczko. - Do następnego spotkania, piękna Georgino.



Odwrócił się i odszedł w ciemność. Patrzyłam za nim, wciąż czując na skórze dotyk jego ust. Co za niespodziewane - i dające do myślenia - zakończenie wieczoru.

Kiedy zniknął mi z oczu, weszłam do budynku. W połowie schodów zorientowałam się, że wciąż mam na sobie jego płaszcz. Jak miałam mu go oddać? Po chwili dotarło do mnie, że zrobił to celowo. Specjalnie pozwolił mi go zatrzymać. Nagle zrozumiałam, że jeszcze zobaczę podstępnego Księcia Romana. Raczej wcześniej niż później. Roześmiałam się i ruszyłam dalej, przystając po kilku kolejnych stopniach.

- No nie, znowu - mruknęłam poirytowana.  
Za drzwiami mojego mieszkania kłębiły się znajome fluidy. Jak zbierająca się burza. Jak brzęczenie pszczoł w powietrzu.

W moim domu byli nieśmiertelni.

Co jest, do cholery? Mam zacząć sprzedawać bilety do własnego mieszkania? Dlaczego wszyscy nagle uznali, że mogą tu sobie wchodzić pod moją nieobecność?

W tej samej chwili przemknęło mi przez myśl, że wcześniej nie wyczułam obecności Jerome'a i Cartera. Przydybali mnie bez ostrzeżenia. To było dziwne, ale byłam zbyt przejęta ich nowinami, by zwracać uwagę na cokolwiek innego.

Gniew nie pozwolił mi zastanowić się głębiej nad tą błahostką. Byłam zbyt wkurzona. Przewiesiłam torebkę przez ramię i wpadłam do mieszkania.

## Rozdział 5

Chyba trochę przesadzasz, szczególnie jak na kogoś, kto niedawno zlecił morderstwo.

Przesadzam? W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin musiałam znieść prawiczkę, wrednego wampira, oskarżenie o morderstwo i ośmieszenie w oczach ulubionego pisarza.

Naprawdę nie uważałam, że powrót do spokojnego pustego mieszkania to fanaberia. Ale zamiast spokoju znalazłam w nim trzech intruzów. Fakt, że byli moimi przyjaciółmi, nie zmienił istoty rzeczy. Żaden z nich nie rozumiał, dlaczego jestem taka wkurzona.

- Naruszacie moją prywatność! I nikogo nie zamordowałam. Dlaczego wszyscy tak uważają?

- Bo powiedziałaś, że to zrobisz - wyjaśnił Hugh. Diablik leżał wyciągnięty na sofie. Jego zrelaksowana poza mogłaby sugerować, że to ja nachodzę go w jego domu, a nie odwrotnie.

- Słyszałem od Jerome'a.

Siedzący naprzeciwko niego Cody uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. Jest wyjątkowo młody jak na wampira i zastępuje mi młodszego brata, którego nie mam.

- Nie martw się. Sam się o to prosił. Wspieramy cię na całej linii.

- Ale ja go nie...

- Czyżbym słyszał naszą znakomitą gospodynię? - zawołał

Peter z łazienki. Po chwili zjawił się w korytarzu. - Jak na przebiegłą zbrodniarkę wyglądasz całkiem sexy.

- Nie jestem żadną... - Słowa zastygły mi na ustach, kiedy go zobaczyłam. Na mgnienie wszelkie myśli o morderstwie i najściu we własnym mieszkaniu wyparowały mi z głowy. – Na miłość boską, Peter, co ty zrobiłeś z włosami? Trochę wstydliwie przejechał dłonią po sterczących centymetrowych kolcach pokrywających jego czaszkę. Nie wyobrażałam sobie nawet, jakiej ilości żelu musiał użyć, by tak pogwałcić prawa fizyki. Co gorsza, czubki kolców były białe i ostro odcinały się od jego ciemnej nasady włosów.

- Koleżanka z pracy mi pomogła.

- Musi cię nienawidzić.

Peter spochmurniał.

- Jesteś najbardziej niemiłym sukubem, jakiego znam.

- Moim zdaniem te kolce, eee, podkreślają kształt twoich

brwi - stwierdził dyplomatycznie Cody. - Trzeba się tylko...przyzwyczaić.

Pokręciłam głową. Lubię Petera i Cody'ego. Są jedynymi wampirami, z jakimi się kiedykolwiek przyjaźniłam, co nie zmienia faktu, że bywają męczący. Zmaganie się z przeróżnymi nerwicami Petera i nieuleczalnym optymizmem Cody'ego to materiał na serial komediowy.

- Długo by się trzeba przyzwyczajać - mruknęłam, przyciągając sobie stołek barowy z kuchni.

- I kto to mówi - odgryzł się Peter. - Przypomnij sobie swoje skrzydła i pejcz.

Zaniemówiłam. Spojrzałam z niedowierzaniem na Hugh.

Diablik pospiesznie zamknął katalog Victoria's Secret, który kartkował do niechcenia.

- Georgino...

- Obiecałeś, że nikomu nie powiesz! Zamknąłeś usta na kłódkę!

- No, eee... tak mi się jakoś wysnęło.
  - Naprawdę miałaś rogi? - zapytał Peter.
  - Dobra, dość tego. Wynoście się, wszyscy. I to już. - Wskazałam drzwi. - Za dużo już dzisiaj przeżyłam nieprzyjemności, żeby znosić jeszcze i was.
  - Nie powiedziałaś nam nawet, jak wynajęłaś zabójcę Duane'a. - Szczeniące oczy Cody'ego patrzyły na mnie błagalnie. - Umieramy z ciekawości.
  - Tak naprawdę to umarł Duane, i to nie z ciekawości - mruknął Peter półgłosem.
  - Uważaj, co mówisz - ostrzegł Hugh. - Możesz być następny.
- Niewiele brakowało, żeby z uszu buchnął mi dym.
- Powtarzam po raz ostatni: nie zabiłam Duane'a! Jerome mi wierzy, okej? Cody zrobił zamyśloną minę.
  - Ale przecież mu groziłaś...
  - Tak. I o ile pamiętam, to samo zrobił każdy z was w tym czy innym momencie. To zbieg okoliczności. Nie mam z tym nic wspólnego i... - Nagle coś mi zaświtało. - Dlaczego wszyscy powtarzacie: „zleciłaś morderstwo” i „wynajęłaś zabójcę”? Dlaczego nie mówicie, że sama to zrobiłam?
  - Zaraz... przed chwilą powiedziałaś, że tego nie zrobiłaś.
- Peter przewrócił oczami nad głupotą Cody'ego, po czym zwrócił się do mnie z poważną miną. O ile jakkolwiek mina mogła być poważna w zestawieniu z taką fryzurą.
- Bo nie mogłaś tego zrobić.
  - A już na pewno nie w tych butach. - Hugh ruchem głowy wskazał moje szpilki.
  - Doceniam wasz totalny brak wiary w moje możliwości,

ale mogłam go przecież dopaść z zaskoczenia? Hipotetycznie, oczywiście.

Peter się uśmiechnął.

- To by nie miało znaczenia. Niżsi nieśmiertelni nie mogą się nawzajem zabijać. - Widząc moje zdumione spojrzenie, do-

dał: - Jak możesz o tym nie wiedzieć, żyjąc tak długo?

W jego słowach wyczułam ironię. Między mną a Peterem toczy się ciągły spór o to, które z nas jest starsze w naszym małym kółku byłych śmiertelników. Żadne z nas nie chce się przyznać do wieku, więc jak dotąd nie ustaliliśmy, kto ma więcej stuleci. Któregoś wieczoru, po butelce tequila, zaczęliśmy grać w „Pamiętasz, kiedy...”, ale dotarliśmy zaledwie do rewolucji przemysłowej, zanim padliśmy nieprzytomni.

- Nikt nigdy nie próbował mnie zabić... Więc twierdzisz, że te wszystkie terytorialne wojny między wami wampirami są niegroźne?

- No, nie takie znowu niegroźne - odparł. - Zadajemy sobie dość poważne rany, ale faktem jest, że nikt nie ginie. Przy tylu utarczkach zostałoby nas bardzo niewiele, gdybyśmy mogli się zabijać.

Milczałam przez chwilę, przetrawiając tę informację.

- Więc jak... - Nagle przypomniałam sobie, co powiedział Jerome. - Zabijają was łowcy wampirów. Peter skinął głową.

- Co to za jedni? - zapytałam. - Jerome nie chciał mi nic powiedzieć. Hugh był równie zaciekawiony.

- Łowcy wampirów? Jak ta dziewczyna z telewizji? Ta ostra blondynka?

- To będzie długa noc. - Peter obrzucił nas karcącym spojrzeniem. - Musicie się doksztalić, i to poważnie. Sto jeden pytań o wampirach. Georgino, dasz nam coś do picia? Machnęłam niecierpliwie ręką w stronę kuchni.

- Bierz, co chcesz. Chcę posłuchać o łowcach wampirów.

Peter wyszedł z salonu i krzyknął, kiedy potknął się o jedną ze stert książek wznoszących się na podłodze. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby kupić nowy regał. Krzywiąc się z dezaprobatą, obejrzał wnętrze mojej prawie pustej lodówki

- Naprawdę powinnaś popracować nad sztuką przyjmowania gości.

- Peter...

- Bo ciągle słyszę opowieści o tym drugim sukubie... jak ona ma na imię? Wiesz, ta z Missouli.

- Donna - podsunął Hugh.

- Właśnie, Donna. Podobno urządza świetne imprezy. Zamawia catering. Zaprasza wszystkich.

- Chłopaki, jeśli macie ochotę poimprezować z całą dziesiątką nieśmiertelnych w Montanie, to proszę bardzo, przeprowadźcie się tam. A tymczasem przestańcie marnować mój czas.

Ignorując mnie, Peter obejrzał goździki, które kupiłam sobie wczoraj wieczorem. Stały w wazonie koło zlewu.

- Kto ci przysłał kwiaty?

- Nikt.

- Sama sobie przysłałaś? - zapytał Cody ze współczuciem.

- Nie, po prostu kupiłam. To nie to samo. Nie przy... słuchajcie. Dlaczego rozmawiamy o kwiatkach, kiedy po ulicach rzekomo grasuje łowca wampirów? Czy wy dwaj nie jesteście w niebezpieczeństwie?

Peter zdecydował się na wodę i rzucił po piwie Hugh i Cody'emu.

- Nie.

- Nie? - Cody wydawał się zaskoczony. Jego krótki żywot jako wampira czynił go praktycznie dzieckiem w porównaniu z resztą z nas. Peter uczył go fachu.

- Łowcy wampirów to po prostu wyjątkowi śmiertelnicy, którzy mają wrodzoną zdolność do zadawania wampirom poważnych ran. Zwykli śmiertelnicy nie mogą nas tknąć. Nie pytajcie mnie, jak to wszystko działa ani dlaczego. O ile wiem, nie ma tu sztywnych reguł. Większość tak zwanych łowców wampirów idzie przez życie, nie zdając sobie nawet sprawy, że posiada ten talent. Ci, którzy o tym wiedzą, czasami decydują się zająć tym zawodowo. Wyskakują gdzieś od czasu do czasu, załatwiają jakiegoś wampira i ogólnie są kłopotliwi, dopóki ktoś pomysłowy się ich nie pozbędzie.

- Kłopotliwi? - zdziwił się Cody. - Zobacz, co zrobili z Duane'em. Naprawdę nie boisz się, że ten ktoś dopadnie i ciebie? Nas?

- Nie - odparł Peter. - Nie boję się.

Byłam równie skołowana jak Cody.

- Dlaczego nie?

- Bo ktokolwiek to jest, jest kompletnym amatorem. – Peter spojrzał na Hugh i na mnie. - Co mówił wam Jerome o śmierci Duane'a?

Uznałam, że i ja potrzebuję drinka. Zrobiłam nalot na barek w kuchni i zmieszałam sobie wódkę z sokiem z limonki.

- Chciał wiedzieć, czy to moja sprawka.

Peter machnął lekceważąco ręką.

- Nie, chodzi mi o to, jak zginął.

Hugh zmarszczył brwi, próbując nadążyć.

- Powiedział, że Duane'a znaleziono martwego... z kołkiem w sercu.

- Sami widzicie.

Peter spojrzął na nas wyczekująco. My patrzyliśmy na niego, nic nie rozumiejąc.

- Nie kumam - powiedziałam w końcu.

Peter westchnął ze zniechęconą miną.

- Jeśli jesteś śmiertelnikiem, który posiada cudowną zdolność uśmiercania wampirów, to, do cholery, nie ma znaczenia, jak to zrobisz. Możesz użyć pistoletu, noża, świecznika, czegokolwiek. Kołek w sercu to przesąd. Jeśli normalny śmiertelnik zrobi coś takiego wampirowi, w niczym mu nie zaszkodzi, co najwyżej porządnie go wkurzy. Słyszymy tylko o przypadkach, kiedy taką akcją wykona łowca, więc kołki otacza legenda. Tak samo jest z jajkami w czasie zrównania dnia z nocą.

- Co? - Hugh zgłupiał do reszty.

Potałam oczy.

- To przerażające, ale niestety wiem, o czym on mówi. Legenda głosi, że jajko da się postawić pionowo w czasie zrównania dnia z nocą. Czasem to się udaje, czasem nie, ale w rzeczywistości takie same wyniki uzyskałbyś każdego innego dnia w roku. Ale ludzie próbują tego tylko w czasie zrównania, więc tylko to zauważają. - Spojrzałam na Petera. - Chodzi ci o to, że łowca wampirów może zabić wampira w dowolny sposób, ale ponieważ wszyscy zwracają uwagę tylko na kołek, stał się on u znaną metodą... odbierania nieśmiertelności.

- W ludzkim pojęciu - sprostował Peter. - Bo tak naprawdę cholernie trudno wbić komuś kołek w serce. O wiele łatwiej byłoby wpakować mu kulkę.

- Więc uważasz, że ten łowca jest amatorem, bo... – Cody przerwał najwidoczniej nieprzekonany porównaniem do jajka.



- Bo żaden łowca wampirów wart złamanego szeląga nie użyłby kołka. Ta osoba to kompletny żółtodziób.
- Po pierwsze - poradziłam Peterowi - nie mów „wart złamanego szeląga”, to brzmi archaicznie. Po drugie, może ten łowca jest tradycjonalistą? A nawet jeśli jest żółtodziobem, to chyba bez znaczenia, skoro udało mu się załatwić Duane'a? Peter wzruszył ramionami.
- Duane był aroganckim dupkiem. Wampiry potrafią z bliska wyczuć obecność łowcy. Biorąc pod uwagę, że ten jest niedoświadczony, Duane nie powinien dać się zabić. Był głupi. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. Duane rzeczywiście był aroganckim dupkiem, ale głupi nie był, o nie. Ktoś, kto żyje tak długo jak my i tyle w życiu widział, siłą rzeczy doskonalił swoje umiejętności przetrwania. Można powiedzieć, że szybko dorastamy.  
Nagle moje myśli zajęło inne pytanie.
- Czy łowcy mogą skrzywdzić innych nieśmiertelnych, czy tylko wampiry?
- O ile wiem, tylko wampiry.  
Odpowiedź Petera jakoś nie pasowała mi do tego, co mówił Jerome. Nie potrafiłam sprecyzować, co dokładnie się nie zgadza, więc zatrzymałam swoje wątpliwości dla siebie. Chłopcy gadali dalej. Temat łowcy wampirów stał się nudny, kiedy ustalili już - ku mojemu rozczarowaniu - że nie ja go wynajęłam. Poza tym Cody i Hugh chętnie przystali na teorię Petera, że łowca amator nie stanowi prawdziwego zagrożenia.
- Uważajcie na siebie - ostrzegłam Petera i Cody'ego, kiedy zbierali się do wyjścia. Żółtodziób czy nie żółtodziób, jednak zabił Duane'a.
- Tak, mamusiu - odparł Peter znudzonym tonem, wkładając kurtkę.  
Spojrzałam ostro na Cody'ego, który zaczął się niespokojnie wiercić. Było nim łatwiej manipulować niż jego mentorem.

- Będę uważał, Georgino.
  - Zadzwońcie do mnie, gdyby działo się coś dziwnego.
- Cody kiwnął głową, na co Peter przewrócił oczami.
- Chodź już - powiedział starszy wampir. - Poszukajmy sobie jakiejś kolacji.
- Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Hasło „poszukajmy kolacji” w ustach wampira przeraziłoby każdego, ale nie mnie. Ja wiedziałam, co jest grane. Peter i Cody nie cierpieli polować na ludzi. Robili to okazjonalnie, a i wtedy rzadko zabijali. Żywili się głównie nietypowymi zakupami od rzeźnika. Podobnie jak ja, niezbyt się przykładali do swojej piekielnej roboty.
- Hugh - rzuciłam ostro, kiedy diablik ruszył za wampirami. - Na słówko.
- Wampiry poszły mu od progu współczujące spojrzenia. Hugh skrzywił się, zamykając drzwi i odwracając się do mnie.
- Dałam ci ten klucz na wypadek nagłych sytuacji...
  - Zamordowanie wampira to nie nagła sytuacja?
  - Mówię poważnie! Wystarczy, że Jerome i Carter teleportowali się tutaj bez uprzedzenia. A potem ty uznałeś, że możesz otwierać mój dom przed Bogiem i ludźmi.
  - Zdaje się, że ani Bóg, ani ludzie nie byli dzisiaj zaproszeni.
  - A na dodatek powiedziałaś im, że przebrałam się za demonicę...
  - Och, daj spokój - zaprotestował. - To był czad. Nie mogłem zatrzymać tego tylko dla siebie. Poza tym to nasi przyjaciele. Co w tym złego?
  - To, że obiecałeś, że nie powiesz - warknęłam. - Czy tak zachowuje się przyjaciel? I to po tym, jak ci wczoraj pomogłam?

- Chryste, Georgino. Przepraszam. Nie wiedziałem, że tak cię to wkurzy.  
Przeczesałam włosy palcami.
- Nie chodzi tylko o to. Ja... no nie wiem. Ta cała historia z Duane'em. Myślałam o tym, co powiedział Jerome... Hugh czekał, dając mi czas na zebranie myśli. Czuję, że chcę powiedzieć coś ważnego. Odtwarzałam w myślach wydarzenia dzisiejszego wieczoru, przyglądając się potężnej postaci diablika. Czasami jest równie durny jak wampiry. Nie wiedziałam, czy mogę z nim rozmawiać poważnie.
- Hugh... po czym poznać, że demon kłamie?  
Milczał przez chwilę, aż w końcu roześmiał się cicho, rozpoznając stary dowcip.
- Po tym, że porusza ustami. - Oparliśmy się o kuchenny blat. Hugh patrzył na mnie z góry. - A co? Myślisz, że Jerome nas okłamuje?
- Tak. - Kolejna chwila milczenia.
- No to słucham.
- Jerome kazał mi uważać, powiedział, że łowca może mnie pomylić z wampirem.
- Mnie powiedział to samo.
- Ale Peter mówi, że łowcy wampirów nie mogą nas zabić.
- Wbił ci ktoś kiedyś kołek w serce? Może cię to nie zabije, ale na pewno nie będzie przyjemne.
- Racja. Ale Jerome twierdził, że łowcy odnajdują inne wampiry, śledząc ofiarę. To bzdura. Cody i Peter to wyjątki. Wiesz, jaka jest większość wampirów. Nie zadają się z innymi wampirami. Śledzenie jednego raczej nie doprowadzi do drugiego.
- No tak, ale ten łowca to żółtodziób.
- Jerome tego nie powiedział. To teoria Petera wysnuta z historii z kołkiem.

Hugh mruknął twierdząco.

- Okej. Więc twoim zdaniem, co jest grane?
- Nie wiem. Wiem tylko, że te wersje są sprzeczne. I że we wszystkim bierze udział Carter, jakby był w jakiejś znowie z Jerome'em. Dlaczego Cartera to obchodzi? Jego strona powinna być zadowolona, że ktoś eliminuje naszych.
- To anioł. Może musi kochać wszystkich, nawet potępionych? Szczególnie, kiedy owi potępieni są jego kumplami od kieliszka.
- No nie wiem. Oni nie mówią nam wszystkiego... a Jerome bardzo nalegał, żebym uważała. Wygląda na to, że i ciebie ostrzegął.

Hugh milczał przez chwilę, aż w końcu powiedział:

- Jesteś ładną dziewczyną, Georgino.
- Ostupałam. Ot i koniec poważnej rozmowy.
- Wypiłeś coś więcej niż piwo?
  - Przez co zapominam - ciągnął, ignorując moje pytanie - że jesteś też mądra. Za dużo mam do czynienia z płytkimi kobietami, które obchodzi wyłącznie własny wygląd, z tymi wszystkimi gospodyniami z przedmieść, które chcą mieć gładszą skórę i większe piersi... Łatwo ulec stereotypom i zapomnieć, że oprócz ładnej buzi masz też mózg. Widzisz sprawę inaczej niż reszta z nas... chyba trochę jaśniej. Masz szerszą perspektywę. Może to kwestia wieku... bez urazy.
  - Naprawdę za dużo wypijeś. Poza tym nie jestem dość mądra, żeby wykombinować, co ukrywa przed nami Jerome. Może tylko to, że... myślisz, że istnieją łowcy sukubów czy diablików?
  - A słyszałaś kiedyś o kimś takim?
  - Nie.
  - Ja też nie.
  - A o łowcach wampirów słyszałem, i to nie tylko w popkulturze. - Hugh sięgnął po papierosy, ale rozmyślił się,

przypominając sobie, że nie lubię, kiedy ktoś pali w moim mieszkaniu. - Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, żeby w najbliższym

czasie ktoś miał ci wbić kołek w serce.

- Ale zgadzasz się, że Jerome nie mówi nam prawdy?
- A czego innego się po nim spodziewałaś?
- Chyba... chyba pójdę odwiedzić Erika.
- To on jeszcze żyje?
- Ostatnio żył.
- Dobry pomysł. Staruszek wie o nas więcej niż my sami.

- Powiem ci, czego się dowiedziałam.

- Nie. Chyba wolę pozostać w błogiej niewiedzy.

- Jak chcesz. Dokąd się teraz wybierasz?

- Mam trochę roboty po godzinach z jedną z nowych sekretarek, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. - Wyszczrzył zęby w iście diabelskim uśmiechu. - Dwadzieścia lat, piersi które nie słuchają grawitacji. Coś o tym wiem, pomogłem je zainstalować.

Mimo ponurej atmosfery nie mogłam powstrzymać śmiechu.

Hugh, podobnie jak reszta z nas, kiedy nie sieje zła i chaosu, ma normalną pracę. W jego przypadku granica między jednym a drugim zajęciem jest dość płynna: jest chirurgiem plastycznym.

- Nie mogę z tym rywalizować.

- Nieprawda. Twoich piersi nauka nie jest w stanie powielić.

- Pochwała z ust prawdziwego znawcy. Baw się dobrze.

- Zamierzam. Uważaj na siebie, skarbie.

- Ty też.

Cmoknął mnie w czoło i wyszedł. Stałam w kuchni, nareszcie sama, gapiąc się na drzwi i zastanawiając, co to wszystko znaczy. Ostrzeżenie Jerome'a było prawdopodobnie na

wyrość, uznałam w końcu. Jak powiedział Hugh, nikt nigdy nie słyszał o łowcach diablików i sukubów.

Mimo to przed pójściem spać zablokowałam zamek i założyłam łańcuch na drzwi. Mogę być nieśmiertelna, ale na pewno nie jestem lekkomyślna. Przynajmniej w ważnych sprawach.

## Rozdział 6

Następnego ranka obudziłam się z mocnym postanowieniem odwiedzenia Erika i dowiedzenia się prawdy o łowcach wampirów. Jednak kiedy szorowałam zęby, przypominałam sobie o innym kryzysie.

Seth Mortensen.

Dokończyłam toaletę, głośno przeklinając, czym zasłużyłam sobie na karcące spojrzenie Aubrey. Nie sposób było stwierdzić, jak długo potrwa wycieczka z Sethem. Mogło się okazać, że Erika odwiedzę dopiero jutro. Tymczasem łowca wampirów, czy kto to tam był, mógł znów zaatakować.

Wyruszyłam do Emerald City ubrana w najmniej atrakcyjną kreację, jaką zdołałam skomponować: dzinsy i golf. Włosy ściągnęłam w kucyk. Kiedy czekałam na Seta w kawiarni, podeszła do mnie Paige cała w skowronkach.

- Kiedy będziecie w mieście, pokaż mu Forster's i Puget Sound - szepnęła konspiracyjnie.

Wciąż niedobudzona pociągnęłam tyk mokki, którą przygotował dla mnie Bruce, próbując zrozumieć logikę jej propozycji. Księgarnie Forster's i Puget Sound to nasi konkurenci, choć niezbyt groźni.

- Przecież to straszne nory.

- Właśnie. - Wyszczrzyła równe białe zęby. - Przekona się, że nasza kawiarnia to najlepsze miejsce do pisania.

Przyglądałam jej się, kompletnie nie rozumiejąc, o czym mówi. Może nadal byłam wzburzona tą historią z Duane'em. Nie codziennie ktoś z naszych traci nieśmiertelność.

- Ale... dlaczego miałby pisać tutaj?

- Bo lubi brać ze sobą laptop i pisać w kawiarniach.

- No tak, ale mieszka w Chicago.

Paige pokręciła głową.

- Już nie. Gdzieś ty była wczoraj wieczorem?

Przeprowadza się tutaj, żeby być bliżej rodziny.

Przypomniałam sobie, że Seth wspomniał coś o bracie, ale byłam wtedy zbyt zażenowana, żeby zwrócić na to uwagę.

- Kiedy?

- O ile wiem teraz. Dlatego tu był ostatni przystanek jego trasy promocyjnej. Na razie mieszka u brata, ale planuje kupno mieszkania. - Nachyliła się bliżej, a jej oczy błysnęły drapieżnie. - Wyobraź sobie, jak poprawiłby się nasz wizerunek, gdyby regularnie przesiadywał u nas sławny pisarz.

Szczerze mówiąc, niewiele mnie w tej chwili obchodziło, gdzie Seth będzie pisał. Najbardziej przerażał mnie fakt, że nie wybiera się w najbliższym czasie do innej strefy czasowej, gdzie mógłby o mnie zapomnieć, tak aby każde z nas dalej żyło spokojnie własnym życiem. A tak? Mogłam na niego wpadać codziennie. I to dosłownie, gdyby życzenie Paige się spełniło.

- Nie sądzisz, że jeśli wszyscy będą wiedzieli, gdzie jest, może na tym ucierpieć jego praca? Wiesz, jacy namolni potrafią być fani.

- Będziemy kontrolować sytuację. Do maksimum wykorzystamy jego obecność u nas, jednocześnie szanując jego prywatność. Uwaga, idzie.

Upiłam parę łyków mokki, wciąż zdumiona sposobem funkcjonowania mózgu Paige. Potrafi znaleźć okazję do reklamy, jaka mnie nawet nie przyszłaby do głowy. Warren zainwestował w Emerald City kapitał, ale to jej marketingowy geniusz sprawił, że księgarnia odniosła sukces.

- Dzień dobry - powiedział Seth, podchodząc do stolika. Miał na sobie dżinsy, koszulkę z Def Leppard i brązową sztruksową marynarkę. Jego fryzura wskazywała, że się dziś rano nie cesał.

Paige spojrzała na mnie wymownie, więc powiedziałam z westchnieniem:

- No to chodźmy.



Seth w milczeniu wyszedł za mną na dwór. Krępująca cisza tworzyła między nami niewidzialny mur. On nie patrzył na mnie, ja nie patrzyłam na niego. Dopiero kiedy stanęliśmy na Queen Anne Avenue i zdałam sobie sprawę, że nie mam żadnego planu, siłą rzeczy musiałam się odezwać.

- Od czego by tu zacząć? Seattle, w odróżnieniu od Galii, nie dzieli się tylko na trzy części.

Zażartowałam bardziej na własny użytek, ale Seth roześmiał się.

- Seattle peninsula est - stwierdził, podłapując temat.

- Niezupełnie. Poza tym to Będą Czcigodny, a nie Cezar.

- Wiem. Ale słabo znam łacinę. - Posłał mi dziwny, speszony

uśmiech, który najwyraźniej jest jego znakiem firmowym. - A ty?

- Trochę. - Ciekawe, jak by zareagował, gdybym mu powiedziała o mojej płynnej znajomości łacińskich dialektów z różnych okresów imperium rzymskiego. Widocznie zinterpretował moją wymijającą odpowiedź jako brak zainteresowania, bo odwrócił oczy i znów zamilkł. - Chcesz obejrzeć coś konkretnego?

- Właściwie .nie.

Właściwie nie. Okej. Cóż. Im prędzej zaczniemy, tym szybciej to się skończy i będę mogła odwiedzić Erika.

- Chodź.

Kiedy zaczęliśmy jeździć po mieście, miałam nadzieję, że rozmowa wywiąże się sama mimo wczorajszego nieudanego startu. Jednak wkrótce stało się jasne, że Seth nie jest zainteresowany konwersacją. Przypomniałam sobie jego nerwowość podczas wczorajszego spotkania z publicznością, a nawet w rozmowie z personelem. Zrozumiałam, że facet cierpi na poważną fobię społeczną, choć, kiedy wcześniej flirtowaliśmy, dzielnie próbował ją przezwyciężyć. Kiedy

zaczęłam wysyłać odpychające sygnały, pewnie nieźle go wystraszyłam i zniweczyłam postępy, jakie poczynił. Brawo, Georgino.

Może gdybym zdołała poruszyć interesujące go tematy, wykrzesałby trochę pewności siebie i znów poczulibyśmy się swobodnie w swoim towarzystwie - oczywiście na płaszczyźnie platonicznej. Spróbowałam przypomnieć sobie głębokie pytania, jakie przygotowałam na wczorajszy wieczór, ale bez skutku. Pozostałam więc przy bardziej przyziemnych sprawach.

- Więc twój brat tu mieszka?
- Tak.
- W której dzielnicy?
- Lakę Forest Park.
- Ładna okolica. Tam będziesz szukał mieszkania?
- Raczej nie.
- Masz na oku jakąś inną dzielnicę?
- Nie bardzo.

Okej, w ten sposób do niczego nie dojdziemy, pomyślałam. Poirytowana, że mistrz słowa pisanego jest tak niewygodany na żywo, postanowiłam całkiem wyłączyć go z rozmowy.

Próby wciągnięcia go w dialog były zbyt wyczerpujące.

Zamiast te-)', <> rozpoczęłam długi monolog, opowiadając mu o popularnych miejscach: Pioneer Square, Pike Place Market, Fremont Troll pokazałam mu nawet co podlejszych przedstawicieli konkurencji, zgodnie z instrukcją Paige. Space Needle skwitowałam krótkim skinieniem głowy. Pewnie widział ją z okien Emerald City, i gdyby chciał się zabawić w turystę, mógł zapłacić kosmiczną wejściówkę, żeby zwiedzić ją dokładnie.

Na lunch pojechaliśmy do U District\*. Nie protestując, wszedł za mną do mojej ulubionej wietnamskiej knajpki. Zrobiłam sobie przerwę od gadania, więc w milczeniu wcinaliśmy kluski,

obserwując przez okno ruchliwą ulicę pełną studentów i samochodów.

- Fajne miejsce.

Było to najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział od jakiegoś czasu. Niemal podskoczyłam, słysząc jego głos.

- Tak. Restauracja może nie wygląda okazałe, ale dają tu cholernie dobre pho.

- Nie, chodzi mi o to, co jest za oknem. O okolicę. Wskazał ręką ulicę. Spojrzałam na University Way i z początku nie zobaczyłam nic ciekawego, prócz niezadowolonych studentów taszczących plecaki. Kiedy jednak rozejrzałam się dokładniej, dostrzegłam inne etniczne knajpki, kawiarnie, antykwariaty. Była to eklektyczna mieszanka, i choć dzielnica była trochę zaniedbana, z pewnością miała wiele do zaoferowania intelektualistom dziwakom, a nawet sławnym introwertycznym pisarzom.

Zerknęłam na Setha, który spojrzał na mnie wyczekująco. Był to nasz pierwszy kontakt wzrokowy tego dnia.

- Są tu jakieś miejsca, gdzie można zamieszkać?

- Jasne. Jeśli chcesz dzielić dach z bandą osiemnastolatków. - Umilkłam, myśląc, że z męskiego punktu widzenia mógł to być niezły pomysł, zwłaszcza jeśli osiemnastolatki byłyby płci żeńskiej. - Jeśli chcesz znaleźć w tej okolicy coś sensownego, będzie cię to kosztować. Ale dzięki Cady i O'Neillowi to chyba nie problem? Możemy pojeździć i poszukać, jeśli masz ochoty.

- Może. Ale najpierw chciałbym pójść tam. - Wskazał jeden z antykwariatów po drugiej stronie ulicy. Zerknęłam na mnie niepewnie. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Chodźmy.

Uwielbiam antykwariaty, ale wchodząc do nich, zawsze czuję się trochę winna. Jakbym oszukiwała. W końcu na co dzień pracuje z czyściutkimi, nowiutkimi książkami. Mogę dostać

reprint praktycznie każdego tytułu, prosto z drukarni. Czerpanie zmysłowej przyjemności z przebywania wśród starych książek, z zapachu skruszałego papieru, pleśni i kurzu wydaje mi się nie na miejscu. Wiekowe książki, te skarbnice wiedzy, zawsze przypominają mi dawno minione czasy i miejsca, które kiedyś widziałam, wywołując falę nostalgii. Te emocje sprawiają, że czuję się zarazem stara i młoda. Książki się starzeją. Ja nie.

Kiedy weszliśmy, szara pręgowana kotka przeciągnęła się i zamrugowała na nas ze swojego miejsca na ladzie. Pogłaskałam ją i powiedziałam „dzień dobry” staruszkowi obok niej. Mężczyzna uniósł głowę znad sterty książek, które porządkował, uśmiechnął się i wrócił do pracy. Seth rozejrzał się po wysokich regałach z błogim wyrazem twarzy i natychmiast zniknął wśród nich.

Postanowiłam przejrzeć książki kucharskie. Wychowałam się, przygotowując jedzenie bez korzystania z mikrofalówek i robotów kuchennych, ale wreszcie uznałam, że pora poszerzyć moją wiedzę kulinarną o współczesne nowinki. Pół godziny później zdecydowałam się na grecką książkę kucharską z mnóstwem kolorowych zdjęć, po czym poszłam szukać Setha. Znalazłam go w dziale dziecięcym, klęczącego obok stosiku książek i całkowicie nimi pochłoniętego. Kucnęłam przy nim.

- Co oglądasz?

Wzdrygnął się lekko zaskoczony moją bliskością. Oderwał oczy od swojego znaleziska i spojrzał na mnie. Z bliska dostrzegłam, że jego oczy są raczej złotobursztynowe niż brązowe, a rzęsy Ink długie, że mogła mu ich pozazdrościć niejedna dziewczyna.

- Księgi baśni Andrew Langa. - Uniósł książkę w miękkiej okładce zatytułowaną Niebieska księga baśni. Na stosiku obok niego leżała Pomarańczowa księga baśni. Jak się domyślałam,

reszta też należała do tego kolorowego zestawu. Seth promieniał zachwytem, zupełnie zapominając o swojej nieśmiałości.

- Wznowienia z lat sześćdziesiątych. Nie są tak cenne, jak wydania XIX-wieczne, ale takie miał mój tata, i z takich nam czytał. Ale miał tylko dwie, a tu jest cała seria. Zamierzam je kupić i czytać moim bratanicom.

Przerzucając strony Czerwonej księgi baśni, rozpoznałam tytuły wielu znanych mi historii; nawet nie wiedziałam, że wciąż są czytane. Odwróciłam książkę i zajrzałam pod obwolotę, ale nie znalazłam ceny.

- Ile kosztują?

Seth wskazał małą nalepkę na półce, z której je wziął.

- Czy to rozsądna cena? - zapytałam.

- Trochę wysoka, ale kupienie całego kompletu za jednym zamachem jest jej warte.

- Nie ma mowy. - Wzięłam część książek i wstałam z podłogi. - Dogadamy się ze staruszką.

- Niby jak?

Uśmiechnęłam się.

- Za pomocą słów.

Seth miał niepewną minę, ale sprzedawca okazał się łatwym celem. Większość mężczyzn wcześniej czy później kapituluje przed atrakcyjną charyzmatyczną kobietą, a co dopiero przed sukubem, który wciąż promieniuje życiową energią. Poza tym umiejętność targowania się wyssałam z mlekiem matki. Pan za ladą nie miał szans. Kiedy z nim skończyłam, z radością obniżył cenę o dwadzieścia pięć procent i dorzucił moją książkę kucharską gratis.

W drodze do samochodu Seth nie przestawał spoglądać na mnie ze zdumieniem znad naręczna książek.

- Jak to zrobiłaś? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Lata praktyki. - Wymijająca odpowiedź warta jego półstówek.
- Dzięki. Chciałbym się jakoś odwdziżyć.
- Nie przejmuj się... a właściwie możesz. Wpadniesz ze mną w jedno miejsce? To też księgarnia, ale przerażająca.
- Jak to: przerażająca?

Pięć minut później jechaliśmy odwiedzić mojego starego znajomego, Erika Lancastera. Erik mieszka w Seattle o wiele dłużej niż ja i jest osobistością znaną niemal wszystkim nieśmiertelnym z okolicy. Dzięki swojej ogromnej wiedzy na temat mitologii i folkloru jest nieocenionym źródłem informacji o zjawiskach nadprzyrodzonych. Jeśli nawet zauważył, że niektórzy z jego najlepszych klientów nigdy się nie starzeją, rozsądnie powstrzymywał się od komentowania tego faktu.

Niestety, spotkanie z Erikiem wymagało wizyty w księgarni Krystal Starz, która jest krzyżącym przykładem wypaczenia filozofii New Age. Nie wątpię, że jej założyciele mieli dobre intencje, kiedy otwierali interes w latach osiemdziesiątych, ale teraz sprzedaje się tu masę kolorowego komercyjnego szajsu, którego ceny są odwrotnie proporcjonalne do mistycznej wartości. Erik, moim zdaniem, jest jedynym pracownikiem posiadającym rzeczywistą wiedzę na temat ezoteryki. Najlepsi z jego współpracowników mają wszystko w nosie, najgorsi są fanatykami albo zwykłymi oszustami.

Kiedy wjechałam na parking księgarni, zdumiała mnie liczba samochodów. Tytu ludzi w Emerald City oznacza zwykle spotkanie autorskie, ale takich imprez nie organizuje się przecież w środku dnia.

Kiedy weszliśmy, spowiła nas gęsta chmura dymu z kadzidełek. Seth wydawał się równie zaskoczony jak ja mnóstwem klientów i bodźców.

- To może chwilę potrwać - powiedziałam mu. - Rozejrzyj się. Chociaż nie ma tu wielu rzeczy wartych oglądania.

Wmieszał się między ludzi, a ja zwróciłam się do inteligentnie wyglądającego młodzieńca, który stał przy drzwiach i kierował tłumem.

- Przyszła pani na zgromadzenie?

- Eee, nie - odparłam. - Szukam Erika.

- Jakiego Erika?

- Lancastera. Starszy pan? Afroamerykanin? Pracuje tutaj.

Chłopak pokręcił głową.

- Nie ma tu żadnego Erika. I nie było za moich czasów. - Powiedział to, jakby założył ten sklep.

- A ile trwają te pana czasy?

- Dwa miesiące.

Przewróciłam oczami. Prawdziwy weteran.

- Jest tu jakiś kierownik, z którym mogłabym porozmawiać?

- No, jest Helena, ale ona raczej... a, tam jest. - Wskazał koniec sklepu, gdzie jak na zawołanie pojawiła się kierowniczką.

No właśnie. Helena. Miałyśmy już ze sobą do czynienia.

Jasnowłosa, z szyją obwieszoną kryształami i innymi symbolami sztuki tajemnej, stała w drzwiach oznaczonych tablicą „Sala spotkań”. Jej szczupłe ramiona okrywał turkusowy szal. Jak zawsze zastanowiło mnie, ile może mieć lat. Wyglądała na maksimum trzydzieści pięć, ale coś w jej zachowaniu kazało mi podejrzewać, że jest starsza. Może przeszła kilka operacji plastycznych. Byłoby to bardzo na

miejscu, biorąc pod uwagę całą resztę jej sztucznej, pretensjonalnej wystylizowanej osoby.

- Kochani? Kochani? - Mówiła nienaturalnym, wysokim głosem, który miał brzmieć jak głośny szept. W rezultacie chrypiała, jakby była przeziębiona. - Pora zaczynać.

Masy - jakieś trzydzieści osób - ruszyły w stronę sali spotkań, a ja podążyłam za nimi. Niektóre osoby wyglądały jak Helena: w tematycznych ciuchach, albo czarnych, albo zbyt kolorowych, z całym garniturem pentagramów, kryształów i omów. Inni wyglądali przeciętnie, ubrani podobnie jak ja, w zwykłe ciuchy do pracy. Wszyscy szli do drzwi, podnieceni i zaciekawieni. Helena, z nieruchomym, sztucznym uśmiechem przyklepionym na twarzy, zapraszała do sali, mrużąc:

- Witajcie, witajcie. Poczujcie energię. - Kiedy ją mijałam, straciła rezon. - Ja cię znam.

- Tak.

Jej uśmiech gaś w oczach.

- Pracujesz w tej wielkiej księgarni... tej wielkiej komercyjnej księgarni. - Kilka osób zatrzymało się i zaczęło przysłuchiwać naszej rozmowie. Zapewne tylko dlatego nie wytknęła mi, że kiedy byłam tu ostatnio, nazwałam ją hipokrytką wciskającą ludziom śmieci po kosmicznych cenach. W porównaniu z niektórymi ogólnokrajowymi sieciami, Emerald City trudno nazwać komercyjną księgarnią. Mimo to wzruszyłam ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć. Przysparzamy Ameryce problemów, jak inne korporacyjne rekiny. Ale sprzedajemy wszystkie książki i karty do tarota, które tu macie, i to często ze zniżką, jeśli jest się członkiem naszego klubu czytelnika. – Ostatnie zdanie wypowiedziałam głośno. Odrobina dodatkowej reklamy nigdy nie zaszkodzi.

Gasnący uśmiech Heleny zniknął zupełnie, podobnie jak jej wystudiowana chryпка.



- Mogę ci w czymś pomóc?
  - Szukam Erika.
  - Erik już tu nie pracuje.
  - Gdzie go znajdę?
  - Nie jestem upoważniona do udzielania takich informacji.
  - Dlaczego? Boisz się, że stracisz we mnie klientkę? Bez obaw, nigdy ci nie groziło, że nią zostanę.
- Helena uniosła delikatne palce do czoła i przyjrzała mi się poważnie, niemal zezując.
- Wyczuwam mnóstwo ciemności w twojej aurze.
- Czerni i czerwieni. - Podniosła głos, ściągając uwagę swoich akolitów.
- Bardzo dobrze by ci zrobiło oczyszczenie. Mógłby też pomóc dymny albo rutyłowy kwarc. Mamy w sprzedaży piękne okazy jednego i drugiego. Obydwa rozjaśniłyby twoją aurę. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Nie żebym nie wierzyła w aury. Wiem, że istnieją. Ale wiem też, że moja aura w niczym nie przypomina aury śmiertelników, i że ktoś taki jak Helena nie może jej zobaczyć. Przeciwnie, prawdziwy mistrz, potrafiący odbierać pola energetyczne, zauważyłby, że jestem jedyną osobą w tłumie bez widocznej aury. Jest widzialna tylko dla stworzeń takich jak Jerome czy Carter, choć śmiertelnik o wyjątkowych zdolnościach potrafi wyczuć jej siłę i ma się przez to na baczności. Erik jest właśnie takim śmiertelnikiem i dlatego zawsze traktuje mnie z szacunkiem. Helena nie.
  - Brawo - powiedziałam z udawanym zachwytem. - Nie do wiary, że zobaczyłaś to wszystko bez aparatu do fotografowania aury. - Krystal Starz pyszniła się takowym aparatem, który mógł zrobić zdjęcie twojej aury za jedyne dziesięć dolarów. -Jestem ci coś winna?
- Prychnęła.

- Nie potrzebuję aparatu, żeby widzieć aury. Jestem Mistrzynią. Poza tym duchy, które przyszły na zgromadzenie, wiele mi o tobie mówią.

Uśmiechnęłam się szerzej.

- I cóż takiego mówią? - W moim długim życiu miałam niewiele do czynienia z duchami i innymi istotami eterycznymi, ale wiedziałabym, gdyby jakieś były obecne.

Helena zamknęła oczy i znów uniosła dłońe do czoła, marszcząc z troską czoło. Gapie patrzyli w zachwycie.

- Mówią mi, że gnębi cię wiele problemów. Że monotonia i brak kierunku w twoim życiu sprawiają, że bywasz agresywna. Dopóki będziesz wybierać ścieżkę ciemności i nieufności, dopóty nie odnajdziesz spokoju ani światła. - Otworzyła błękitne

oczy pogrążona w ekstazie. - Chcą, żebyś się do nas przyłączyła. Usiadła w naszym kręgu, poczuła uzdrawiającą energię. Duchy pomogą ci naprawić twoje życie.

- Tak jak tobie pomogły porzucić przemysł pornograficzny?

Znieruchomiała i zbladła. Przez chwilę niemal poczułam się głupio. Nie tylko mistrzowie tacy jak Erik mają wyrobioną reputację w społeczności nieśmiertelnych. Stuknięta Helena też jest dobrze znana. Ktoś, kto widocznie był swego czasu fanem jej filmów, rozpoznał ją i przekazał tego smakowitego newsa całej reszcie.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła w końcu, z trudem

walcząc o zachowanie spokojnego wyrazu twarzy w obecności swoich wyznawców.

- Sorry, widocznie się pomyliłam. Przypominasz mi niejaką Moanę Lickę. Pocierasz kryształ zupełnie tak jak ona popierała...

- Owszem, pomyliłaś się - powiedziała Helena łamiącym się głosem. - Erik już tu nie pracuje. Proszę, wyjdź.

Na usta cisnął mi się kolejny docinek, ale w tej chwili za jej plecami dostrzegłam Setha. Przyplątał się na skraj grupki i razem z innymi obserwował spektakl. Widząc go, poczułam się nagle głupio, a upokarzanie Heleny dla frajdy wydało mi się płytkie i małoduszne. Zażenowana powstrzymałam się od dalszych uwag i z podniesioną głową ruszyłam do drzwi. Seth dołączył do mnie.

- Niech zgadnę - rzuciłam kwaśno. - Niektórzy piszą powieści, a inni nimi żyją.

- Odnoszę wrażenie, że choćbyś nie chciała, wywołujesz zamieszanie, gdziekolwiek się pojawisz.

Uznałam, że ironizuje. Ale gdy na niego zerknęłam, zobaczyłam poważną minę, w której nie było potępienia ani drwiny- Jego szczerość była tak niespodziewana, że się potknęłam, bo patrząc na niego, nie zwracałam uwagi, gdzie stawiam nogi. Natychmiast odzyskałam równowagę - nie na próżno jestem znana ze swojego wdzięku - ale Seth odruchowo wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać.

Kiedy to zrobił, poczułam przebłysk... czegoś. Przypominało to chwilowe porozumienie, które złapaliśmy w dziale geograficznym. Albo poczucie zaspokojenia, które ogarniało mnie, ilekroć czytałam jego książki. To było tylko mgnienie, tak ulotne, jakby w ogóle się nie wydarzyło. Seth zdawał się równie zaskoczony jak ja. Niechętnie, niemal z wahaniem, puścił moje ramię. W następnej chwili głos za naszymi plecami do reszty zniweczył tę magiczną chwilę.

- Przepraszam? - Odwróciłam się i zobaczyłam szczupłą nastolatkę z rudym jeżem na głowie i kolczykami na całej długości uszu. - Szuka pani Erika, tak?

- Tak...

- Wiem, gdzie teraz pracuje. Odszedł jakieś pięć miesięcy temu, żeby założyć własny sklep, w Lakę City... zapomniałam nazwy. Jest tam skrzyżowanie, ze sklepem spożywczym i wielką meksykańską restauracją... Kiwnęłam głową.
- Znam tę okolicę. Znajdę. Dzięki. - Przyjrzałam się jej z ciekawością. - Pracujesz tutaj?
- Tak. Erik był dla mnie fajny. Cieszę się, że pracuje na swoim, a nie tutaj. Przeszłabym do niego, ale nie potrzebuje dodatkowych pracowników, więc utknęłam z tą wariatką. – Wskazałam kciukiem Helenę. Dziewczyna zachowywała się poważnie i profesjonalnie, w odróżnieniu od większości pracowników sklepu. Przypomniałam sobie, że kiedy weszłam, widziałam, jak obsługuje klientów.
- Dlaczego tu pracujesz, skoro ci się tu nie podoba?
- Nie wiem. Lubię książki i potrzebuję pieniędzy. Pogrzebałam w torebce, szukając jednej z moich rzadko używanych wizytówek.
- Proszę. Jeśli będziesz szukać nowej pracy, odezwij się. Wzięła wizytówkę i przeczytała ją zdumiona.
- Dzięki... chyba.
- Dzięki za informację o Eriku. Zastanowiłam się jeszcze chwilę i wygrzebałam kolejną wizytówkę.
- Jeśli znasz kogoś, kto tu pracuje, i jest podobny do ciebie, jemu też to daj.
- Czy to zgodne z prawem? - zapytał później Seth.
- Nie wiem. Ale mamy braki kadrowe w Emerald City. Uznałam, że specjalistyczny sklepik, taki jak Erika, jest już pewnie zamknięty, więc skrzyżowałam w stronę Lakę Forest Park, żeby odwiedzić Seta do domu jego brata. Przynajmniej, że

potężnie mi ulżyło. Przebywanie ze swoim idolem jest męczące, nie wspominając już o tym, że emocje między nami zmieniały się jak na huśtawce. Uznałam, że będzie najbezpieczniej, jeśli ograniczę nasze relacje do lektury jego książek.

Wysadziłam go pod ładnym podmiejskim domem, z ogródkiem zaśmieconym zabawkami. Ku mojemu rozczarowaniu samych dzieci nigdzie nie dostrzegłam. Seth wyjął z samochodu swoją stertę książek, posłał mi jeszcze jeden roztargniony uśmiech, podziękował, po czym zniknął w domu. Byłam już prawie na Queen Anne, kiedy przypomniałam sobie, że nie zapytałam go o mój egzemplarz Paktu z Glasgow.

Poirytowana weszłam do kamienicy. Tuż za progiem usłyszałam, że woła mnie portier.

- Panno Kincaid?

Podeszłam do niego, a on podał mi wazon z kwiatami we wszystkich odcieniach fioleto i ciemnego różu.

- To przyszło dzisiaj do pani.

Z zachwytem wzięłam wazon, wdychając zapach róż, irysów i lili. Nie było liściku. Typowe.

- Kto je przyniósł?

Wskazał za mnie.

- Tamten pan.

## Rozdział 7

Odwrociłam się i zobaczyłam Romana siedzącego w kącie niewielkiego foyer. Wyglądał świetnie w ciemnozielonym golfie, z włosami zaczesanymi do tyłu. Uśmiechnął się, kiedy na niego spojrzałam. Podeszłam i usiadłam obok niego.

- Jezu, jednak nachodzisz kobiety po domach.

- Proszę, proszę. Ale jesteś zarozumiała. Przyszedłem tylko po płaszcz.

- Ach. - Zrobiło mi się głupio i poczułam, że się rumieję. - Długo czekasz?

- Niezbyt. Najpierw zajrzałem do księgarni, bo uznałem, że to nie będzie traciło najściem.

- Mam dzisiaj wolne. - Spojrzałam na kolorowy bukiet w moich ramionach. - Dzięki za kwiaty. Nie musiałeś ich przynosić, żeby odzyskać płaszcz.

Roman wzruszył ramionami. Jego niebieskozielone oczy siały zamęt w mojej duszy.

- To prawda, ale pomyślałem, że może skłonią cię, żebyś

wyszła dziś ze mną na drinka.

Więc jednak miał ukryty motyw.

- A ty znowu to samo...

- Jeśli chciałaś tego uniknąć, trzeba było mnie wczoraj nie kusić. Teraz już za późno. Możesz sobie zaoszczędzić długiego, uporczywego bólu i mieć to szybko z głowy. Jakbyś zrywała plasterki. Albo odrąbywała kończynę.

- Pięknie. I kto powiedział, że na świecie nie ma już romantyków? - Mimo mojego sarkazmu uważałam błyskotliwe żarciki Romana za naprawdę miłą odmianę po ciężkiej atmosferze wycieczki z Sethem.

- Czy to oznacza, że się poddajesz, generale? Przyznam, że dzielnie walczyłaś do tej pory, próbując mnie unikać.
- No nie wiem. Przyszedłeś do mnie do domu. Niewiele było tego unikania. - Kiedy milczał, patrząc wyczekująco, mój uśmiech zniknął. Westchnęłam, przyglądając mu się i próbując zrozumieć jego motywację. - Roman, wyglądasz na miłego faceta i w ogóle... Jęknął.
- O nie. To nigdy nie jest dobry znak, kiedy kobieta mówi „jesteś miłym facetem”. Oznacza, że zaraz da ci kosza. Pokręciłam głową.
- Po prostu w tej chwili nie interesują mnie poważne związki.
- Chwileczkę! Poważne związki? Zwolnij, siostró. Nie proszę cię o rękę. Chcę się tylko czasem z tobą umówić, może wyskoczyć do kina, pójść na kolację i drinka, nic więcej. Pocałować cię na pożegnanie, jeśli będę miał szczęście. Ale jeśli i to cię przeraża, to będziemy sobie podawać ręce. Oparłam głowę o ścianę i siedzieliśmy tak przez chwilę, mierząc się nawzajem wzrokiem. Wiedziałam, że nie jest niemożliwe, aby kobieta i mężczyzna chodzili na randki, nie łądząc automatycznie w łóżku, ale moje randki zwykle tak nie przebiegały. Mój instynkt każe mi dążyć do seksu, a patrząc na Romana, rozumiałam, że ten popęd może być niezwykle silny, niezależnie od apetytu sukuba na energię życiową. Podobało mi się, jak wyglądał, jak się ubierał, jak pachniał. A najbardziej podobały mi się jego wariackie zaloty. Niestety, nie potrafię wyłączyć destrukcyjnych zdolności sukuba, choćbym chciała. To się dzieje bez mojego udziału, a z nim pewnie zadziałałoby jeszcze silniej. Nawet pocałunek, o którym sobie żartowałam, zabrałyby mu porcję życiodajnej energii.
- Nic o tobie nie wiem - powiedziałam w końcu, zdając sobie sprawę, że milczałam zbyt długo.

Uśmiechnął się leniwie.

- A co chcesz wiedzieć?

- No... nie wiem. Co lubisz robić? Czy pracujesz? Musisz mieć sporo wolnego czasu, żeby tak ciągle się koło mnie kręcić.

- Ciągle? Znowu zadzieramy nosa... Owszem, pracuję. Prowadzę zajęcia z językoznawstwa w college'u. Kiedy nie wykładam, sam się dokształcam.

- Okej. Jak się nazywasz?

- Smith.

- Nieee.

- Serio.

- To zupełnie nie pasuje do Księcia Romana. -

Próbowałam

wymyślić kolejne sensowne pytanie, żeby jak najlepiej go wy badać. - Od jak dawna mieszkasz w Seattle?

- Od paru lat.

- Hobby?:

- Mam ich kilka. - Umilkł i przechylił głowę w moją stronę,

kiedy nie padły kolejne pytania. - Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Mam wykopać wyciąg z mojego indeksu? Pełny życiorys i referencje na piśmie?

Machnęłam ręką.

- Takie nieistotne informacje na nic mi się nie przydadzą.

Chcę wiedzieć tylko naprawdę ważne rzeczy.

- Czyli?

- Czyli... jaka jest twoja ulubiona piosenka?

Pytanie najwyraźniej go zaskoczyło, ale natychmiast odzyskał rezon, tak jak wczoraj wieczorem. Bardzo mi się to podobało.

- Druga połowa Abbey Road Beatlesów.



- Druga połowa Abbey Road?
  - Tak, jest tam parę piosenek, ale w sumie zlewają się w jedną...
- Przerwałam mu gestem.
- Tak, tak, znam ten album.
  - Więc?
  - Więc to jest całkiem niezła odpowiedź. - Ciągnęłam za swój kucyk, zastanawiając się, jak najlepiej z tego wybrnąć. Prawie mnie złamał. - Ale... nie. Przykro mi. Nie mogę. To za bardzo skomplikowane. Nawet ta jedna randka. Zrobi się z niej następna, a potem następna...
  - Naprawdę lubisz uprzedzać fakty. A jeśli supertajny harcerz da ci harcerskie słowo, że po tej jednej randce nie będzie ci już zwracał głowy?
  - Zgodzisz się na to? - zapytałam z powątpiewaniem.
  - Jasne, jeśli tego będziesz chciała. Ale nie sądzę, żebyś chciała, kiedy już spędzisz ze mną jeden wieczór.
- Jego sugestywny ton dziwnie na mnie podziałał. Nie czułam czegoś takiego od bardzo dawna. Zanim zdążyłam to przetrawić, zadzwoniła moja komórka.
- Przepraszam - powiedziałam, wyciągając aparat z torebki. Dzwonił Cody. - Tak?
  - Cześć, Georgino. Wczoraj wieczorem wydarzyło się coś dziwnego...
- Boże. To mogło oznaczać cokolwiek, od kolejnego morderstwa, po ogolenie się na tyso przez Petera
- Poczekaj sekundę.
- Wstałam z wazonem w objęciach i spojrzałam na Romana. Wstał razem ze mną z zatroskaną miną.
- Wszystko w porządku?

- Tak, nie. To znaczy, nie wiem. Słuchaj, Roman, muszę iść na górę i odebrać ten telefon. Dziękuję za kwiaty, ale nie mogę się w tej chwili angażować. Przykro mi. To nie twoja wina, tylko moja. Naprawdę.

Kiedy ruszyłam ku schodom, zrobił kilka kroków za mną.

- Czekaj. - Obszukał kieszenie, wyjął długopis i kartkę. Napisał coś na niej pośpiesznie i dał mi ją. Zobaczyłam na niej numer telefonu.

- Na wypadek gdybyś zmieniła zdanie.

- Nie zmienię.

Uśmiechnął się tylko, lekko skłonił głowę i wyszedł z foyer. Patrzyłam za nim chwilę, zanim ruszyłam na górę. Chciałam jak najszybciej usłyszeć nowiny Cody'ego. Kiedy znalazłam się w mieszkaniu, odstawiłam kwiaty i przyłożyłam telefon do ucha.

- Jesteś tam jeszcze?

- Jestem. Kto to jest Roman i dlaczego spławiasz go starym tekstem: „To nie twoja wina, tylko moja”?

- Nieważne. Co się dzieje? Zginął ktoś jeszcze?

- Nie... nie. Ale coś się wydarzyło, a Peter nie uważa, żeby to było ważne. Hugh powiedział, że twoim zdaniem dzieje się coś więcej, niż sądzimy.

- Powiedz mi, co się stało.

- Chyba byliśmy wczoraj śledzeni.

Cody opowiedział mi, że niedługo po wyjściu z mojego mieszkania usłyszał kroki podążające ulicą za nim i Peterem. Kiedy się odwracał, nikogo nie widział. Peter zbagatelizował sprawę, bo nie wyczuli obecności innej istoty.

- Może nie wiecie, jaką aurę ma łowca wampirów.

- Ale coś bym przecież poczuł. A Peter to już na pewno. Może ma rację i tylko coś mi się zdawało. Albo to był zwykły śmiertelnik, który chciał nas napaść...

Wątpiłam w to. Nie potrafimy wyczuwać śmiertelnych tak jak nieśmiertelnych, ale ktoś musiałby się bardzo postarać, żeby niepostrzeżenie zakraść się do wampira.

- Dzięki, że do mnie zadzwoniłeś. Dobrze zrobiłeś.
- A co mam robić teraz?

Ogarnął mnie niepokój na myśl, że jakiś świr mógł śledzić Petera i Cody'ego. Może i jesteśmy dysfunkcyjną rodziną, ale kocham ich jak braci. Są najbliższymi osobami, jakie mi pozostały. Nie mogłam pozwolić, żeby coś im się stało.

- To, co powiedział Jerome. Bądź ostrożny. Trzymaj się z innymi. I natychmiast daj mi znać, gdyby coś się wydarzyło.
- A ty? Pomyślałam o Eriku.
- Ja pójdę wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze.

## Rozdział 8

Paige rozplętała się w uśmiechach, kiedy następnego dnia przysłałam na poranną zmianę.

- Świetnie to załatwiłaś z Sethem Mortensenem - powiedziała, patrząc na mnie znad schludnej kupki dokumentów na swoim biurku. Biurko, które dzielę z Dougiem w gabinecie na zapleczu, przeważnie wygląda jak pole apokaliptycznej bitwy.

- Jak to?
- No, przekonałaś go, żeby tutaj pisał.

Zamrugałam. Podczas naszych przygód w University District i Krystal Starz ani słowem nie wspomniałam o tym, że chcielibyśmy aby został naszym rezydentem.

- Tak?
- Przed chwilą spotkałam go w kawiarni. Powiedział, że wczoraj świetnie się bawił.

Wyszłam z jej gabinetu ostupiała, zastanawiając się, czy wczoraj coś przegapiłam. Mnie nasze wyjście nie wydawało

się szczególnie udane, ale może Seth był zadowolony i wdzięczny z powodu zniżki na książki. Czy wydarzyło się jeszcze coś istotnego?

Mimowolnie przypomniałam sobie dotyk dłoni Setha i dziwaczne poczucie bliskości, jakie wywołał. To nie było nic takiego, pomyślałam. Mam po prostu bujną wyobraźnię.

Wciąż zdumiona poszłam na górę, na kawę. I rzeczywiście - Seth siedział nad laptopem przy stoliku w kącie. Wyglądał niemal tak samo jak wczoraj, tyle że dziś na jego koszulce widniał Beeker z Muppetów. Jego palce (Setha, nie Beekera) stuknęły zawzięcie w klawiaturę, oczy były wbite w ekran. . - Hej - przywitałam go.

- Hej.

Nie raczył powiedzieć nic więcej. Nawet na mnie nie spojrzął.

- Pracujesz?

- Tak.

Czekałam na rozwinięcie, ale nie się doczekałam. Brnęłam więc dalej.

- Więc, eee, Paige powiedziała mi, że się do nas wprowadzasz.

Nie odpowiedział. Nie wiedziałam nawet, czy mnie usłyszał. Nagle uniósł wzrok i spojrzął na mnie badawczo.

- Byłaś kiedyś w Teksasie?

Zaskoczył mnie.

- Jasne. O którą część ci chodzi?

- Austin. Muszę wiedzieć, jaką tam mają pogodę.

- Kiedy? O tej porze roku?

- Nie... raczej wiosną albo wczesnym latem.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Gorąco. Deszcz i burze. Dość wilgotno. Wiesz, to skraj alei tornad.

- Aha. - Seth zamyślił się na moment, po czym żwawo skinął głową i wrócił do komputera. - Cady będzie zachwycona. Dzięki.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że mówi o jednej ze swoich postaci. Niechęć Niny Cady do brzydkiej pogody była powszechnie znana. Poczułam ucisk w żołądku.

- Czy ty... czy ty piszesz coś z Cady i O'Neillem? W tej chwili?

- Tak - rzucił od niechcienia, jakbyśmy wciąż rozmawiali o pogodzie. - Następną powieść. A właściwie następną po następnej. Następną jest już w wydawnictwie. A tej mam jakąś jedną czwartą.

Gapiałam się w zachwycie na jego laptop, jakby to był złoty bożek zdolny czynić cuda. Sprowadzać deszcz. Karmić narody. Teraz to mnie zabrakło słów. Świadomość, że oto na moich oczach powstaje kolejne arcydzieło i że być może powiedziałam coś, co wpłynie na jego kształt, była obezwładniająca. Głośno przełknęłam ślinę i oderwałam oczy od laptopa, zmuszając się do zachowania spokoju. Nie mogłam przecież podniecać się kolejną powieścią, skoro nie przeczytałam jeszcze ostatniej.

- Książka o Cady i O'Neillu. Rety. To naprawdę...

- Eee, jestem trochę zajęty. Muszę się z tym spieszyć. Przepraszam.

Te słowa mnie otrzeźwiły.

- Co? - Odprawiał mnie?

- Możemy pogadać później?

Naprawdę mnie odprawiał. I to nawet na mnie nie patrząc. Policzki mi zapłonęły.

- A co z moją książką? - wypaliłam hardo.

- Hę?

- Pakt z Glasgow. Podpisałeś się?

- Och. To.
- Co to ma znaczyć?
- Wysłałem ci e-maila.
- Wysłałeś mi... więc nie masz mojej książki?

Pokręcił głową i pracował dalej.

- Och. Okej. - Nie rozumiałam o co chodzi z e-mailem, ale nie zamierzałam tracić czasu na błaganie go o uwagę. - No dobra. To do zobaczenia później. Daj nam znać, gdybyś czegoś potrzebował. - Mój głos był twardy i zimny, ale wątpiłam, by Seth to w ogóle zauważył.

Zmusiłam się, żeby zejść na dół spokojnie, nie tupiąc ze złości. Jak on śmie tak się zachowywać? I to po tym, jak oprowadziłam go wczoraj po mieście. Sławny pisarz czy nie, nie ma prawa być takim palantem. Poczułam się upokorzona. Upokorzona przez co? Że cię zignorował? - zbeształ mnie wewnętrzny głos rozsądku. - Przecież nie zrobił ci sceny. W końcu to ty narzekałaś, że nie pisze wystarczająco szybko.

Zignorowałam głos i zabrałam się do pracy, wciąż wytrącona z równowagi. Obowiązki nie pozwoliły mi zbyt długo pielęgnować urażonego -ego, TJO przedpołudniowy ruch i braki personelu sprawiły, że byłam bardzo zajęta. Do swojego gabinetu zajrzałam dopiero po skończonej zmianie, żeby zabrać torebkę.

Już miałam wyjść, kiedy zobaczyłam w skrzynce odbiorczej maila od Setha\_ Siadłam do komputera i przeczytałam wiadomość.

„Georgino,

Zwróciłaś kiedyś uwagę na agentów nieruchomości - na to, jak się ubierają, jakimi jeżdżą samochodami? Jak to mówią, prawda jest dziwniej sza od fikcji. Wczoraj wieczorem przyznałem się bratu, że jestem zainteresowany zamieszkaniem w U District, a on zadzwonił do znajomej

agentki. Zjawiła się po jakichś dwóch minutach, co było nie lada wyczynem, jako że jej biuro mieści się w zachodnim Seattle. Podjechała jaguarem, którego oślepiająca biel mogła się r««3wnać jedynie z bielą jej promiennego uśmiechu a la Miss Ameryki. Rozpływając się nad tym, jak to wspaniale, że jestem w Sesattle, zaczęła wyszukiwać na laptopie odpowiednie rezydencje, stukając w klawiaturę tak długimi paznokciami, że mogłaby na każdy nadziać małe dziecko (Widzisz? Zapamiętałem, jak bardzo lubisz słowo „nadziać“). Ilekroć znajdowała coś odpowiedniego, bardzo się ekscytowała: „Tak... tak. O tak! To jest to! Właśnie tak! Tak! Tak!" Przyznaję, że wtedy to się skończyło, czułem się wykończony, a przy tym trochę zdeprawowany - jakbym miał jej rzucić plik banknotów na poduszkę albo coś w tym rodzaju. Pomijając jej egzaltację, udało nam się znaleźć w końcu miłe mieszkanie niedaleko kampusu, całkiem nowe. Jest tak drogie, jak sugerowałaś, ale to dokładnie to, czego szukam. Mistee - naprawdę tak ma na imię — zabiera mnie tam dzisiaj wieczorem. Trochę się boję jej reakcji., kiedy złożę ofertę. Myśl o prowizji bez wątpienia doprowadzi ją do wielokrotnego orgazmu, (I pomyśleć, że zawsze sądziłem, iż. pozycja misjonarska nie pozwala kobietom zaznać spełnienia).

Tak czy inaczej chciałem, żebyś była na bieżąco, jako że to ty pierwsza pokazałaś mi U District. Przepraszam, że wcześniej nie mieliśmy okazji porozmawiać; chętnie skorzystałbym z Twojej wiedzy na temat tamtejszych restauracji. Wciąż słabo znam tę okolicę, a mój brat i bratowa są zbyt zajęci podmiejskim życiem, by polecić jakikolwiek lokal, w którym nie serwują zestawów dla dzieci.

Cóż, chyba powinienem wrócić do pisania, żeby móc sobie pozwolić na rzezone lokum. Cady i O'Neill to niecierpliwie kochanki - hm, to znaczy, kochanka i kochanek - jak już

zdążyłaś zauważyć. A skoro o wilku mowa - nie zapomniałem o twoim Pakcie z Glasgow. Zamierzałem napisać w nim coś oryginalnego wczoraj wieczorem, po naszej miłej wycieczce, ale wciągnął mnie wir rynku nieruchomości. Przepraszam. Wkrótce przyniosę Ci książkę.

Do zobaczenia,  
Seth"

Przeczytałam list dwa razy. Mogłam przysiąc, że w ciągu naszej krótkiej znajomości nie wypowiedział w sumie tylu słów, ile teraz napisał. Co więcej, to były dowcipne słowa. Zabawne słowa. Jak mini powieść o Cady i O'Neillu, napisana specjalnie dla mnie. Zupełne przeciwieństwo jego dukania dzisiejszego ranka. Gdyby na żywo powiedział coś porównywalnego, pewnie bym zemdląca.

- Niewiarygodne - mruknęłam do monitora.

Część mnie poczuła się udobruchana listem, choć druga część wciąż uważała, że mógł mnie dziś potraktować bardziej taktownie, bez względu na to jak bardzo był zajęty. Cała reszta mnie uznała, że tamte dwie części powinny iść do psychiatry, a poza tym naprawdę musiałam już iść, żeby spotkać się z Erikiem w sprawie łowcy wampirów. Szybko wystukałam odpowiedź:

„Dzięki za list. Chyba przeżyję jeszcze jeden dzień bez książki. Powodzenia z agentką - tylko pamiętaj o prezerwatywie, kiedy będziesz składał ofertę. Inne dobre restauracje w tej okolicy to Hań & Synowie, kawiarnia Plum Tomato i Lotus Chinese.

Georgina"

Wysłałam z księgarni i natychmiast zapomniałam o Secie, szczęśliwa, że o tej porze nie będzie korków. Pojechałam do Lakę City i z łatwością odnalazłam skrzyżowanie, o którym



mówiła dziewczyna z Krystal Starz. Zlokalizowanie samego sklepu okazało się trudniejszym zadaniem. Okolica zapchana była galeriami handlowymi oraz wszelkiej maści sklepikami i punktami usługowymi, czytałam więc pracowicie setki szyldów, w nadziei, że w końcu znajdę właściwy. Wreszcie zauważyłam niewielką, ciemną tablicę wśród skupiska mało uczęszczanych sklepów. „Arkana”. To musiało być to. Zaparkowałam przed sklepem w nadziei, że jest czynny. Na drzwiach nie było tabliczki z godzinami otwarcia, ale gdy je pchnęłam, ustąpiły. Kiedy weszłam, ogarnął mnie zapach sandałowego kadzidełka i cicha muzyka harfy płynąca z małego odtwarzacza CD stojącego na ladzie. Sklep był pusty, zaczęłam więc przechadzać się po wnętrzu, podziwiając towar. Półki pod ścianami zapełniały poważne książki o mitologii i religii - nie krzykliwe bzdurki sprzedawane w Krystal Starz - a w gablotkach starannie wyeksponowano biżuterię, w której rozpoznałam dzieła kilkorga okolicznych artystów. Różne akcesoria rytualne - świece, kadzidełka i posążki - wypełniały każdy zakamarek wnętrza, nadając mu przytulną atmosferę prywatnego mieszkania.

- Panna Kincaid. To prawdziwy zaszczyt znów panią widzieć.

Odwrociłam się od posążka Białej Tary, który właśnie podziwiałam. Do sali wszedł Erik. Jego wygląd mnie zszokował. Kiedy się tak postarzał? Był stary, kiedy widziałam go ostatnio - ciemną skórę miał pomarszczoną, włosy siwe - ale nie pamiętałam lekko przygarbionych pleców ani zapadniętych oczu. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy rozmawialiśmy ostatnio. To nie mogło być aż tak dawno. Pięć lat temu? Dziesięć? Ze śmiertelnikami łatwo stracić rachubę.

- I mnie miło pana widzieć. Niełatwo pana teraz znaleźć. Musiałam powęszyć w Krystal Starz, żeby się dowiedzieć, co się z panem stało.

- Ach. Mam nadzieję, że nie było to zbyt... krępujące doświadczenie.
- Do przeżycia. Poza tym cieszę się, że pan się stamtąd wyrwał. - Rozejrzałam się po ciasnym słabo oświetlonym sklepiku. - Podoba mi się pański nowy sklep.
- To nic wielkiego... i nie przynosi wiele zysków, ale jest mój. Właśnie na to oszczędzałem i tutaj spędzę swoje ostatnie lata. Skrzywiłam się.
- Tylko proszę bez melodramatycznych wstawek. Nie jest pan taki stary.  
Uśmiechnął się szerzej, odrobinę ironicznie.
- Podobnie jak pani, panno Kincaid. W rzeczy samej, jest pani równie piękna jak wtedy, kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy. - Skłonił się, o wiele za nisko jak na kogoś z chorym kręgosłupem. - Czym mogę służyć?
- Potrzebuję informacji.
- Naturalnie. -Wskazał stolik koło głównej lady teraz zajęty przez książki i ozdobny świecznik. - Proszę usiąść. Napijemy się herbaty i porozmawiamy. Chyba że pani się spieszy?
- Nie, mam czas.  
Erik poszedł zaparzyć herbatę, a ja w tym czasie uprzątnęłam stolik, układając książki na podłodze w równych stosikach. Gdy wrócił z imbrykiem, pogawędziliśmy chwilę, popijając napar, ale nie bardzo mogłam się zrelaksować. Moja niecierpliwość była widoczna; palce tańczyły po brzegu filiżanki, stopa pukała niecierpliwie o podłogę. W końcu przeszłam do rzeczy.
- Chcę dowiedzieć się czegoś o łowcach wampirów. Większości ludzi takie żądanie wydałoby się dziwne, ale Erik tylko skinął głową.
- A czego konkretnie?

- Wszystkiego. Jakie mają zwyczaje, jak ich rozpoznać. Cokolwiek może mi pan powiedzieć.

Oparł się wygodniej, delikatnie trzymając filiżankę w palcach.

- O ile się orientuję, łowcą wampirów człowiek się rodzi, a nie zostaje. Mają, że się tak wyrażę, dar zabijania wampirów. - Podał mi jeszcze kilka informacji, które zgadzały się z tym, co słyszałam od Petera.

Zastanawiając się nad tym, co mówił Cody - że słyszeli śledzącego ich człowieka, ale go nie widzieli - zapytałam:

- Czy mają jeszcze jakieś specjalne zdolności? Czy potrafią stawać się niewidzialni?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Niektóre nieśmiertelne byty oczywiście to potrafią, ale nie łowcy wampirów. Mimo swojego

wyjątkowego talentu to zwykli śmiertelnicy.

Skinęłam głową ze zrozumieniem. Sama należę do bytów, które potrafią stawać się niewidzialne, choć rzadko korzystam z tej umiejętności. Przez moment bawiłam się myślą, że zjawa Cody'ego mogła być niewidzialnym nieśmiertelnym, który chciał im zrobić kawał, ale przecież wtedy wyczuliby otaczającą go aurę, którą wszyscy posiadamy. Powinni także wyczuć łowcę wampirów. Fakt, że niczego nie widzieli i nie czuli, potwierdzał teorię Petera, że prześladowca był wyłącznie wytworem wyobraźni Cody'ego.

- Czy łowcy wampirów mogą skrzywdzić kogoś innego? Demony... lub inne nieśmiertelne istoty?

- Bardzo trudno wyrządzić nieśmiertelnemu znaczącą szkodę - powiedział Erik w zamyśleniu. - Niektórzy szerzyciele dobra, na przykład potężni kapłani, potrafią wypędzać demony, ale nie umieją uczynić im trwałej krzywdy. Słyszałem też, oczywiście, o śmiertelnikach, którzy potrafili schwytać nieśmiertelną istotę, ale żeby zrobić coś ponad to... Nie

twierdzą, że to niemożliwe, tyle że ja nigdy o tym nie słyszałem. Na poczekaniu mogę tylko powiedzieć, że łowcy wampirów mogą wyrządzać szkody tylko wampirom. Innym istotom nie.

- Pańska wiedza na poczekaniu jest dla mnie często cenniejsza niż potwierdzone fakty.

Przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

- Ale nie takiej odpowiedzi się pani spodziewała.

- Nie wiem. Mniej więcej to samo już mi mówiono.

Myślałam, że może jest coś więcej.

Możliwe że Jerome mówił prawdę i że mieliśmy do czynienia z łowcą wampirów, a jego ostrzeżenia pod moim i Hugh adresem wynikały tylko z życzliwości i chęci uchronienia nas przed nieprzyjemnościami. Mimo to nie potrafiłam się pozbyć wrażenia, że Jerome coś przed nami ukrywa. Poza tym nie wierzyłam, by Cody miał aż tak bujną wyobraźnię.

Widocznie wyglądałam na skołowaną, bo Erik, z lekkim wahaniem, zaproponował:

- Jeśli pani sobie życzy, mogę poszukać więcej informacji na ten temat. To, że nie słyszałem o istotach zdolnych wyrządzić krzywdę nieśmiertelnym, nie znaczy, że one nie istnieją. Skinęłam głową.

- Będę bardzo wdzięczna. Dziękuję.

- To zaszczyt pomóc komuś takiemu jak pani. Jeśli pani chce, mogę też zainteresować się bliżej sprawą łowców wampirów. - Znów zamilkł, starannie dobierając słowa. - Gdyby taka osoba działała w okolicy, pojawiłyby się pewne znaki w lokalnej społeczności okultystycznej. Ktoś kupowałby akcesoria, zadawał pytania. Takie osoby nie pozostają niezauważone.

Teraz to ja się zawahałam. Jerome kazał nam uważać. Miałam przecucie, że nie byłby zachwycony moim śledztwem, choć

samą rozmowę z Erikiem trudno było uznać za śledztwo. W końcu uznałam, że nic się nie stanie, jeśli staruszek trochę powęszy. Pozyskiwanie informacji od osób trzecich to nie to samo co osobiste zaangażowanie.

- I za to będę wdzięczna. Przyda mi się wszystko, czego zdoła się pan dowiedzieć. - Dopiliśmy herbatę i odstawiłam pustą filiżankę. - Czas na mnie.

Wstał razem ze mną.

- Dziękuję, że napiła się pani ze mną herbaty. Obcowanie z taką kobietą jak pani zwykle przydarza się mężczyźnie tylko w snach.

Roześmiałam się cicho z tego zawołanego żarciku nawiązującego do starej legendy, że sukuby nawiedzają mężczyzn w snach.

- Może pan spać spokojnie, Eriku.

Odwzajemnił mój uśmiech.

- Proszę przyjść za kilka dni, wtedy powiem pani, czego się dowiedziałem. Znowu napijemy się herbaty.

Rozglądając się po pustym sklepie - podczas mojej wizyty nie pojawił się żaden klient - poczułam, że wypadałoby dać mu zarobić.

- Chciałabym kupić od pana trochę tej herbaty. Spojrzał na mnie pobłaźliwie, unosząc z rozbawieniem brwi, jakby przejrzał moją gierkę.

- Zawsze uważałam panią raczej za wielbicielkę czarnej herbaty, a przynajmniej kofeiny.

- Cóż, nawet ja lubię od czasu do czasu coś zmienić. Poza tym jest bardzo smaczna... na swój ziołowy bezkofeinowy sposób.

- Przekażę pani pochwałę przyjaciółce. To ona robi mieszanki, ja je tylko sprzedaję.

- Przyjaciółka, hm?

- Tylko przyjaciółka, panno Kincaid.  
Podszedł do półki za kasą, gdzie wyłożone były opakowania herbatek. Gdy zbliżyłam się do lady, żeby zapłacić, pod szklanym blatem zauważyłam kilka pięknych sztuk biżuterii. Szczególnie jedna wpadła mi w oko - krótki naszyjnik z trzech sznurów brzoskwiniowych słodkowodnych pereł, przetykanych miedzianymi paciorkami i kawałkami zielonego szkła. Centralną ozdobę stanowił miedziany ankh.
- Czy to dzieło któregoś z miejscowych artystów?
- Zrobił to mój stary przyjaciel z Tacomy. - Erik sięgnął do gabloty, wyjął naszyjnik i położył go na ladzie. Przeciągnęłam palcami po gładkich, drobnych, odrobinę nieregularnych perełkach. - Zaplątały mu się tu jakieś egipskie akcenty, ale zasadniczo chciał ożywić ducha Afrodyty i morza, stworzyć coś, co mogłaby nosić starożytna kapłanka.
- Nie nosiły nic tak pięknego - mruknęłam, odwracając naszyjnik i zerkając na cenę na etykietce. Zamyślona dodałam bezwiednie: - A w wielu miastach starożytnej Grecji można było znaleźć egipskie wpływy. Ankh pojawiał się na greckich monetach równolegle z Afrodytą.

Chłodny dotyk miedzianego ankha przypomniał mi inny naszyjnik, który zagubił się dawno temu, w otchłani czasu. Tamten był prostszy: składał się tylko z jednego sznurka pereł przetykanych maleńkimi ankhami. Podarował mi go mój mąż, rankiem, w dniu naszego ślubu - zakradł się do domu tuż po wschodzie słońca, choć tak śmiały czyn zupełnie nie był w jego stylu. Zbeształam go za tę brawurę.

- Co ty wyprawiasz? Zobaczysz mnie po południu... a potem będziesz widział już co dzień!
- Musiałem ci to dać przed ślubem. - Uniósł sznur pereł.
- Należał do mojej matki. Chcę, żebyś go miała. Żebyś go dzisiaj włożyła.

Pochylił się i założył mi perły na szyję. Kiedy jego palce musnęły moją skórę, poczułam na ciele ciepłe mrowienie. W wieku piętnastu lat nie rozumiałam jeszcze co to znaczy, ale nie mogłam się doczekać, by się dowiedzieć. Dzisiaj, o tyle mądrzejsza, wiem, że był to zwiastun pożądania i... hm, coś jeszcze. Coś, czego nawet dziś nie rozumiem do końca - elektryzująca więź, poczucie, że jesteśmy połączeni przez coś potężniejszego niż my sami. Że nasze zjednoczenie jest nieuniknione.

- No proszę - powiedział, kiedy zapiął naszyjnik i ułożył moje włosy z powrotem na karku. - Doskonale. Nie powiedział nic więcej. Nie musiał. Jego oczy powiedziały mi wszystko, co chciałam wiedzieć, aż zdrżałam. Przed Kyriakosem żaden mężczyzna nawet na mnie nie spojrział. Byłam tylko zbyt wysoką córką Martanesa, tą z niewyparzonym językiem, która otwierała buzię bez zastanowienia. (Zdolność przemiany postaci wyeliminowała pierwszy z tych mankamentów; niestety nie podziałała na drugi). Ale Kyriakos zawsze mnie słuchał i patrzył na mnie, jakbym była kimś więcej, kimś atrakcyjnym i wartym pożądania, jak piękne kapłanki Afrodyty, które odprawiały swoje obrzędy z dala od chrześcijańskich kapłanów. Zapraǳnęłam wtedy, żeby mnie dotykał. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nagle, niespodziewanie, nie chwyciłam jego dłoni. Położyłam ją na swojej talii i przyciągnęłam go do siebie. Zaskoczony otworzył szeroko oczy, ale nie odsunął się. Byliśmy niemal tego samego wzrostu, więc jego ustom łatwo było odnaleźć moje i zmiażdżyć je w pocałunku. Oparłam się o ciepły mur za plecami. Pierś Kyriakosa przyciskana mnie do kamieni. Czułam każdą część jego ciała przylegającą do mnie, ale wciąż nie byliśmy dość blisko. O, nie dość.

.Nasze pocałunki nabrały żaru, jakby same nasze wargi mogły zmniejszyć nieznośny dystans, który nas dzielił. Znów przesunęłam jego dłoń, tym razem pod spódnicę z boku uda. Jego palce pogłaskały gładką skórę i bez dalszych zachęt przesunęły się na wewnętrzną stronę. Wygięłam biodra ku niemu, już niemal wijąc się pod nim, pragnąc, by dotykał mnie wszędzie.

- Letho? Gdzie ty się podziewasz?

Głos mojej siostry niósł się na wietrze. Nie była tuż przy nas, ale dość blisko, by wkrótce nas znaleźć. Kyriakos i ja oderwaliśmy się od siebie zdyszani, z przyspieszonym pulsem. Patrzył na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy. W jego oczach płonął ogień.

- Byłaś z kimś przede mną? - zapytał zdziwiony.

Pokręciłam głową.

- Więc skąd... Nigdy nie wyobrażałem sobie, że możesz robić coś takiego...

- Szybko się uczę.

Uśmiechnął się szeroko i przycisnął moją dłoń do ust.

- Dziś wieczorem - szepnął. - Dziś wieczorem

będziemy...

- Dziś wieczorem - przytaknęłam.

Wtedy się wycofał, wciąż paląc mnie spojrzeniem.

- Kocham cię. Jesteś moim życiem.

- Ja też cię kocham. - Z uśmiechem patrzyłam, jak odchodzi. Po minucie znów usłyszałam siostrę.

- Letho?

- Panno Kincaid?

Głos Erika wyrwał mnie ze świata wspomnień. Znów znalazłam się w jego sklepie, daleko od rodzinnego domu, który dawno rozsypał się w proch. Spojrzałam w jego pytające oczy i uniosłam naszyjnik.

- To też wezmę.



- Panno Kincaid - powiedział niepewnie, dotykając etykiety. - Informacje, których pani udzielam... nie ma potrzeby... to nic nie kosztuje...

- Wiem - zapewniłam go. - Wiem. Ale proszę mi to dopisać do rachunku. I zapytać przyjaciela, czy mógłby mi zrobić kolczyki do kompletu.

Wyszłam ze sklepu w naszymjniku, wciąż rozmyślając o tamtym poranku, o tym, jakie to uczucie być dotykana po raz pierwszy, i to przez ukochanego. Ostrożnie wypuszczając powietrze, odsunęłam od siebie wspomnienia. Tak jak robiłam to już setki razy.

## Rozdział 9

Gdy wróciłam na Queen Annę, okazało się, że został mi jeszcze kawał wieczoru. Niestety nie miałam nic do roboty. Sukub bez życia towarzyskiego - jakie to smutne. Jeszcze smutniejsze było to, że mogłam mieć całe mnóstwo rzeczy do roboty, gdybym tylko chciała. Choćby taki Doug - zapraszał mnie tyle razy, a teraz z pewnością cieszył się wolnym dniem z jakąś inną kobietą, która potrafiła go docenić. Romana też odrzuciłam, razem z jego pięknymi oczami i całą resztą. Uśmiechnęłam się tęsknie, przypominając sobie jego cięty język i błyskotliwy urok. Przypominał mi O'Neilla z powieści Setha.

Ta myśl przypomniła mi, że Seth wciąż przetrzymywał moją książkę i że już trzeci dzień będę pozbawiona lektury.

Westchnęłam. Tak bardzo chciałam wiedzieć, co będzie dalej, zagubić się w przygodach Cady i O'Neilla. To byłby świetny sposób na spędzenie wieczoru. Co za drań. Nigdy mi jej nie przyniesie i już nigdy nie dowiem się, co...

Nagle jęknęłam i omal nie palnęłam się w głowę za własną głupotę. W końcu pracuję w księgarni, nie? Zaparkowałam samochód, poszłam do Emerald City i znalazłam potężną ekspozycję Paktu z Glasgow, której nie zdjęto jeszcze po spotkaniu autorskim. Wzięłam egzemplarz i podeszłam do głównej lady. Beth, jedna z kasjerek, chwilowo była wolna.

- Rozmagnetyzujesz mi to? - zapytałam, podsuwając jej książkę.

- Jasne - odparła, przeciągając ją nad magnesem. - Mam ci nabić pracowniczy rabat?

Pokręciłam głową.

- Nie kupuję jej. Tylko wypożyczam.

- Możesz to zrobić? - Oddała mi książkę.

- Jasne - skłamałam. - Kierowniczkom wolno.

Kilka minut później pokazałam swoją zdobycz Aubrey, na której nie zrobiło to wielkiego wrażenia, i puściłam sobie wodę do wanny. Kiedy wanna się napełniała, sprawdziłam wiadomości na sekretarce - zero - i przejrzałam pocztę, którą wyjęłam ze skrzynki, wchodząc do domu. Tu też nic ciekawego. Uspokojona, że nic już nie będzie mnie rozpraszać, rozebrałam się i zanurzyłam w wodzie, uważając, by nie zamoczyć książki. Aubrey, która przysiadła na szafce, obserwowała mnie spod zmrużonych powiek, zastanawiając się pewnie, dlaczego ktoś z własnej woli pławi się w wodzie, i to przez tak długi czas.

Uznałam, że mogę dziś przeczytać więcej niż pięć stron, skoro przez ostatnie dwa dni byłam pozbawiona lektury. Kiedy skończyłam piętnastą, odkryłam, że zostały ledwie trzy do końca rozdziału. Czemu nie doczytać do jakiegoś sensownego punktu? Kiedy skończyłam, westchnęłam i ułożyłam się wygodniej, zmęczona i spełniona. Czysta rozkosz. Książki są o wiele mniej kłopotliwe niż orgazmy.

Następnego ranka poszłam do pracy szczęśliwa i pełna energii. Koło południa Paige znalazła mnie w moim gabinecie - siedziałam właśnie na brzegu biurka i patrzyłam, jak Doug gra w sapera. Na jej widok zeskoczyłam na podłogę, a on pospiesznie zamknął grę.

Paige zignorowała Douga, wbijając wzrok we mnie.

- Chcę, żebyś coś zrobiła z Sethem Mortensenem.

Niespokojnie przypomniałam sobie swoje słowa o seksualnej niewolnicy.

- Co na przykład?

- Nie wiem. - Wzruszyła bezradnie ramionami. -

Cokolwiek. Jest nowy w mieście. Jeszcze nikogo nie zna, więc jego życie towarzyskie pewnie leży i kwiczy.

Biorąc pod uwagę jego wczorajszy chłód wobec mnie i trudności w prowadzeniu rozmowy, wcale by mnie to nie dziwiło.

- Zabrałam go na wycieczkę.

- To nie to samo.

- A jego brat?

- Co jego brat?

- Na pewno dba o jego życie towarzyskie.

- Dlaczego się tak opierasz? Myślałam, że jesteś jego fanką.

Byłam fanką - i to oddaną - dopóki się nie okazało, że czytanie powieści Seta i osobisty kontakt z nim to dwie zupełnie różne rzeczy. Pakt z Glasgow był niesamowity, podobnie jak e-mail, którego mi przysłał. Rozmowa na żywo... pozostawiała sporo do życzenia. Oczywiście nie mogłam powiedzieć tego Paige, więc jeszcze przez chwilę klóciłyśmy się na ten temat śledzone ciekawskim spojrzeniem Douga. W końcu uległam, wbrew rozsądkowi, przerażona perspektywą złożenia Sethowi takiej propozycji, a co dopiero faktycznego wyjścia z nim.

Kiedy wreszcie po południu zmusiłam się, by do niego podejść, byłam w pełni przygotowana na kolejną lekceważącą odprawę. Ale on oderwał się od pracy i spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Cześć - powiedział. - Jego nastrój zdawał się o niebo lepszy, więc uznałam, że wczoraj miał po prostu ciężki dzień.  
- Cześć. Jak ci idzie?  
- Nie najlepiej. - Postukał paznokciem w ekran laptopa, patrząc na tekst ze zmarszczonymi brwiami. - Sprawiają mi trochę kłopotów. Jakoś nie mogę uchwycić tej sceny. Umierałam z ciekawości. Złe dni z Cady i O'Neillem. Zawsze wyobrażałam sobie, że obcowanie z takimi postaciami musi być nieustanną, ekscytującą przygodą. Najlepszą pracą na świecie.

- W takim razie potrzebujesz przerwy. Paige się martwi o twoje życie towarzyskie. Jego brązowe oczy znów spojrzały na mnie.

- Tak? Jak to?

- Uważa, że za mało wychodzisz. Że jeszcze nie znasz nikogo w mieście.

- Znam mojego brata i jego rodzinę. I Mistee. - Umilkł. - No i ciebie.

- I bardzo dobrze, bo zamierzam zostać twoim oficerem kulturalno-oświatowym.

Usta Setha drgnęły lekko, ale pokręcił głową i zwrócił wzrok w stronę ekranu.

- To bardzo miłe z twojej strony i ze strony Paige, ale zupełnie niepotrzebne.

Nie spławiła mnie jak wczoraj, ale i tak poczułam się dotknięta, że moja wspaniałomyślna propozycja nie została przyjęta z wdzięcznością. Szczególnie że złożyłam ją pod przymusem.

- Oj, daj spokój - powiedziałam. - Co innego masz do roboty?

- Pisanie.

Z tym nie mogłam dyskutować. Pisanie powieści o Cady i O'Neillu było zbożnym dziełem. Kim byłam, by przeszkadzać ich twórcy? A jednak... Paige wydała polecenie, które samo w sobie było niemal jak boskie przykazanie. Przyszedł mi do głowy kompromis.

- Mógłbyś zrobić coś... no nie wiem, związanego ze zbieraniem materiałów. Do książki. Wilk syty i owca cała.

- Mam już wszystkie potrzebne materiały.

- A co z... pogłębianiem charakteru postaci?

Moglibyśmy

wybrać się do planetarium. - Cady fascynowała się astronomią.

Często pokazywała konstelacje i łączyła je przez jakąś symboliczną analogię z bieżącymi wydarzeniami. - Albo... albo...

na mecz hokeja? Potrzebujesz nowych pomysłów do meczów O'Neilla. Skończą ci się wcześniej czy później.

Pokręcił głową.

- Nie skończą. Zaczniemy od tego, że nigdy nie byłem na meczu hokejowym.

- Nie... Co? To jest... nie. Naprawdę?

Wzruszył ramionami.

- Więc... skąd czerpiesz informacje? Z telewizji?

- Znam podstawowe zasady. Podchwytyuję kawałki z Internetu i sklejam je do kupy.

Czułam się zdradzona. O'Neill miał totalną obsesję na punkcie drużyny Red Wings z Detroit. Hokejowa pasja kształtowała jego osobowość i znajdowała odzwierciedlenie w jego metodach działania: szybkich, skutecznych i czasem

brutalnych. Wierząc, że Seth jest drobiazgowy pod każdym względem, zakładałam, że wie wszystko o hokeju, skoro uczynił z niego tak ważną część życia swojego bohatera. Seth obserwował mnie zdezorientowany moją zapewne dość osłupiałą miną.

- Idziemy na mecz hokeja - oznajmiłam.

- Nie, nigdzie...

- Idziemy na mecz hokeja. Zaczekał chwilę.

Zbiegłam na dół, odciągnęłam Douga od komputera i znalazłam potrzebne informacje. Było tak, jak się spodziewałam. Thunderbirds właśnie rozpoczęli sezon.

- Szósta trzydzieści - oznajmiłam Sethowi parę minut później. - Spotkamy się przed halą Key Arena, przy głównym wejściu. Ja funduję bilety.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Szósta trzydzieści - powtórzyłam. - Będzie świetnie.

Zrobisz sobie przerwę i zobaczysz, jak na żywo wygląda mecz hokeja. Poza tym powiedziałaś, że masz dziś blokadę.

Przede wszystkim dzięki temu mogłam wypełnić zobowiązanie wobec Paige w sposób, który nie wymagał prowadzenia rozmowy. W hali będzie za głośno, a my będziemy zbyt zajęci meczem, żeby konwersować.

- Nie wiem, gdzie jest Key Arena.

- Stąd możesz dojść pieszo. Wystarczy kierować się na Space Needle. Jedno i drugie jest w centrum.

- Ale...

- Więc o której się spotykamy? - spytałam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Seth skrzywił się.

- O szóstej trzydzieści.

Po pracy wybrałam się pozajątwiać własne sprawy. Erik jeszcze się nie odezwał, nie miałam więc żadnego punktu

zaczepienia do dalszego węszenia w sprawie łowcy wampirów, a ludzki świat ma niestety swoje wymagania. W związku z tym poświęciłam większość popołudnia na uzupełnienie zapasu kociego jedzenia, kawy i wódki Grey Goose oraz obejrzenie nowej linii błyszczków na stoisku MAC. Kupiłam też tani regał do samodzielnego składania, by wreszcie gdzieś upchnąć grożące pożarem sterty książek w moim salonie.

Moja pracowitość nie zna granic.

Na kolację zjadłam indyjskie jedzenie i punktualnie o szóstej trzydzieści zjawiłam się przed Key Arena. Nigdzie nie widziałam Setha, ale nie wpadałam w panikę. Po centrum Seattle niełatwo się poruszać. Pewnie krążył gdzieś wokół Space Needle, próbując tutaj dotrzeć.

Kupiłam bilety i usiadłam na jednym z wielkich cementowych schodów. Powietrze było chłodne, więc wtuliłam się w po-lar, dodając mu trochę grubości za pomocą dyskretnej metamorfozy. Czekałam, obserwowałam ludzi. Pary, grupki facetów i podekscytowanych dzieci schodziły się, by kibicować dzielnej małej drużynie z Seattle. Ich mecze zawsze były widowiskowe.

O szóstej pięćdziesiąt zaczęłam się denerwować. Zostało jeszcze tylko dziesięć minut i martwiłam się, że Seth mógł zabłądzić na dobre. Wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do księgarni, żeby sprawdzić, czy przypadkiem tam nie siedzi. Powiedzieli mi że nie. Na szczęście Paige miała numer jego komórki. Zadzwoniłam do niego, ale połączyłam się tylko z pocztą głosową.

Zirytowana zatrzasnęłam telefon i skuliłam się jeszcze bardziej, by zachować ciepło. Wciąż mieliśmy czas. Poza tym to dobrze, że Setha nie było w księgarni. To oznaczało, że jest w drodze.

Wkrótce zrobiła się siódma i zaczął się mecz, a jego wciąż nie było. Jeszcze raz spróbowałam się do niego dodzwonić, po czym tęsknie spojrzałam na wejście do hali. Chciałam zobaczyć początek meczu. Seth może nie ogląda hokeja, ale ja tak, i lubię to. Nieustanny ruch i energia zawodników przykuwają moją uwagę bardziej niż w jakimkolwiek innym sporcie, nawet jeśli czasem robi mi się słabo na widok bójek. Nie chciałam tego przegapić, ale nie chciałam też, żeby Seth poczuł się zagubiony, kiedy przyjdzie i nie zostanie mnie w umówionym miejscu.

Odczekałam jeszcze piętnaście minut, słuchając odgłosów meczu, aż w końcu pogodziłam się z faktami.

Seth wystawił mnie do wiatru.

Nie do wiary. Nie zdarzyło mi się to od... ponad wieku. Byłam bardziej zdumiona niż zawstydzona czy rozgniewana. Cała ta dziwaczna historia po prostu nie mieściła mi się w głowie.

Nie, uznałam po chwili. Mylę się. Seth nie tryskał entuzjazmem, kiedy zaproponowałam wyjście na mecz, ale nie wystawiłby mnie tak po prostu. Gdyby miał nie przyjść, zadzwoniłby. Może... może stało się coś złego. Przecież mógł go potrącić samochód. Śmierć Duane'a pokazała, że nigdy nie sposób było przewidzieć, kiedy wydarzy się tragedia.

Dopóki nie wiedziałam nic konkretnego, jedyną tragedią był fakt, że przegapiam mecz. Jeszcze raz zadzwoniłam na komórkę Setha, tym razem zostawiając wiadomość z moim numerem i miejscem pobytu. W razie czego wyjdę po niego, pomyślałam. Weszłam do hali.

Kiedy tak siedziałam sama pośród tłumu, miałam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Nagle poczułam smutek. Obok siedziało kilka par, a grupka facetów wciąż na mnie zerkąta, od czasu do czasu szturchając jednego, który pewnie chciał mnie zagadnąć. Nie przeszkadzało mi, że jestem podrywana,



ale to, że wyglądam, jakbym tego potrzebowała. Nie umawiam się na randki z własnego wyboru, ale to nie oznacza, że nie mogłabym tego zrobić, gdyby mi się zachciało. Nie podoba mi się, kiedy ludzie odbierają mnie jako zdesperowaną i samotną. Czuję się tak ^starczające często i bez potwierdzenia z zewnątrz.

W pierwszej przerwie kupiłam sobie na pociechę corndoga. Szukając w torebce drobnych, znalazłam karteczkę z numerem telefonu Romana. Gapiłam się na nią, jedząc. Przypomniałam sobie jego upór i jak fatalnie się czułam, odmawiając mu. Moje nagłe, bolesne poczucie opuszczenia podsycało potrzebę, by spędzić z kimś czas, udowodnić sobie, że mogę mieć życie towarzyskie, jeśli tylko zechcę. Już miałam wybrać numer, kiedy odezwał się mój wewnętrzny głos rozsądku, przypominając, że właśnie łamię złożone sobie dziesiątki lat temu przyrzeczenie, że nie będę się umawiać z miłymi facetami. Są lepsze sposoby wykorzystania wolnego biletu na mecz hokeja, przypominał mi głos. Na przykład Hugh albo wampiry. Zaproszenie któregoś z nich będzie bezpieczniejsze.

Ale... oni traktują mnie jak siostrę i choć kocham ich jak rodzinę, w tej chwili nie chciałam być siostrą. Poza tym spotkanie z Romanem nie byłoby prawdziwą randką. Chodziło mi tylko o towarzystwo. Zresztą te same środki ostrożności, które zachowywałam przy spotkaniach z Sethem - brak fizycznego kontaktu - były skuteczne i w przypadku Romana. Będzie całkowicie bezpieczny. Wybrałam numer.

- Halo?

- Znudziło mi się przechowywanie twojego płaszcza.

Ustyszałam jego śmiech na drugim końcu linii.

- Myślałem, że już go wyrzuciłaś.
- Zwariowałaś? To Kenneth Cole. A poza tym tak naprawdę nie dlatego dzwonię.
- Domyśliłem się.
- Masz ochotę obejrzeć mecz hokeja?
- Kiedy się zaczyna?
- Eee, czterdzieści minut temu.

Pauza godna Seta.

- I dopiero teraz postanowiłaś mnie zaprosić?
- No... osoba, z którą się umówiłam, nie przyszła...
- Więc teraz dzwoniysz do mnie?
- Cóż, bardzo chciałaś się umówić.
- Tak, ale... chwileczkę. Jestem drugi w kolejce?
- Nie odbieraj tego w ten sposób. Pomyśl raczej, że no, nie wiem, zajmujesz stanowisko kogoś, kto nie mógł go objąć.
- Jak pierwsza wicemiss Ameryki?
- Słuchaj, przychodzisz czy nie?
- Kusząca propozycja, ale jestem w tej chwili zajęty. I to nie jest wykręt. - Znowu chwila milczenia. - Ale wpadnę do ciebie po meczu. Nie, to nie tak miało być.
- Po meczu ja jestem zajęta.
- Ty i twój nieobecny macie jakieś plany?
- Ja... nie. Muszę... poskręcać regał. To mi chwilę zajmie. Ciężka praca, wiesz.
- Jestem doskonałym majsterkowiczem. Do zobaczenia za dwie godziny.
- Zaraz, nie możesz... - Rozłączył się.

Zamknęłam oczy, przerażona, otworzyłam je i wróciłam do obserwowania akcji na lodowisku. Co ja narobiłam?

Po meczu, przygnębiona, wróciłam do domu. Radość ze zwycięstwa miejscowej drużyny nie złagodziła niepokoju, że będę miała Romana w mieszkaniu.

- Aubrey - powiedziałam, przekroczywszy próg. - Co ja

mam zrobić?

Ziewnęła, odstawiając maleńkie kły. Pokręciłam głowę zirytowana jej brakiem zainteresowania.

- Nie mogę się schować pod łóżkiem tak jak ty. On się na to nie nabierze.

Obie podskoczyłyśmy, słysząc pukanie do drzwi. Przez pół sekundy zastanawiałam się, czy jednak nie wleźć pod łóżko, ale w końcu wpuściłam Romana. Aubrey przyglądała mu się przez chwilę, po czym - najwyraźniej nie mogąc znieść widoku boga seksu w naszym mieszkaniu - umknęła do sypialni. Roman, w swobodnym stroju, stał w holu z sześcioramiem sprite'a, dwiema torbami nachos i... pudełkiem płatków śniadaniowych.

- Lucky charms? - zapytałam.

- Magicznie przepyszne - wyrecytował. - Niezbędne przy wszelkiego rodzaju pracach konstruktorskich.

Pokręciłam głowę, wciąż zdumiona, jak genialnie zdołał się tu wkręcić.

- To nie jest randka.

Posłał mi oburzone spojrzenie.

- Naturalnie. Na randkę przyniósłbym Hrabiego

Czokulę.

- Mówię poważnie. To nie randka - upierałam się.

- Tak, tak. Załapałem. - Położył prowiant na blacie w kuchni i odwrócił się do mnie. - To gdzie ten regał? Bierzmy się do roboty.

Wciąż trochę niespokojna odetchnęłam z ulgą, widząc jego rzeczowe podejście. Żadnego flirtu, żadnych prób podrywu. Tylko szczerą przyjacielską chęć pomocy. Skręci mi regał i pójdzie sobie.

Rozerwaliśmy wielkie pudło, wyciągając z niego półki i ścianki oraz najróżniejsze zaczepy i wkręty. Instrukcja była dość uboga, zawierała głównie tajemnicze rysunki ze strzałkami,

wskazującymi, gdzie mają się znajdować poszczególne części mebla. Po kilku minutach uważnego studiowania instrukcji, zdecydowaliśmy, że należy zacząć od największej dechy, czyli pleców. Położyliśmy je na podłodze i umieściliśmy na nich półki i ścianki. Kiedy wszystko było poukładane, Roman pozbiierał wkręty i przyjrzał się miejscom połączeń poszczególnych elementów.

Obejrzał wkręty, zajrzał do pudełka, i ponownie obejrzał regał.

- Dziwne.

- Co jest dziwne?

- Zdaje się... takie składaki przeważnie mają dziurki w deskach, a producent załącza mały śrubokręcik do wkrętów. Pochyliłam się nad deskami. Zero dziurek. Zero śrubokręcików.

- Będziemy musieli wkręcić je na siłę.

Kiwnął głową.

- Mam gdzieś śrubokręt.

Przyjrzał się drewnu.

- To się chyba nie uda. Zdaje się, że potrzebujemy wiertarki.

Ogarnął mnie nabożny podziw dla jego znajomości ciężkiego sprzętu.

- Tego na pewno nie mam.

Popędziliśmy do wielkiego sieciowego marketu z narzędziami i wyposażeniem domu. Wpadliśmy do środka dziesięć minut przed zamknięciem. Udręczony sprzedawca wskazał nam dział z wiertarkami, po czym uciekł truchtem, ostrzegając, że nie mamy wiele czasu.

Narzędzia elektryczne gapiły się na nas tępo. Spojrzałam na Romana, szukając pomocy.

- Nie mam pojęcia - przyznał po długiej chwili milczenia.

- Podobno jesteś doskonałym majsterkowiczem.

- No... cóż... - Zrobił głupią minę, zupełnie nie w jego stylu. - Trochę przesadziłem.

- Znaczy kłamstwo?

- Nie. Przesada.

- To to samo.

- Nieprawda.

Odpuściłam sobie kwestie semantyczne.

- Więc dlaczego to powiedziałaś?

Pokręciła żałośnie głową.

- Po części dlatego, że chciałem cię znów zobaczyć. A poza tym... sam nie wiem. Powiedziałaś, że masz coś trudnego do

zrobienia, więc chciałem pomóc.

- Jestem pańcią w opałach? - zażartowałam.

Przyjrzał mi się z poważną miną.

- Skąd. Ale jesteś kimś, kogo chciałbym lepiej poznać, i chciałem ci pokazać, że chodzi mi o coś więcej niż tylko o zaciągnięcie cię do łóżka.

- Więc gdybym zaproponowała ci seks, tu, w tej alejce, odmówiłbyś mi? - spytałam kokieteryjnie, zanim zdążyłam ugryźć się w język. To był mechanizm obronny: zażartowałam, żeby pokryć uczuciowy zamęt, jaki wywołała we mnie jego szczerą odpowiedź. Większość facetów naprawdę chce tylko zaciągnąć mnie do łóżka. Nie bardzo wiedziałam, co robić z takim, który nie chciał.

Dzięki mojemu żarcikowi atmosfera się rozluźniła. Roman znów stał się pewnym siebie, uroczym mężczyzną, a ja niemal pożałowałam zmiany nastroju, którą wymusiłam. Byłam ciekawa, co mogłoby z tego wyniknąć.

- Musiałbym ci odmówić. Zostało nam tylko sześć minut.

Wykopaliby nas, zanim byśmy skończyli. - Z nową energią zajął się wiertarkami. - A co do moich rzekomych umiejętności majsterkowania - dodał - błyskawicznie się uczę, więc nie przesadziłem aż tak bardzo. Nim wieczór dobiegnie końca, będę mistrzem.

Nie była to prawda.

Wybraliśmy wiertarkę na chybił trafił i wróciliśmy do domu. Roman zabrał się do ustawiania elementów regału i skręcania ich w całość. Przypasaował jedną z półek do pleców, ustawił wkręt i zaczął wiercić.

Wkręt wszedł pod kątem, w ogóle nie trafiając w półkę.

- Jasna cholera - zaklął Roman.

Podeszłam i krzyknęłam przerażona, widząc wkręt sterczący z pleców mojego regału. Wyjęliśmy go i przyjrzelśmy się ponuro paskudnej dziurze, która po nim została.

- Pewnie zasłonią ją książki - stwierdziłam.

Roman zacisnął usta i spróbował jeszcze raz. Tym razem wkręt złapał półkę, ale i tak wszedł pod kątem, i to ostrym. Roman wyjął go i wreszcie, za trzecim razem, wkrcił jak należy. Niestety, ta sama historia powtórzyła się przy kolejnych wkrętach. Patrząc, jak w plecach pojawia się dziura za dziurą, zapytałam w końcu, czy mogę sama spróbować. Roman machnął, zrezygnowany, i oddał mi wiertarkę. Przyłożyłam wkręt, zaparłam się i wkrciłam go idealnie przy pierwszej próbie.

- Jezu - powiedział. - Jestem tu zbędny. To ja jestem pańcią w opałach.

- No coś ty. Przyniosteś płatki.

Dokończyłam przykręcanie półek. Przyszła kolej na ścianki. Plecy miały małe znaczkę, które powinny pomóc w ich dopasowaniu. Przyjrzałam się im uważnie i spróbowałam ustawić ścianki na właściwym miejscu.

Okazało się to niemożliwe i szybko odkryłam, dlaczego. Mimo mojego perfekcyjnego wkręcania wszystkie półki były zamocowane krzywo - niektóre sterczały za bardzo na prawo, inne na lewo. Ścianki nie pokrywały się z krawędziami pleców. Roman klapnął na kanapę i potarł dłonią oczy.

- Boże drogi.

Schrupałam garść lucky charms i zamyśliłam się.

- No trudno. Przykręcimy je najlepiej, jak się da.

- To coś w życiu nie utrzyma książek.

- Być może. Ale zrobimy, co w naszej mocy.

Spróbowałam z pierwszą ścianką i choć zajęło to mnóstwo czasu i wyglądało okropnie, z grubsza nadawało się do użytku. Przeszliśmy do drugiej ścianki.

- Chyba czas przyznać, że nie jestem w tym najlepszy - stwierdził Roman. - Ale ty masz do tego dryg. Prawdziwa damska złota rączka.

- No nie wiem. Jedyne, do czego mam dryg, to miganie się od pracy. A i tak ledwo wyrabiam się z obowiązkami.

- Mówisz, jak ktoś mocno zmęczony życiem. Dużo masz tych obowiązków?

Omal się nie udławiłam, tłumiąc śmiech, na myśl o moim drugim życiu sukuba i jego wymaganiach.

- Można tak powiedzieć. Ale chyba każdy ma?

- Oczywiście, ale trzeba je równoważyć rzeczami, które chcesz robić. Nie dać się przytłoczyć temu, co się musi. Inaczej życie nie ma sensu. Staje się tylko walką o przetrwanie.

Dokręciłam śrubę.

- Sypiesz dzisiaj głębokimi przemyśleniami, Kartezjuszu.

- Nie bądź taka dowcipna. Mówię poważnie. Czego naprawdę chcesz? Od życia? Od przyszłości? Nie mów mi, że planujesz już zawsze pracę w księgarni?

- Przez jakiś czas, owszem. A co? Jest w tym coś złego?

- Nie. Tylko że to takie zwyczajne. Jakbyś chciała tylko wypełnić czas.  
Uśmiechnęłam się.

- Z całą pewnością tak nie jest. A nawet gdyby było, człowiek potrafi czerpać radość również ze zwyczajnych rzeczy.

- Tak, ale większość ludzi pielęgnuje marzenia o ciekawszych zajęciach. Takich, które są zbyt szalone, by rozważać je na poważnie, zbyt trudne, wymagają zbyt dużo pracy albo są po prostu zbyt odjechane. Pracownik stacji benzynowej marzy, by zostać gwiazdą rocka. Księgowa żałuje, że nie poszła na historię sztuki zamiast na rachunkowość. Ludzie odkładają marzenia na półkę albo dlatego, że uważają je za niewykonalne, albo łudzą się, że zrealizują je w przyszłości. Przerwał pracę. Jego twarz znowu przybrała poważny wyraz.

- A czego ty chcesz, Georgino Kincaid? Jakie jest twoje szalone marzenie? O czym fantazjujesz w sekrecie, choć uważasz, że to niemożliwe?

Szczerze mówiąc, najbardziej tęsknię za normalnym związkiem, za tym, by kochać i być kochaną bez nadprzyrodzonych komplikacji. Taki drobiazg, pomyślałam smutno, w porównaniu z jego wspaniałymi przykładami. Moje marzenie wcale nie jest szalone, tylko niemożliwe do spełnienia. Nie wiem już nawet, czy pragnę miłości, aby zadośćuczynić za małżeństwo, które zniszczyłam, czy po prostu dlatego, że długie życie nauczyło mnie, iż miłość daje odrobinę większe spełnienie niż samo słuzenie ciału. Oczywiście i to ma swoje plusy. Bycie wielbioną i pożądaną jest kuszące - pragnie tego większość śmiertelnych i nieśmiertelnych. Ale kochanie i pożądanie to jednak nie to samo.



Logicznym wyjściem wydawałyby się związki z innymi nieśmiertelnymi, ale słudzy piekieł nie są odpowiednimi kandydatami, jeśli szuka się stałości i zaangażowania. W ciągu wieków miałam kilka zadowolających związków z takimi mężczyznami, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło.

Nie miałam zamiaru wyjaśniać tego wszystkiego Romanowi. Zamiast tego przyznałam się do drugiego co do ważności marzenia. Sama byłam zaskoczona, jak wielką miałam ochotę się nim podzielić. Mężczyźni nie pytają mnie zwykle, czego pragnę od życia. Większość jest zainteresowana tylko tym, w jakiej pozycji chcę to zrobić.

- Gdybym nie pracowała w księgarni, a zapewniam cię, że jestem tam bardzo szczęśliwa, chciałabym być choreografką rewii w Las Vegas.

Roman uśmiechnął się szeroko.

- No widzisz? O takim właśnie walniętym marzeniu mówię. - Pochylił się do przodu. - Więc co ci przeszkadza rzucić się w wir nagich piersi i cekinów? Ryzyko? Strach przed skandalem? Przed ludzkimi językami?

- Nie - odparłam smutno. - To, że najzwyczajniej w świecie nie potrafię tego robić.

- „Nie potrafię” to tylko...

- Chodzi mi o to, że nie umiem tworzyć układów choreograficznych. Próbowalam. Nie umiem... właściwie niczego nie potrafię stworzyć. Nie jestem kreatywna.

- Nie wierzę - rzucił drwiąco.

- Ale to prawda.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że tworzenie nie jest dla nieśmiertelnych. To domena śmiertelników, którzy pragną pozostawić jakiś ślad swojej krótkiej egzystencji. Ale znam nieśmiertelnych, którzy to potrafią. Peter wiecznie coś pichci. Hugh używa skalpela tak jak rzeźbiarz dłuta. A ja? Jako śmiertelna też nie byłam kreatywna. Mam jakiś defekt.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się starałam robić twórcze rzeczy. Chodziłam na kursy malarstwa. Na lekcje muzyki. We wszystkim byłam beznadziejna. W najlepszym razie jestem kopistką cudzego geniuszu.
- Majsterkowanie szło ci całkiem nieźle.
- Cudzy projekt, cudze wskazówki. W tym jestem doskonała. Jestem inteligentna. Umiem myśleć. Czytam w ludziach, doskonale się z nimi dogaduję. Umiem kopiować, odtwarzać właściwe ruchy i kroki. Na przykład oczy. - Wskazałam je. - Umiem zrobić makijaż lepiej niż niejedna ekspedientka w sklepie kosmetycznym. Ale pomysły i kolorystykę biorę od innych, ze zdjęć w czasopismach. Sama nie potrafię niczego wymyślić. Rewie w Vegas? Mogłabym w nich tańczyć i byłabym świetna. Serio. Mogłabym być gwiazdą każdego występu, tańcząc cudzą choreografię. Ale sama nie potrafię ułożyć żadnej sekwencji, niczego dobrego. Ścianka regału była gotowa.
- Nie wierzę - upierał się Roman. Jego żarliwy sprzeciw jednocześnie zaskoczył mnie i zachwycił. - Jesteś bystra i żywi płowa. I ponadprzeciętnie inteligentna. Musisz dać sobie szansę. Zaczynaj od małych rzeczy i idź dalej.
- Pewnie teraz powiesz mi, że powinnam uwierzyć w siebie. Że jeśli zechcę, sięgnę gwiazd.
- Nie. Teraz powiem ci, że robi się późno i muszę iść. Twój regał jest gotowy, a ja spędziłem uroczy wieczór. Wstaliśmy i podnieśliśmy regał, opierając go o ścianę salonu. Cofnęliśmy się o kilka kroków i przez chwilę przyglądaliśmy się mu w milczeniu. Nawet Aubrey pofatygowała się na inspekcję. Wszystkie półki były przykręcone krzywo. Z jednej strony ścianka prawie pokrywała się z krawędzią pleców, z drugiej widniała półcentymetrowa szpara. W plecach świeciło sześć dziur. A co najbardziej zdumiewające, całość zdawała się lekko chylić w lewo.

Zacęłam się śmiać. Nie mogłam przestać. Po pierwszym szoku Roman przyłączył się do mnie.

- Boże kochany - powiedziałam wreszcie, ocierając łzy. - To najbrzydszy mebel, jaki w życiu widziałam.

Roman otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale zmienił zdanie.

- Całkiem możliwe. - Zasalutował. - Ale chyba wytrzyma, kapitanie.

Rzuciliśmy jeszcze parę żarcików i odprowadziłam go do drzwi, w ostatniej chwili przypominając sobie, żeby oddać mu płaszcz. Mimo żartów wydawał się o wiele bardziej przejęty naszą porażką z regałem niż ja, jakby w jakiś sposób mnie zawiódł. O dziwo, wydało mi się to bardziej pociągające niż jego błyskotliwe odzywki czy brawurowe zaloty. Choć, oczywiście, i nimi byłam zachwycona. Przyglądałam mu się, kiedy mówiliśmy sobie dobranoc, dumając o jego rycerskości i żarliwej wierze w sens moich prób spełniania marzeń. Lęk, towarzyszący mi, ilekroć przebywam z ludźmi, których lubię, odrobinę zelżał.

- Teraz, nie powiedziałeś mi, jakie jest twoje szalone marzenie.

Morskie oczy zmieniły się w szparki.

- Nie jest takie znów szalone. Nadal chcę umówić się z tobą na randkę.

Nie takie znów szalone. Zupełnie jak moje. Pragnienie bliskości ponad sławę i pieniądze. Zaryzykowałam.

- W takim razie... co robisz jutro?

Poweselał.

- Jeszcze nic.

- Więc przyjdź do księgarni tuż przed zamknięciem.

Prowadzę lekcję tańca. - Na lekcji tańca będzie mnóstwo ludzi. To kompromis bezpieczny dla nas obojga.

Jego uśmiech odrobinę przygaśł.

- Lekcję tańca?

- Masz z tym jakiś problem? Wycofujesz się ze wspólnego wyjścia?
- Nie, ale... to coś takiego jak w Vegas? Będziesz cała w błyskotkach? Bo to mogłoby mi się spodobać.
- Niezupełnie.  
Wzruszył ramionami. Czar bił z niego jak światło z latarni morskiej.
- Trudno. To zostawimy sobie na drugą randkę.
- Nie. Nie będzie drugiej randki, pamiętasz? Tylko jedna, a potem pa. Nie zobaczymy się więcej. Sam tak powiedziałeś. Słowo supertajnego harcerza... czy jak to tam było.
- Wtedy też mogłem przesadzać.
- Nie. To by było kłamstwo.
- A. - Puścił do mnie oko. - Więc to jednak nie to samo?
- Ale... - Zatkąła mnie ta logika.  
Uklonił się zawadiacko i odszedł.
- Do zobaczenia, Georgino.  
Miałam nadzieję, że nie popełniłam błędu. Wróciłam do mieszkania i zastałam Aubrey na jednej z krzywych pótek.
- Uważaj - ostrzegłam ją. - To chyba nie jest zbyt solidne.  
Choć było późno, nie czułam się zmęczona. Nie po wariackim wieczorze z Romanem. Byłam nakręcona, jego obecność ożywiła moje ciało i umysł. W przyptywie inspiracji zgoniłam Aubrey z regału i zaczęłam przenosić moje książkowe piramidy. Z każdym dodatkowym kilogramem obciążenia spodziewałam się katastrofy, ale mebel wytrzymał.  
Kiedy dotarłam do książek Setha Mortensena, przypomniał mi się kataklizm, który doprowadził do tego, że spędziłam wieczór właśnie w taki sposób. Poczułam złość. Seth przez cały czas nie odezwał się nawet słówkiem. Wciąż było

możliwe, że potrącił go samochód, ale jakoś w to wątpiłam. Facet zwyczajnie mnie wystawił.

Przez moment miałam ochotę kopnąć za karę jego książki, ale nie mogłam się na to zdobyć. Za bardzo je kochałam. Nie było sensu karać je za wady ich twórcy. Ogarnięta tęsknotą wzięłam do ręki Pakt z Glasgow, nagle nie mogąc się doczekać następnych pięciu stron. Zostawiłam resztę książek na podłodze i usadowiłam się na kanapie z Aubrey u stóp. Kiedy dotarłam do końca piątej strony, odkryłam coś fascynującego. Cady zainteresowała się kimś, w romantycznym sensie. O'Neill, czarujący podrywacz, wiecznie się z kimś zabawiał. Cady pozostawała cnotliwa i czysta, niezależnie od erotycznych żartów i insynuacji, którymi przrzucali się z O'Neillem. Do tej pory w powieści nie wydarzyło się nic konkretnego w tym temacie, ale rozpoznawałam nieomylnie sygnały, że coś dzieje się między nią a śledczym, którego poznali w Glasgow.

Czytałam dalej zżerana ciekawością. A im dalej czytałam, tym trudniej było mi przestać. Wkrótce zaczęłam czerpać sekretną, irracjonalną przyjemność z łamania zasady pięciu stron. Jakbym w jakiś sposób odgrywała się na Secie. Noc płynęła. Cady przespała się ze śledczym, a O'Neill zrobił się dziwnie zazdrosny i zaczął świrować, choć maskował to czarem. Jasna cholera. Wstałam z kanapy, włożyłam piżamę i zwinęłam się w łóżku. Aubrey przyszła za mną. Czytałam dalej. Skończyłam książkę o czwartej nad ranem, wykończona, z czerwonymi oczami. Cady spotkała się z tamtym jeszcze parę

razy. W tym czasie rozwiązała z O'Neillem zagadkę, po czym rozstała się ze Szkotem. Ona i O'Neill wrócili do Waszyngtonu i wszystko było jak dawniej. Zagadka jak zwykle była fascynująca, ale nagle wydała się mniej ciekawa w porównaniu z osobistymi perypetiami bohaterów.

Westchnęłam i odłożyłam książkę na podłogę. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć, głównie z powodu zmęczenia. Mimo to podjęłam heroiczny wysiłek: wstałam z łóżka, wyjęłam laptop i załogowałam się na moje firmowe konto e-mailowe. Wysłałam Sethowi zwięzłą wiadomość: „Cady zaliczyła. Co to ma być?” Po namyśle dopisałam: „A tak przy okazji, mecz był świetny”. Zadowolona, że wyraziłam swoje zdanie, natychmiast zasnęłam. .. by zerwać się parę godzin później na dźwięk budzika.

## Rozdział 10

Gdzie ja miałam głowę? Przecież muszę iść dzisiaj do pracy. A co gorsza, muszę tam być za dziesięć minut. Nie miałam czasu na ubranie się i makijaż. Z ciężkim westchnieniem przeobraziłam się, zamieniając szlafrok na szare spodnie i bluzkę w kolorze kości słoniowej. Przy okazji zrobiłam sobie idealną fryzurę i makijaż. Mycia zębów i perfumowania się nie da się sfingować, więc wykonałam to w tradycyjny sposób, złapałam torebkę i wybiegłam z mieszkania.

W foyer zawołał mnie portier.

- Mam coś dla pani. - Wręczył mi płaską paczkę.

Pamiętając, że mam mało czasu, pospiesznie rozdarłam opakowanie. Stłumiłam okrzyk na widok pudełka z zestawem do samodzielnego malowania. Napis na opakowaniu głosił: „Stwórz własne arcydzieło, wypełniając numerowane pola! Zestaw zawiera wszystko, czego potrzebujesz, by malować jak prawdziwy mistrz!” Arcydzieło, które mogłam stworzyć, przedstawiało

pustynny pejzaż z gigantycznym kaktusem po lewej i wyjącem kojotem po prawej stronie. Po niebie szybował orzeł, a niedaleko niego polatywała widmowa, pozbawiona ciała głowa Rdzennego Amerykanina. Całość była strasznie banalna i kiczowata.

Do pudełka przyklejona była karteczka. „Zaczynaj od małych rzeczy. Całusy, Roman”. Miał piękny charakter pisma. Kiedy dotarłam do księgarni, nadal się śmiałam. Weszłam do swojego gabinetu i usadowiwszy się przed komputerem, odkryłam drugą niespodziankę: kolejnego e-maila od Setha. Wysłał go o piątej rano.

„Georgino, kilka lat temu, kiedy pisałem Złoto bogów, na wykładach z archeologii Ameryki Południowej poznałem pewną dziewczynę. Nie wiem, jak to wygląda u kobiet; pewnie nawet u mężczyzn nie zawsze jest tak samo. Ale kiedy ja poznaję kogoś, kto mi się podoba, czas się zatrzymuje. Planety tworzą koniunkcję, zapiera mi dech w piersi. Anieli zstępują z nieba, siadają na moich ramionach i szepczą obietnice miłości i oddania, a ciemniejsze istoty szepczą obietnice ziemskich, bardziej pierwotnych rozkoszy. To chyba jest wpisane w bycie mężczyzną.

Tak czy inaczej, właśnie to przydarzyło mi się z tą dziewczyną. Mocno się w sobie zakochaliśmy i spotykaliśmy się z przerwami przez bardzo długi czas. Bywały dni, kiedy nie potrafiliśmy się rozstać nawet na minutę, a potem mijały miesiące bez żadnego kontaktu. Muszę wyznać, że te okresy rozłąki wynikały raczej z mojej niż z jej winy. Wspominałem już, że Cady i O'Neill są wymagający. W czasie, kiedy intensywnie zajmowałem się pisaniem, nie byłem w stanie myśleć ani robić nic, co nie miałooby związku z powieścią. Wiedziałem, że to ją rani - wiedziałem, że jest osobą, która chce się ustatkować, założyć rodzinę i prowadzić spokojne,

poukładane życie. Ja nie byłem kimś takim - nie jestem pewien, czy i teraz jestem - ale podobał mi się pomysł, by zawsze mieć kogoś blisko, kogoś na stałe, kogo będę mógł przywołać, kiedy wreszcie znajdę czas. Pozostawianie jej w ciągłym zawieszeniu było naprawdę nie fair. Powinienem być to przerwać na samym początku, ale byłem zbyt samolubny i wygodny.

Któregoś dnia - po tym, jak nie odzywałem się do niej przez kilka miesięcy - zadzwoniłem i osłupiałem, słysząc, że telefon odebrał mężczyzna. Kiedy wzięta słuchawkę, powiedziała mi, że poznała kogoś innego i już nie będzie mogła się ze mną widywać. Stwierdzenie, że byłem w szoku, byłoby niedopowiedzeniem. Zacząłem szaleć, przekonywać, jak bardzo mi na niej zależy, złościć się, że tak po prostu przekreśliła to, co było między nami. Przyjęła to wszystko całkiem spokojnie, biorąc pod uwagę, że zrobiłem z siebie kompletnego psychola, ale w końcu zamknęła sprawę, mówiąc, iż nie mogłem oczekiwać, że będzie czekała w nieskończoność. Miała własne życie i chciała się nim cieszyć. Powód, dla którego dzielę się z tobą tą żenującą opowieścią, jest dwojaki. Po pierwsze, chcę cię przeprosić za wczorajszy wieczór. Mimo mojego marudzenia naprawdę zamierzałem się z tobą spotkać. Dwie godziny przed meczem pobiegłem po coś do domu i nagle przyszło mi do głowy rozwiązanie zagwozдки, która nie dawała mi spokoju przez cały dzień. Usiadłem do pisania, zamierzając poświęcić na to tylko godzinę. Jak zapewne się domyślasz, zeszło mi dłużej. Tak wsiąknęłem, że zupełnie zapomniałem o meczu i o tobie. Nie słyszałem dzwoniącego telefonu. Nie istniało dla mnie nic prócz konieczności przelania słów na papier (czy raczej na ekran).

Obawiam się, że często miewam ten problem. Zdarzało się to z moją byłą, zdarza się z rodziną i, niestety, zdarzyło się z



tobą. Mój brat do dziś nie może mi darować, że o mało nie przegapiłem jego ślubu. Słowa i ludzie w mojej głowie są dla mnie tak żywi, że tracę poczucie rzeczywistości. Czasami nie jestem nawet pewien, czy to świat Cady i O'Neilla nie jest tym prawdziwym. Nie ranie ludzi celowo i potem zawsze czuję się fatalnie, ale jest to wada, której nie potrafię przezwyciężyć. To wszystko oczywiście nie jest żadnym usprawiedliwieniem mojego wczorajszego zachowania, ale mam nadzieję, że da ci niejaki wgląd w mój niezrównoważony sposób widzenia świata. Proszę, uwierz, że bardzo mi przykro.

Drugim powodem tych wspominków jest twój komentarz, że Cady „zaliczyła”. Zastanawiając się nad nią i nad O'Neillem, uznałem, że Cady również nie jest osobą, która chciałaby czekać w nieskończoność. Nie zrozum mnie źle - Cady i moja eks nie mają ze sobą nic wspólnego. Cady nie pragnie zamieszkać na przedmieściu i wybierać zasłonek z O'Neillem. Ale jest kobietą inteligentną i pełną pasji, która kocha życie i nie chce odkładać go na później. Wiele osób zdenerwowało się, że porzuciła rolę oddanej i cnotliwej służki O'Neilla, ale moim zdaniem musiała to zrobić. Spójrzmy prawdzie w oczy: O'Neill przyzwyczał się do jej stałej obecności w swoim życiu i potrzebował takiej pobudki. Czy to oznacza, że przygotowuję się do połączenia ich na dobre, jak pyta wielu czytelników? Oczywiście jako ich twórca milczę jak grób, ale mogę powiedzieć tyle: planuję jeszcze wiele książek z nimi w roli głównej, a czytelnicy zwykle tracą zainteresowanie, kiedy bohaterowie stają się parą.

Seth

PS - A tak przy okazji, kupiłem to mieszkanie. Mistee była tak podniecona, że wzięła mnie na miejscu i kochaliśmy się na granitowych blatach kuchennych.

PPS - No dobra, to ostatnie wymyśliłem. Jak już wspomniałem, jestem mężczyzną. I pisarzem".

Z powiekami wciąż ciężkimi od niewyspania leniwie zastanawiałam się nad treścią listu. Seth miał dziewczynę na poważnie. Rany. To nie powinno mnie dziwić, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę łóżkowe sceny, które pisał. Nie mógł ich przecież wszystkich wymyślić. Mimo to trudno mi było wyobrazić sobie introwertycznego Setha w sytuacjach wymagających emocjonalnego zaangażowania, jakie są na porządku dziennym w stałym związku.

I ta druga część - powody, dla których się nie zjawił. Nie wiedziałam, co o nich myśleć. Miał rację, mówiąc, że przyłytyw natchnienia go nie usprawiedliwia. Mimo to jego wyjaśnienie trochę złagodziło wydzwięk całej sytuacji, zmieniając go z niewychowanego w bezmyślnego. Nie, bezmyślny to za mocne słowo. Roztargniony, o tak. Może roztargnienie nie jest aż tak wielkim przestępstwem, dumałam, skoro ignorowanie rzeczywistego świata pozwala mu pracować nad tym książkowym. Sarna nie wiedziałam.

Rozmyślałam o tym wszystkim przez resztę przedpołudnia. Moja złość z poprzedniego wieczoru stygła chłodzona mijającym czasem i spekulacjami na temat meandrów umysłu genialnego pisarza. W południe zorientowałam się, że rozdrażnienie z powodu hokejowego incydentu całkiem mi przeszło. Seth nie wystawił mnie celowo, a mój wieczór ostatecznie okazał się nie najgorszy.

Późnym popołudniem do mojego gabinetu wszedł Warren.

- Nie - powiedziałam natychmiast, widząc znajomy wyraz jego oczu. Nie cierpię jego odgórnego założenia, że zawsze jestem chętna, a jednak wciąż dziwnie mnie ono pociąga. - Jestem w fatalnym nastroju.

- To ci go poprawię.

- Jestem naprawdę wściekła.
- Lubię, kiedy jesteś wściekła. - Instynkt żerowania sukuba zaczął się budzić. Przełknęłam ślinę, zła na siebie za własną słabość.
- Poza tym jestem zajęta. Mam mnóstwo... rzeczy... do zrobienia. - Moja wymówka nie zabrzmiała zbyt przekonująco. Warren najwyraźniej to dostrzegł.

Podszedł do mnie, ukląkł przed moim krzesłem i pogłaskał mnie po udzie. Miałam na sobie cienkie jedwabne spodnie, i dotyk jego palców przez gładki materiał był niemal bardziej zmysłowy niż na nagiej skórze.

- Jak ci się udała sobotnia randka? - wymruczał, przysuwając usta do mojego ucha, a potem schodząc nimi na szyję.

Posłusznie przechyliłam głowę mimo szczerej chęci stawienia oporu. Podobało mi się, kiedy jego usta stawały się coraz bardziej natarczywe, zęby drażniły skórę. Trudno go nazwać moim chłopakiem, ale nasza znajomość daje mi przynajmniej namiastkę stałego związku. To coś znaczy.

- Dobrze.
- Pieprzyłaś się z nim?
- Nie. Spałam sama, niestety.
- I dobrze.
- Ale dzisiaj tu przyjdzie. Na lekcję tańca.
- Naprawdę? - Warren rozpiął dwa górne guziki mojej bluzki, odsłaniając blad różowy koronkowy biustonosz.

Koniuszki

jego palców obrysowały kontur mojej piersi, biegnąc wzdłuż wypukłości do miejsca, gdzie spotykała się z drugą. Przesunął dłoń na drugą pierś i zaczął się bawić sutkiem przez koronkę. Zamknęłam oczy zaskoczona narastającym podnieceniem. Myślałam, że po tym, jak pomogłam Hugh domknąć kontrakt z Martinem, długo nie będę potrzebowała kolejnej dawki. Ale

głód delikatnie szarpnął moim wnętrzem do spótki z  
pożądaniem. Czysty instynkt. - Przedstawimy go Marli.  
Maria jest żoną Warrena. Pomysł oddania jej Romana był  
przekomiczny.

- Mówisz, jakbyś był zazdrosny - zażartowałam.  
Przyciągnęłam go do siebie, a on pchnął mnie na biurko.  
Przesunęłam  
ręce, żeby rozpiąć mu spodnie.

- Bo jestem - mruknął. Pochylił się, ściągnął mi  
biustonosz w dół, żeby odstonić piersi, i opuścił usta ku  
jednemu z sutków. Zawahał się. - Na pewno się z nim nie  
pieprzyłaś?

- Chybabym pamiętała.  
Rozległo się pukanie do drzwi. Warren odskoczył ode mnie,  
podciągając spodnie.

- Cholera.

Ja też wstałam i wróciłam na krzesło. Widząc, że Warren  
patrzy na drzwi, przeobraziłam się szybciotko, porządkując  
ciuchy i zapinając guziki. Kiedy obydwójce wyglądaliśmy  
przyzwyczajenie, zawołałam:

- Proszę.

Drzwi otworzył Seth. Zatkąło mnie.

- Cześć - powiedział Seth, spoglądając niepewnie na  
Warrena i na mnie. - Nie chciałem przeszkadzać.

- Nie, nie, nie przeszkadzasz - zapewnił go Warren,  
przełączając się na tryb public relations. - Mieliliśmy tylko  
krótką naradę.

- Nic ważnego - dodałam. Warren postąpił mi rozbawione  
spojrzenie.

- Ach tak - odparł Seth. Wciąż wyglądał, jakby chciał  
zwiąć. - Przyszedłem tylko spytać, czy może... miałabyś ochotę  
na lunch. Bo... napisałem ci, co się stało.

- Tak, czytałam. Dzięki.

Uśmiechnęłam się do niego. Chciałam mu dać w ten sposób do zrozumienia, że wszystko mu wybaczyłam. Jego zmartwiona mina była tak żałosna, że byłam pewna, iż jego sumienie wycierpiało o wiele więcej niż moje ego wczoraj wieczorem.

- Doskonały pomysł - huknął Warren. - Chodźmy wszyscy na lunch. Georgina i ja możemy porozmawiać później.

- Ja nie mogę.

Przypomniałam mu, że mamy braki w personelu i dlatego muszę zostać w księgarni. Nachmurzył się, kiedy skończyłam.

- Dlaczego nikogo nie zatrudniliśmy?

- Pracuję nad tym.

Skończyło się na tym, że Warren zabrał Setha na lunch -czym ten ostatni wydawał się potwornie spłoszony - a ja zostałam sama z poczuciem opuszczenia. Chętnie posłuchałabym, co jeszcze Seth ma do powiedzenia o konflikcie między sztuką a życiem. Może czułabym się lepiej, gdyby Warren jednak mnie bzyknął. Niestety, ani jedno, ani drugie nie było mi pisane. Ach, niesprawiedliwość losu.

Najwyraźniej szczęście całkiem mnie opuściło, bo około czwartej w księgarni pojawiła się Tammi - rudowłosa dziewczyna z Krystal Starz - rozwiązując moje problemy kadrowe. Tak jak sugerowałam, przyprowadziła koleżankę. Po krótkiej rozmowie uznałam, że mają odpowiednie kwalifikacje. Zatrudniłam je z miejsca zadowolona, że jedno zadanie mam odfajkowane.

Nadeszła pora zamknięcia księgarni. Niedobór snu coraz mocniej dawał mi się we znaki i nie byłam w nastroju na prowadzenie lekcji tańca.

Musiałam się przebrać, zamknęłam więc drzwi gabinetu i za pomocą przemiany postaci po raz drugi tego dnia zmieniłam ubranie. Jak zawsze, czułam się przy tym jak oszustka. Na

tańce wybrałam sukienkę bez rękawów, obcisłą u góry i powiewną na dole - w sam raz do obrotów. Miałam nadzieję, że zlewające się odcienie brzoskwini i pomarańczy poprawią mi nastrój. Oby tylko nikt nie zauważył, że rano nie przyniosłam ze sobą ciuchów na zmianę.

W głośnikach pod sufitem usłyszałam, jak jeden z kasjerów ogłasza zamknięcie sklepu. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Zawołałam „proszę” ciekawa, czy to znowu Seth, ale tym razem zjawił się Cody.

- Hej - powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu. – Jesteś gotowy?

Nauczyłam Cody'ego tańczyć swinga jakiś rok temu. Złapał dryg zdumiewająco szybko, zapewne dzięki wampirzemu refleksowi. Skutek był taki, że nie zważając na jego protesty, zatrudniłam go jako drugiego trenera na moich zaimprovizowanych lekcjach dla personelu. Wciąż twierdził, że nie jest dość dobry, ale podczas dwóch lekcji, w których wziął udział do tej pory, okazał się zdumiewająco przydatny.

- Co? Do tańca? Spoko.

Rozejrzałam się po korytarzu, by sprawdzić, czy jesteśmy sami.

- Zdarzyło się jeszcze coś dziwnego?

Cody potrząsnął grzywą jasnych włosów.

- Nie. Zupełny spokój. Chyba trochę spanikowałam.

- Lepiej dmuchać na zimne - poradziłam mu, czując się jak nadopiekuńcza babcia. - Co robisz potem?

- Spotykam się z Peterem w barze w mieście. Chcesz iść z nami?

- Jasne. - W grupie byłibyśmy bezpieczniejsi.

Drzwi się otworzyły i do środka zajrzał Seth.

- Hej... och, przepraszam - wyjąkał, dostrzegając Cody'ego. - Nie chciałem przeszkadzać.

- Nie, nie - odparłam, kiwając ręką, by wszedł. - Tylko rozmawialiśmy. - Spojrzałam na niego zaciekawiona. - Co ty tu jeszcze robisz? Zostajesz na lekcję?

- Eee, no, to znaczy, Warren mnie zaprosił... ale raczej nie będę tańczył. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Nie będziesz tańczył? To co będziesz robił, patrzył? - zapytałam groźnie. - Jak jakiś podglądacz?

Seth spojrzał na mnie kpiąco. Wreszcie zaczął przypominać faceta, który rzucał dowcipne uwagi na temat agentek nieruchomości i byłych dziewczyn. Jak facet, z którym kiedyś nawiązałam kulawy flirt.

- Nie jestem aż tak zdesperowany. W każdym razie jeszcze nie. Poza tym jest bezpieczniej, kiedy nie tańczę. Dla ludzi wokół mnie.

- Ja też tak mówiłem, dopóki mnie nie zmusiła, żebym spróbował - stwierdził Cody, klepiąc mnie po ramieniu. - Po-czekaj tylko, aż znajdziesz się w rękach Georginy. Już nigdy nie będziesz taki sam.

Zanim którekolwiek z nas zdążyło zareagować na tę dwuznaczną uwagę, za Sethem pojawił się Doug w swoim cywilnym wcieleniu członka grunge'owej kapeli.

- Hej, to jedziemy z tą imprezą czy jak? Przyszedłem dziś tylko na twoją lekcję, Kincaid, więc lepiej się postaraj, żeby ta wycieczka była warta mojego czasu. Hej, Cody.

- Hej, Doug.

- Hej, Seth.

- Hej, Doug.

Jęknęłam.

- Bierzmy się do rzeczy.

Poszliśmy do kawiarni, gdzie personel przesuwiał już stoliki, żeby zrobić miejsce. Po drodze przedstawiłam Sethowi Cody'ego i vice versa. Uścisnęli sobie dłonie. Młody wampir

spojrzał na mnie znacząco, kiedy uświadomił sobie, że to „ten” Seth.

- Na pewno nie będziesz tańczyć? - zapytałam pisarza wciąż zdziwiona jego oporami.

- Nie. Jakoś nie mam ochoty.

- Po głównianym dniu, jaki dziś miałam, też nie mam wielkiej ochoty prowadzić tego cyrku, ale trzeba sobie radzić. Przyklejasz uśmiech na twarz i robisz swoje. Wiesz, co mam na myśli? Seth wyglądał na zdezorientowanego. Posłał mi tylko speszony blady uśmiech. Po chwili i on przygasł.

- Powiedziałaś, że dostałaś e-maila... no więc... czy on... czy...

- Nie ma sprawy. Zapomnij o tym. - Jego dziwaczne zwyczaje towarzyskie różniły się od moich, ale nie mogłam znieść, że facet wciąż się gryzie wczorajszym wieczorem. - Naprawdę.. - Poklepałam go po ramieniu, uśmiechnęłam się promiennie i zajęłam tym, co działo się na piętrze.

Większość personelu z dzisiejszej zmiany kręciła się po kawiarni wraz z kilkoma osobami, które, podobnie jak Doug, przyjechały specjalnie na lekcję. Byli też Warren i jego żona. No i Roman.

Kiedy mnie zobaczył, podszedł, uśmiechając się, a ja poczułam lekki przyptyw podniecenia, niezależny od instynktu sukuba. Przystojny jak zwykle, miał na sobie czarne spodnie i turkusową koszulę pasującą do koloru jego oczu.

- Grupowa randka, co?

- Dla mojego bezpieczeństwa. Zawsze uważałam, że warto mieć pod ręką parę tuzinów przyzwoitek.

- W tej sukience będziesz ich potrzebowała parę setek - ostrzegł cicho, pożerając mnie wzrokiem.

Zarumieniłam się i odsunęłam od niego.



- Będziesz musiał poczekać na swoją kolejkę, jak wszyscy.

Odwracając się od niego, niespodziewanie uchwyciłam spojrzenie Setha. Było oczywiste, że słyszał tę krótką wymianę zdań. Coraz bardziej czerwona uciekłam od nich obu na środek sali, ciągnąc za sobą Cody'ego.

Przybrałam radosną minę, wyparłam z pamięci ciężki dzień i wyszczerzyłam zęby, słysząc wesole okrzyki i wiwaty moich współpracowników.

- Zaczynamy, kochani. Doug trochę się spieszy i chce mieć to jak najszybciej z głowy. O ile wiem, to dla niego standard w wielu sprawach, szczególnie w miłości. - Odpowiedziały mi zarówno pochwalne, jak i besztające okrzyki grupy i obsceniczny gest Douga. Jeszcze raz przedstawiłam Cody'ego, który czuł się przed publicznością mniej swobodnie niż ja, i zaczęłam ustawiać

grupę. Jak zwykle mieliśmy więcej kobiet niż mężczyzn i dużą rozpiętość, jeśli chodzi o umiejętności. Skompletowałam pary według ostatniego kryterium, dobierając bardziej zaawansowane kobiety ze sobą - bo wiedziałam, że na użytek kursu będą w stanie tańczyć po „męskiej” stronie, a potem z łatwością wejdą w swoją rolę. Nie we wszystkich pokładałam takie zaufanie. Nie-którzy kursanci wciąż mieli problemy z utrzymaniem rytmu.

Zaczęłam lekcję od powtórki z ostatniego razu. Włączyłam muzykę i kazałam wszystkim przećwiczyć podstawowe kroki. Cody i ja obserwowaliśmy tańczących, wprowadzając drobne poprawki i sugerując to czy owo. Moje napięcie po męczącym dniu ustępowało w miarę upływu lekcji. Uwielbiam swinga - pokochałam go, kiedy tylko pojawił się w początkach XX wieku, i byłam zachwycona, kiedy ostatnio powrócił do łask.

Wiedziałam, że znów wyjdzie z mody, i między innymi dlatego, chciałam przekazać swoje umiejętności innym.

Nie znając poziomu Romana, przydzieliłam go Paige, dość wprawnej tancerce. Po minucie obserwacji podeszłam do nich i pokręciłam głową.

- Ty kanciarzu - zbeształam go. - Udawałeś podenerwowanego tańcami, a tak naprawdę jesteś zawodowcem.
- Robiłem to parę razy - przyznał skromnie, wykonując z Paige obrót, którego ich jeszcze nie uczyłam.
- Przestań. Rozdzielam was. Wasze umiejętności są potrzebne gdzie indziej.
- No coś ty - rzuciła błagalnie Paige. - Pozwól mi go zatrzymać. Najwyższa pora, żebyśmy mieli tu faceta, który wie, co robi.

Roman zerknął na mnie znacząco.

- To ona powiedziała, nie ja.

Przewróciłam oczami i przydzieliłam im nowych partnerów. Jeszcze przez chwilę obserwowałam salę, zadowolona z umiejętności całej grupy. Uznawszy, że wiele już nie poprawię, postanowiłam iść dalej. Z pomocą Cody'ego zaczęłam ich uczyć wykopów. Zgodnie z przewidywaniami natychmiast rozpętał się chaos. Bardziej utalentowani szybko podchwycili krok, ci, którzy wcześniej mieli problemy, nadal się z nimi borykali. Byli też tacy, którzy nieźle radzili sobie z podstawowymi krok-mi i obrotami, a teraz kompletnie się pogubili.

Cody i ja chodziliśmy między tancerzami, próbując ograniczać szkody i oferując słowa mądrości.

- Beth, napręż nadgarstek... ale nie za mocno, bo zrobisz sobie krzywdę.
- Licz, do diabła! Licz! Rytm jest taki sam, jak przedtem.

- Trzymaj się przodem do partnerki... nie zgub jej.  
Rola nauczycielki całkowicie mnie pochłonęła i czułam się genialnie. Kogo obchodzi łowcy wampirów i odwieczna walka dobra ze złem?  
Dostrzegłam Setha siedzącego z boku.
- Hej, podglądaczu, nadal chcesz tylko patrzeć? -  
rzuciłam  
szyderczo, zdyszana i podniecona od biegania po  
zaimprovizowanym parkiecie.  
Pokręcił głową, przyglądając mi się z lekkim uśmiechem.
- Jest na co popatrzeć.  
Wstał z krzesła i pochylił się do przodu. Przestraszyłam się trochę, kiedy wyciągnął rękę i poprawił ramiączko sukienki, które zjechało mi z ramienia. Jego gest był dziwnie znajomy.
- No - oznajmił. - Idealnie.  
Delikatny dotyk jego ciepłych palców sprawił, że poczułam na ręce gęsią skórę. Jego twarz przybrała wyraz, jakiego wcześniej nie widziałam. Przez ułamek sekundy wyglądał nie jak roztrzepany pisarz, a jak... mężczyzna. Pełen podziwu. Rozważający swoje możliwości. Może nawet drapieżny. Wrażenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, ale i tak poczułam się zbита z tropu.
- Pilnuj tego ramiączka - ostrzegł mnie cicho Seth. -  
Niech facet sobie na to zapracuje. - Lekkim ruchem głowy wskazał grupkę tańczących. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam, jak Roman pokazuje jednej z barmanek skomplikowany krok. Przez chwilę podziwiałam jego pełne gracji ruchy. Potem znów odwróciłam się do Setha.
- To nie jest takie trudne. Mogę cię nauczyć. - Uniosłam rękę, zapraszając go.  
Widać było, że się waha, ale w ostatniej chwili pokręcił głową.
- Zrobiłbym z siebie głupka.  
- Ach tak, a samotne siedzenie tutaj, kiedy wszyscy inni

tańczą, i na dodatek brakuje nam mężczyzn? Tak, to wcale nie wygląda głupio.

Roześmiał się cicho.

- Może.

Nie doczekawszy się dalszych wyjaśnień, wzruszyłam ramionami i wróciłam na parkiet. Cody i ja wprowadziliśmy kilka nowych trików i pomogliśmy niektórym w ćwiczeniach, po czym wreszcie odsunęliśmy się na bok, by podziwiać naszych uczniów.

- Myślisz, że są gotowi do Moondance? - zapytał.

Moondance Lounge to klub z salą balową, w którym odbywają się głównie swingowe wieczorki taneczne. Ustaliliśmy, że pojawienie się tam naszej grupy będzie ukoronowaniem kursu.

- Myślę, że przyda im się jeszcze jedna lekcja. Potem będą mogli pokazać się ludziom.

Czyjeś ramię schwyciło mnie w pasie i pociągnęło na parkiet. Szybko odzyskałam równowagę i złapałam krok. Roman zakręcił mną w skomplikowanym obrocie. Kilka osób w pobliżu stanęło, by popatrzeć.

- Teraz moja kolej. Też chcę pobyć pupilkiem pani profesor - skarcił mnie. - Prawie cię nie widziałem przez cały wieczór. To się chyba nie liczy jako randka.

Pozwoliłam poprowadzić się w tańcu ciekawa, jak dobry jest naprawdę.

- Ciągłe zmieniasz zdanie - zaczęłam marudzić. - Najpierw chcesz wychodzić, teraz mówisz, że tak naprawdę chcesz być ze mną sam na sam. Musisz się na coś zdecydować. Określ się jakoś.

- Ach, rozumiem. Dzięki za radę. - Spróbował ze mną trudniejszej figury. Wykonałam ją bezbłędnie, czym zasłużyłam

sobie na spojrzenie podziwu. - Pewnie nie ma tu gdzieś „Instrukcji obsługi Georginy Kincaid”, żebym mógł w przyszłości uniknąć takiej wpadki.

- Sprzedajemy je na dole.  
- Tak? - Teraz zaczął improwizować kroki, a ja z radością podjęłam wyzwanie, domyślając się z wyprzedzeniem, dokąd mnie poprowadzi. - A jest tam strona o tym, jak uwieść piękną Georginę?

- Strona? Do diabła, jest cały rozdział.  
- Lektura obowiązkowa, jak sądzę.  
- Oczywiście. Aha, dzięki za zestaw do malowania.  
- Mam nadzieję, że zobaczę twoje dzieło na ścianie, kiedy wpadnę następnym razem.

- Ten koszmarny folkowy kicz? Następnym razem zobaczysz go jako ruchomy cel na strzelnicy.

Na zakończenie efektownie mną zakręcił, ku zachwytowi wszystkich dookoła. Już dawno przestali tańczyć, żeby popatrzeć, jak robię z siebie widowisko. Czułam się trochę skrępowana, ale zignorowałam to, rozkoszując się chwilą. Ujęłam dłoń Romana, by ukłonić się głęboko przed bijącymi brawo współpracownikami.

- Przygotujcie się - oznajmiłam - bo tak będzie wyglądał egzamin w przyszłym tygodniu.

Wiwaty i śmiech trwały jeszcze chwilę, po czym grupa zaczęła się rozchodzić. Roman wciąż uparcie trzymał mnie za rękę, z palcami przeplecionymi przez moje. Nie miałam nic przeciwko temu, kiedy chodziliśmy tak po sali i żegnaliśmy się.

- Chcesz iść na drinka? - zapytał mnie, kiedy zostaliśmy na chwilę sami.

Odwróciłam się do niego i stanęłam bliźutko, patrząc w jego piękną twarz. W upale sali wyraźnie czułam jego feromony

mieszające się z zapachem wody kolońskiej. Miałam ochotę wtulić twarz w jego szyję.

- Chcę... - zaczęłam powoli, zastanawiając się, czy alkohol i zwierzęcy popęd to rozsądna kombinacja, jeśli chce się uniknąć pójścia z kimś do łóżka.

Spoglądając zza jego pleców, uchwyciłam spojrzenie Cody'ego. Był pogrążony w poważnej rozmowie z Sethem, co wydało mi się dziwne. Nagle przypomniałam sobie, że obiecałam iść z wampirami do baru.

- Do licha - mruknęłam. - Nie mogę. - Wciąż trzymając Komana za rękę, poprowadziłam go do Cody'ego i Seta. Przesiali rozmawiać.

- Poczułem się odstawiony na boczny tor - zażartował Cody. - Robiłaś z nim rzeczy, których mnie nie uczyłaś.

- Miałaś uczyć się sam, w ramach pracy domowej. - W zamyśleniu przechyliłam głowę. - Cody, Seth, znacie już Romana? - Szybko przedstawiłam ich sobie. Uprzejmie, po męsku, uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy mieliśmy już z głowy grzeczności, Roman swobodnie położył rękę na mojej talii.

- Próbuję wyciągnąć Georginę na drinka. Ale ona gra niedostępną.

Cody się uśmiechnął.

- Chyba jednak nie gra.

Spojrzałam przeproszająco na Romana.

- Obiecałam Cody'emu, że wyjdziemy dziś razem, z jeszcze jednym kolegą.

Młody wampir machnął ręką.

- Zapomnij o tym. Idź się zabawić.

- Ale... - Ugryzłam się w język i rzuciłam mu znaczące spojrzenie, jakiego nie powstydziliby się Jerome i Carter. Nie chciałam, żeby Cody wychodził sam i wystawiał się na cel

łowcy wampirów, ale nie mogłam tego przecież powiedzieć przy ludziach.

- Weź taksówkę - powiedziałam w końcu. - Nie idź pieszo.

- Okej - odparł machinalnie. Zbyt machinalnie.

- Mówię poważnie - ostrzegłam.

- Tak, tak - mruknął. - A zamówisz mi?

Przewróciłam oczami i nagle przypomniałam sobie o Secie.

Poczułam się trochę głupio, że tak stoi przy nas, kiedy wszyscy planujemy sobie wieczór. Zastanawiałam się, czy mam go sama zaprosić, czy posłać z Codym.

Seth chyba czytał mi w myślach, bo rzucił chłodno:

- No to do zobaczenia. - Odwrócił się i odszedł, zanim którekolwiek z nas zdążyło odpowiedzieć.

- Pogniewał się czy co? - zapytał Cody po chwili.

- On już taki jest - wyjaśniłam, niepewna, czy kiedykolwiek go zrozumiem.

- Dziwny jakiś. - Roman zwrócił się do mnie. - To jak, gotowa do wyjścia?

Seth szybko wyparował mi z głowy. Poszliśmy do małej knajpki vis-a-vis księgarni i usiedliśmy po tej samej stronie stolika w osłoniętej niszy. Ja zamówiłam ulubioną wódkę z limonką, a on brandy.

Kiedy przyniesiono nam drinki, Roman zapytał:

- Powinienem być zazdrosny o któregoś z tych gości?

Roześmiałam się.

- Za słabo się znamy, żebyś uzurpował sobie prawo do zazdrości. Nie bądź taki prędko.

- Pewnie masz rację - stwierdził. - Ale musisz przyznać, że sławni pisarze i mili młodzi tancerze to doborowe towarzystwo.

- Cody nie jest taki młody.

- Dość młody. To bliski przyjaciel?

- Dość bliski. Nie w romantycznym sensie, jeśli wciąż do tego pijesz. - Przysunęliśmy się do siebie i żartobliwie szturchnęłam go w bok. - Przestań się martwić o moich znajomych.

Porozmawiajmy o czymś innym. Opowiedz mi o swoich lingwistycznych zainteresowaniach.

Powiedziałam to dla żartu, ale on całkiem serio zaczął mówić o swojej specjalności, którą, jak na ironię, były języki klasyczne. Naprawdę znał się na rzeczy i opowiadał o tym tak samo dowcipnie i inteligentnie, jak flirtował. Z zapalem włączyłam się do dyskusji, ciesząc się, że mam okazję porozmawiać na tematy, o których niewiele osób ma pojęcie. Niestety, musiałam hamować swój zapal, by nie pokazać, do jakiego stopnia jestem z nimi obeznana. Mogłoby wyglądać trochę dziwnie, gdyby zastępca kierownika księgarni miała większą wiedzę w tej dziedzinie niż człowiek, który zajmował się nią zawodowo.

Podczas naszej fascynującej rozmowy Roman i ja nie przestawaliśmy się dotykać - łokciami, dłońmi, nogami. Ani razu nie spróbował mnie pocałować, za co byłam mu wdzięczna, bo byłoby to kuszenie losu. Jak dla mnie była to randka doskonała - prowadziliśmy stymulującą dyskusję i mieliśmy tyle kontaktu fizycznego, na ile sukub mógł sobie bezpiecznie pozwolić. Nasza flirciarska rozmowa toczyła się bez wysiłku, jakbyśmy czytali scenariusz.

Nasz „drink” w mgnieniu oka dobiegł końca i zanim się obejrzałam, znów staliśmy na ulicy, żegnając się i umawiając na kolejną randkę. Próbowaliśmy protestować, ale oboje widzieliśmy, jak słaby jest mój opór. Roman wciąż utrzymywał, że jestem mu winna spotkanie z prawdziwego zdarzenia, bez przyzwrotek. Stojąc tak z nim, rozgrzana jego bliskością, sama byłam zaskoczona, jak bardzo chcę tej randki. Problem z zapewnieniem bezpieczeństwa porządnym



facetom jest taki, że zawsze w końcu zostaję sama. Patrząc na Romana, stwierdziłam, że chcę odsunąć ten moment w czasie - jeszcze trochę.

Zgodziłam się więc z nim umówić, ignorując ostrzegawczą lampkę, jak zapaliła się w mojej głowie. Jego twarz poweselała, a ja pomyślałam, że chciałabym, żeby spróbował mnie pocałować. Moje serce zabiło szybciej na tę myśl, jednocześnie wystraszone i niecierpliwe.

Niestety, moja wcześniejsza paplanina o tym, że nie chcę zbyt bliskości, najwyraźniej do niego dotarła. Pottrzymała mnie tylko za rękę, by w końcu musnąć mój policzek. Trudno to nawet nazwać całusem. Roman zniknął wśród ulic Queen Anne, a ja przeszłam pół przecznicy do swojego mieszkania. Kiedy dotarłam pod drzwi, znalazłam przyklejoną do nich kartkę. Na wierzchu widniało moje imię, pięknie wykaligrafowane grubą kreską. Wstrząsnął mną zimny dreszcz. Treść listu brzmiała:

„Jesteś piękną kobietą, Georgino. Dość piękną, by skusić anioła do upadku - co nie zdarza się tak często, jak powinno. Ale twoja uroda nie wymaga wysiłku, skoro możesz ją kształtować wedle woli. Na nieszczęście, twój roślony przyjaciel nie posiada tej umiejętności, a to wielka szkoda po tym, co się dziś stało. Dobrze się składa, że pracuje w odpowiednim fachu, by naprawić ubytki w swoim wyglądzie”.

Popatrzyłam na list, jakby zaraz miał mnie ugryźć. Oczywiście, nie był podpisany. Zerwałam go z drzwi, wpadłam do mieszkania i złapałam za telefon. Bez zastanowienia wybrałam numer Hugh. Wzmianki o „roślonym przyjacielu” i „odpowiednim fachu” mogły się odnosić tylko do niego. Jego telefon dzwonił i dzwonił, aż włączyła się automatyczna sekretarka. Poirytowana zadzwoniłam na komórkę. Po trzech sygnałach odezwał się nieznajomy, kobiecy głos.

- Czy jest tam gdzieś Hugh Mitchell? - zapytałam.  
Długa chwila ciszy.
- Hugh... nie może teraz rozmawiać. A kto dzwoni, jeśli wolno spytać?
- Georgina Kincaid. Jestem jego przyjaciółką.
- Tak, mówił mi o pani. Z tej strony Samantha.  
To imię nic mi nie mówiło i nie miałam czasu na grzeczności.
- Więc czy mogę z nim porozmawiać?
- Nie... -Jej głos był spięty, niespokojny. - Georgino, stało się coś złego...

Szpitalne to koszmarnie miejsca, zimne i sterylne. Boleśnie przypominają o kruchości życia śmiertelników. Na myśl, że Hugh tutaj leży, robiło mi się niedobrze. Stłumiłam jednak to uczucie, biegnąc korytarzami do pokoju, którego numer podała mi Samantha.

Kiedy dotarłam na miejsce, znalazłam Hugh leżącego cicho w łóżku, w szpitalnej koszuli, posiniaczonego i zabandażowanego. Obok łóżka, trzymając go za rękę, siedziała jasnowłosa kobieta. Odwróciła się, zaskoczona, kiedy wpadłam do pokoju.

## Rozdział 11

- Georgina - powiedział Hugh, uśmiechając się słabo. - Miło, że zajrzałaś.

Smukła blondynka o łagodnych oczach, zapewne Samantha, przyjrzała mi się niespokojnie i mocniej ścisnęła dłoń Hugh. Domyśliłam się, że to ta dwudziestolatka z pracy. Jej nienaturalnie duże piersi potwierdziły moje podejrzenia.

- W porządku - uspokoił ją. - To moja przyjaciółka, Georgina. Georgino, poznaj Samanthę.

- Cześć - powiedziałam, wyciągając rękę. Ucisnęła ją. Jej dłoń była zimna i zrozumiałam, że jej zdenerwowanie nie wynika z poznania mnie, a raczej z przejęcia przygodą Hugh. To było wzruszające.

- Skarbie, zostawisz nas na chwilę samych? Może idź do kafejki i kup sobie coś do picia? - Przemawiał do niej łagodnym, troskliwym tonem, jakim raczej nie zwracał się do nas, kiedy szlajaliśmy się po pubach.

Samantha spojrzała na niego niespokojnie.

- Nie chcę cię zostawiać samego.

- Nie będę sam. Muszę po prostu porozmawiać z Georgina. Poza tym ona ma, ee, czarny pas karate. Nic mi nie grozi.

Zrobiłam minę za jej plecami, kiedy się zastanawiała.

- W porządku... zadzwoń, gdybyś mnie potrzebował, dobrze? Zaraz przybiegnę.

- Oczywiście - obiecał, całując jej dłoń.

- Będę tęsknić.

- Ja bardziej.

Wstała, jeszcze raz zerknęła na mnie niepewnie i wyszła z pokoju.

Przez chwilę patrzyłam za nią, po czym zajęłam jej miejsce przy Hugh.

- Co za słodycz. Czuję, jak robią mi się dziury w zębach.
- Aleś ty zgorzkniała. To pewnie dlatego, że sama nie potrafisz tworzyć poważnych związków ze śmiertelnikami. Jego żart zabolął mnie mocniej niż powinien, ale nadal miałam w głowie Romana.
- Poza tym - ciągnął - jest trochę poruszona tym, co się dzisiaj stało.
- No, wyobrażam sobie. Jezu. Spójrz na siebie. Przyjrzałam się uważniej jego obrażeniom. Spod niektórych opatrunków wyglądały szwy, a tu i ówdzie kwitły wielkie atramentowe sińce.
- Mogło być gorzej.
- Czyżby? - spytałam z przekąsem. Nigdy nie widziałam tak poranionego nieśmiertelnego.
- Owszem. Po pierwsze, mogłem zginąć, a nie zginąłem. Po drugie, goję się równie łatwo jak ty. Żałuj, że mnie nie widziałaś po południu, kiedy mnie przywieźli. Teraz tylko trzeba błyskawicznie mnie stąd wydostać, zanim ktoś zauważy, jak szybko dochodzę do siebie.
- Jerome o tym wie?
- Oczywiście. Zadzwońiłem do niego, ale już wcześniej to wyczuł. Spodziewam się go lada chwila. On cię zawiadomił?
- Niezupełnie - przyznałam, wahając się, czy pokazać list. - Co się stało? Kiedy zostałeś zaatakowany?
- Nie pamiętam zbyt wielu szczegółów. - Hugh wzruszył lekko ramionami, co nie było zbyt wygodne dla leżącego. Podejrzywałam, że opowiadał tę historię już paru osobom. - Wyszedłem na kawę. Byłem sam na parkingu i kiedy wracałem, ten... ktoś, bo chyba był sam, po prostu skoczył na mnie i zaczął bić. Bez ostrzeżenia.
- Chyba?

Zmarszczył brwi.

- Nie dałem rady się przyjrzeć. Ale był duży, tyle wiem. I silny. Cholernie silny. O wiele silniejszy niżbym się spodziewał. Hugh sam nie jest ułomkiem. Owszem, nie ćwiczy i nie bardzo dba o swoje ciało, ale jest potężny i nabity.

- Dlaczego przestał? - zapytałam. - Ktoś was tam zastał?

- Nie, nie wiem, czemu przestał. W jednej chwili bił mnie i chlastał nożem, a w następnej już go nie było. Dopiero po jakichś piętnastu minutach ktoś się zjawił i pomógł mi.

- Ciągłe mówisz „on”. Myślisz, że to był mężczyzna?

Znow spróbował wzruszyć ramionami.

- Tak naprawdę to nie wiem. Po prostu takie odniosłem wrażenie. Równie dobrze mogła to być seksowna blondynka.

- Tak? Mam wypytać Samanthę?

- Według Jerome'a nie powinnaś nikogo wypytywać.

Rozmawiałaś z Erikiem?

- Tak... sprawdza dla mnie parę rzeczy. Potwierdził też, że łowcy wampirów nie mogą zabić mnie czy ciebie, i nie słyszał o żadnej istocie, która byłaby do tego zdolna.

Hugh zamyslił się.

- Ten ktoś mnie nie zabił.

- A myślisz, że chciał?

- Na pewno starał się mnie uszkodzić. Myślę, że gdyby mógł mnie zabić, toby to zrobił.

- Ale nie mógł - odezwał się głos za moimi plecami - bo, jak już powiedziałem, łowca wampirów może co najwyżej narobić wam nieprzyjemności.

Odwrociłam się wystraszona dźwiękiem głosu Jerome'a.

Przestraszyłam się drugi raz, widząc obok niego Cartera.

- Kto ma grać adwokata diabła, jeśli nie Jerome - zażartował anioł.

- Co ty tu robisz, Georgino? - zapytał lodowato Jerome. Ostupiałam. Dopiero po chwili zdołałam się odezwać.

- Jak... jak to robisz?

Carter stał w drzwiach, jak zwykle ubrany w koszmarne łachy. Jeśli Doug i Bruce wyglądają jak członkowie grunge'owej kapeli, anioł wygląda, jakby rzeczona kapela wywaliła go na zbity pysk. Uśmiechnął się krzywo.

- Jak co robię? Jak wymyślam dowcipne teksty nawiązujące do demonicznej natury Jerome'a? Prawda jest taka, że zwykle mam kilka przygotowanych...

- Nie. Nie to. Nie czuję cię... nie mogę cię poczuć... –  
Moje oczy widziały Cartera, ale nie czułam tego potężnego identyfikatora, aury, która zwykle bije od nieśmiertelnego. Odwróciwszy się do Jerome'a, zdałam sobie sprawę, że z nim jest podobnie. - Ani ciebie. Nie czuję żadnego z was. I wtedy, wieczorem, też nie czułam.

Anioł i demon spojrzeli sobie w oczy ponad moją głowę.

- Umieemy to maskować - powiedział wreszcie Carter.

- Jak to działa? Jak pstryczek od światła? Możecie to włączać i wyłączać?

- To trochę bardziej skomplikowane.

- Tak czy inaczej, to dla mnie nowość. My też tak możemy? Hugh i ja?

- Nie - odparli chórem Carter i Jerome. Jerome rozwinął temat. - Potrafią to tylko wyżsi nieśmiertelni.

Hugh z wysiłkiem spróbował się podnieść.

- A... dlaczego to robicie?

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Georgie - przypomniał mi Jerome, wyraźnie unikając tematu. Spojrzał na diablika. - Mówiłem ci, żebyś nie kontaktował się z resztą.

- Nie kontaktowałem się. Sama przyszła.

Jerome znów spojrzął na mnie, więc wygrzebałam z torebki tajemniczy list i podałam mu go. Przeczytał wiadomość z kamienną twarzą i przekazał Carterowi. Kiedy anioł skończył,

on i Jerome znów spojrzeli na siebie znacząco. Jerome schował list do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Hej, to moje.

- Już nie.

- Tylko nie mów, że będziesz się trzymał tej pociesznej historyjki o łowcy wampirów - wypaliłam.

Jerome zmrużył oczy i spojrzął na mnie przebiegle.

- A dlaczego nie? Ten ktoś pomylił Hugh z wampirem, ale, jak już wydedukowałam, Sherlocku, nie mógł go zabić.

- Myślę, że ten ktoś wiedział, że Hugh nie jest wampirem.

- Tak? Skąd taki wniosek?

- Z listu. Jego autor wspomina o mojej zdolności przemiany postaci. Wie, że jestem sukubem. Zapewne wie też, że Hugh jest diablikiem.

- Wie, że jesteś sukubem, i dlatego cię nie zaatakował. Wiedział, że nie da rady cię zabić. Ale co do Hugh nie był pewny, więc zaryzykował.

- Używając noża - przypomniałam mu. „Skąd wiadomo, że demon kłamie? Bo porusza ustami”. - Podobno oficjalna wersja jest taka, że jeśli jakiś łowca rzuca się z kołkiem na kogo popadnie, to nie zna się na rzeczy. Nagle okazuje się, że ten ktoś wie, kim jestem, a Hugh zaatakował nożem. Carter stłumił ziewnięcie i przyłączył się do gierki Jerome'a.

- Może szybko się uczy. Wiesz, poszerza swój arsenał. Przecież nikt nie pozostaje amatorem na zawsze. Nawet łowcy wampirów w końcu mądrzeją.

Podskoczyłam, uświadamiając sobie pewien drobiazg, o którym nikt do tej pory nie wspomniał.

- I nawet dzieci wiedzą, że wampiry nie wychodzą za dnia. O której cię napadnięto, Hugh?

Diablik zrobił dziwną minę.

- Późnym popołudniem. Jeszcze było jasno.

Spojrzałam triumfalnie na Jerome'a.

- Ten ktoś wiedział, że Hugh nie jest wampirem.

Jerome oparł się o ścianę i zupełnie niezmięszany zaczął zdejmować nieistniejące kłaczki ze swoich spodni. Dzisiaj jeszcze bardziej niż zwykle przypominał Johna Cusacka.

- I co z tego? Śmiertelni ulegają manii wielkości. Zabił jednego wampira i uznał, że wyda walkę reszcie sił zła zamieszkującej miasto. To niczego nie zmienia.

- Moim zdaniem to nie był śmiertelnik.

Jerome i Carter, oglądający od niechcienia różne rzeczy w pokoju, jak na komendę spojrzeli na mnie.

- Tak?

Przełknęłam ślinę, trochę speszona ich badawczymi spojrzeniami.

- No bo... sami jesteście przykładem, że wyżsi nieśmiertelni mogą stać się niewyczuwalni, a tego gościa nikt nie wyczuł. Poza tym spójrzcie na obrażenia Hugh. Erik powiedział, że śmiertelnicy nie mogą zadawać poważnych... - Ugryzłam się w język, zauważając swój błąd.

Carter zaśmiał się cicho.

- A niech cię, Georgie. - Jerome wyprostował się gwałtownie. - Mówiłem ci, że my się tym zajmujemy. Z kim jeszcze rozmawiałaś?

Jerome przestał ukrywać swoją aurę i poczułam moc pulsującą wokół niego. Przypomniała mi się scena z pewnego filmu science fiction, kiedy nagle otwierają się drzwi do kosmosu i próżnia zaczyna wsysać wszystkie śmieci. Cała zawartość w pokoju zdawało się lecieć w stronę Jerome'a, przyciągane coraz silniej. Moje nieśmiertelne zmysły postrzegały go jako gorejący stos przerażającej energii.



Skuliłam się przy łóżku Hugh, powstrzymując się od ostrożności oczu. Diablik położył dłoń na moim przedramieniu, ale nie wiem czy chciał dodać otuchy mnie, czy sobie.

- Z nikim. Przysięgam, z nikim innym. Zadałam Erikowi tylko parę pytań...

Carter stanął przed wściekłym demonem z anielsko spokojną twarzą.

- Wyluzuj. Świecisz jak latarnia morska, zdradzając się przed każdym nieśmiertelnym w promieniu dwudziestu kilometrów.

Jerome nie spuszczał ze mnie wzroku. Przenikliwość jego spojrzenia napełniła mnie prawdziwym lękiem po raz pierwszy od wieków. Nagle, jakby naprawdę wyłączył pstryczek, wszystko zniknęło. Znow był incognito, dla wszystkich wtajemniczonych i niewtajemniczonych. Jak zwykły śmiertelnik. Westchnął ciężko i rozmasował nasadę nosa.

- Georgie - powiedział w końcu. - Choć pewnie w to nie wierzysz, to nie jest jakaś wymyślna intryga, żeby zrobić ci na złość. Proszę, przestań mi się sprzeciwiać. Robimy to, co robimy, nie bez powodu. Naprawdę leży nam na sercu twoje dobro. Przekornie chciałam zapytać, czy demony mają serca, ale inne pytanie wydało mi się ważniejsze.

- Skąd to „my”? Bo zakładam, że masz na myśli jego. - Skinieniem głowy wskazałam Cartera. - Jaka sprawa może zjednoczyć demona i anioła i sprawić, że przemykają się opłotkami, ukrywając swoją obecność? Boicie się czegoś?

- Przemykamy się opłotkami? - obruszył się jowialnie Carter.

- Proszę cię, Georgie - odparł Jerome, najwyraźniej u granic wytrzymałości. - Daj temu spokój. Jeśli naprawdę chcesz zrobić coś pożytecznego, unikaj niebezpiecznych

sytuacji, jak radziłem. Nie mogę cię zmusić, żebyś trzymała się w bezpiecznym towarzystwie, ale jeśli nie przestaniesz nam się plątać pod nogami, upchnę cię w ustronnym miejscu, dopóki to się nie przewali. Tu nie chodzi o to, kto ma rację. Rzykujesz, że skomplikujesz nam sprawy, których nie rozumiesz.

Bezwiednie ścisnęłam dłoń Hugh, szukając wsparcia. Wołałam nie myśleć, jakie ustronne miejsce Jerome ma na myśli.

- Rozumiemy się? - zapytał łagodnie demon.

Kiwnęłam głową.

- Świetnie. Najlepiej mi pomożesz, dbając o swoje bezpieczeństwo. Mam w tej chwili zbyt wiele rzeczy na głowie, bez dodawania ciebie do listy.

Jeszcze raz skinęłam głową niepewna, czy zdołam wydobyć z siebie głos. Jego mały popis odniósł zamierzony skutek i onieśmielił mnie na jakiś czas, choć jakaś irytująca część mnie wiedziała, że nie będę w stanie „dać temu spokój”, kiedy już stąd wyjdę. Wołałam jednak zachować to dla siebie.

- To chyba wszystko, Georgie - dodał Jerome.

Zwyczajnie mnie odprawił.

- Odprowadzę cię - zaproponował Carter.

- Nie, dziękuję. - Ale anioł i tak poszedł za mną.

- Jak poszło z Sethem Mortensenem?

- Okej.

- Tylko okej?

- Tylko okej.

- Słyszałem, że teraz mieszka tutaj. I spędza dużo czasu w Emerald City.

Zerknęłam na niego z ukosa.

- Skąd wiesz?

Wyszczrzył zęby.

- No więc? Opowiedz coś o tym.

- Nie ma co opowiadać - warknęłam, nie bardzo wiedząc, czemu w ogóle z nim o tym dyskutuję. -
- Rozmawiałam z nim parę razy, oprowadziłam go po mieście. Nie bardzo się dogadujemy. Mamy problemy z komunikacją.
- Dlaczego? - dopytywał Carter.
- To introwertyk. Niewiele mówi. Tylko patrzy. A poza tym nie chcę go zachęcać.
- Więc pielęgnujesz jego milkiwość.
- Wzruszyłam ramionami i wcisnęłam guzik ściągający windę.
- Chyba znam książkę, która mogłaby ci się przydać. Znajdę ją i pożyczę ci.
- Nie, dzięki.
- Nie odrzucaj oferty. Poprawi twoją umiejętność komunikacji z Sethem. Widziałem ją w jakimś talk-show.
- Czy ty mnie słuchasz? Ja nie chcę poprawiać naszej komunikacji.
- Ach tak - stwierdził domyślnie Carter. - Nie kręć cię introwertycy.
- Nie o to chodzi. Nie mam nic przeciwko introwertykom.
- Więc dlaczego nie lubisz Seta?
- Lubię go! Do licha, przestań.
- Anioł posłał mi krzywy uśmiech.
- Nie ma w tym nic złego. W przeszłości też wołałaś wygadanych flirciarzy.
- Co to ma znaczyć? - Natychmiast pomyślałam o swojej słabości do Romana.
- Oczy Cartera błysnęły psotnie.
- Nie wiem. Ty mi powiedz, Letho.
- Wychodziłam już z budynku, ale ten komentarz szarpnął mnie do tyłu. Obróciłam się tak szybko, że podfrunęły mi włosy i uderzyły mnie w policzek.

- Skąd znasz to imię?
- Mam swoje źródła.

W mojej piersi weszło potężne mroczne uczucie, którego nie do końca potrafiłam zidentyfikować. Mieściło się gdzieś pomiędzy nienawiścią a rozpaczą, nie będąc do końca ani jednym ani drugim. Paliło mnie coraz bardziej, aż miałam ochotę wrzasnąć na Cartera, w tę jego zadowoloną z siebie, wszystkowiedzącą minę. Miałam ochotę tłuc go pięściami albo przeobrazić się w coś strasznego. Nie wiedziałam, gdzie usłyszał to imię, ale obudziło jakiegoś potwora, który spał we mnie zwinięty w kłębek i niewidzialny.

Carter wciąż patrzył na mnie spokojnie, bez wątpienia czytając mi w myślach.

Powoli znów zaczęłam zauważać otoczenie. Chłodne korytarze. Niespokojnych odwiedzających. Personel.

Wyrównałam oddech i wbiłam w anioła wściekłe spojrzenie.

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj. Nigdy.

Wzruszył ramionami, nie przestając się uśmiechać.

- Sorry. Mój błąd.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam ze szpitala. Popędziłam do samochodu i dopiero w połowie drogi przez most zdałam sobie sprawę, że z moich oczu płyną łzy.

## Rozdział 12

Rany, gdyby to mnie Jerome zagroził, że mnie gdzieś upchnie, przestałbym węszyć.

- Ja nie węszę, tylko spekuluję.

Peter pokręcił głową i zerwał kapsel z piwa. Siedziałam z nim i Codym w ich kuchni, dzień po ataku na Hugh. Właśnie przyniesiono pizzę z szynką i ananasem. Cody i ja zabraliśmy się do niej z apetytem. Peter tylko patrzył.

- Dlaczego nie możesz pogodzić się z faktami? Jerome mówi prawdę. To łowca wampirów.

- Nie. W życiu. Tu się nic nie zgadza. Ani durne zachowanie Jerome'a i Cartera, ani pobicie Hugh, ani ten pokręcony list, który dostałam.

- Myślałam, że bez przerwy dostajesz wariackie listy miłosne. „Moje serce krwawi przez ciebie, Georgino”, napisane prawdziwą krwią. I tym podobne.

- Tak, nic tak nie kręci dziewczyny jak samookaleczenie

- mruknęłam. Upiłam sprite'a i wróciłam do pizzy. Jeśli chodzi o kofeinę i cukier, sprite jest prawie tak samo dobry jak mokka.

- A właściwie dlaczego ty nie jesz?

Peter uniósł w odpowiedzi butelkę piwa.

- Jestem na diecie.

Przyjrzałam się etykietce. Golden Village. Piwo o obniżonej zawartości cukru.

Znieruchomiałam w połowie gryzą. Piwo bez cukru?

- Peter... jesteś wampirem. Czy z definicji nie jesteś na niskowęglowodanowej diecie?

- To na nic - roześmiał się Cody, odzywając się po raz pierwszy. - Już odbyłem z nim tę rozmowę. Nie chce słuchać.

- Ty tego nie zrozumiesz. - Peter tęsknie zerknął na naszą pizzę. - Możesz dowolnie zmieniać swoje ciało.

- Tak, ale... - Spojrzałam na Cody'ego. - On w ogóle może przytyć? Myślałam, że ciała nieśmiertelnych są, no nie wiem, niezmiennie. Odporne na działanie czasu czy coś w tym stylu.
- Ty pewnie wiesz na ten temat więcej niż ja - odparł Cody.
- Jadamy inne rzeczy. - Peter wstydliwie pogłaskał się po brzuchu. - Nie tylko krew. To wszystko się odkłada. Była to chyba najdziwniejsza rzecz, jaką słyszałam, od wiadomości o śmierci Duane'a.
- Przestań, Peter. Jesteś śmieszny. Jeszcze chwila i pójdziesz do Hugh prosić o liposukcję. Ożywił się.
- A myślisz, że to by pomogło?
- Nie! Wyglądasz okej. Wyglądasz tak samo jak zawsze.
- No nie wiem. Gdziekolwiek pójdziemy, wszystkie laski kręcą się wokół Cody'ego. Może powinienem jeszcze bardziej rozjaśnić kolce. Powstrzymałam się od uwagi, że Peter miał prawie czterdziestkę, kiedy stał się wampirem, i włosy miał już mocno przerzedzone. Cody jest bardzo młody - ma zaledwie dwadzieścia lat, przystojną twarz i płową lwią grzywę. Nieśmiertelni, którzy byli wcześniej śmiertelnikami, zachowują wiek i wygląd, jaki mieli w chwili, gdy otrzymali nieśmiertelność. Jeśli wampiry wciąż chodziły do barów i klubów dla studentów, nic dziwnego, że Cody miał większe branie.
- Tracimy czas - wykrzyknęłam, chcąc oderwać Petera od rozmyślań na temat wyglądu. - Musimy dojść, kto pobił Hugh.
- Chryste, a ty w kółko o jednym - odpalił. - Dlaczego nie możesz poczekać, aż samo się wyjaśni? Dobrze pytanie. Nie wiedziałam, dlaczego. Coś pchało mnie, żeby dociec prawdy, zrobić, co w mojej mocy, by chronić

moich przyjaciół i siebie. Po prostu nie mogłam siedzieć beczynnienie.

- To nie mógł być śmiertelnik. Niemożliwe, żeby śmiertelnik był w stanie zrobić to, co opisał Hugh.
- Tak, ale żaden nieśmiertelny nie mógł zabić Duane'a. Już ci mówiłem.
- Żaden niższy nieśmiertelny - wytknęłam mu. - Ale wyższy... Peter się roześmiał.
- O, ho, ho, teraz chyba przeginasz. Myślisz, że po mieście grasuje jakiś mściwy demon?
- Z pewnością są do tego zdolne.
- Tak, ale nie mają motywu.
- Niekoniecz...

Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie - mrowiące, łagodne i srebrzyste. Moje myśli zaczęły krążyć wokół zapachu bzu i dzwonięcia małych dzwoneczków. Spojrzałam czujnie na chłopaków.

- Co jest gra... - zaczął Cody, ale Peter już szedł do drzwi.

Aura, którą poczuliśmy, była podobna do aury Cartera, ale lżejsza i słodsza. Nie tak potężna.

Anioł stróż.

Peter otworzył drzwi. W progu stała Lucinda, ściskając w rękach książkę.

Omam się nie udławiłam. Powinnam się domyślić. Z zasady nie zadaję się z okolicznymi aniołami. Carter jest wyjątkiem z powodu swojej przyjaźni z Jerome'em. Niemniej wiem, kto urzęduje w okolicy, i znam Lucinę. W odróżnieniu od Cartera jest prawdziwym aniołem. Stróże są kimś w rodzaju niebiańskich odpowiedników Hugh: byłymi śmiertelnikami, którzy służą i wykonują różne zadania przez całą wieczność. Nie wątpię, że Lucinda na co dzień spełnia wiele dobrych uczynków. Pewnie w wolnym czasie wydaje zupełnym bezdomnym

i czyta książki sierotom. Ale ilekroć spotyka się z nami, zmienia się w nadętą pindzię. Peter podziela moje zdanie.

- Tak? - zapytał chłodno.

- Witaj, Peter. Masz ... bardzo interesującą fryzurę - stwierdziła dyplomatycznie, nie ruszając się z progu. - Mogę wejść?

Peter spochmurniał na uwagę o fryzurze, ale był zbyt dobrze wychowany, by nie zaprosić jej do środka. Może sobie żartować z moich śmiertelnych hobby, ale jego obsesja na punkcie etykiety i kindersztuby graniczy z nerwicą natręctw. Lucinda weszła do środka. Miała na sobie skromny golf i plisowaną spódnicę do kostek. Jej krótkie jasne włosy uczesane były w gładkiego boba.

Ja wyglądałam trochę inaczej. W topie z głębokim dekoltem, w obcisłych džinsach i dziwkarskich szpilkach poczułam się jak puszczalska. Świętoszkowate spojrzenie, jakie poślą mi Lucinda, mówiło, że anielica myśli dokładnie to samo.

- Uroczno znów was wszystkich widzieć - powiedziała energicznym rzeczowym tonem. - Przyszłam dostarczyć przesyłkę od pana Cartera.

- Od „pana” Cartera? - zdziwił się Cody. - Carter to nazwisko? Zawsze myślałem, że imię.

- On ma chyba tylko imię - rzuciłam zamyślona. - Jak Cher albo Madonna.

Lucinda zignorowała nasze żarty. Wręczyła mi książkę Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus.

- Co to jest, do diabła? - wykrzyknął Peter. - Chyba widziałem to w jakimś talk-show.

Nagle przypomniałam sobie, jak Carter odprowadzał mnie w szpitalu i twierdził, że ma książkę, która pomoże mi w kontaktach z Sethem. Rzuciłam ją lekceważąco na stół.

- Carter i jego popieprzone poczucie humoru.

Lucinda zrobiła się purpurowa.



- Jak możecie tak beztrosko używać takich słów?  
Wyrażacie się, jakbyście... jakbyście byli w męskiej szatni!  
Przygłodziłam ramiączko topu.
- Coś ty. W męskiej szatni nie miałabym na sobie czegoś takiego.
- Prawda. To nie przypomina szkolnego mundurka - przyznał Peter.  
Nie mogłam się oprzeć, by trochę podręczyć się z anielica.
- Gdybym była w męskiej szatni, miałabym na sobie spódniczkę cheerleaderki. I żadnej bielizny.  
Peter podbijał mi bębenek.
- I odstawiłabyś ten układ choreograficzny, co? Ten, kiedy stoi się z rękami na ścianie przysznica i z wypiętym tyłkiem?
- Właśnie tak - zgodziłam się. - Zawsze gotowa zdopingować drużynę.  
Nawet Cody się zaczerwienił, słysząc nasze sprośne żarty.  
Lucinda była niemal fioletowa.
- Nie... nie macie w sobie odrobiny przyzwoitości! Za grosz!
- Oj tam, nie przesadzaj - prychnęłam. - Kiedy jesteście w country clubie, czy gdzie tam spędza wieczory wasz chór, pewnie nosicie krótsze wersje tych spódnic. I podkolanówki.  
Założę się, że wyższe anioły lecą na szkolne mundurki.  
U moich przyjaciół taka uwaga wywołałaby kolejne docinki i ironiczne komentarze. Anielica tylko zeszywniała, uparcie trzymając się zadufanego tonu.
- My - oznajmiła - nie prowadzimy ze sobą tak nieprzyzwoitych rozmów. Zachowujemy się obyczajnie. Traktujemy się z szacunkiem. I nie podnosimy ręki na swoich.  
Ostatniej uwadze towarzyszyło łypnięcie w moją stronę.
- A to co ma znaczyć?

Odrzuciła do tyłu włosy, choć nie bardzo było co odrzucać.

- Dobrze wiesz. Wszyscy słyszeliśmy o twojej małej krucjacie. Najpierw wampir, a teraz diablilik. Ale u was już nic mnie nie zdziwi.

Teraz to ja się zaczerwieniłam.

- Co ty wygadujesz! Z Duane'a oczyścili mnie już dawno. A Hugh... to jakaś bzdura. To mój przyjaciel.

- Co znaczy przyjaźń wśród takich jak wy? Ty i twój przyjaciel jesteście siebie warci. Z tego, co słyszałam, nieźle się bawił, opowiadając wszystkim o twojej maskaradzie z pejczem i skrzydłami. Och, a tak przy okazji, to była chyba najbardziej poniżająca rzecz, o jakiej słyszałam. Nawet jak na sukuba. - Spojrzała na książkę, którą rzuciłam na stół. - Powiem panu Carterowi, że dostałaś, hm, przesyłkę. Z tymi słowami odwróciła się zgrabnie i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Świątoszkowata pinda - mruknęłam. - A tak w ogóle, to ile ludzi wie o mojej przebierance za demonicę?

- Zapomnij o niej - powiedział Peter. - Jest nikim. Poza tym to anioł. One są nieprzewidywalne.

Zmarszczyłam brwi. I nagle mnie oświeciło. Nie mogłam uwierzyć, że wcześniej na to nie wpadłam. Może Lucindzie należało się jednak dobre słowo.

- Mam!

- Co masz? - mruknął Cody z ustami pełnymi zimnej pizzy.

- To anioł zabił Duane'a i napadł na Hugh! Wszystko idealnie pasuje. Miałaś rację, mówiąc, że demon nie miałby powodu zabijać naszych. Ale anioł? Dlaczego nie? Oczywiście taki prawdziwy, nie stróż, jak Lucinda.

Peter pokręcił głową.

- Anioł mógłby zrobić coś takiego, ale to by było zbyt... małe. Wielka wojna dobra ze złem nie polega na pojedynkach

jeden na jednego. Przecież wiesz. Wybijanie agentów piekła po jednym byłoby marnowaniem środków.

Cody zastanowił się nad tym.

- A gdyby to był anioł renegata? Ktoś, kto nie przestrzega zasad gry.

Peter i ja odwróciliśmy się, zaskoczeni, i spojrzeliśmy na młodego wampira. Przez cały wieczór tylko przysłuchiwał się naszym spekulacjom.

- Nie ma czegoś takiego - stwierdził jego mentor. - Prawda, Georgino?

Poczułam, że obaj patrzą na mnie wyczekująco.

- Jerome twierdzi, że nie ma złych aniołów. Bo kiedy są złe, nie są już aniołami. Stają się demonami.

- To kładzie twoją teorię. Anioł robiący coś złego byłby upadły i nie byłby już aniołem. A wtedy Jerome by o nim wiedział.

Zmarszczyłam brwi, wciąż zaintrygowana doborem słów Cody'ego. Powiedział: „renegata” zamiast „upadły”.

- Może grzech anioła jest jak ludzki grzech... nie zawsze jest zły, jeśli grzeszący sądzi, że robi dobrze. Może ten anioł jeszcze nie przeszedł na drugą stronę.

Zastanawialiśmy się nad tym przez chwilę. Ludzie żyją w przeświadczeniu, że istnieje ściśły spis wytycznych dotyczący tego, co jest grzechem, a co nie, że są zasady, które można złamać, nawet o tym nie wiedząc. Ale tak naprawdę większość ludzi wie, kiedy robi coś złego. Czują to. Grzech jest zjawiskiem raczej subiektywnym niż obiektywnym. W czasach purytańskich deprawowanie dusz nie było dla sukuba problemem, bo dla tamtych mężczyzn wszystko, co kojarzyło się z seksem czy przyjemnością, było złem. Teraz większość ludzi nie uważa seksu przedmałżeńskiego za coś złego, więc nie popełniają grzechu. Sukuby z biegiem lat muszą się

wykazywać coraz większą kreatywnością, aby zdobyć porcję energii, a do tego zdeprawować duszę.

Zgodnie z tą logiką anioł renegata, który wierzy, że czyni dobro, może nie wkroczyć do królestwa grzechu. A jeśli nie było grzechu, nie mogło być mowy o upadku. A może jednak? Cała ta sprawa była mocno zagmatwana. Peter najwyraźniej też tak myślał.

- Więc na czym polega różnica? Co sprawia, że anioł upada? Wygląda na to, że słuszność twojej teorii zależy od szczegółów technicznych.

Byłam skłonna przyznać mu rację, dopóki nie przypomniałam sobie czegoś jeszcze.

- List.

- List? - zapytał Cody.

- List, który wisiał na moich drzwiach. Było tam napisane, że jestem dość piękna, żeby skusić anioła do upadku.

- No owszem, jesteś całkiem niezła.

Kiedy uniosłam brew, Peter przyznał niechętnie:

- Okej, to jest trochę podejrzane... aż za bardzo.

Dlaczego ten ktoś miałby zostawiać swoją wizytówkę? Cody aż podskoczył w fotelu.

- Bo to jakiś anioł psychopata, który lubi łągiłówki. Jak w tych filmach, gdzie mordercy wyrzynają wskazówki na ciałach ofiar, a potem patrzą, jak policja rozwiązuje zagadkę. Zadrżałam na tę myśl. Zastanowiłam się, co w ogóle wiem o aniołach, i doszłam do wniosku, że nic. W przeciwieństwie do naszej strony zastępy niebieskie nie mają skomplikowanego systemu hierarchicznego i sieci terenowych mimo bajek o cherubinach i serafinach. Ostatecznie to my, a nie oni wynaleźliśmy kierownictwo średniego szczebla. Zawsze miałam wrażenie, że większość aniołów i szercyeli dobra jest podobna do prywatnych detektywów czy samodzielnych

agentów i wypełnia różne niebiańskie misje w dość nieorganizowany sposób. Taka ot-warta struktura daje świetne pole manewru komuś, kto chciałby prowadzić na boku własny interesik.

Udział anioła wyjaśniałby też tajemnicę otaczającą całą sprawę. Ich strona się wstydziła. Typowe. Naszą stronę już niewiele jest w stanie zawstydzić. Ale im głupio się przyznać, że ktoś z nich się zbuntował, a Carter, który kumpluje się z Jerome'em, namówił demona, żeby ten trzymał buzię na kłódkę. Jego sarkazm i wyśmiewanie sprawy były tylko mizernymi próbami zachowania twarzy.

Im dłużej rozważałam tę śmiałą teorię, tym bardziej mi się podobała. Jakiś niezadowolony anioł, chcący zostać bohaterem, podjął obywatelską inicjatywę i zaczął atakować sługi zła. Teoria anioła renegata wyjaśniała też, dlaczego każde z nas mogło stać się celem, i rzucała światło na zagadkę, dlaczego nikt z nas nie potrafił wyczuć tej istoty. Teraz wiedzieliśmy już, że wyżsi nieśmiertelni potrafią ukryć swoją obecność.

Co z kolei doprowadziło mnie do pytania: dlaczego Jerome i Carter też maskują swoją aurę? Czy mieli nadzieję złapać tego anioła znieścacka? No i...

- Dlaczego ten ktoś puścił Hugh żywego? - Spojrzałam kolejno na wampiry. - Anioł może zabić każde z nas. Hugh powiedział, że był w poważnych opałach i że nikt nie spłoszył tamtego. Napastnik po prostu się znudził i zniknął. Dlaczego? Dlaczego zabił Duane'a, ale nie Hugh? Albo na przykład mnie, skoro najwyraźniej wie, kim jestem?

- Bo Duane był dupkiem? - zasugerował Peter.

- Pomijając kwestię osobowości, wszyscy jesteśmy tak samo zaangażowani w szerzenie zła. Hugh może nawet bardziej.

Hugh był w okresie największej produktywności. Nie był już niedoświadczonym nowicjuszem, jak Cody, ani nie był zblazowany i znudzony jak Peter czy ja. Posiadał odpowiednią wiedzę, by być skuteczny w swojej pracy, a na dodatek naprawdę ją lubił. Był głównym celem dla każdego anielskiego mściciela, który chciał uczynić świat lepszym.

Cody zgodził się z Peterem.

- Racja. Zło czy nie zło, niektórzy z nas są sympatyczniejsi

od innych. Może dla anioła to ważne.

- Wątpię, żeby aniołowi ktokolwiek z nas wydawał się sympatyczny...

Umilkłam. Jest anioł, który nas lubił, pomyślałam. Jest anioł, który często przebywa w naszym towarzystwie. Jest anioł, który, od kiedy zaczęły się ataki na nieśmiertelnych, nie odstępował Jerome'a na krok. Anioł, który znał nas osobiście, który zna nasze zwyczaje i słabości. Czy był lepszy sposób śledzenia nas, niż przeniknąć do naszego pijackiego kółka i udawać przyjaciela?

Ten pomysł był tak bulwersujący, tak niebezpieczny, że czułam się nieswojo, nawet myśląc o nim. A już z pewnością nie miałam odwagi opowiedzieć o nim na głos. Jeszcze nie.

Cody i Peter w ogóle nie bardzo wierzyli w teorię z aniołem.

Wątpiłam, by mnie poparli, gdybym zaczęła oskarżać Cartera.

- Dobrze się czujesz, Georgino? - zapytał Cody, kiedy tak nagle umilkłam.

- Tak... tak... wszystko dobrze. - Zauważyłam zegarek na kuchence i zerwałam się z krzesła, w głowie wciąż kręciło mi się od domysłów. - Cholera. Muszę wracać na Queen Annę.

- Po co? - zapytał Peter.

- Mam randkę.
  - Z kim? - Cody uśmiechnął się znacząco, a ja się zaczerwieniłam.
  - Z Romanem
- Peter spojrzał na swojego ucznia.
- Kto to jest Roman?
  - Nieźle ciacho i świetny tancerz. Georgina kleiła się do niego cały wieczór.
  - Nieprawda. Za bardzo go lubię, żeby się do niego kleić.
- Roześmiali się. Kiedy sięgnęłam po kurtkę, Peter zapytał:
- Czy mógłbym cię prosić o małą przystługę?
- O co chodzi? - Moje myśli wciąż krążyły wokół zagadki.
- No i wokół Romana. Od ostatniej randki rozmawialiśmy kilka razy przez telefon. Byłam coraz bardziej zdumiona, jak dobrze się dogadujemy.
- Słyszałaś o programach komputerowych w salonach fryzjerskich, które pomagają dobrać fryzurę i kolor włosów? Pomyślałam sobie, że mogłabyś zastąpić taki program. Mogłabyś zamienić się we mnie i pokazać, jak bym wyglądał z różnymi fryzurami.
- Cody i ja przez chwilę gapiliśmy się na niego w milczeniu.
- Peter - powiedziałam w końcu. - To najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszałam.
  - No nie wiem. - Cody podrapał się w podbródek. - Dla niego może nie jest taki głupi.
  - W tej chwili mamy ważniejsze sprawy na głowie - warknęłam. Nie miałam cierpliwości, żeby spełniać zachcianki Petera. - Nie będę tracić energii na zaspokajanie twojej próżności.
  - Oj, nie bądź taka - zaskomlał Peter błagalnie. - Masz

jeszcze pełno energii po tym prawiczku. Mogłabyś trochę poświęcić.

Pokręciłam głową, przewieszając torebkę przez ramię.

- Parę faktów na temat sukubów. Im dalej posunięta metamorfoza, tym więcej wymaga energii. Zmiana płci jest naprawdę upierdliwa; zmiana gatunku jeszcze gorsza. Zabawa w salon fryzjerski pewnie pochłonęłaby większość mojego zapasu, a mam lepsze pomysły na jej spożytkowanie. - Spojrzałam na niego groźnie. - Masz poważne problemy z akceptacją własnego wizerunku, przyjacielu. Potrzebujesz pomocy. Cody przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

- Zmiana gatunku? Mogłabyś się zmienić, na przykład, w helodermę albo... albo... w rozwiązłość?

- Dobranoc, chłopak.

Kiedy wyszłam, słyszałam jeszcze, jak Peter i Cody debatują, czy więcej energii zużyłabym na przemianę w bardzo małego ssaka, czy gada ludzkich rozmiarów.

Wampiry. Czasem są jak dzieci.

Dojechałam do domu w rekordowym czasie. W ostatniej chwili przypomniałam sobie, by przemienić szpilki w sandały, i podeszłam pod drzwi mojej kamienicy jednocześnie z Romanem.

Jego widok natychmiast wygnał z mojej głowy myśli o aniołach i spiskach.

Poprosił mnie, żebym na ten wieczór za bardzo się nie stroiła, i choć sam też ubrał się swobodnie, w dżinsach i T-shircie z długimi rękawami wyglądał jak model na wybiegu.

Najwidoczniej pomyślał o mnie to samo, bo chwycił mnie w niedźwiedzi uścisk i cmoknął w policzek.

- Hej, śliczna - mruknął mi do ucha, trzymając mnie w ramionach odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

- Hej. - Wyplątałam się z jego objęć i uśmiechnęłam, unosząc twarz



- Jesteś taka malutka - stwierdził, głaszcząc mnie po policzku. - To urocze.  
Jeszcze chwila, a utonąłabym w jego oczach. Odwróciłam się szybko, by nie zrobić czegoś głupiego.
- No to chodźmy. - Urwałam. - Ee, dokąd idziemy?  
Zaprowadził mnie do swojego samochodu zaparkowanego kawałek dalej.
- Skoro tak zgrabnie przebierasz nogami, pomyślałem, że zabiorę cię gdzieś, gdzie będę mógł przetestować koordynację reszty twojego ciała.
- Do pokoju hotelowego?
- Do licha. Tak łatwo mnie rozgryźć?  
Kilka minut później zajechaliśmy pod rudę z mrugającym neonem „Kręgielnia u Burta”. Zagapiłam się na budynek z niesmakiem. Nie potrafiłam ukryć rozczarowania.
- To ma być miejsce na randkę? Podrzędna kręgielnia?  
Roman wydawał się niespeszony moim brakiem entuzjazmu.
- Kiedy ostatnio grałaś w kręgle?  
Jakoś w latach siedemdziesiątych.
- Bardzo dawno.
- No właśnie. Widzisz - ciągnął od niechcenia, kiedy weszliśmy do środka i podeszliśmy do wypożyczalni obuwia - rozgryłem cię. Twierdzisz, że nie chcesz wiązać się na poważnie, a mimo to odnoszę wrażenie, że często udzielasz się towarzysko. Poproszę rozmiar czterdzieści cztery.
- Trzydzieści siedem.  
Kasjerka wręczyła nam po parze podniszczonych butów. Jak to dobrze, że zarazki nie stanowią dla mnie zagrożenia.  
Roman dał kobiecie pieniądze, a ona wskazała nam nasz tor.
- Jak mówiłem, mimo najlepszych intencji, na pewno sporo randkujesz. Nie wiem, jak może być inaczej, skoro wzbudzasz takie zainteresowanie mężczyzn.

- Co to ma znaczyć? - Usiadłam przy torze i zdjęłam sandały, zerkając nieufnie na wypożyczone pantofle. Roman przerwał wiązanie sznurówek i spojrzał na mnie uważnie.
- Och, daj spokój, nie możesz tego nie zauważać. Mężczyźni bez przerwy się na ciebie gapią. Zawsze to widzę, kiedy z tobą jestem. W księgarni, w barze. Nawet tutaj. W drodze od wypożyczalni widziałem przynajmniej trzech facetów, którzy zatrzymali się i obejrzelili za tobą.
- Do czego zmierzasz?  
Wstał i podeszliśmy do stojaka z kulami do gry
- Ani do tego, że na pewno bez przerwy jesteś zapraszana na randki i czasem się zgadzasz, tak jak to było ze mną. Mam rację?
- No tak.  
Odwrócił się od kuł i postął mi kolejne zapierające dech, przenikające duszę spojrzenie.
- Więc opowiedz mi o twojej ostatniej randce.
- O mojej ostatniej randce? - Jakoś nie wydawało mi się, żeby Martin Miller się liczył.
- Tak. Ale mam na myśli prawdziwą randkę, a nie szybkiego drinka. Randkę, którą facet starannie zaplanował, licząc, że zaciągnie cię do łóżka.  
Zważyłam w dłoni fluorescencyjną kulę w zielono-pomarańczowe wzorki, próbując sobie przypomnieć ostatnią randkę.
- Opera - powiedziałam w końcu. - I kolacja w Santa Lucia's.
- Niezły zestaw. A poprzednia?
- Jezu, ale jesteś wścibski. Hm... zdaje się, że to było otwarcie wystawy.

- Zapewne uwiecznione kolacją w restauracji, gdzie sztywny kelner mówi „dziękuję”, kiedy już wybierzesz potrawę, zgadza się?
- Uhm.
- Tak myślałem. - Ułożył ciężką kulę w zgięciu łokcia. – Dla tego odmawiasz randek, kiedy nie chcesz, żeby zrobiło się za poważnie. Jesteś takim gorącym towarem, że eleganckie, pięciogwiazdkowe randki są dla ciebie codziennością. Spowszedniały ci. Mężczyźni stają na głowie, żeby ci zaimponować, ale szybko się nimi nudzisz. - Jego oczy błyszczały psotnie. - Ja odróżnię się od tych patafachów, bo zabieram cię w miejsca, w których nigdy nie przysłoby ci do głowy postawić twojej snobistycznej nóżki. Sól ziemi. Powrót do korzeni. I na tym powinna polegać randka: dwoje ludzi, bardziej zajętych sobą nawzajem niż elegancką oprawą. Wróciliśmy do naszego toru.
- W potwornie okrężny sposób powiedziałeś mi właśnie, że twoim zdaniem mam ochotę szlajać się po spelunkach.
- A nie masz
- Nie.
- Więc dlaczego tu jesteś?
- Spojrzałam na jego bosko przystojną twarz i pomyślałam o naszej dyskusji o językach klasycznych. Uroda i intelekt. Zabójcza kombinacja.
- Bo nie jesteś typem ze spelunki. Uśmiechnął się do mnie i zmienił temat.
- Ciekawy wybór.
- Spojrzałam na psychodeliczne kolory mojej kuli.
- Tak. Ten wieczór jest już wystarczająco surrealistyczny. Równie dobrze mogę pójść na całość. Może potem wrzucimy kwasa.
- W oczach Romana błysnęło rozbawienie. Wskazał głową tor.

- Zobaczmy, co potrafisz nią zdziałać.  
Ruszyłam niepewnie naprzód, próbując przypomnieć sobie, jak to się robi. Po mojej prawej i lewej widziałam innych graczy, którzy podchodzili do torów i rzucali z łańtwością. Wzruszyłam ramionami, stanęłam na końcu toru, zamachnęłam się i rzuciłam. Kula przeleciała jakieś półtora metra, wylądowała z głośnym trzaskiem i natychmiast wpadła do kanału. Roman stanął obok mnie i w milczeniu patrzyliśmy, jak kula kończy swoją podróż.
- Ze wszystkim obchodzisz się tak brutalnie? - zapytał w końcu.
- Większość mężczyzn się nie skarży.
- Domyślam się. Tym razem spróbuj puścić dopiero, kiedy kula dotknie podłogi.
- Chyba nie należysz do koleśków, którzy podniecają się, pokazując kobietom, o ile są od nich lepsi w różnych rzeczach?
- Nie. Udzielam ci tylko przyjacielskiej rady.  
Kiedy kula wróciła, zrobiłam tak, jak sugerował Roman. Kula nie narobiła tyle hałasu, ale i tak wylądowała w kanale.
- No dobrze. Teraz ty pokaż, co potrafisz - burknęłam, siadając ze złością na krzeselku.  
Roman wziął rozbieg. Jego ruchy były pełne gracji i zwinne jak u kota. Kula wypłynęła z jego dłoni niczym woda z dzbanka, potoczyła się gładko i zbiła dziewięć kręgli. Kiedy wróciła, poturlał ją bez wysiłku jeszcze raz i zbił dziesiątkę.
- To będzie długi wieczór.
- Rozchmurz się. - Uszczypnął mnie lekko w podbródek.
- Nauczysz się. Spróbuj jeszcze raz i celuj bardziej w lewo.  
A ja idę po piwo.  
Rzuciłam w lewo, jak radził, ale skutek był taki, że trafiłam w lewy kanał. Przy drugim rzucie zrobiłam mniejszy zamach i

udało mi się zbić jeden kręgiel z lewego końca. Mimowolnie krzyknęłam z radości.

- Ładnie - pochwalił mnie Roman, stawiając na stoliku dwa kufle taniego piwa. Od ponad dekady nie piłam niczego, co nie pochodziłoby z mini browaru. - Do celu dochodzi się małymi kroczkami.

Jego słowa okazały się prorocze. Liczba moich punktów rosła w ślimaczym tempie, choć szybko wyrobiłam sobie paskudny nawyk wybijania dziur na środku przy pierwszym rzucie.

Niestety, mimo najlepszych chęci Romana nie wykazywałam talentu do skorygowania tego błędu. Muszę przyznać, że udzielał sensownych, nienatarczywych rad, wspartych praktycznym instruktażem.

- Ręka ma iść tak, a reszta ciała przechylić się, o tak - wyjaśniał, stojąc za mną z dłonią opartą na moim biodrze, a drugą na nadgarstku. Moje ciało rozgrzewało się od jego dotyku i zastanawiałam się, czy kieruje nim prawdziwa chęć pomocy, czy to tylko pretekst, żeby mnie podotykać. Jako sukub sama często stosuję takie techniki. Doprowadzam mężczyzn do białej gorączki i teraz już wiem, dlaczego.

Pretekst czy nie, pozwoliłam mu kontynuować.

Podczas drugiej rozgrywki osiągnęłam szczyt formy - raz nawet udało mi się zbić wszystkie kręgle za jednym zamachem - ale w trzeciej rundzie moje wyniki znów zaczęły spadać, kiedy dało mi się we znaki zmęczenie. Wyczuwając to, Roman ogłosił koniec przygody na kręgielni, chwalać moje imponujące postępy.

- Czy teraz pójdziemy na kolację do garkuchni, żeby podtrzymać klimat twojej prząsnej randki marzeń? Objął mnie ramieniem, kiedy szliśmy do samochodu.

- To zależy od tego, czy podziałał na ciebie mój podstępny czar.

- Jeśli powiem „tak”, czy zabierzesz mnie w jakieś miłe miejsce? Wiesz, czasami eleganckie restauracje też działają. Ku mojemu zadowoleniu wylądowaliśmy w bardzo drogiej japońskiej restauracji. Bez pośpiechu rozkoszowaliśmy się jedzeniem i rozmową i znów byłam pod wrażeniem wiedzy i inteligencji Romana. Tym razem rozmawialiśmy o sprawach współczesnych, dzieląc się opiniami na temat bieżących wydarzeń i kultury, o tym, co lubimy, co nas drażni i tak dalej. Odkryłam, że Roman sporo podróżuje i ma wyrobione poglądy na temat światowej polityki.

- Nasz kraj jest strasznie zakochany w sobie - narzekał, popijając sake. - Jest jak wielkie lustro. Siedzi cały dzień i gapi się na siebie. A kiedy już chce mu się rozejrzeć na boki, to tylko po to, żeby powiedzieć innym: „Zróbcie to czy tamto” albo „Bądźcie jak ja”. Nasza polityka wojskowa i ekonomiczna służy do wywierania presji na ludzi żyjących poza naszymi granicami, a w ich obrębie konserwatyści trzymają za twarz resztę obywateli. Nie cierpię tego.

Słuchałam z zainteresowaniem, zaintrygowana tym obliczem człowieka, który zwykle był tak wesoły i bezkonfliktowy.

- Więc zrób z tym coś. Albo wyjedź.

Pokręcił głową.

- Mówisz jak przykładna obywatelka. Stara śpiewka: „Jak ci się nie podoba, to wynocha”. Niestety, nie tak łatwo odciąć się od korzeni. - Usiadł wygodniej i złagodził swój komentarz uśmiechem. - A co do robienia, to robię to i owo. Drobiazgi. Mój własny bunt przeciwko status quo. Chodzę czasem na manifestacje. Nie kupuję produktów pochodzących z wyzysku krajów Trzeciego Świata.

- Unikasz futer? Jesz ekologiczne produkty?

- To też - roześmiał się.

- Zabawne - powiedziałam po chwili ciszy. Coś mnie uderzyło.

- Co?
  - Przez cały czas rozmawiamy o aktualnych sprawach. Żadne z nas nie poruszyło tematu traumatycznego dzieciństwa, lat studenckich, byłych dziewczyn i chłopaków, i tak dalej.
  - Co w tym zabawnego?
  - Właściwie nic. Tyle że proces dobierania się w pary u człowieka zwykle wiąże się ze zwieraniem się ze swojej historii.
  - Chcesz to zrobić?
  - Chyba nie. - Tak naprawdę nienawidzę tej części randek. Zawsze muszę redagować swoją przeszłość. Nie cierpię kła mać, bo to wymaga skrupulatnego zapamiętywania własnych historyjek.
  - Myślę, że przeszłość wystarczająco nam doskwiera, bez mieszania jej w terażniejszość. Wolę patrzeć naprzód, nie wstecz. Przyjrzałam mu się z ciekawością.
  - Przeszłość ci doskwiera?
  - Bardzo. Walczę każdego dnia, by nie pozwolić jej mnie wchłonąć. Czasem ja wygrywam, czasem ona. Bóg jeden wie, że ze mną jest tak samo. Dziwnie było rozmawiać o tym z kimś, kto czuł podobnie. Jestem ciekawa, ilu ludzi chodzi po świecie z niewidzialnym bagażem, który ukrywają przed innymi. Ja, nawet pakując mój bagaż, trzymam go w ukryciu. Odczuwam nieprzepartą potrzebę zachowywania pozorów, stąd nawyk uśmiechania się i kiwania głową w najgorszych chwilach mojego życia. A kiedy ta powierzchowna „szczęśliwość” przestaje wystarczać, w końcu uciekam - choć kiedyś kosztowało mnie to duszę. Uśmiechnęłam się lekko.
  - No proszę. Cieszę się, że oboje lubimy trzymać się terażniejszości.
- Pociągnął mnie lekko za nos.

- Ja też. Prawdę mówiąc, moja terażniejszość bardzo mi się podoba. Przyszłość też wygląda obiecująco, jeśli dalej będę zmiękczał twój opór.
  - Nie przeginaj.
  - Oj, przestań. Przyznaj się. Mój bunt przeciwko konwenansom cię pociąga. Może nawet podnieca.
  - Myślę, że „bawi” jest lepszym słowem. Jeśli chcesz doświadczyć buntu, powinieneś spędzić trochę czasu z Dougiem, moim kolegą z pracy. Macie ze sobą sporo wspólnego. Za dnia jest porządny, udaje poważnego zastępcę kierownika, a nocą jest wokalistą stukniętego zespołu i wyraża swoje niezadowolenie ze społeczeństwa przez muzykę. W oczach Romana błysnęło zainteresowanie.
  - A gra gdzieś w okolicy?
  - Owszem. W tę sobotę daje koncert w Starym Browarze Greenlake. Wybieramy się tam z kilkoma osobami z pracy.
  - To o której mam po ciebie przyjść?
  - Nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała.
  - Nie? Przysięgłbym, że przed chwilą podałaś czas i miejsce. Mnie to wygląda na zawołane zaproszenie. Co prawda, ja powinienem spytać: „Czy mogę się przyłączyć?”, na co ty powinnaś odpowiedzieć: „Tak, spoko” i tak dalej. Tyle że ominąłem parę etapów.
  - Bardzo wydajna technika - zauważyłam.
  - Więc... czy mogę się przyłączyć?
- Jęknęłam.
- Roman, nie możemy się dalej spotykać. Z początku było zabawnie, ale to miała być tylko jedna randka. A tę mamy już za sobą. Ludzie w pracy myślą, że jesteś moim chłopakiem. Casey i Beth stwierdziły ostatnio, że wyrwałam niezłe ciacho.
  - Naprawdę? - Wyglądał na bardzo zadowolonego.



- Nie żartuję. Mówiłam poważnie, że nie chcę się w tej chwili angażować.

A jednak nie mówiłam tego poważnie. W głębi serca czułam coś innego. Przez całe stulecia pracowicie odcinałam się od głębszych relacji z innymi ludźmi. To bolało. Nawet kiedy w czasach mojej sukubiej chwały pielęgnowałam związki z miłymi mężczyznami, po seksie natychmiast ich rzucałam i zniktałam. Teraz pod pewnymi względami moje życie jest jeszcze cięższe. Udaje mi się unikać poczucia winy, wynikającego z kradzieży energii życiowej porządnych mężczyzn, ale też od dawna nie nawiązałam żadnej znaczącej znajomości. Nie mam nikogo, komu zależałoby wyłącznie na mnie. Oczywiście, mam przyjaciół, ale oni mają własne życie, a tych, którzy zbliżają się za bardzo - jak Doug - muszę odpychać dla ich własnego dobra.

- Nie wierzysz, że można chodzić na randki bez konsekwencji? Czy choćby przyjaźnić się z facetem?

- Nie - odparłam stanowczo. - Nie wierzę.

- A ci inni mężczyźni w twoim życiu? Na przykład Doug? Instruktor tańca? Albo ten pisarz? Przyjaźnisz się z nimi, prawda?

- To co innego. Oni mnie nie krę...

Ugryzłam się w język, ale było za późno. Twarz Romana pojaśniała z radości. Pochylił się do mnie i dotknął mojego policzka. Przetknęłam ślinę, jednocześnie przerażona i zachwycona jego bliskością. Piwo i sake szumiały mi w ciele i głowie; obiecałam sobie, że nie tknę alkoholu, kiedy spotkamy się następnym razem. Choć oczywiście się nie spotkamy... Alkohol mącił mi zmysły, utrudniał rozróżnienie instynktów sukuba od czystej pierwotnej żądz. Jedno i drugie było równie niebezpieczne.

A jednak... w tej chwili wcale nie chodziło o pożądanie.

Chodziło o Romana. O bycie z nim. Wspólną rozmowę. O to,

by znów mieć kogoś bliskiego. Kogoś, komu na mnie zależy. Kto mnie rozumie. Kogoś, do kogo można wracać. I z kim można wracać do domu.

- To o której mam po ciebie przyjść? - mruknął.

Spuściłam oczy. Nagle zrobiło mi się gorąco.

- Koncert zaczyna się dość późno...

Jego dłoń zsunęła się z policzka na mój kark, wplotła we włosy i przyciągnęła moją głowę ku jego twarzy.

- Chcesz przedtem gdzieś wyskoczyć?

- Nie powinniśmy. - Moje słowa wydawały mi się przeciągnięte, jakbym pływała w melasie.

Roman pochylił się i pocałował mnie w ucho.

- Będę u ciebie o siódmej.

- O siódmej - powtórzyłam.

Przesunął usta i pocałował mnie tuż koło ucha, potem na środku policzka, potem tuż poniżej ust. Jego wargi zawisły przy moich i całe moje ciało skoncentrowało się na tej bliskości.

Czułam ciepło jego ust, jakby miały własną aurę. Wszystko działało się jak w zwolnionym tempie. Chciałam, żeby mnie pocałował, żeby mnie pożarł tymi ustami, językiem. Chciałam tego i jednocześnie bałam się, ale nie miałam siły, by cokolwiek zrobić.

- Podać państwu coś jeszcze?

Odrobinę zażenowany głos kelnera wyrwał mnie z odrętwienia, przywrócił mi rozsądek i przypomniał, co się stanie z Romanem, jeśli mnie pocałuje. Niewiele, to prawda, ale dość. Wyrwałam się spod władzy jego hipnotycznych oczu i pokręciłam głową.

- Nie, dziękujemy. Tylko rachunek.

Potem niewiele rozmawialiśmy. Odwiózł mnie do domu i już nie próbował pocałować, kiedy odprowadzał mnie pod drzwi -

uśmiechnął się tylko, znów szczypiąc mnie w podbródek, i przypomniał, że przyjdzie po mnie o siódmej w sobotę. Położyłam do łóżka niespokojna, spragniona seksu. Alkohol pomógł mi zasnąć, ale kiedy obudziłam się rano, półprzytomna, wciąż pamiętałam to uczucie, kiedy jego wargi były tuż przy moich. Pożądanie i tęsknota powróciły z podwójną mocą.

- Niedobrze - pożałowałam się Aubrey, zwlekając się z łóżka. Miałam jeszcze trzy godziny do rozpoczęcia pracy i wiedziałam, że muszę wypełnić je czymś innym niż marzeniami o Romanie. Przypomniłam sobie, że nie zajrzałam do Erika i postanowiłam złożyć mu wizytę. Teorię o łowcy wampirów już dawno uznałam za nieaktualną, ale może Erik dowiedział się czegoś innego, co mogło okazać się użyteczne. Chciałam go też spytać o upadłe anioły. Biorąc pod uwagę groźbę „upchnięcia w dogodnym miejscu”, pewnie nie powinnam wracać do Erika, ale czułam się bezpieczna. Przez wieki zdążyłam się zorientować, że arcydemon nie jest rannym ptaszkiem. Tak naprawdę wcale nie potrzebuje snu, ale ten luksus śmiertelników bardzo przypadł mu do gustu. Pewnie jeszcze śpi w najlepsze, uznałam, i nawet nie domyśla się moich planów. Ubrałam się, zjadłam śniadanie i wyruszyłam do Lake City. Tym razem bez trudu odnalazłam sklep. Znowu zrobiło mi się przykro na widok obscurnego wejścia i pustego parkingu, jednak kiedy weszłam do środka, zobaczyłam ciemną postać opierającą się o regał z książkami, zbyt wysoką jak na Erika. Ucieszyłam się, że Erik jednak ma klienta, ale nagle postać wyprostowała się i wbiła we mnie ironiczne spojrzenie szarych oczu.

- Cześć, Georgino.

Przetknęłam ślinę.

- Cześć, Carter.

## Rozdział 13

Carter wziął z półki jakąś książkę i zaczął ją leniwie kartkować. Jego jasne włosy były nakryte odwróconą bejsbolówką, a flanelowa koszula z pewnością pamiętała lepsze czasy.

- Szukasz akcesoriów na ołtarz? - zapytał mnie, nie podnosząc wzroku. - A może przyszłaś sprawdzić swój horoskop?

- Nie twój interes, co tu robię - warknęłam zbyt zaskoczona naszym spotkaniem, aby wymyślić coś zabawnego lub choć-  
by niewiarygodnego.

Szare oczy spojrzały na mnie.

- Jerome wie, że tu jesteś?

- Jemu też nic do tego. A co? Naskarżysz na mnie?

Powiedziałam to bezczelnym tonem, choć miałam świadomość, że jeśli to Carter poluje na nieśmiertelnych, to mam większe zmartwienia niż gniew Jerome'a.

- Może. - Zamknął książkę, trzymając ją w rozprostowanych dłoniach. - Oczywiście miałbym więcej zabawy, gdybym to przemilczał i pozwolił ci kontynuować twoje przedsięwzięcie.

- Nie wiem, o jakim przedsięwzięciu mówisz. Czy nie mogę już pójść na zakupy nie narażając się na przesłuchanie? Ja cię nie wypytuję, co tu robisz.

Prawda była taka, że umierałam z ciekawości. Nie zaskoczyło mnie, że Carter zna Erika - wszyscy go znamy - ale jego obecność tutaj, w świetle wszystkiego, co się wydarzyło, wzmocniła moje podejrzania.

- Ja? - Uniósł książkę, na której widniał tytuł: Naucz się magii w miesiąc. - Muszę nadrobić zaległości.

- Dobrze - przyznałam.

- Pochwała z ust mistrzyni. Jestem zaszczycony. Czy dałem ci już dość czasu na wymyślenie równie dobrego alibi? - Odstawił książkę na półkę.

- Panna Kincaid. - Erik wszedł ciężkim krokiem do sali, zanim zdążyłam odpowiedzieć. - Miło panią widzieć. Mój przyjaciel właśnie podrzucił kolczyki, które pani zamówiła. Patrzyłam na niego zdezorientowana, aż przypomniałam sobie perłowy naszyjnik i kolczyki, których sobie zażyczyłam.

- Cieszę się, że zrobił je tak szybko.

- Nieżle z tego wybrnęłaś - mruknął Carter półgłosem. Zignorowałam go.

Erik otworzył pudełeczko. Zajrzałam do środka. Każdy kolczyk składał się z trzech sznureczków słodkowodnych pereł, podobnych jak te w naszyjniku, zawieszonych na cienkich miedzianych drucikach.

- Są piękne - powiedziałam szczerze. - Proszę podziękować przyjacielowi. Mam sukienkę, z którą będą wspaniale wyglądać.

- Pewnie ci ulżyło - stwierdził Carter, patrząc jak Erik nabija cenę na kasę. - Rzeczywiście kupujesz niezbędne akcesoria.

Cody mówił, że ostatnio często chodzisz na randki. Ale pewnie nie czytałaś książki, którą ci przysłałem.

Podałam Erikowi kartę kredytową. Cody widział, z kim przysłałam na lekcję tańca, ale dopiero wczoraj wieczorem powiedziałam mu o randce z Romanem.

- Kiedy rozmawiałaś z Codym?

- Wczoraj wieczorem.

- Zabawne, ja też. A dzisiaj jesteś tutaj. Śledzisz mnie? Oczy Cartera błysnęły wesoło.

- Byłem tu pierwszy. Może to ty śledzisz mnie. Może randki przypadły ci do gustu i szukasz sprytnego sposobu, żeby mnie poderwać.

Podpisałam paragon i oddałam go Erikowi, który przysłuchiwał się nam w milczeniu.

- Przykro mi. Lubię, kiedy moi mężczyźni mają w sobie trochę więcej życia.

Carter roześmiał się cicho z mojego żartu. Seks z innymi nieśmiertelnymi nie dawał mi energetycznych korzyści.

- Georgino, czasem mam wrażenie, że warto cię śledzić choćby dlatego, żeby usłyszeć, co powiesz za chwilę.

Erik spojrzał na nas. Jeśli nawet czuł się skrępowany potyczką dwojga nieśmiertelnych, to nie dał tego po sobie poznać.

- Może napije się pan z nami herbaty, panie Carter? Bo pani zostaje na herbacie, prawda, panno Kincaid?

Uśmiechnęłam się do niego promiennie.

- Oczywiście.

- Panie Carter?

- Dziękuję, ale nie. Mam coś do załatwienia. Poza tym Georgina najlepiej radzi sobie z jednym mężczyzną naraz. Jak zawsze miło było pana zobaczyć, Eriku. Dziękuję za rozmowę. A co do ciebie, Georgino... cóż, na pewno zobaczymy się niedługo.

Przeszedł mnie dreszcz. Musiałam zmobilizować całą siłę woli, by zawołać za nim spokojnie:

- Carter?

Jego dłoń dotykała już klamki. Zatrzymał się, odwrócił i uniósł pytająco brew.

- Czy Jerome wie, że tu jesteś?

Leniwy, przebiegły uśmiech wyłynął na jego twarz.

- Naskarżysz na mnie, Georgino? A ja myślałam, że robimy postępy. Może powinniśmy przeciągnąć naszą pogawędkę.

Ty byś mnie zapytała, czy zanosi się na zmianę pogody, ja bym powiedział, jak ładnie dziś wyglądasz, i tak dalej. Takie tam pogaduchy.

Zamrugałam. Jego słowa przypomniały mi list na moich drzwiach

„Jesteś piękną kobietą, Georgino. Dość piękną, by skusić anioła do upadku...”

Czy Carter dawał mi wskazówki? Bawił się ze mną, tak jak podejrzewał Cody? A może przypisywałam jego słowom nieistniejące znaczenie? Może tak naprawdę był tylko denerwującym •Carterem, zmorą mojego życia, i drażnił się ze mną, jak zwykle? Nie wiedziałam, ale wciąż uważałam, że gdyby jakiś anioł chciał eliminować złych nieśmiertelnych, to Carter miał po temu największe możliwości.

- Więc jak bardzo jestem ładna? - zapytałam łamiącym się głosem. - Dość ładna, żeby dla mnie upaść?

Usta anioła drgnęły.

- Wiedziałem, że mnie podrywasz. Do zobaczenia, Georgino. Eriku. - Otworzył drzwi i wyszedł.

Stałam chwilę, patrząc za jego oddalającą się postacią.

- Co on tu robił?

Erik postawił na stoliku tacę z dwiema filiżankami.

- Panno Kincaid, wie pani, że zachowuję jej sekrety dla siebie. Nie może pani oczekiwać, że jego będę traktował inaczej.

- Ma pan rację.

Nie chcę też, pomyślałam, kiedy starszy pan poszedł po dzbanek, narażać Erika na niebezpieczeństwo, wplątując go w sprawy nieśmiertelnych. A przynajmniej bardziej niż już był wplątany.

Wrócił po chwili i nalał nam herbaty.

- Nastawiłem czajnik, zanim pani przyszła. Miło mi, że zechciała pani zostać.

Spróbowałam herbaty. Kolejna ziołowa mieszanka.

- Jak się nazywa?

- Pożądanie.

- Bardzo a propos - zauważyłam. Pomijając anioły i spiski, wciąż pragnęłam Romana. - Dowiedział się pan czegoś?

- Niestety nie. Popytałem tu i ówdzie, ale nie dowiedziałem się niczego o łowcach wampirów i nie znalazłem żadnych oznak, by jakiś działał w okolicy.

- Nie dziwi mnie to. - Napiałam się herbaty. - Chyba jednak chodzi o coś innego.

Nie odpowiedział, ostrożny jak zawsze.

- Wiem, że nie powie mi pan, po co on tu przyszedł, i rozumiem to... - Urwałam, zastanawiając się, jak najlepiej sformułować swoje pytanie. - Ale co pan... co pan o nim myśli?

O Carterze, oczywiście. Czy robił coś dziwnego, aby wydał się panu, bo jawieni... podejrzany? Skryty?

Erik postał mi znaczące spojrzenie.

- Proszę wybaczyć, ale mam wielu klientów, z panią włącznie, którzy pasują do tego opisu.

No tak.

- Czy pan mu ufa?

- Panu Carterowi? - Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. - Znam go dłużej niż panią. Jeśli miałbym ufać któremuś z moich „podejrzanych i skrytych” klientów, on byłby na czele listy. Złożyłbym w jego rękach życie.

Też mi niespodzianka. Jeśli Carter potrafił omamić Jerome'a, to z pewnością potrafił też omamić śmiertelnika.

Spróbowałam inaczej.

- A wie pan coś na temat upadłych aniołów?

- Sądziłem, że ten temat nie jest pani obcy, panno

Kincaid.

Byłam ciekawa, czy pił do towarzystwa, w jakim się obracam, czy do starego mitu, że sukuby to demony. Tak na marginesie, nie jesteśmy nimi.



- Nie warto pytać praktykującego, jeśli chce się dowiedzieć czegoś o historii religii. Takie pytania lepiej zadawać obiektywnym uczonym.
  - Święta prawda. - Erik uśmiechnął się, podnosząc filiżankę do ust. - No więc z pewnością pani wie, że demony to anioły, które sprzeciwiły się woli boskiej. Zbuntowały się czy też, jak to się potocznie określa, „upadły”. Lucyfer jest powszechnie uznawany za pierwszego z tych buntowników. Za nim poszli inni.
  - Ale to było na początku. Jednorazowa masowa migracja na drugą stronę. - Zmarszczyłam brwi, wciąż zastanawiając się nad technicznymi aspektami upadku anioła.
  - A później? Czy to się stało tylko ten jeden raz? Erik pokręcił głową.
  - O ile wiem, to zdarzało się w przeszłości i wciąż może się zdarzyć. Są nawet dokumenty sugerujące... Otworzyły się drzwi i do sklepu weszła młoda para. Erik wstał i uśmiechnął się do nich.
  - Ma pan jakieś książki o tarocie? - zapytała dziewczyna.
  - Dla początkujących? Też pytanie. Erik miał ich całą ścianę. Ta przerwa mnie zirytowała, ale nie chciałam psuć staruszkowi okazji do zarobienia paru dolarów. Gestem zachęciłam go, by zajął się tą dwójką, a sama dopiłam herbatę. Erik zaprowadził ich do odpowiedniego działu, z ożywieniem polecając kilka tytułów i odpowiadając na pytania. Wzięłam kurtkę, torebkę i pudełko herbaty Pożądanie. Erik zerknął na dziesięciodolarowy banknot, który położyłam na ladzie.
  - Reszty nie trzeba - powiedziałam.
- Przerywając rozmowę z młodą parą, zwrócił się do mnie.

- Proszę sprawdzić... zaraz, zdaje się, że to będzie początek rozdziału szóstego Księgi Rodzaju... werset drugi albo czwarty? Może tam będzie coś, co pani pomoże.
  - W Księdze Rodzaju? W Biblii?
- Kiwnął głową. Zaczęłam się rozglądać po regałach.
- Gdzie ją pan ma?
  - Nie mam tego na stanie, panno Kincaid. Ale podejrzewam, że nie będzie pani miała problemu z dostępem do egzemplarza.
- Wrócił do klientów, a ja wyszłam zdumiona wiedzą człowieka, który potrafi z pamięci wskazywać wersety Biblii, choć nie ma jej pod ręką. Miał rację co do mojego dostępu do źródeł. Na szczęście, niedługo zaczynałam zmianę.
- Kiedy wróciłam na Queen Annę, okazało się, że parking przy ulicy jest pełny. Wyrzebałam ze schowka identyfikator, powiesiłam na lusterku i wjechałam na maleńki prywatny parking graniczący z uliczką na tyłach księgarni. Wielu pracowników chce korzystać z tego placzyku, dlatego zwykle staram się go nie zajmować.
- Idąc do sklepu, zauważyłam dwa auta zaparkowane maska w maskę i rudowłosą postać pochyloną nad silnikiem jednego z nich. Lubię tę dziewczynę, ale jest straszną gadułą. Nie chcąc opóźniać swoich biblijnych poszukiwań, schowałam się w cieniu i przeobraziłam w niepozornego mężczyznę. Kiedy ją minęłam, nawet na mnie nie spojrzała, odpalając samochód, podpięty do drugiego akumulatora.
- Kiedy znalazłam się poza zasięgiem jej wzroku, wróciłam do swojej normalnej postaci. Przez moment trudno mi było złapać oddech, ale to uczucie minęło równie szybko, jak przyszło. Zmiana płci zawsze mnie męczy, dlatego nie zgodziłam się na głupią sesję z fryzurami dla Petera. Pewnie straciłam właśnie parodniowy zapas energii od Martina. Zostało mi jej jeszcze przynajmniej na dwa tygodnie, ale i tak

czułam, że zaczyna się we mnie odzywać instynkt żerowania, dodatkowo podsycony nieustannym pragnieniem Romana. W księgarni panował zwykły, codzienny ruch. Szybko odszukałam dział religioznawczy. Wiele razy kierowałam tu klientów, a nawet sama przeczytałam kilka tytułów. Ale nigdy nie zwróciłam uwagi, ile istnieje wydań Biblii.

- Jezu - mruknęłam, gapiąc się na różne przekłady. Na półce stały Biblie dla kobiet i mężczyzn, Biblie dla nastolatków, ilustrowane Biblie, Biblie z dużym drukiem, Biblie z wytłaczanymi złotymi literami.

Zdjęłam z regału pierwszą, jaka mi w ręce wpadła, odnalazłam rozdział szósty Księgi Rodzaju i przeczytałam wspomniany przez Erika ustęp:

*„I stało się, gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi, a córki się im zrodziły; Że, widząc synowie Boży córki ludzkie, iż były piękne, brali je sobie za żony, ze wszystkich, które sobie upodobali. I rzekł Pan: Nie będzie się wadził duch mój z człowiekiem na wieki, gdyż jest ciałem; i będą dni jego sto i dwadzieścia lat. A byli olbrzymowie na ziemi w one dni; nawet i potem, gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich, rodziły im syny. A cić są mocarze, którzy od wieku byli mężowie sławni”*

Cóż. To wszystko wyjaśniało.

Przeczytałam fragment jeszcze kilka razy w nadziei, że zrozumie z niego coś więcej. Wreszcie uznałam, że Erik musiał mi podać błędny numer rozdziału. Ostatecznie był zajęty czymś innym. Według mnie ten fragment nie miał nic wspólnego z aniołami, upadkiem czy nawet z odwieczną walką dobra ze złem. Dotyczył ludzkiej prokreacji. Nie potrzeba było uczonego w Piśmie, by zgadnąć, co oznaczało zdanie „weszli synowie Boży do córek ludzkich”, szczególnie gdy w następnym zdaniu pojawiały się „syny”. W dawnych czasach seks sprzedawał książki tak samo jak dziś. Byłam ciekawa, czy Erik nie podsunął mi tego fragmentu dla żartu.

- Szukasz wiary?

Spojrzałam najpierw na koszulkę z Pacmanem, a potem w zaciekawioną twarz Setha.

- Obawiam się, że znalazłam ją i zgubiłam dawno temu.

- Zatrzasnęłam książkę, kiedy ukląkł przy mnie. - Po prostu coś sprawdzam. Jak się miewają Cady i O'Neill?

- Robią szybkie postępy w najnowszym śledztwie.

Uśmiechnął się z czułością, a ja przytępałam się na gapieniu w jego bursztynowe oczy. Przez ostatnie dwa dni wymieniliśmy

jeszcze kilka e-maili. Z przyjemnością czytałam moje prywatne minipowieści, choć nasze rozmowy na żywo nie wykazywały oznak poprawy. - Właśnie skończyłem rozdział i muszę sobie zrobić przerwę. Pochodzić, napić się czegoś.

- Pewnie bez kofeiny. - Wiedziałam już, że Seth nie pije napojów zawierających kofeinę, co wydawało mi się przerażające i nienaturalne.

- Tak. Bez kofeiny.

- Niepotrzebnie ją odstawiłeś. Może poprawiłaby twoją pisarską wydajność.

- Ach, prawda. Uważasz, że moje książki nie wychodzą dość szybko.

Jęknęłam, przypominając sobie dzień, w którym się poznaliśmy.

- Zdaje się, że to ja pierwszego dnia stanowczo za szybko wyrzucałam z siebie słowa.

- Ależ skąd. Byłaś genialna. Nigdy tego nie zapomnę.

Jego zagadkowa maska zsunęła się na chwilę, tak jak wtedy, na lekcji tańca, i znów ujrzałam w jego twarzy męskie zainteresowanie i podziw dla moich wdzięków. Kiedy tak klęczałam obok niego, znów poczułam się z nim swobodnie, tak jak czuję się z Dougiem czy moimi nieśmiertelnymi

przyjaciółmi. To było takie miłe, kojące. Jakbyśmy znali się od dawna. I w pewnym sensie tak było - znałam go dzięki jego książkom.

Przebywanie tak blisko niego było jednocześnie trochę deprymujące. Rozpraszało. Nagle zauważyłam smukłe mięśnie jego rąk, sposób, w jaki potargane włosy okalają jego twarz. Moją uwagę przykuł nawet złotawy połysk jego zarostu i kształt ust. Odwróciłam się, czując, jak odzywa się we mnie pierwotny głód energii, i opanowałam chęć, by dotknąć jego twarzy. Przemiana postaci na tyłach sklepu wyrządziła więcej szkód, niż się spodziewałam. Wciąż jeszcze nie potrzebowałam pełnej dawki energii, ale instykt sukuba zaczynał o sobie przypominać. Musiałam go szybko zaspokoić, ale na pewno nie z Sethem.

Podniosłam się szybko, wciąż trzymając w rękach Biblię. Chciałam uciec od niego jak najprędzej. Wstał ze mną.

- Eee... ten - zaczęłam niezręcznie, kiedy żadne z nas nie powiedziało nic przez dłuższą chwilę. - Muszę iść do pracy. Kiwnął głową, ale nagle na jego twarzy dostrzegłam dziwne podenerwowanie.

- Ehm...

- Tak?

Przełknął ślinę, odwrócił na chwilę wzrok, po czym znów spojrzał na mnie, tym razem z determinacją.

- Idę w niedzielę na imprezę i pomyślałem, że może... gdybyś nie była zajęta i nie pracowała, to może, to znaczy, może poszłabyś ze mną.

Wybałuszyłam oczy. Zatkano mnie. Czy Seth Mortensen właśnie zaprosił mnie na imprezę? I czy... czy nie odbyliśmy właśnie, bodajże po raz pierwszy, sensownej rozmowy? Na dodatek nagle zauważyłam, jaki jest atrakcyjny. Świat stawał na głowie. Co gorsza, miałam ochotę się zgodzić. Znajomość z Sethem nagle wydała mi się naturalna i swojska, nawet jeśli

nie była to górską kolejką emocji jak z Romanem. W którymś momencie naszej dziwacznej, krępującej relacji szczerze polubiłam twórcę Cady i O'Neilla, niezależnie od jego powieści.

Niestety, nie mogłam się zgodzić. Wiedziałam, że mi nie wolno. Przeklinałam się za próby flirtu pierwszego dnia - najwidoczniej utkwily mu w głowie, mimo moich wysiłków zatarcia pierwszego wrażenia i pozostania z nim na przyjacielskiej stopie. Z jednej strony byłam przerażona, z drugiej, mile polecthana. Ale dobrze wiedziałam, co robić.

- Nie - odparłam twardo, wciąż lekko osłupiała.
- Och.

Nie miałam wyboru. Nie mogłam dopuścić, żeby coś do mnie poczuł. Z autorem moich ulubionych książek nie mogłam ryzykować nic prócz przyjaźni na odległość.

Po chwili zorientowałam się, jak niegrzecznie to zabrzmiało i spróbowałam to naprawić. Powinnam powiedzieć po prostu, że mam w niedzielę coś do roboty, ale zamiast tego zaczęłam paplać bez składu i ładu, podając mu wersję, którą od lat wciskam Dougowi.

- Widzisz... w tej chwili nie jestem zainteresowana randkami czy wiązaniem się z kimkolwiek. Nie bierz tego do siebie, oczywiście bardzo mi miło i w ogóle, ale po prostu nie mogę się zgodzić. Właściwie nigdy nie przyjmuję takich zaproszeń. Łatwiej mi się nie angażować. Nie umawiać się, eee, w ogóle.

Seth przyglądał mi się dłuższą chwilę, a ja przypominałam sobie pierwszy wieczór naszej znajomości. Miał teraz dokładnie taką samą minę, jak wtedy, kiedy wyjaśniłam mu moją zasadę pięciu stron.

Wreszcie powiedział:

- Okej. Ale... nie chodzisz z tamtym facetem? Z tym wysokim, czarnowłosym?

- Nie. Nie chodzimy ze sobą. Jesteśmy tylko... przyjaciółmi. Tak jakby.

- Ach - powtórzył Seth. - Więc przyjaciele nie chodzą ze sobą na imprezy?

- Nie. - Zawahałam się, nagle żałując, że nie mogę mu dać innej odpowiedzi. - Może czasem piją razem kawę. Tu, w księgarni.

- Ja nie piję kawy.

Jego głos zabrzmiał dziwnie ostro. Poczułam się, jakby wymierzył mi policzek. Staliśmy tak jeszcze przez chwilę i był to chyba jeden z pięciu najbardziej krępujących momentów mojego życia. Milczenie przeciągało się. Wreszcie powtórzyłam moją żalną wymówkę:

- Muszę wracać do pracy.

- Okej. Do zobaczenia.

Tylko przyjaciel. Ileż razy używałam tego wykrętu? Ile razy kłamstwo było łatwiejsze niż stawienie czoła prawdzie? Usłyszał je nawet mój mąż, dawno temu, kiedy ukrywałam przed nim i przed sobą prawdę, do której nie chciałam się przyznać, gdy nasze stosunki zaczęły się psuć.

- Tylko przyjaciel? - powtórzył Kyriakos, wpatrując się we mnie ciemnymi oczami.

- Oczywiście. Jest też twoim przyjacielem. Po prostu dotrzymuje mi towarzystwa, kiedy ciebie nie ma. Nic więcej. Bez ciebie czuję się taka samotna.

Nigdy nie przyznałam się mężowi, jak często jego przyjaciel, Ariston, przychodził do mnie z wizytą, i jak bez przerwy wynajdowaliśmy okazje, żeby się dotknąć. Niewinne otarcie ramion. Jego dłoń, pomagająca mi wstać. Albo ten dzień, który wciąż płonął w mojej pamięci, kiedy sięgnął za moje plecy po butelkę i musnął moją pierś. Krzyknęłam bezwiednie, a jego ręka pozostała tam przez chwilę, choć wcale nie musiała.

Nie powiedziałam też Kyriakosowi, że przy Aristonie czułam się jak w pierwszych dniach naszego małżeństwa - mądra, piękna i godna pożądania. Ariston nadskakiwał mi, jak niegdyś Kyriakos, i uwielbiał mój cięty język, który sprawiał mi tyle kłopotów, gdy byłam jeszcze panną.

A Kyriakos... i on zapewne kochał to wszystko, ale już nie okazywał tego tak często. Jego ojciec kazał mu pracować coraz dłużej i dłużej, a kiedy mój mąż wreszcie wracał do domu, padał na posłanie albo szukał ukojenia w grze na flecie. Nienawidziłam tego fletu... nienawidziłam i kochałam. Złościło mnie, że Kyriakos poświęca mu więcej uwagi niż mnie. A jednak czasem, kiedy siedziałam wieczorem i słuchałam, jak gra, zachwycał mnie jego talent, umiejętność wydobywania z instrumentu nieopisanej słodyczy.

To nie zmieniało faktu, że zwykle zasypiałam nietknięta. Kiedy powiedziałam mu, że w ten sposób nigdy nie pocznę dziecka, wyśmiał mnie i powiedział, że mamy jeszcze dużo czasu na dzieci. To mnie martwiło, bo irracjonalnie wierzyłam, że dziecko naprawiłoby wszystko między nami. Boleśnie pragnęłam potomka, tęskniłam za uczuciem, które towarzyszyło mi, gdy dawno temu trzymałam na rękach moje małe siostry. Uwielbiałam szczerą i niewinność dzieci i sądziłam, że dzięki nim człowiek może stać się lepszy. W tamtych czasach nic nie sprawiało mi większej radości niż przemywanie skaleczeń, trzymanie małych rączek i opowiadanie bajek. Co więcej, dotarłam już do etapu, kiedy potrzebowałam się przekonać, że mogę mieć dziecko. W starożytności trzy bezpotomne lata małżeństwa były powodem do niepokoju i wiedziałam, że ludzie zaczynają szeptać, iż biedna Letha może być bezpłodna. Nie cierpiałam ich mizdrzenia się, mdliło mnie od ich przestodzonej litości. Powinnam była powiedzieć Kyriakosowi, co mnie gryzie, ze wszystkimi szczegółami. Ale był taki kochany i tak ciężko



pracował, żeby zapewnić nam byt, że nie potrafiłam. Nie chciałam burzyć pozornego szczęścia, które wypełniało nasz dom, by zaspokoić własne potrzeby i pragnienie uwagi. Poza tym nie zawsze zaniedbywał mnie w sypialni. Odrobina zachęty i czasem udawało mi się wzbudzić w nim pożądanie. Wtedy kochaliśmy się w środku nocy i poruszał się we mnie z tą samą pasją, z jaką grał swoją muzykę.

Czasem patrząc na Aristona, miałam wrażenie, że on nie potrzebowałby zachęty. I gdy mijały kolejne dni bez Kyriakosa, zaczęło to pobudzać moją wyobraźnię.

Tylko przyjaciel. Stojąc między regałami księgarni i patrząc, jak Seth odchodzi, nie mogłam się nadziwić, jak ludzie mogą nadal używać tego wykrętu. Oczywiście wiedziałam, dlaczego tak jest. Bo wciąż w niego wierzą. A przynajmniej chcą wierzyć.

Kiedy wróciłam na dół - smutna, zła i zawstydzona - wpadłam na scenkę, która gwarantowała mi dodatkową dawkę wrażeń. Przy ladzie stała Helena z Krystal Starz i dziko wymachiwała rękami do kasjerek.

Helena tutaj. Na moim terenie.

Słumiłam nieprzyjemne emocje po rozmowie z Sethem i podeszłam do niej zdecydowanym krokiem, wciąż ściskając w dłoni Biblię.

- Mogę w czymś pomóc?

Helena odwróciła się gwałtownie, aż zadzwoniły kryształki na jej szyi.

- To ona. Ona ukradła mi personel.

Spojrzałam za ladę. Casey i Beth wyraźnie ulżyło na mój widok. Tammi i jej koleżanka Janice były w innej części sklepu, chwata Bogu. Lepiej było ich w to nie mieszać. Odezwałam się chłodnym, spokojnym głosem, świadoma, że patrzą na nas klienci.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie udawaj! Doskonale wiesz, o czym mówię. Przyszłaś do mojego sklepu, zrobiłaś scenę, a potem skusiłaś moje pracownice. Odeszły bez wypowiedzenia!
- Ostatnio parę osób pytało tu o posadę - odparłam obojętnie. - Nie mogę za każdym razem sprawdzać, kto gdzie pracował. Ale jako zastępca kierownika rozumiem, że odejście pracownika bez wypowiedzenia może być dużą niedogodnością.
- Przestań! - wykrzyknęła Helena. Ani trochę nie przypominała upozowanej diwy z poprzedniego tygodnia. - Przejrzałam twoje kłamstwa! Chodzisz w mroku, a twoja aura spowita jest ogniem!
- Co jest spowite ogniem?  
Doug i Warren podeszli do nas zwabieni rozkręcającym się przedstawieniem.
- Ona - oznajmiła Helena mistyczną chrypą, wskazując mnie palcem.  
Warren przyjrzał mi się uważnie, jakby naprawdę szukał płomieni.
- Georgino?
- Ukradła mi dwie pracownice. Po prostu przyszła i je podkupiła. Mogłabym was pozwać. Kiedy powiem moim prawnikom...
- Które pracownice?
- Tammi i Janice.  
Wzdrygnęłam się, czekając, co wyniknie z takiego obrotu sprawy. Mimo licznych wad Warren jest wytrawnym biznesmenem, kładącym nacisk na profesjonalizm i dbałość o klienta. Martwiłam się, co będzie, jeśli postanowi bliżej zbadać moje metody pozyskiwania pracowników. Zmarszczył brwi, najwyraźniej próbując dopasować twarz do imion.
- Zaraz... czy jedna z nich nie odpaliła mi dzisiaj samo-

chodu?

- Tammi.

Prychnął lekceważąco.

- Nie oddamy ich.

Helena zrobiła się czerwona jak burak.

- Nie możecie...

- Proszę pani, przykro mi z powodu pani trudnego położenia, ale nie mogę oddać pracownic, które podpisały z nami umowę i najwyraźniej nie chcą już być zatrudnione u pani.

W handlu zawsze jest spora rotacja. Z pewnością wkrótce znajdzie pani zastępstwo.

Helena odwróciła się do mnie, wciąż celując palcem.

- Nie zapomnę ci tego. Nawet jeśli ja nie mogę ci się dobrać do skóry, wszechświat zemści się za twoją okrutną chorą naturę. Umrzesz samotna i nieszczęśliwa. Niekochana. Bez przyjaciół. Bezdzienna. Twoje życie nie będzie nic warte. I to by było na tyle, jeśli chodzi o pozytywne przesłanie New Age. Nie przerażały mnie jej przepowiednie dotyczące śmierci, ale pozostałe trochę zabolowały. Samotna i nieszczęśliwa.

Niekochana. Bez przyjaciół. Bezdzienna.

Warren nie podzielał moich obaw.

- Proszę pani. Georgina jest ostatnią osobą, którą można oskarżać o okrutną naturę czy prowadzenie bezwartościowego życia. To dzięki niej ten interes funkcjonuje. Całkowicie ufam jej osądowi, również w kwestii zatrudnienia pani byłych pracownic. A teraz, jeśli nie chce pani niczego kupić, muszę panią poprosić o opuszczenie naszego sklepu. W przeciwnym razie będę zmuszony wezwać policję.

Helena wypluła jeszcze parę klątw, zapewniając rozrywkę klientom czekającym w kolejce do kas. Ku mojemu

zaskoczeniu Warren był niewzruszony. Zwykle staje na głowie, żeby łagodzić konflikty z klientami i przedstawić księgarnię z jak najlepszej strony, często kosztem pracowników. Ale dzisiaj widocznie nie miał ochoty głaskać nikogo po główce. To było coś nowego i miłego.

Kiedy Helena wyszła, bez słowa wrócił do swojego gabinetu. Doug i ja staliśmy jak wryci. Zdumienie szybko ustąpiło miejsca rozbawieniu.

- Kincaid, ty to potrafisz namieszać.
- Co? Nie zwalaj tego na mnie.
- Żartujesz? Zanim zaczęłaś tu pracować, nie przychodziły do nas szurnięte czarownice.
- Skąd możesz wiedzieć? Pracuję dłużej od ciebie. - Spojrzałam na zegarek i się zamyśliłam. - Będziesz tu jeszcze przez chwilę, zgadza się
- Tak. A co?
- Nic, nic. - Zostawiłam go i poszłam do części biurowej. Zamiast skręcić do swojego gabinetu, poszłam prosto do Warrena.

Siedział przy biurku, pakując aktówkę. Mógł wyjść, skoro Tammi uruchomiła jego samochód.

- Nie mów mi, że wróciła.
- Nie. - Zamknęłam za sobą drzwi. Podniósł głowę. - Chciałam ci tylko podziękować.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Wyrzucanie wariatów należy do moich obowiązków.
- Tak, ale ostatnim razem nie usłyszałam mowy pochwalnej. Musiałam przeprosić.

Wzruszył ramionami. Na pewno pamiętał ten incydent sprzed roku.

- To było co innego. Nazwałaś starszą panią hipokrytką i patologiczną nazistowską neofitką.
- Bo nią była.

- Skoro tak twierdzisz. - Jego oczy śledziły każdy mój ruch.

Podeszłam do niego i położyłam Biblię na biurku. Usiadłam mu okrakiem na kolanach. Moja obcisła czerwona spódnica podjechała wysoko, odsłaniając koronkowe brzegi pończoch. Pochyliłam się, żeby go pocałować. Najpierw kusząco skubnęłam zębami jego wargi, a potem nagle przycisnęłam do nich usta. Oddał pocałunek z takim samym żarem, odruchowo przesuwając ręce w górę i chwytając mnie za pośladki.

- Chryste - sapnął, kiedy oderwaliśmy się od siebie. Jedna jego dłoń powędrowała do mojej twarzy, druga bawiła się stringami, które miałam pod spódnicą. Jego palce przebiegły po ich koronkowym brzegu, a potem wcisnęły się we mnie, z początku delikatnie, badawczo, a potem głębiej. Byłam już mokra od nagłego przypiływu pożądania i zaczęłam wzdychać, rozkoszując się długimi, gładkimi pchnięciami. Warren przyglądał mi się z zadowoleniem.

- Co to ma być?

- Co? Przecież robimy to cały czas.

- Nigdy nie robisz pierwszego kroku.

- Powiedziałam ci, że jestem wdzięczna.

I byłam. Jego rycerska obrona wydała mi się urocza. Poza tym wciąż pożądałam Romana - a teraz może i Setha - i nagle Warren wydał mi się wygodnym obiektem zaspokojenia mojego irytującego głodu energii.

Nawinął na palce kosmyk moich włosów. Wyglądał na zamyślonego, choć nie przerwał tego, co robił między moimi nogami.

- Georgino... mam nadzieję... mam nadzieję, że wiesz, że to, co tu robimy, nie ma żadnego wpływu na twoją posadę. Nie masz zobowiązań... nie grozi ci utrata pracy, jeśli...

Roześmiałam się głośno zaskoczona jego dziwaczną troską.

- Wiem.

- Mówię serio.

- Wiem - powtórzyłam i skubnęłam zębami jego dolną wargę. - Tylko mi tu nagle nie wymiękaj - zamruczałam. - Nie po to przyszłam.

Nie przerywał, więc pograżyłam się w przyjemności, jaką sprawiał mi cielesny kontakt - jego języka w moich ustach, jego dłoni śmiało wędrującej po moim ciele. Po długim przedpołudniu wypełnionym seksualną frustracją po prostu musiałam to z kimś zrobić - z kimkolwiek. Warren rozpiął mi bluzkę i rzucił na podłogę. Wylądowała miękko, tworząc jedwabistą piramidkę. Po bluzce przyszła kolej na spódnicę i stringi. W końcu zostały mi tylko pończochy, biustonosz i szpilki. Wszystko czarne.

Uniósł się na krzesło, żebym mogła ściągnąć mu spodnie.

Kiedy go zobaczyłam - długiego, prostego i twardego - odsunęłam od siebie jego dłoni. Palce już mi nie wystarczały.

Oplotłam nogami jego biodra, na tyle, na ile pozwoliło mi krzesło. A potem, bez dalszych wstępów, zsunęłam się, zanurzając go w siebie. Wy-gięłam ciało w łuk, by wziąć go głębiej, i zaczęłam się poruszać, rytmicznie, mocno.

Spojrzałam w dół, by patrzeć, jak wsuwa się i wysuwa. W pokoju nie było słyhać nic, prócz odgłosów ciała uderzającego o ciało i naszych ciężkich oddechów.

Wraz z penetracją przyszła powódź odczuć, które odbierałam od niego - innych niż te fizyczne. Nie ma zbyt szlachetnej duszy, więc jego energia nie znokautowała mnie, jak energia Martina. Moc pochłaniania energii u sukuba zależy od charakteru ofiary. Silne, moralne dusze dają jej więcej, same tracąc potężną porcję witalności. Zdeprawowani mężczyźni tracą mniej, a więc i mniej dają. Niezależnie od poziomu energii czy jakości morale Warrena, ujeżdżając go, odbierałam

strzępki jego myśli i emocji. To normalne. Przenikały do mnie razem z jego siłą życiową.

Na pierwszym planie było oczywiście pożądanie. Zadowolenie i duma, że jest z młodszą, atrakcyjną kobietą. Podniecenie. Zaskoczenie. Nie miał zbyt wielu wyrzutów sumienia, że zdradza żonę - przez co i dawka energii była mniejsza - i nawet chwilowy przyrwyw ciepłych uczuć do mnie ustąpił miejsca zwierzęcej żądzy. Słyszałam jego myśli. Ależ jest ostra. Ależ mokra. Uwielbiam, jak mnie tak ujeżdża. Mam nadzieję, że dojdzie, i to nieraz, kiedy tak na mnie galopuje...

I doszłam. Moje ruchy stały się gwałtowniejsze, nasze ciała klaskały o siebie coraz głośniej. Mięśnie moich nóg naprężyły się. Plecy wygięły do tyłu. Piersi były gorące i spocone pod jego dłońmi. Orgazm rozszedł się po mnie falą - spazmy rozkoszy były coraz słabsze i słabsze, oddech powoli wracał do normy.

A i dawka energii była niezła. Zaczęła wsączać się we mnie powoli wraz z narastaniem naszej pasji, z początku delikatnie, niczym migotliwe smużki. Pod koniec stała się potężna i jasna, wlewając się we mnie, odnawiając moje życie, podsycając nieśmiertelność w chwili wspaniałego szczytowania, które mogło śmiało konkurować z tym fizycznym.

Kiedy oboje byliśmy już ubrani, ruszyłam do wyjścia. Warren może i nie traci wiele energii, ale zawsze po seksie ze mną jest wykończony i przygaszony. Myśli, że to sprawa wieku i kochania się z młodszą, bardziej aktywną kobietą. Nie wyprowadzam go z błędu, ale zawsze staram się wyjść dyskretnie, żeby oszczędzić mu zażenowania z powodu zmęczenia. Wiedziałam, że gnębi go myśl, iż nie dotrzymuje mi kroku.

- Georgino? - powiedział, kiedy byłam już przy drzwiach. - Dlaczego nosisz ze sobą Biblię? Chyba nie próbujesz nawracać klientów?

- Ach, to. Sprawdziałam tylko pewien cytat dla znajomego.  
W gruncie rzeczy bardzo na miejscu. O seksie.  
Otarł pot z czoła.
- Od lat chodzę do kościoła, ale nie pamiętam, żeby były tam jakieś dobre sceny erotyczne.
- To nie tyle scena erotyczna, ile kliniczny opis prokreacji.
- A. Tego rzeczywiście jest sporo.  
Niewiele myśląc, podeszłam do niego i otworzyłam szósty rozdział Księgi Rodzaju.
- Widzisz? - Wskazałam właściwe wersety. - Te wzmianki o mężczyznach biorących sobie kobiety. Powtarza się to chyba ze trzy razy.  
Warren przyglądał się tekstowi ze zmarszczonym czołem, a ja uzmysłowiłam sobie, że księgarni nie otwiera ktoś, kto nie posiada sporej wiedzy na temat literatury.
- No więc... to się powtarza, bo tutaj, gdzie jest napisane: „ludzie poczęli się rozmnażać na ziemi”, mowa jest o istotach ludzkich.  
Spojrzałam na niego przenikliwie.
- Jak to, o „istotach ludzkich”?
- Popatrz tutaj. „Synowie Boży” to nie są ludzie. To anioły.
- Co? - Gdybym to ja trzymała książkę, pewnie bym ją upuściła. - Jesteś pewny?
- Oczywiście. Mówię, lata chodzenia do kościoła. Ten termin przewija się przez całą Biblię. - Otworzył Księgę Hioba.
- Widzisz? Tu też jest. „I stało się niektórego dnia, gdy przyszli synowie Boży, aby stanęli przed Panem, że też przyszedł



i szatan między nich"\*. Tu jest mowa o aniołach, w tym przypadku upadłych.

Przełknęłam ślinę.

- Więc... więc, co oni robili w Księdze Rodzaju? Z „córkami ludzkimi”? Czy te anioły uprawiały seks z kobietami?

- Cóż, tu jest napisane, że były „piękne”. Trudno mieć do nich pretensje, co? - Mówiąc to, spojrział na mnie z podziwem.

- Sam nie wiem. Jak się zapewne domyślasz, niewiele się o tym mówi w kościele. Głównie podkreśla się ludzki grzech i winę, ale ja to akurat puszczam mimo uszu.

Wciąż gapiłam się osłupiała na księgę, a w głowie kłębiły mi się nowe teorie. Warren przyjrzał mi się z ciekawością, kiedy nie skomentowałam jego żartu.

- Czy to ci pomogło?

- Tak - odparłam, przytomniejąc. - Nawet bardzo.

Zaskoczyłam go delikatnym całusem w usta, wzięłam Biblię i wyszłam.

## Rozdział 14

Zwołałaś nas tutaj, żeby nam czytać biblijne porno? Hugh odwrócił się obojętnie od kuchennego stołu, przy którym siedziałam z wampirami, pochylona nad Biblią. Jego siniaków już prawie nie było widać. Wetknął papierosa do ust i wyjął z kieszeni zapalniczkę.

- Nie pal tu - warknęłam.

- Co ci to przeszkadza? Sama paliłaś przez większą część XX wieku?

- Ale rzuciłam. Poza tym to szkodzi Aubrey.

Kotka, siedząca na jednej z szafek, na dźwięk swojego imienia przerwała mycie i zerknęła na niego krzywo. Hugh

odpowiedział jej wściekłym spojrzeniem, zaciągnął się głęboko i zgasił papierosa tuż obok niej. Aubrey wróciła do mycia, a on zaczął nerwowo chodzić po mieszkaniu. Cody siedział obok mnie, pochylony nad stołem, studiując Biblię.

- Nie rozumiem, skąd wiadomo, że ci goście to anioły. Określenie „synowie Boży” bardziej pasuje do ludzi. No bo ni-  
by wszyscy jesteśmy dziećmi Boga, nie?

- Wyłączając tu zgromadzonych, oczywiście - zawołał Hugh z salonu. - Jezu Chryste! Skąd wygrzebałaś ten regał? Z ruin Hiroszimy?

- Teoretycznie jesteśmy - zgodziłam się, ignorując diablika

i odpowiadając na pytanie Cody'ego. Od czasu mojego dzisiejszego odkrycia przejrzałam spory fragment Biblii i zaczynałam mieć już dość. - Ale Warren ma rację. Ten termin jest używany w całej księdze na określenie aniołów. Poza tym kobiety nie są tutaj nazywane „córkami Bożymi”, tylko „córkami ludzkimi”. Są ludźmi, a ich mężowie nie.

- Może chodzi o stary dobry seksizm. - Peter poszedł w końcu na całość i zgolił włosy. Nie wyglądał zbyt korzystnie, biorąc pod uwagę kształt jego głowy. - W Biblii to nic niezwykłego.

- Nie. Myślę, że Georgina ma rację - powiedział Hugh, wracając do nas. - Przecież coś sprawiało, że anioły upadały, to wiemy. Pożądanie jest powodem dobrym jak każdy inny i bije na głowę obzarstwo czy lenistwo.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Peter. - Jak to się ma do naszego łowcy nie tylko wampirów?

- Patrz tutaj. - Wskazałam werset czwarty. - Tu jest napisane „A byli olbrzymowie na ziemi w one dni; nawet i potem, gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich, rodziły im syny. A cić są mocarze, którzy od wieku byli mężowie sławni”.

Kluczowymi słowami są: „w one dni; nawet i potem”. Z tego wynika, że anioły upadały dla ziemskich kobiet więcej niż raz. To odpowiada na nasze pytanie, czy anioły wciąż upadają. No więc: tak.

Cody pokiwał głową.

- Co potwierdza twoją teorię, że jeden z nich właśnie próbuje upaść.

- Nie wydaje mi się, żeby katalizatorem była żądza - stwierdził Hugh. - Coś mi się zdaje, że prędzej załatwią mu to napady z pobiciem.

- Chyba że pożąda Georginy - zasugerował cierpko Peter.

- Podobno uważa, że jesteś ładna.

Coś uderzyło mnie w słowach Hugh.

- Ale czy napady z pobiciem wystarczą? Szczególnie że napada i bije wampiry i diabliki? Druga strona może i pogrozi mu palcem, ale nie sądzę, żeby eliminowanie agentów zła wystarczyło, by anioł zmienił się w demona.

- Wydarzenia z przeszłości wskazują, że druga strona nie

jest szczególnie... elastyczna, jeśli chodzi o odstępców - stwierdził diablik.

- A nasza jest? - mruknął Peter.

Cody spojrzał na mnie przenikliwie.

- Wycofujesz się ze swojej teorii?

- Nie, nie. Po prostu mam nagłe wątpliwości co do wersji o upadaniu. Wersja o buntowniku czy renegacie może być bardziej trafna.

- Ale w liście, który dostałaś, jest wzmianka o upadających aniołach - wytknął mi Hugh. - To chyba o czymś

świadczy? To chyba wskazówka, a nie tylko wypaczone poczucie humoru?

Pomyślałam o liście. Tak, Hugh miał rację. Byłam pewna, że treść listu ma znaczenie, choć jeszcze nie potrafiłam go uchwycić.

- Wypaczone poczucie humoru jest typowe dla aniołów  
- przypomniał nam Peter. - Spójrzcie tylko na Cartera.

Wahałam się chwilę niepewna, czy powinnam wyjawić swoją drugą teorię. Wszyscy wydawali się godzić z faktem, że to może być anioł, więc uznałam, że teraz albo nigdy.

- Chłopaki, myślicie, że... że to możliwe, że za tym wszystkim stoi Carter?

Trzy pary oczu spojrzały na mnie ze zdumieniem. Hugh odezwał się pierwszy.

- Zwariowałaś? Wiem, że ty i on często się ścinacie, ale, Jezu...

- Carter jest jednym z nas - dodał żarliwie Cody.

- Wiem, wiem. - Zaczęłam wyjaśniać im swój tok rozumowania. Opowiedziałam im, że anioł mnie śledził, i jak wyglądała nasza rozmowa u Erika.

Zapadła cisza. Wreszcie Peter powiedział:

- To wszystko jest dziwne. Ale ciągle tego nie kupuję.  
Nie Carter.

- Nie Carter - zgodził się Hugh.

- Och, rozumiem. Kiedy zabito Duane'a, wszyscy natychmiast uznaliście mnie za winną, ale doskonały Carter jest poza wszelkimi podejrzeniami. - Moja złość narastała, podsycana ich automatyczną solidarnością i niezachwianą wiarą w niewinność Cartera. - Więc dlaczego się z nami trzymają? Słyszeliście kiedyś o aniele, który by się tak zachowywał?

- Jesteśmy jego przyjaciółmi - powiedział Cody.

- I z nami jest weselej - dodał Hugh.

- Możecie sobie w to wierzyć, jeśli chcecie, ale ja mu nie ufam. Szlajanie się po pubach z demonem i jego kumplami to doskonała przykrywka do sabotażu. On nas szpieguje. Jesteście stronnicy, bo jest świetnym kumplem do kieliszka.
- A nie uważasz, Georgino - zaczął Peter - że to ty możesz być odrobinę uprzedzona? Przyznaję, że twoja wariacka teoria o aniele nabiera coraz więcej sensu, ale skąd przyszło ci do głowy mieszać w to Cartera?
- Właśnie - przytaknęła Hugh. - Wygląda na to, że wciągasz go w tę sprawę bez żadnego sensownego powodu. Wszyscy wiedzą, że się nie dogadujecie. Patrzyłam z niedowierzaniem w trzy pary rozgniewanych oczu.
- Mam całe mnóstwo powodów. Jak wyjaśnisz jego obecność u Erika?  
Diablik pokręcił głową.
- Wszyscy znamy Erika. Carter mógł tam być z tych samych powodów, co ty.
- A to, co mówił?
- A co tak naprawdę mówił? - zapytał Peter. - Czy powiedział: „Hej, Georgino, mam nadzieję, że dostałaś mój liścik”? Twoje oskarżenia mają dość mizerne podstawy.
- Posłuchajcie, nie twierdzę, że mam niezbite dowody, tylko że poszlaki wskazują...
- Muszę już iść - oznajmił Cody, wstając.  
Spojrzałam na niego zimno. Czyżbym aż tak przeciągnęła strunę?
- Rozumiem, że się ze mną nie zgadzasz, ale to nie powód, żeby wychodzić.
- Nie, po prostu mam coś do załatwienia.  
Peter przewrócił oczami.
- Nie ty jedna umawiasz się na randki, Georgie. Cody się nie przyznaje, ale zdaje się, że ma dziewczynę.

- Żywą? - zapytał Hugh z podziwem.

Cody włożył kurtkę.

- Nic nie wiecie.

- Uważaj na siebie - ostrzegłam odruchowo.

Napięta atmosfera nagle zniknęła i wyglądało na to, że nikt nie jest już na mnie zły za podejrzenia wobec Cartera. Było jednak jasne, że ani wampiry, ani diablik mi nie wierzą. Zbyli moje pomysły, jak zbywa się dziecięce strachy czy wymyślonych przyjaciół.

Peter i Cody wyszli razem, a Hugh wkrótce po nich. Położyłam się do łóżka, wciąż głowiąc się na tą łamigłówkę. Autor listu zrobił aluzję do aniołów upadających dla pięknych kobiet. To musiało coś znaczyć. Nie potrafiłam tego jednak połączyć z dziwnymi atakami na Duane'a i Hugh, które były raczej przejawami chęci mordu niż pożądania czy umiłowania piękna.

Następnego dnia, po przyjsciu do pracy, w skrzynce odbiorczej znalazłam nowego e-maila od Setha. Wystraszyłam się, że to jakieś rozwinięcie wczorajszego zaproszenia na randkę, ale była to tylko odpowiedź na mój ostatni list dotyczący jego spostrzeżeń na temat Północnego Zachodu. Dyskutowaliśmy na ten temat już od jakiegoś czasu. Styl i ton listu były równie zabawne co zwykle i wszystko wskazywało na to, że nie pogniewał się z powodu mojej wczorajszej odmowy. Ba, można było odnieść wrażenie, że w ogóle się nią nie przejął.

Utwierdziłam się w tym przekonaniu, kiedy poszłam na górę kupić kawę. Seth siedział w swoim ulubionym kącie i pisał w najlepsze, nie zważając na fakt, że jest sobota. Zatrzymałam się, by powiedzieć „cześć”, i dostałam typową, roztargnioną odpowiedź. Ani słowem nie wspomniał o imprezie, nie wyglądał na zagniewanego i wyglądało wręcz, że ma to wszystko w nosie.

Chyba powinnam się cieszyć, że tak szybko o tym zapomniał, że nie rozpacza i nie rozdziera przeze mnie szat, ale mój egoizm sprawił, że poczułam rozczarowanie. Nie miałabym nic przeciwko temu, by moja odmowa zrobiła na nim trochę większe wrażenie, by choć trochę żałował. Douga czy Romana nie zniechęcało jedno „nie”. Ależ jak jestem kapryśna! Przypomniało mi się, że wieczorem idziemy z Romanem na koncert Douga. Na myśl o randce z Romanem zaszumiło mi w głowie, choć radosne upojenie zabarwione było niepokojem. Nie podobało mi się, że tak na mnie działa, a jak do tej pory nie wykazałam się zbytnią skutecznością w opieraniu się jego zało-om. Wiedziałam, że któregoś dnia osiągniemy punkt krytyczny i bałam się, co z tego wyniknie. Podejrzywałam, że kiedy ta chwila nadejdzie, pożałuję, że Roman nie dał się zniechęcić tak łatwo jak Seth. Wszystkie obawy wyparowały mi z głowy, kiedy tego wieczoru wpuściłam Romana do swojego mieszkania. Wyglądał nienagannie w wieczorowym stroju, w eleganckich odcieniach granatu i srebrzystej szarości. Posłał mi powalający uśmiech i musiałam się pilnować, żeby nie ugięły się pod mną kolana.

- Zdajesz sobie sprawę, że idziemy na koncert postgrunge'owego, punkrockowego zespołu? Wszyscy inni będą w dżinsach i koszulkach ewentualnie w czarnych skórach.
- Hm, fatałszki z czarnej skóry to niezły pomysł na kolejną randkę. - Obrzucił spojrzeniem mieszkanie, na chwilę zatrzymując się na regale. - Ale powiedziałaś, zdaje się, że ta impreza zaczyna się późno.
- Tak. O jedenastej.
- To nam daje cztery godziny do wykorzystania, kochana. Będziesz musiała się przebrać.

Spojrzałam na czarne dżinsy i czerwony top na ramiączkach, które miałam na sobie.

- To się nie nada?

- „To” cudownie eksponuje twoje nogi, ale lepiej sprawdzi się spódnica albo sukienka. Coś takiego, jak na lekcji tańca, albo... bardziej ognistego.

- Chyba nigdy nie słyszałam, żeby ktoś określał moją garderobę jako ognistą.

- Jakos trudno mi w to uwierzyć. - Wskazał palcem korytarz. - Idź. Zegar tyka.

Dziesięć minut później wróciłam w obcisłej granatowej sukience z żorzęty. Miała cienkie ramiączka i asymetryczny, poszarpany dół, wysoko odstawiający moją lewą nogę.

Pozbyłam się też końskiego ogona i rozpuściłam włosy.

Roman spojrział na mnie, przerywając kontakt wzrokowy z Aubrey.

- Ognista. - Wskazał Biblię leżącą na stoliku. Była otwarta,

jakby ją przeglądał. - Nie wyglądasz na praktykującą katoliczkę.

Seth i Warren też żartowali ze mnie w ten sposób. Ta książka psuła mi reputację.

- Po prostu czegoś szukałam. Ale nie na wiele mi się przydała.

Roman wstał i się przeciągnął.

- Pewnie dlatego, że to jeden z najgorszych przekładów w obiegu.

Przypomniałam sobie cały rząd Biblii na półce w księgarni.

- A możesz mi polecić lepszy?

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem ekspertem, ale pewnie bardziej by ci się przydało któreś z wydań przeznaczonych do studiów, a nie dla



celów religijnych. Takie z przypisami, jakich używa się na zajęciach ze studentami.

Zapamiętałam sobie te rady, ciekawa, co jeszcze może kryć się w tajemniczych wersetach. Na razie musiałam skupić się na randce.

Wylądowaliśmy w małej meksykańskiej knajpce na uboczu, w której nigdy nie byłam. Kelnerzy mówili po hiszpańsku - Roman zresztą też - a jedzenie nie było wersją light dla Amerykanów. Kiedy na stoliku pojawiły się dwie margarity, zorientowałam się, że Roman zamówił drinka i dla mnie.

- Nie chcę dzisiaj pić. - Dobrze pamiętałam, jak mi odbiło na poprzedniej randce.

Zagapił się na mnie, jakbym nagle oświadczyła, że postanowiłam dziś nie oddychać.

- Chyba żartujesz. W tym lokalu robią najlepsze Margarity na północ od Rio Grandę.

- Chcę być trzeźwa.

- Jedna cię nie zabije. Wypij do posiłku, nawet nie poczujesz. - Nic nie odpowiedziałam. - Na litość boską, Georgino, spróbuj chociaż soli. Jedno liżnięcie i będzie po tobie.

Niechętnie przejechałam językiem po brzegu kieliszka. Smak soli obudził we mnie apetyt na tequilę, który był równie silny jak sukubie pragnienie seksu. Uległam, wbrew rozsądkowi, i wypiałam łyczek. Była fantastyczna.

Jedzenie też, co mnie nie zdziwiło. Skutek był taki, że wypiałam dwie margarity. Na szczęście Roman miał rację co do picia w trakcie posiłku, poczułam tylko lekki szum w głowie.

Wydawało mi się, że panuję nad sobą, i wiedziałam, że jakoś sobie poradzę, dopóki nie wytrzeźwieję.

- Jeszcze dwie godziny - powiedziałam, kiedy wyszliśmy z restauracji. - Zaplanowałeś coś jeszcze?

- Oczywiście. - Ruchem głowy wskazał budynek po drugiej stronie ulicy. Spojrzałam tam. Napis nad wejściem głosił: „U Miguela”.

Coś mi zaświtało.

- Słyszałam o tym klubie... zaraz, tam się tańczy salsę.

- Tak. Próbowaaś tego kiedyś?

- Nie.

- Co? Myślałem, że jesteś królową parkietów.

- Jeszcze nie skończyłam ze swingiem.

Tak naprawdę miałam ogromną ochotę spróbować salsy. Ale podobnie jak z książkami Setha Mortensena, nie chciałam za szybko „zużyć” zbyt wielu dobrych rzeczy naraz. Swing wciąż sprawiał mi frajdę i chciałam wycisnąć z niego ile się da, zanim przerzucę się na inny taniec. Długie życie sprawia, że człowiek stara się jak najdłużej smakować przyjemności.

- Trudno, będziesz musiała sobie poradzić. - Wziął mnie za rękę i przeprowadził na drugą stronę ulicy.

Próbowałam protestować, ale nie chcąc mu wyjaśniać prawdziwych powodów mojego oporu, poddałam się dość łatwo, podobnie jak z margaritami.

Klub był gorący i zatłoczony, muzyka zabójcza. Moje stopy odruchowo zaczęły wybijać rytm, kiedy Roman zapłacił za wejściówkę i poprowadził mnie na parkiet. Okazał się ekspertem, tak jak w przypadku swinga, a ja szybko podchwyciłam kroki. Może przy odmawianiu margarity nie wykazałam się szczególnym talentem, ale tańczę od wieków. Ta umiejętność jest częścią mnie.

Salsa jest o wiele bardziej erotyczna od swinga. Nie żeby swing nie był zmysłowy, ale w salsie jest coś mrocznego, grzesznego. Nie sposób zignorować bliskości ciała partnera, zgranych ruchów bioder. Teraz wiedziałam, co Roman miał na myśli, używając słowa „ognisty”.

Po pół godzinie zaciągnął mnie do baru na przerwę.

- Teraz mojito - oświadczył, pokazując barmanowi dwa palce. - Żeby utrzymać latynoski klimat.

- Nie mogę...

Po chwili na barze pojawiły się dwa mojito. Okazały się cholernie smaczne. Wypiliśmy je szybciej, niż należało, żeby móc wrócić na parkiet.

Wkrótce nadszedł czas, aby wyjść na koncert Douga. Nagle postgrunge'owy punkrock nie wydawał mi się już tak pociągający. Byłam nakręcona tańcem, rozgrzana i spocona i miałam już za sobą kolejne mojito i lufkę tequila. Wiedziałam, że salsa będzie moją nową pasją. W duchu przeklinałam Romana za to, że pokazał mi coś, co jak sądziłam, stanie się moim tanecznym nałogiem, bo ten rodzaj ruchu wprawiał mnie w istny trans. Ciało Romana poruszało się z uwodzicielską gracją, ocierając się o moje, wprawiając mnie w drżenie wywołując niemal bolesną tęsknotę.

Wypadliśmy na ulicę, trzymając się za ręce, zdyszani i roześmiani. Lekko kręciło mi się w głowie, uznałam więc, że może to i dobrze, że stamtąd wyszliśmy. Moja sprawność motoryczna była już wyraźnie upośledzona.

- Okej, gdzie zaparkowaliśmy?

- Chyba żartujesz - powiedziałam, ciągnąc go za róg, gdzie mignęła mi żółta smuga taksówki. - Weźmiemy taksówkę.

- Daj spokój, nie jest ze mną aż tak źle.

Na szczęście miał dość rozsądku, by nie protestować dalej. Złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do browaru w Greenlake. Koncert zespołu Douga poprzedzały dwa inne występy, więc przed budynkiem i w środku kłębił się tłum. Tak jak się obawiałam, nasze eleganckie taneczne kreacje mocno odstawały od studenckich łańców, ale nie wydawało mi się to już takim

problemem jak parę godzin temu, kiedy Roman po mnie przyszedł.

- Gwiżdż na modowe konwenanse - poradził, kiedy przeciskaliśmy się przez zatłoczone wnętrza. - Te dzieciaki pewnie myślą, że jesteśmy starymi zręczliwymi konformistami, ale na swój sposób one też nimi są. Ulegają wszechobecnej modzie na nonkonformizm.

Szukałam ekipy z księgarni, mając nadzieję, że udało im się zająć stolik.

- O nie. Chyba nie zaczynasz po pijanemu gadać o polityce?

- Nie, nie. Po prostu zaczynają mnie męczyć ludzie, którzy zawsze próbują się dopasować do większości, stanąć w jakimś szeregu, czy to po prawej, czy po lewej stronie. Napawa mnie dumą fakt, że jestem najlepiej ubranym człowiekiem w tym lokalu. Ustalaj własne reguły: oto moja zasada.

Dostrzegłam Beth i pociągnęłam Romana do stolika po drugiej stronie sali. Z Beth siedziało kilkoro innych ludzi z księgarni: Casey, Andy, Bruce i Seth. Poczułam ucisk w żołądku.

- Ładna sukienka - rzucił Bruce.

- Przytrzymał mi miejsce. - Casey wskazała krzesło. - Nie wiedziałam, że przyjdiesz z... kolegą.

Miałam w nosie brak miejsc siedzących. Jedyne, co mnie obchodziło, to głupia sytuacja, w jakiej się znalazłam. Czułam na sobie wzrok Setha, który siedział z poważną, ale obojętną miną. Zaczerwieniłam się, czując się jak kompletna idiotka, i żałowałam, że nie mogę po prostu odwrócić się i wyjść. Po mojej odmowie i durnej tyradzie na temat nieumawiania się na randki, stałam tutaj, pijana w sztok, za rączkę z Romanem. Nie wyobrażałam sobie, co Seth musi o mnie teraz myśleć.

- Nie ma sprawy - stwierdził Roman nieświadom kłębiących się we mnie emocji i nieprzejęty speszonymi spojrzeniami

moich kolegów. Usiadł na krześle, pociągając mnie na kolana.

- Podzielimy się.

Andy pobiegł do baru i przyniósł piwo dla wszystkich, prócz Setha, który podobnie jak w przypadku kawy zachowywał wstrzemięźliwość. Roman i ja opowiedzieliśmy, gdzie byliśmy, wychwalając salsę jako najlepszą rozrywkę świata, co sprowokowało żądania obecnych, bym zaczęła kolejną edycję lekcji tańca.

Niedługo potem kapela Douga weszła na scenę. Podnieśliśmy stosowny aplauz na widok Douga-zastępcy kierownika przemienionego w Douga-lidera zespołu Nocturnal Admission. Piwo lało się strumieniami i choć dalsze picie było najgłupszą rzeczą, jaką mogłam zrobić, przekroczyłam już punkt, w którym potrafiłam się powstrzymać. Poza tym miałam inne zmartwienia, jak unikanie kontaktu wzrokowego z Sethem, który nie odezwał się jeszcze ani słowem. I rokoszowanie się siedzeniem na Romanie, z jego piersią za plecami i ręką obejmującą mnie w talii. Jego podbródek spoczywał na moim ramieniu, dzięki czemu z łatwością szeptał mi do ucha, a od czasu do czasu muskał wargami moją szyję. Twarda wypukłość, którą czułam pod udami, wskazywała, że nie ja jedna odnoszę korzyści z braku wolnych krzeseł.

Doug przyszedł z nami porozmawiać podczas przerwy, spocony jak mysz, ale szczęśliwy. Przyjrzał mi się wklejonej w Romana.

- Chyba trochę za bardzo się wystroiłaś, Kincaid? -

Zastanowił się chwilę. - Chyba że to bielizna. Trudno powiedzieć.

- I kto to mówi - odgryzłam się, dopijając drugie... a może trzecie... piwo.

Doug miał na sobie obcisłe spodnie z czerwonego lateksu, wojskowe buty i długą marynarkę z fioletowego aksamitu

spod której wyglądała goła klata. Na jego głowie sterczał zawadiacko przekrzywiony cylinder.

- Ja tu dostarczani rozrywki, mała.

- Ja też, mały.

Część towarzystwa się roześmiała. Doug skrzywił się z dezaprobatą, ale nic nie odpowiedział. Zwrócił się do Beth, komentując liczbę ludzi, którzy przyszli na koncert.

Weszłam już w ten dziwny stan, który przychodzi czasem po alkoholu, kiedy człowiek ma wrażenie, jakby znajdował się za szybą. Jest tak pochłonięty własnymi pomieszаныmi odczuciami, że rozmowy i dźwięki wokół zlewają się w niewyraźny szum, ich twarze i kolory stają się nieistotnym tłem, zupełnie oddzielnym od jego osoby. Czułam tylko Romana. Każdy nerw w moim ciele krzyczał, a w myślach błagałam dłonie spoczywające na moim brzuchu, by sięgnęły wyżej i dotknęły moich piersi. Sutki mi stwardniały pod cienkim materiałem sukienki i zastanawiałam się, jakby to było odwrócić się i zacząć go ujeżdżać jak Warrena...

- Muszę do łazienki - wykrzyknęłam nagle, niezgrabnie złącząc z jego kolan. Zdumiewające, jak potrzeba opróżnienia pęcherza potrafi w ciągu sekundy zmienić się ze znośnej w nieznośną. - Gdzie tu jest łazienka?

Pozostali spojrzeli na mnie dziwnie albo tylko tak mi się zdawało.

- Tam - wskazała Casey. Jej głos dobiegał jakby z oddali, choć siedziała tuż obok. - Dobrze się czujesz?

- Tak. - Poprawiłam zsunięte ramiączko. - Muszę tylko skorzystać z łazienki. - I uciec od Romana, dodałam w duchu. Żeby wszystko na spokojnie przemyśleć, choć to ostatnie i tak było niewykonalne w moim stanie.

Roman zaczął się podnosić, równie pijany i niezgrabny jak ja.

- Pójdę z tobą...

- Ja pójdę - pospiesznie zaoferował Doug. - I tak muszę

tam uderzyć, zanim zaczniemy grać.

Wziął mnie za łokieć i poprowadził między ludźmi w stronę mniej zatłoczonego korytarza na zapleczu. Po drodze zatoczyłam się lekko, więc zwolnił, żeby mi pomóc.

- Ile wypiłaś?

- Po przyjściu czy przedtem?

\_ Jasna cholera. Jesteś urżnięta.

\_ Masz z tym problem?

\_ Skąd. A niby jak spędzam większość wolnych wieczorów? Zatrzymaliśmy się przed damską toaletą.

\_ Seth pewnie ma mnie za moczymordę.

\_ Dlaczego tak myślisz?

\_ W ogóle nie pije. Jest takim pieprzonym porządnikiem, z tą swoją głównianą bezkofeinową i bezalkoholową abstynencją. Doug spojrział na mnie zdziwiony moim językiem.

\_ Nie wszyscy niepijący gardzą pijącymi. Poza tym to nie o Setha się martwię. Bardziej martwi mnie pan Lepkie Rączki. Zamrugałam zdezorientowana.

\_ Mówisz o Romanie?

\_ "To u ciebie spory przeskok, od twardego odmawiania randek do publicznego obściskiwania się z facetem.

\_ i co z tego? - wypaliłam agresywnie. - Nie mogę z kimś być? Ni! mam prawa dla odmiany robić czegoś, na co naprawdę mam ochotę, a nie czegoś, co muszę? - Wypowiedziałam te słowa z dużo większą goryczą i dużo głośniej, niż zamierzałam.

\_ Oczywiście - rzucił pojednawczo Doug - ale dzisiaj nie jesteś sobą. Jeśli nie będziesz uważać, zrobisz coś głupiego, czego będziesz później żałować. Powinnaś poprosić Casey albo Beth, żeby odwiozły cię do domu...

\_ och, niezły jesteś - wykrzyknęłam. Wiedziałam, że zachowuję się irracjonalnie, że na trzeźwo nigdy bym tak na niego nie naprała, ale nie mogłam się powstrzymać. - Tylko dlatego, że nie chcę się z tobą umówić, tylko dlatego że wolę pieprzyć się

z Warrenem czy z kimś innym, uważasz, że masz prawo się wtrącać i pilnować mojej cnoty. Jeśli ty nie możesz mnie mieć, to już nikt nie może, tak?

Doił zbiełał na twarzy, a kilka osób kręcących się obok zaczęło się na nas gapić.

- Chryste, Georgina, nie...

- Jesyeś pieprzonym hipokrytą - wrzasnęłam na niego. -

Nie mas! prawa mówić mi, co mam robić! Żadnego prawa, do cholery.

- Niemowicie, tylko...

Nie słucałam dalej. Odwróciłam się i wpadłam do damskiej toalety, jedyne miejsce, gdzie mogłam uciec od wszystkich facetów. Kiedy skończyłam i poszłam umyć ręce, spojrzalam w lustro. Czy wygladałam na urzniętą? Moje policzki były różowe, niektóre pasma włosów trochę bardziej oklapłe, niz kiedy wychodziłam z domu. I pocilałam się. Bez przesady z tym upojeniem, uznałam. Stać mnie na wiele więcej.

Zawahałam się, nim wyszłam z łazienki, w obawie, że Doug na mnie czeka. Weszła kolejna kobieta z zapalonym papierosem, więc wysępiłam od niej fajkę i wypaliłam całą, przykucnieta w kącie, żeby zabić czas. Kiedy usłyszałam, że zespół znów zaczął grać, wiedziałam, że jestem bezpieczna.

Wyszłam z łazienki i wpadłam prosto na Romana.

- Wszystko w porządku? - zapytał, chwytając mnie w pasie, żeby mnie podtrzymać. - Zaniepokoiłem się, że nie wracasz

- Tak... wszystko okej... ee, nie, nie wiem - przyznałam, opierając się o niego i oplatając go ramionami. Nie wiem, co się dzieje. Dziwnie się czuję.

- Już dobrze - powiedział, głaszcząc mnie po plecach. - Wszystko będzie dobrze. Chcesz wyjść? Coś mogę zrobić?



- Ja... nie wiem... - Odsunęłam się trochę i spojrzałam mu w oczy. Turkusowe studnie wsysały mnie i nagle zrobiło mi się wszystko jedno.

Nie wiem, kto zaczął, ale nagle całowaliśmy się, tam, w środku korytarza, obejmując się coraz mocniej. Nasze wargi i języki dostały szału. Alkohol wzmocnił moje fizyczne reakcje ale najwyraźniej stępił odczucie wchłaniania energii. To musiało się dziać, mimo że niczego nie czułam, bo Roman nagle rwał się ode mnie przerażony.

- Dziwne... - Przyłożył dłoń do czoła. - Nagle... zakręcił mi się w głowie. - Zawahał się chwilę, pokręcił głową i znów przyciągnął mnie do siebie. Jak wielu przed nim. Nie wiedzieli, że to ja im to robię, że to ja ich krzywdzę i wciąż wracali po więcej.

Jego chwila wahania wystarczyła, bym odzyskała odrobinę jasności umysłu i zaczęła wychodzić z pijackiego stuporu. Co ja narobiłam? Czym się dziś stałam? Jak mogłam na to pozwolić? Każde spotkanie z Romanem sprawiało, że przekraczałam kolejną granicę. Najpierw zarzekałam się, że nie będzie randek. Potem zgodziłam się na warunkowe randki. Dzisiaj przysięgłam sobie, że nie będę pić, a wlałam w siebie tyle, że ledwie trzymałam się na nogach. Całowanie było kolejnym tabu, które właśnie złamałam. A to mogło prowadzić tylko do jednego...

Oczami wyobraźni widziałam nas po seksie. Roman leży rozciągnięty na łóżku, blady i wykończony, pozbawiony energii. Ta energia buzuje w moich żyłach jak prąd elektryczny, a on patrzył na mnie, słaby i zdezorientowany, nie rozumiejąc, co się stało. Zależnie od tego, ile mu ukradnę, straci lata życia. Zdarzało się, że nieuważne sukuby zabijały ofiary na miejscu, pochłaniając za dużo naraz.

- Nie... nie... przestań.

Odepchnęłam Romana, nie chcąc, by ten scenariusz się sprawdził, ale trzymał mnie mocno. Za jego plecami zobaczyłam nagle Setha zbliżającego się korytarzem. Znieruchomiał, kiedy nas zobaczył, ale ja byłam zbyt roztrzęsiona, żeby zwracać na niego uwagę.

Byłam o włos od pocałowania Romana jeszcze raz. Od zabrania go gdzieś - gdziekolwiek - gdzie będziemy sami i nadzy, gdzie będę mogła z nim zrobić wszystkie rzeczy, o których fantazjowałam. Jeszcze jeden pocałunek... jeszcze jeden pocałunek i nie będę potrafiła się powstrzymać. Zbyt mocno tego pragnęłam. Pragnęłam być z kimś, na kogo mam ochotę. Choć raz, po tych wszystkich latach.

I właśnie dlatego nie mogłam tego zrobić.

- Georgino... - zaczął Roman zdezorientowany, wciąż trzymając mnie w objęciach.

- Proszę cię - rzuciłam błagalnym szeptem. - Puść mnie. Puść, proszę. Musisz mnie puścić.

- Co się stało? Nie rozumiem.

- Proszę, puść mnie - powtórzyłam. - Puszczaj mnie! - Mój nagły krzyk przestraszył mnie samą, ale i dodał energii, by wyrwać się z jego rąk. Jeszcze sięgnął ku mnie, wypowiadając moje imię, ale ja cofałam się uparcie. - Mój głos brzmiał histerycznie i nie zdziwiłam się, kiedy Roman spojrzał na mnie jak na wariatkę. - Nie dotykaj mnie. Nie. Dotykaj. Mnie! Byłam wściekła, ale bardziej na siebie, na własne życie niż na niego. Ogarnęła mnie straszliwa, podsycona alkoholem złość na wszechświat. To nie fair. Nie fair, że niektórzy ludzie mają idealne życie. Że wspaniałe cywilizacje rozsypują się w proch. Że rodzą się dzieci, mające przed sobą ledwie parę oddechów. Że jestem uwięziona w egzystencji, która zdaje się być okrutnym żartem. Wiecznością kochania się bez miłości.

- Georgino...

- Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej. Proszę cię – szepnęłam ochryple. Potem zostało mi już tylko jedno. Ucieczka. Więc uciekłam. Odwróciłam się od niego i pobiegłam korytarzem, jak najdalej od Romana, jak najdalej od Setha, od sali pełnej ludzi. Nie wiedziałam, dokąd biegnę, ale był to dla mnie jedyny ratunek. Jedyny ratunek dla Romana. Wiedziałam, że może nie zaleczę w ten sposób własnego bólu, ale przynajmniej oszczędzałam go jemu.

Z powodu braku koordynacji i rozpaczyny wpadałam na ludzi, którzy reagowali na moje szaleństwo mniej lub bardziej uprzejmie. Czy Roman mnie gonił? Nie wiedziałam. Wypił tyle samo, co ja, jeśli nie więcej. Nie mógł o wiele pewniej trzymać się na nogach. Gdybym tylko znalazła się sama, mogłabym się przeobrazić albo stać się niewidzialna i wynieść się stąd...

Wypadłam za drzwi i na chłodne, nocne powietrze.

Zachłysnęłam się nim i rozejrzałam wokół siebie. Stałam na parkingu na tyłach browaru. Był zapakowany samochodami. Kilka osób palących w pobliżu trawkę nie zwróciło na mnie uwagi. Drzwi, przez które wyszłam, otworzyły się nagle, więc odwróciłam się, spodziewając się Romana. Ale zobaczyłam zaniepokojonego Setha.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - rzuciłam ostrzegawczo.

Uniósł ręce w uspokajającym geście i podszedł do mnie powoli.

- Wszystko w porządku?

Cofnęłam się o dwa kroki, szamocząc się z torebką.

- Tak. Muszę tylko... muszę stąd iść... uciec od niego. - Wyjęłam telefon, zamierzając zadzwonić po któregoś z wampirów. Komórka wysliznęła mi się z dłoni i mimo moich wysiłków by ją złapać, uderzyła z trzaskiem o asfalt. - Jasna cholera.

Uklęłam i podniosłam telefon, spoglądając z rozpaczą na upstrzony nieczytelnymi znakami wyświetlacz.

- Cholera - powtórzyłam.

Seth ukląkł przy mnie.

- Jak mogę ci pomóc?

Spojrzałam na niego. Jego zamazana twarz pływała mi przed oczami.

- Muszę się stąd wynieść. Muszę uciec od Romana.

- Okej. Chodź. Zawiozę cię do domu.

Wziął mnie pod rękę. Jak przez mgłę pamiętam, że zaprowadził mnie kilka przecznic dalej, do ciemnego samochodu. Pomógł mi wsiąść i ruszył. Rozwaliłam się na siedzeniu i dałam ukołysać jeździe. Wsiąkłam w ruch, pozwoliłam, by inercja bujała mną w przód i w tył, w przód i w tył, w przód i w tył...

- Zatrzymaj się.

- Co?

- Zatrzymaj się w tej chwili!

Posłuchał, a ja otworzyłam drzwi i zwróciłam kolację na ulicę.

Kiedy skończyłam, Seth odczekał chwilę i zapytał:

- Dasz radę jechać dalej?

- Tak.

Kilka minut później znów kazałam mu się zatrzymać i powtórzyłam akcję.

- Ta... jazda mnie wykończy - wy sapałam, kiedy znów ruszyliśmy. - Nie mogę być w samochodzie. Ten ruch...

Seth zmarszczył brwi i nagle ostro skręcił w prawo, przez co omal nie rzygnęłam w aucie.

- Przepraszam - powiedział.

Jechaliśmy jeszcze kilka minut. Miałam znów prosić go o przystanek, kiedy się zatrzymaliśmy. Seth pomógł mi wsiąść. Zobaczyłam przed sobą nieznany budynek. Rozejrzałam się dokoła.

- Gdzie jesteśmy?

- U mnie.

Wprowadził mnie do mieszkania, prosto do łazienki, gdzie natychmiast uklęknął i złożył pokłon sedesowi, wyrzucając z siebie hektolitry wymiocin. Niewyraźnie zdawałam sobie sprawę z obecności Setha, który stał za mną i przytrzymywał mi włosy. Majaczyło mi w głowie, że wyżsi nieśmiertelni, jak Jerome czy Carter, mogą kontrolować swój stan upojenia i trzeźwieć na zawołanie. Gnojki.

Nie wiem, jak długo tak klęczałam. W końcu Seth delikatnie pomógł mi wstać.

- Utrzymasz się na nogach?

- Tak sądzę.

- Masz to... ehm... we włosach i na sukience. Może chciałabyś się przebrać.

Spojrzałam na granatową zorzetę i westchnęłam.

- Ognista.

- Co?

- Nieważne. - Zaczęłam ściągać ramiączka, żeby zdjąć sukienkę. Seth uniósł brwi i szybko się odwrócił.

- Co robisz? - spytał, siląc się na normalny ton.

- Muszę wziąć prysznic.

Naga zatoczyłam się do kabiny i odkręciłam wodę. Nie patrząc na mnie, Seth wycofał się do drzwi.

- Nie przewrócisz się?

- Mam nadzieję.

Weszłam pod prysznic i wciągnęłam głośno powietrze - woda była gorąca. Oparłam się o kafelki i pozwoliłam, by potężny strumień spływał po moim ciele. Szok termiczny na moment mnie otrzeźwił. Uniosłam głowę i stwierdziłam, że Seth wyszedł, a drzwi łazienki są zamknięte. Westchnęłam i zamknęłam oczy. Miałam ochotę osunąć się na kolana i zasnąć. Przypomniałam sobie o Romanie i o tym, jak

cudownie było go całować. Ciekawe, co sobie o mnie pomyślał po tym, jak się zachowałam.

Zakręciłam wodę i wyszłam spod prysznica. Drzwi łazienki uchyliły się odrobinę.

- Georgina? Masz.

Przez szparę wpadł ręcznik i wielki T-shirt, po czym drzwi znowu się zamknęły. Wytarłam się i włożyłam koszulkę. Była czerwona, ze zdjęciem Black Sabbath. Pięknie.

Wysięk zrobił swoje i znów ogarnęła mnie fala mdłości.

- Nie - jęknęłam, rzucając się do sedesu.

Drzwi się otworzyły.

- Dobrze się czujesz? - Seth wszedł do łazienki i znów przytrzymał mi włosy.

Czekałam, ale nie wymiotowałam. Wreszcie wstałam chwiejnie.

- Wszystko okej. Muszę się położyć.

Zaprowadził mnie do sypialni, gdzie stało wielkie rozgrzebane łóżko. Padłam na nie, szczęśliwa, że wreszcie jestem w poziomie, nieruchoma, choć pokój nie przestawał wirować.

Seth usiadł ostrożnie na brzegu łóżka, patrząc na mnie niepewnie.

- Przepraszam za to wszystko - powiedziałam. -

Przepraszam, że musiałeś... robić te rzeczy.

- Nic nie szkodzi.

Zamknęłam oczy.

- Związki są do bani. To dlatego nie chodzę na randki.

Tylko ranie ludzi.

- Większość dobrych rzeczy wiąże się z ryzykiem - stwierdził filozoficznie.

Przypomniał mi się list, który mi przysłał, ten o dziewczynie, którą zaniedbywał dla pisania.

- Zrobiłbyś to jeszcze raz? - zapytałam. - Związałbyś się z tą jedyną? Nawet gdybyś wiedział, że wszystko skończy się

dokładnie tak samo?

Chwila milczenia.

- Tak.
- Ja nie.
- Co: „ty nie”?

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego.

- Byłam kiedyś mężatką. - Było to jedno z pijackich wyznań, które czyni się z pełną świadomością, że nigdy nie powiedziałyby się tego na trzeźwo. - Wiedziałeś o tym?
- Nie.
- Nikt nie wie.
- Więc nie wyszło? - zapytał Seth, kiedy przez chwilę nic nie mówiłam.

Nie potrafiłam powstrzymać gorzkiego śmiechu. Nie wyszło? Mało powiedziane. Byłam słaba i głupia, poddałam się tym samym cielesnym popędom, które omal nie doprowadziły do katastrofy z Romanem. Tyle że z Aristonem nie mogłam zwalić winy na alkohol. Byłam całkowicie trzeźwa i teraz myślę, że tak naprawdę planowałam to od dawna. Oboje planowaliśmy. Któregoś dnia znów przyszedł w odwiedziny, ale tym razem niewiele rozmawialiśmy. Oboje nie mogliśmy sobie znaleźć miejsca, chodziliśmy niespokojnie, przystawaliśmy, rzucaliśmy nic nieznaczące uwagi, których żadne z nas nie słuchało. Moją uwagę zajmowała jego fizyczna obecność - jego ciało, potężne mięśnie rąk i nóg. Powietrze było tak gęste od seksualnego napięcia, że aż dziw bierze, że w ogóle mogliśmy się poruszać. Podeszłam do okna i patrzyłam w przestrzeń, słuchając, jak Ariston chodzi po całym domu. Po chwili wrócił i stanął tuż za mną. Jego dłonie spoczęły nagle na moich ramionach - był to pierwszy rozmyślny dotyk, na jaki się zdobył. Jego palce paliły mnie jak żelazo do piętnowania. Zadrżałam, a on zacisnął je mocniej i zbliżył się jeszcze bardziej.

- Letho - powiedział mi do ucha - wiesz... wiesz, że

bez przerwy o tobie myślę. Myślę o tym, jakby to było... być z tobą.

- Teraz jesteś ze mną.

- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

Odwrócił mnie przodem do siebie, a jego spojrzenie było jak rozgrzana oliwa spływająca po moim ciele, śliskie i palące.

Przesunął dłonie w górę, po mojej szyi, i ujął moją twarz.

Pochylił się i zatrzymał usta tuż przy moich. Nagle jego język wyskoczył spomiędzy warg i polizał moje w delikatnej

pieszczocie. Rozchyliłam usta i wyciągnęłam szyję, pragnąc

czegoś więcej, ale on, z uśmiechem, odsunął się o krok. Jego dłoń zjechała z powrotem na moje ramię i rozpięła klamrę,

która przytrzymała

mi suknię. Materiał zsunął się ze mnie, opadając na podłogę wokół moich stóp. Stałam przed nim naga.

Jego oczy płonęły, pożerając każdy skrawek mojego ciała.

Powinnam czuć skrępowanie, wstyd, ale tak nie było. Czułam się cudownie. Pożądana. Uwielbiana. Potężna.

- Zrobiłbym wszystko, wszystko, żeby tylko cię teraz wziąć

- szepnął. - Jego dłonie powędrowały ku moim piersiom, talii, biodrom. Matka zawsze mi powtarzała, że moje biodra są za chude, ale pod jego dotykiem wydawały się pełne i zmysłowe.

- Zabiłbym dla ciebie. Poszedłbym na koniec świata.

Zrobiłbym wszystko, o co byś poprosiła. Byle tylko poczuć twoje ciało przy

moim, twoje nogi oplecione wokół mnie.

- Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. - Byłam zaskoczona, jak spokojnie brzmi mój głos. Moje wnętrze topniało



jak wosk świecy. Przez następne tysiąclecie miałam słyszeć różne wersje tej samej obietnicy, z ust setek mężczyzn, ale w tamtej chwili te słowa były dla mnie świeże i nowe.

Ariston uśmiechnął się smutno.

- Kyriakos na pewno wciąż mówi ci takie rzeczy. - W jego głosie brzmiała nuta wzdąry, która przypomniała mi, że choć Ariston i Kyriakos przyjaźnią się od dawna, ich przyjaźń zawsze podszyta była rywalizacją.

- Nie. On się ze mną kocha oczami.

- Ja chcę używać czegoś więcej niż tylko oczu.

W tamtej chwili zrozumiałam, jaką władzę mają kobiety nad mężczyznami. To było zaskakujące i wspaniałe odkrycie.

Pomijając kwestie własności i polityki, kobiety rządzą w sypialni. Za pomocą ciała, prześcieradeł, potu. Ta wiedza wypełniła mnie, podnieciła silniej niż jakikolwiek afrodyzjak. Zachwytiła mnie ta moc. Dzięki niej rozkwitłam. Myślę, że właśnie to objawienie sprawiło, że później władze piekielne uczyniły ze mnie sukuba.

Wyciągnęłam do niego drżące dłonie i zaczęłam zdejmować z niego chiton. Stał nieruchomo, gdy go rozbierałam, ale całe jego ciało drżało z gorączki i pragnienia. Jego oddech stał się ciężki i szybki, gdy zaczęłam oglądać jego ciało, pomna wszelkich szczegółów, które upodabniały go do Kyriakosa i które ich różniły. Przesuwałam po nim koniuszki palców, muskając opaloną skórę, wyraźnie zarysowane mięśnie-, sutki. Potem moje dłonie powędrowały niżej, na dół brzucha, i objęły długą, twardą lancę. Ariston jęknął cicho, ale wciąż stał bez ruchu. Wciąż czekał na moją zgodę.

Oderwałam oczy od moich zajętych dłoni i spojrzałam mu w twarz. Naprawdę zrobiłby dla mnie wszystko. Ta świadomość jeszcze bardziej podsycała moje pragnienie, by go osiąść.

- Możesz zrobić ze mną, co zechcesz - powiedziałam w końcu.

Zabrzmiało to jak łaskawe przyzwolenie, ale tak naprawdę to ja sama tego pragnęłam. Moje słowa zdjęły czar, który krępował nam ręce. To było jak pękająca tama. Jak wydech, po tym jak zbyt długo wstrzymywało się powietrze. Jak pożar. Jak oswobodzona bestia. Wpadłam na niego, jakby moje ciało od dawna walczyło z krepującymi je sznurami, które nagle zostały przecięte. Dotykając go, zrozumiałam, że powinniśmy byli dotykać się już dawno temu.

Porwał mnie w ramiona i pożarł pocałunkiem, wbijając język w moje usta. Rękami chwycił mnie od tyłu za uda. Jednym ruchem uniósł mnie i zaparł plecami o ścianę. Owinęłam nogi wokół jego bioder, chcąc, by był jeszcze bliżej, a on jednym pchnięciem znalazł się we mnie. Nie wiem, czy to ja byłam za ciasna, czy on za wielki - może jedno i drugie - bo zabolalo, ale to był przyjemny ból. Krzyknęłam zaskoczona, ale on nie przerwał, by sprawdzić, czy nic mi nie zrobił. Porwała go namiętność, zwierzęca żądza, którą wszyscy mamy we krwi i która zapewnia przetrwanie naszego gatunku. Myślał już tylko o własnej przyjemności, gdy tak wciskał się we mnie, raz za razem, mocniej i mocniej, zdając się czerpać siły z każdego jęku i krzyku, który wyrывał mi się z ust. Nie sądziłam, że zdołam znaleźć zaspokojenie w tak brutalnym akcie, ale znalazłam - i to nieraz. Za każdym razem spadało na mnie jak wielka, wszechogarniająca fala, wzbierająca gdzieś głęboko i rozchodząca się po moim ciele, drażniąca każdy nerw, docierająca w każdy zakamarek, przesycająca je bez reszty. Potem fala roztrzaskiwała się na migotliwe skrawki, a ja pozostawałam jak wyrzucona na brzeg, rozgrzana, obolała i bez tchu. Jakbym rozpadła się, a potem zrosła na nowo. To było cudowne. Każdy z tych orgazmów napędzał Aristona jeszcze mocniej, aż wreszcie i on osiągnął szczyt. Tym razem to ja rozkoszowałam się jego spełnieniem - wbijając paznokcie

w jego plecy, trzymałam się go kurczowo, Ignęłam do niego, aż dotrwaliśmy do rozedrganego, zdyszanego końca. A jednak to nie był koniec, bo po krótkiej chwili on znowu był gotowy. Zaniósł mnie do łóżka i tym razem postawił mnie na kolanach i dłoniach, pochylając się nade mną od tyłu.

- Stare kobiety mówią, że to najlepsza pozycja, jeśli chce się począć dziecko - szepnął.

Miałam ledwie sekundę, by się nad tym zastanowić, bo nagle znów był we mnie, wciąż tak samo brutalny i samolubny.

Myślałam o jego słowach, kiedy poruszał się we mnie.

Przyszło mi do głowy, że może to on da mi dziecko, a nie Kyriakos. Poczulałam się dziwnie - ta możliwość napętniła mnie radością, a jednocześnie żalem.

Ariston nie czuł nawet cienia skruchy, kiedy później leżeliśmy na kocach, wyczerpani i zgaszeni, w ciepłym popołudniowym słońcu wlewającym się przez okno.

- Ten brak może być w Kyriakosie - wyjaśniał. - Nie w tobie. A miałem cię dziś tyle razy, że musiałaś począć. - Musnął ustami moje ucho i objął mnie od tyłu, kładąc dłonie na moich piersiach. - Wypełniłem cię, Letho.

Jego głos był niski i władczy, przepętniony dumą, jakby właśnie zdobył coś o wiele ważniejszego niż seks. Nagle zastanowiło mnie, kto tak naprawdę ma władzę w sypialni. Leżałam przyciśnięta do niego, rozmyślając o tym, co właśnie zrobiłam i co chcę robić dalej. Jak można wrócić do bycia żoną, kiedy jest się czyjąś boginią? Ale niczego nie wymyśliłam, bo w następnej chwili usłyszałam wołanie Kyriakosa z przodu domu. Wrócił z pracy za wcześnie. Ariston i ja zerwaliśmy się przestraszeni. Zaczęłam szamotać się z kocami, by ściągnąć je z siebie, i zaplątywałam się jeszcze bardziej. Suknia. Musiałam znaleźć suknię. Przypomniałam sobie, że jej tu nie ma. Została w drugiej izbie. Pomyślałam

zdesperowana, że zdążę jej dopaść, zanim Kyriakos nas znajdzie. Może będę dość szybka.

Okazało się, że nie byłam.

Teraz, dziś, powiedziałam Sethowi tylko:

- Tak. Nie wyszło. Zupełnie nie wyszło. Zdradziłam go.
- Och. - Pauza. - Dlaczego?
- Bo mogłam. Byłam głupia.
- I dlatego nie umawiasz się na randki?
- To wszystko było zbyt bolesne. Żadna ilość dobra nie była w stanie wynagrodzić tego, co złe.
- Nie możesz wiedzieć, czy następnym razem też wyjdzie źle. Wszystko się zmienia.
- Nie dla mnie. - Zamknęłam oczy, żeby ukryć wzbierające łzy. - Teraz zasnę.
- Okej.

Może wyszedł, może został. Nie wiem. Po prostu spałam, pogrążona w czarnej znieczulającej nieświadomości.

## Rozdział 15

Czasami człowiek budzi się ze snu. A czasami, choć bardzo rzadko, budzi się we śnie. Właśnie to przydarzyło się mnie. Otworzyłam oczy, z głową pulsującą z bólu, czując w ramionach coś ciepłego i puchatego. Z początku jasne światło słońca kazało mi zmrużyć powieki, ale kiedy wreszcie zdołałam skupić wzrok, stwierdziłam, że patrzę wprost w oczy Cady i CWeilla.

Poderwałam się gwałtownie i usiadłam, czego szybko pożałowałam. Musiałam się mylić. Przecież, nie... ale to oni. Przede mną, obok łóżka, stało wielkie dębowe biurko, otoczone korkowymi i białymi tablicami. Do korkowych tablic przypinane były wycinki z gazet - mnóstwo twarzy, przedstawiających każdy niuans charakteru postaci opisanych w książkach Seta. Jedna sekcja była zatytułowana „Nina Cady” i zawierała przynajmniej dwadzieścia różnych zdjęć

szczyptych blondynek z krótkimi kręconymi włosami. Druga sekcja - „Bryant O'Neill" - ukazywała chmurnych, ciemnowłosych mężczyzn po trzydziestce. Niektóre wycinki pochodziły ze znanych reklam, choć nigdy nie przyszło mi do głowy, że występujący w nich modele są podobni do bohaterów Setha. Drugoplanowe postaci z książek też miały swoje miejsca na wystawie, choć nie tak poczesne jak para detektywów.

Białe tablice pełne były notatek i pojedynczych słów, głów–nie dziwnych skrótów myślowych, uporządkowanych w dia–gram, który nie miał dla mnie żadnego sensu. Roboczy tytuł: „Lazurowe nadzieje - poprawić później; dodać Jonasz, roz. 7; wyczyścić 3-5; C&O w Tampa czy Neapolu? Sprawdzić statystyki; Don Markos w 8..." I tak dalej, i tak dalej - całe rzędy bazgrołów. Wpatrywałam się w nie i nagle dotarło do mnie, że patrzę na szkieletowy zarys kolejnej powieści Setha. Mój wewnętrzny głos szeptał, że powinnam odwrócić oczy, że coś psuję, ale byłam zbyt zafascynowana możliwością podglądania, jak świat Cady i O'Neilla nabiera kształtów. Zapach smażonego boczku kazał mi wreszcie odwrócić głowę od biurka Setha i zmusił do zastanowienia się, jak tu trafiłam. Poskładałam w głowie strzępy wczorajszego wieczoru i wzdrygnęłam się, zawstydzona, na wspomnienie, jaką idiotkę zrobiłam z siebie przed Dougiem, Romanem, a nawet Sethem. Jednak głód zwyciężył, chwilowo przesłaniając wyrzuty sumienia. Zdziwiło mnie, że jestem głodna po tym, na co naraziłam wczoraj mój żołądek, ale tak jak Hugh szybko się regeneruję.

Wypłatałam się z pościeli i objęłam pluszowego misia, którego nieświadomie trzymałam w ramionach, i poszłam do łazienki. Wypłukałam usta i przejrzałam się w lustrze. Na głowie miałam kołtun, a w koszulce Setha wyglądałam jak nastolatka. Nie chciałam jednak marnować energii na przeobrażenie.

Potruchtąłem do kuchni zwabiona skwierczeniem przebijającym się przez dźwięki Radar Love zespołu Golden Earring.

Seth stał w nowoczesnej, jasno oświetlonej kuchni i pilnował patelni na gazie. Kolorystyka była wesoła - klonowe szafki i belki sufitu ładnie odcinały się od chabrowych ścian. Na mój widok przyciszył muzykę. Zmierzył mnie wzrokiem. Sam miał dziś na koszulce Toma i Jerry'ego.

- Dzień dobry. Jak się czujesz?
  - Zdziwiająco dobrze. - Podeszłem do małego dwuosobowego stolika i usiadłem, obciążając koszulkę, żeby zakryć uda.
  - Jak na razie cierpi tylko moja głowa.
  - Chcesz coś przeciwbólowego?
  - Nie. Przejdzie mi. - Zawahałem się, wyczuwając jeszcze coś prócz aromatu słonego tłustego mięsa. - Czy to... kawa?
  - Tak. Chcesz?
  - Prawdziwa?
  - Tak. - Podeszedł do dzbanka, nalał kubek parującej kawy i przyniósł mi go wraz z ładnym kompletem składającym się z cukierniczki i dzbanuszką na mleko.
  - Myślałem, że tego nie pijesz.
  - Nie piję. Ale trzymam pod ręką na okoliczność kobiet spragnionych kofeiny, budzących się w moim łóżku.
  - Często się to zdarza?
- Seth uśmiechnął się tajemniczo i odwrócił się do kuchenki.
- Jesteś głodna?
  - Jak wilk.
  - Jakie lubisz jajka?
  - Twarde jak kamień.

- Niezły gust. Boczku też chcesz? A może jesteś wegetarianką?
- Jestem uczciwym mięsożercą. Chcę wszystkie bajery... jeśli to nie za duży kłopot. - Czułam się trochę głupio, że mnie obsługuje, biorąc pod uwagę wszystko, co już dla mnie zrobił. Ale on najwyraźniej nie miał nic przeciwko. Wszystkie bajery przeszły moje oczekiwania: jajka, boczek, tost, dwa rodzaje dżemu, tort kawowy i sok pomarańczowy. Zjadłam wszystko, myśląc, jak zazdrościłby mi Peter, wciąż obstający przy niskowęglowodanowej diecie.
- Zaraz wpadnę w śpiączkę z przeżarcia - powiedziałam Sethowi po śniadaniu, pomagając mu zmywać naczynia. - Muszę wrócić do łóżka i to odespać. Codziennie tak jadasz?
- Nie. Tylko kiedy płaczą się tu wcześniej wspomniane kobiety. Dzięki temu nie wychodzą zbyt szybko.
- To ci nie grozi, biorąc pod uwagę, że nie mam nic do ubrania.
- Nieprawda - odparł, wskazując salon. Gdy tam spojrzałam, na wieszaku zobaczyłam swoją sukienkę. Przezryśte, mocno wycięte majtki, które miałam pod nią, były zaczepione o haczyk wieszaka. - Było napisane, żeby prać na sucho, ale zaryzykowałam i nastawiłam delikatny program w pralce. Jakoś przeżyła. Podobnie jak, hm, to drugie.
- Dzięki- odparłam, nieco skrępowana faktem, że prałam moją bieliznę. - Dzięki za wszystko. Jestem naprawdę wdzięczna za to, co zrobiłeś dla mnie wczoraj w nocy... na pewno masz mnie za kompletną wariatkę... Wzruszył ramionami.
- Żaden problem. Ale... - spojrzał na zegar - zaraz będę musiał cię opuścić. Pamiętasz tę imprezę? Zaczyna się o dwu- nastej. Ale możesz tu jeszcze zostać. Zerknęłam na zegar. Jedenasta czterdzieści siedem.
- O dwunastej! Dlaczego nie obudziłeś mnie wcześniej?

Spóźnisz się!

Znów wzruszył ramionami z niewyczerpanym spokojem.

- Uznałem, że powinnaś się wyspać.

Odłożyłam ściereczkę kuchenną i pognałam do salonu po sukienkę.

- Zamówię sobie taksówkę. Ty jedź. Nie przejmuj się mną.

- Naprawdę, to żaden problem - przekonywał mnie. - Mogę cię nawet podwieźć do domu albo... jeśli chcesz, możesz iść ze mną.

Oboje znieruchomieliśmy zażenowani. Nie miałam ochoty iść na imprezę do obcych ludzi. Chciałam wrócić do domu i załagodzić sytuację z Romanem i Dougiem. A jednak... Seth był dla mnie strasznie miły i już wcześniej chciał, żebym tam z nim poszła. Czy nie byłam mu tego winna? Tyle mogłam dla niego zrobić. Zresztą, popołudniowa impreza pewnie nie potrwa długo.

- Mamy coś przynieść? - zapytałam w końcu. - Wino? Brie? Pokręcił głową.

- Raczej nie. To urodziny mojej ośmioletniej bratanicy.

- Och. Więc nie bierzemy wina?

- Nie. A co do sera, to chyba woli goudę.

Spojrzałam na sukienkę.

- Będę za bardzo wystrojona. Masz coś, co mogłabym narzucić na wierzch?

Siedem minut później siedziałam w samochodzie Setha, jadąc w stronę Łąkę Forest Park. Miałam na sobie żorzetową sukienkę, a na niej męską, flanelową koszulę w kratę, w odcieniach bieli, szarości i granatu. Koszulę zapięłam z przodu na dwa guziki. Nie chcąc uciekać się do metamorfozy, włosy zaplotłam we francuski warkocz, a teraz, po drodze, gorączkowo nakładałam makijaż. W sumie wyszło z tego przebranie pod tytułem „Ginger Rogers gra w Nirwanie”.



Zajechaliśmy do podmiejskiego domu, do którego podwiozłam Setha parę tygodni wcześniej. Na skrzynce na listy powiewały różowe baloniki, a jakaś mama w dżinsach i bluzie machała na pożegnanie do dziewczynki wchodzącej do domu. Po chwili mama wróciła do ogromnego samochodu, który pomieściłby drużynę piłkarską, zostawionego na jałowym biegu na podjeździe.

- Rety! - krzyknęłam, przyglądając się tej scenie. – Nigdy nie byłam na takim przyjęciu.

- Na pewno byłaś, w dzieciństwie - powiedział Seth, parkując po drugiej stronie ulicy.

- No tak - skłamałam. - Ale w tym wieku to zupełnie inne doświadczenie.

Podeszliśmy do drzwi wejściowych i Seth otworzył je bez pukania. Natychmiast dopadły go cztery małe blondyneczki, uwieszając się na jego kończynach i omal go nie przewracając.

- Wujek Seth! Wujek Seth!

- Wujek Seth przyszedł!

- To dla mnie? To dla mnie?

- Precz, bo będę musiał użyć gazu łzawiącego - mruknął łagodnie Seth, odczepiając tę, która próbowała wyrwać mu lewą rękę.

Wszystkie dziewczynki miały na głowie burzę blond loczków i wielkie niebieskie oczy. Jedna z nich dostrzegła mnie.

- Cześć - powiedziała śmiało. - A ty kto? - Nim zdążyłam odpowiedzieć, wypadła biegiem z przedpokoju, wrzeszcząc: - Wujek Seth przyprowadził dziewczynę!

Seth zrobił minę.

- To Morgan. Ma sześć lat. - Wskazał klona Morgan. – To McKenna, jej bliźniaczka. Tamta to Kayla, czterolatka. A ta - przerwał, biorąc na rękę najwyższą z czwórki, co sprowokowało ją do radosnego chichotu - to Kendall, nasza

jubilatka. Pewnie jest tu też gdzieś Brandy, ale jest zbyt kulturalna, żeby na mnie napadać jak reszta.

W otwartym na przedpokój salonie stała kolejna jasno-włosa dziewczynka, parę lat starsza od Kendall, i obserwowała nas z nadoparcia kanapy. Gromada innych dzieci - zapewne gości - biegła i wrzeszczała za jej plecami.

- Tu jestem, wujku.

Seth postawił Kendall na podłodze i zmierzwił włosy Brandy, ku irytacji dziewczynki. Zrobiła naburmuszoną minę, jaką potrafi mieć tylko nastolatka. W następnej chwili wróciła Morgan, ciągnąc za rękę wysoką, jasnowłosą kobietę.

- Widzisz? Widzisz? - wykrzyknęła dziewczynka. - Mówiłam ci.

- Zawsze robisz wokół siebie takie zamieszanie? - zapytała kobieta, ściskając Seta na powitanie. Wyglądała na szczęśliwą, ale wykończoną. Chyba rozumiałam, dlaczego.

- Chciałbym. Moi fani nie są tacy drapieżni. Andreo, to jest Georgina. Georgino, Andrea. - Ucisnęłam jej dłoń. Do pokoju weszła odrobinę niższa, młodsza wersja Seta. - A to mój brat, Terry.

- Witaj w oku cyklonu, Georgino - powiedział Terry, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni. Spojrzał na dzieci, własne i cudze, ganiające po domu. - Nie wiem, co strzeliło Sethowi do głowy, że cię tu przyprowadził. Już nigdy nie wrócisz.

- Hej - krzyknęła do mnie Kendall. - Czy to nie koszula, którą daliśmy wujkowi Sethowi na Gwiazdkę?

My, dorośli, zamilkliśmy niezręcznie, zerkając na boki. W końcu Andrea odchrząknęła i powiedziała:

- Dobra, kochani, wczujmy się w klimat i zapędźmy ich do jakichś gier.

Spodziewałam się, że przyjęcie dla dzieci będzie szalone, ale to, co działo się tego popołudnia, przeszło moje najśmielsze

wyobrażenia. Równie imponująca była wprawa, z jaką brat i bratowa Setha kontrolowali stado wrzeszczących, podskakujących stworów, które zdawały się być w całym domu jednocześnie. Terry i Andrea radzili sobie z nimi sprawnie, nie tracąc humoru. Seth i ja właściwie tylko patrzyliśmy, od czasu do czasu odpowiadając na zadawane nam pytania. Całe to przedsięwzięcie oszałamiało mnie jako obserwatora z zewnątrz. Nie wyobrażałam sobie, jak można mieć z czymś takim do czynienia na co dzień. To było fascynujące.

W pewnej chwili Terry, który wyrwał się, by złapać oddech, zobaczył mnie samą i zaczął rozmowę.

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedział. - Nie wiedziałem, że Seth się z kimś spotyka.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - sprostowałam.

- Mimo wszystko miło widzieć go w towarzystwie kogoś z krwi i kości. Kogo nie wymyślił.

- To prawda, że o mało nie przegapił waszego ślubu? Terry skrzywił się wymownie.

- Na dodatek był moim drużbą. Uwierzysz, że zjawił się dwie minuty przed rozpoczęciem ceremonii. Mieliśmy już zacząć bez niego.

Nie mogłam się powstrzymać. Roześmiałam się. Pokręciłam głową.

- Jeśli dalej zamierzasz się z nim zadawać, trzymaj go w ryzach. Mój brat może i jest genialny, ale czasem przydałby mu się treser.

Po zabawach przyszła pora na tort, a po torcie na prezenty. Kendall z miną znawczyni podniosła paczkę od Setha i potrząsnęła nią.

- Książki - stwierdziła.

Brandy, najstarsza, a więc i najmniej rozkrzyczana, spojrzała na mnie i wyjaśniła:

- Wujek Seth zawsze kupuje nam książki.

To zupełnie nie zniechęciło Kendall. Rozdarła opakowanie i zapiszczała radośnie na widok trzech książek z opowiadaniem o piratach.

- Piraci, hm? - zapytałam Seta. - Czy to politycznie poprawne?

Jego oczy błyszczały radośnie.

- Kendall chce być piratką.

Kiedy przyjęcie straciło nieco impetu i goście zaczęli przyjeżdżać rodzice, jubilatka ubłagała Seta, żeby poczytał im bajki. Poszłam za nim, jego bratanicami i kilkorgiem maruderów do salonu, a rodzice dziewczynek zostali w kuchni, by posprzątać. Seth czytał równie zajmująco jak na spotkaniu z fanami, a ja zwinęłam się w fotelu, szczęśliwa, że mogę tak sobie siedzieć, słuchać i patrzeć. Spłoszyłam się trochę, kiedy mała Kayla wdrapała mi się na kolana.

Najmłodsza z siostr potrafiła przekrzyknąć najlepszych zawodników, ale mówiła raczej niewiele. Przyjrzała mi się oczami wielkimi jak spodki, dotknęła z zaciekawieniem mojego francuskiego warkocza i wtuliła się we mnie, słuchając Seta. Byłam ciekawa, czy rozumie cokolwiek z tego, co czyta jej wujek. Była miękka i ciepła, i pachniała małym dzieckiem. Bezwiednie przeczesałam palcami jej cienkie, płowe włosy i po chwili zaczęłam zaplatać je w warkocz podobny do mojego.

Kiedy Seth skończył pierwsze opowiadanie, McKenna zauważyła, co robię.

- Ja jestem po niej.

- A właśnie, że ja - zarządziła niecierpliwie Kendall. - To moje urodziny.

Skończyło się na tym, że zaplotłam włosy wszystkim czterem młodszymi dziewczynkom. Brandy wstydliwie odmówiła. Nie chcąc tworzyć czterech kopii siebie, wybrałam różne style, jodełki i kłosa, które je zachwyciły. Seth czytał dalej, zerkając od czasu do czasu na mnie i moje rękodzieło.

Kiedy wychodziliśmy, byłam wykończona fizycznie i emocjonalnie. Przebywając z dziećmi, zawsze czuję odrobinę żalu. Tak bliski kontakt z nimi obudził we mnie smutek, którego nie potrafiłam wyjaśnić.

Seth zęgnął się z bratem, a ja, czekając przy drzwiach, zaczęłam odczytywać tytuły na małej etażerze z książkami. Widząc Pismo Świąte w Przekładzie Nowego Świata, przypominałam sobie słowa Romana o lepszych i gorszych tłumaczeniach. Wyjęłam książkę i znalazłam rozdział szósty Księgi Rodzaju.

Sformułowania były bardzo podobne - odrobinę bardziej zrozumiałe i nowoczesne tu i ówdzie. Zasadnicza różnica była jedna. W przekładzie, który czytałam wcześniej, werset czwarty brzmiał: „A byli olbrzymowie na ziemi w one dni; nawet i potem, gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich...”. W tej wersji zdanie brzmiało: „W owych dniach byli na ziemi nefilimowie, a także potem, gdy synowie prawdziwego Boga dalej współżyli z córkami ludzkimi...”\*

Nefilimowie? Obok był odnośnik, zajrzałam więc do odpowiedniego przypisu.

„Słowo »nefilimowie« czasami tłumaczone jest jako »giganci« albo »upadli«. Źródła różnie określają owych potomków aniołów -czasem jako sąsiadów Kananejczyków, a czasem jako istoty przypominające Tytanów czy greckich herosów (Harrington, 2001)”.

Sfrustrowana, odszukałam w bibliografii Tajemnice i mity Biblii autorstwa Roberta Harringtona. Zapamiętałam tytuł i

autora, i wsunęłam Biblię na miejsce akurat w chwili, gdy Seth odwrócił się do drzwi.

Jechaliśmy w milczeniu, w przedwczesnej szarości wieczoru - do Seattle zbliżała się zima. W zwykłych okolicznościach ta cisza w samochodzie wydawałaby mi się niezręczna czy dziwna, ale teraz cieszyłam się, że w spokoju mogę rozmyślać o przypisie na temat nefilimów. Uznałam, że muszę zdobyć książkę Harringtona.

- Nie mieli lodów - stwierdził nagle Seth, przerywając moje rozważania.
- Hę?
- Terry i Andrea. Mieli tort, ale nie mieli lodów. Chcesz jechać na lody?
- Jeszcze ci mało cukru?
- Po prostu lody pasują mi do tortu.
- Jest dziesięć stopni - przypomniałam mu, kiedy zatrzymał się koło lodziarni. Jedzenie lodów przy tak paskudnej pogodzie wydawało mi się dziwne. -1 wieje.
- Żartujesz? W Chicago taki lokal w ogóle nie byłby otwarty o tej porze roku. Tu jest ciepło.

Weszliśmy do środka. Seth zamówił rożek z dwiema gałkami lodów miętowych z wiórkami czekoladowymi. Ja pokusiłam się o odważniejszy zestaw smaków, jagodowy sernik i kawowo--migdałową fantazję. Usiedliśmy przy stoliku koło okna i w milczeniu jedliśmy kolejną porcję cukru.

Seth odezwał się pierwszy:

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo milcząca.
- Spojrzałam na niego, zdumiona, przerywając rozmyślenia o nefilimach.
- A to ci odmiana.
  - Co?

- Zwykle to ja uważam, że ty za mało mówisz. Muszę gadać i gadać, żeby podtrzymać rozmowę.

- Zauważyłem. Eee, nie to chciałem powiedzieć. To źle zabrzmiało. Twoje gadanie to dobra rzecz. Zawsze wiesz, co powiedzieć. Dokładnie to, co trzeba, we właściwej chwili.

- Nie wczoraj wieczorem. Wczoraj mówiłam straszne rzeczy.

Do Douga i Romana. Nigdy mi nie wybaczą - pożaliłam się.

- Wybaczą. Doug to fajny facet. Romana właściwie nie znam, ale...

- Ale co?

Seth zrobił nagle skrępowaną minę.

- Myślę, że łatwo ci wybaczyć.

Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy, aż poczułam ciepło na policzkach. Nie gorąco, jak wtedy, kiedy mam ochotę rozebrać się i na kogoś wskoczyć, ale przyjemne i łagodne ciepłko.

Jakbym była otulona kocem.

- Okropnie to wygląda.

- Co?

Wskazał mój rózek.

- Ta kombinacja.

- Nie krytykuj, póki nie spróbujesz. Całkiem dobrze do siebie pasują.

Zrobił powątpiewającą minę.

Przysunęłam się do niego z krzesłem i dałam mu gryzą.

- Tylko postaraj się spróbować obu smaków naraz.

Pochylił się i udało mu się odgryźć po kawałku z obu gałek.

Niestety, przy okazji packa jagodowego sernika spadła mu na podbródek. Sięgnęłam odruchowo, by ją złapać i podsunąć mu do ust. On równie odruchowo sięgnął językiem i zlizął loda z moich palców.

Nagły przypływ erotycznego napięcia rozlał się po moim ciele. Spojrzałam Sethowi w oczy i zrozumiałam, że on też to

poczuł.

- Masz - powiedziałam szybko, podając mu serwetkę i zwalczając pokusę, by znów wsunąć mu palce do ust. Seth wytarł podbródek, ale choć raz nie pozwolił, by jego skrępowanie wygrało. Został na miejscu, tuż przy mnie.
- Niesamowicie pachniesz. Jak... gardenie.
- Tuberozy - poprawiłam automatycznie, oszołomiona jego bliskością.
- Tuberozy - powtórzył. Zbliżył się jeszcze o włos.
- To Michael, firmy Michael Kors. Można je kupić w każdej lepszej drogerii. - Omal nie jęknęłam, słysząc własne słowa.

Co za idiotyczny tekst. Podenerwowana przybrałam żartobliwy ton. - Może Cady mogłaby zacząć ich używać. Seth był śmiertelnie poważny.

- Nie. To jesteś ty. Tylko ty. Na nikim innym nie pachniałyby tak samo.

Zadrzałam. Używałam tych perfum, bo ich woń przypominała zapach wyczuwalny tylko dla mojej aury nieśmiertelnych. „To jesteś ty”, powiedział. Poczułam się tak, jakby wypowiadając tych kilka słów, odkrył jakąś sekretną część mnie, jakby zajrzał w moją duszę.

Chemia grała między nami jak oszalała, a my siedzieliśmy bez ruchu. Wiedziałam, że Seth nie spróbuje mnie pocałować, tak jak Roman. Wystarczyło mu patrzeć na mnie, kochanie się ze mną oczami.

Nagle wiatr otworzył z impetem drzwi małej lodziarni i wpadł do środka potężnym podmuchem. Kosmyki włosów sfrunęły mi na twarz. Przycisnęłam dłońmi serwetki, poderwane z naszego stolika. Inne przedmioty - serwetki i skrawki papieru - zawirowały we wnętrzu, a na ladzie przewrócił się kubek z plastikowymi łyżkami, które spadły na podłogę. Sprzedawca



pobiegł do drzwi i zaczął siłować się z wiatrem. Kiedy wreszcie zamek zaskoczył, z wyrzutem spojrzął na drzwi.

To wydarzenie sprawiło, że czar między mną a Sethem prysł. Chwilę później pozbialaliśmy nasze rzeczy i wyszliśmy.

Poprosiłam go, żeby podrzucił mnie do księgarni. Miałam nadzieję, że będzie tam Doug. Chciałam go przeprosić, a przy okazji poszukać książki Harringtona.

- Masz ochotę wejść i posiedzieć w kawiarni? Przywitać się z ludźmi? - Jeszcze nie miałam ochoty rozstawać się z Sethem, choć powinnam się zająć swoimi sprawami.

Pokręcił głową.

- Przykro mi. Muszę lecieć. Jestem umówiony.

- Och. - Poczulałam się głupio. Równie dobrze mógł mieć teraz randkę. Dlaczego nie? Pewnie nie byłam jego jedyną znajomą, zwłaszcza po mojej tyradzie o „nierandkowaniu”. Byłam głupia, że tyle sobie obiecałam po tej dziwnej chwili w lodziarni, szczególnie że przecież szalałam za Romanem. - Cóż. Jeszcze raz dzięki za wszystko. Kiedyś ci się odwdzięczę.

Machnęła lekceważąco ręką.

- To nic wielkiego. Poza tym odwdzięczyłaś mi się, idąc na przyjęcie.

Teraz ja pokręciłam głową.

- Przecież nic tam nie robiłam.

Seth tylko się uśmiechnął.

- Do zobaczenia.

Wysiadłam z samochodu, ale nagle wetknęłam jeszcze głowę do środka.

- Hej, zapomniałam cię zapytać: podpisałeś już mój egzemplarz Paktu z Glasgowu?

- Och... rany. Nie. Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

Książka jest w domu. Podpiszę ją, i niedługo ci przyniosę.

Przepraszam. - Wyglądał na szczerze skruszonego.

- Okej. Nic nie szkodzi. - Powinnam była splądrować mu

mieszkanie.

Jeszcze raz powiedzieliśmy sobie „cześć” i poszłam do księgarni. O ile dobrze pamiętałam grafik, dziś otwierała Paige, a Doug powinien być tu teraz, jako kierownik drugiej zmiany. I rzeczywiście, stał za ladą w informacji i przyglądał się, jak Tammi obsługuje klienta.

- Cześć - powiedziałam, podchodząc do niego. Ogarnął mnie niepokój na wspomnienie moich przykrych słów. - Mogę z tobą chwilę porozmawiać?

- Nie.

Wow. Spodziewałam się, że będzie wkurzony... ale że aż tak?

- Najpierw musisz zadzwonić do swojego kolegi.

- Muszę... co?

- Do tego chirurga plastycznego, który trzyma się z tobą i Codym - wyjaśnił Doug.

- Hugh?

- No właśnie. Dzwonił chyba ze sto razy i zostawiał wiadomości. Martwił się o ciebie. - Jego twarz złagodniała, przybierając lekko kpiący wyraz na widok mojego sukienkowo--koszulowego kompletu. - Ja zresztą też. Zmarszczyłam brwi, zdziwiona nagłą troską Hugh.

- Pójdę do niego zadzwonić. Przyjdiesz ze mną później pogadać?

Doug skinął głową, a ja zaczęłam szukać w torebce telefonu.

Po chwili przypomniałam sobie, że rozwaliłam go ostatniej nocy. Poszłam więc do gabinetu, przysiadłam na brzegu biurka i zadzwoniłam do Hugh ze służbowego aparatu.

- Halo?

- Hugh?

- Jezu Chryste, Georgina. Gdzie byłaś, do cholery?

- Eee, nigdzie...

- Całą noc i dzisiaj od rana próbujemy cię złapać.

- Nie nocowałam w domu - wyjaśniłam. - A komórka mi

się popsuta. Co się dzieje? Nie mów mi, że był kolejny napad.

- Niestety tak. Tym razem znowu morderstwo. Koniec spuszczenia przyjacielskiego łomotu. Wampiry i ja nie mogliśmy się do ciebie dodzwonić. Myśleliśmy, że ty też zginęłaś, choć Jerome rzekomo wyczuwał, że nic ci nie jest. Przełknęłam ślinę.

- Kto... kto to był?

- Siedzisz?

- Powiedzmy.

Spięłam się gotowa na wszystko. Demon. Diablik. Wampir. Sukub.

- Lucinda.

Zamrugałam.

- Co? - Wszystkie moje teorie o niebiańskim mścicielu pękły jak bańka mydlana. - Ale to niemożliwe. Ona jest... ona jest...

- ...aniołem - dokończył za mnie Hugh.

## Rozdział 16

Georgina? - Jestem, jestem.

- Pokręcone, co? To chyba kładzie na łopatki twoją teorię o aniele.

- Nie byłabym tego taka pewna.

Moją początkową konsternację zastąpił pomysł, który dojrzał we mnie od chwili, kiedy przeczytałam ustęp z Biblii u Terry'ego i Andrei. Teraz zastanawiałam się...

zastanawiałam się, z kim właściwie mamy do czynienia. Czy to w ogóle jest anioł. Wróciły do mnie słowa z Księgi Rodzaju: „A

byli olbrzymowie na ziemi w one dni... a cić są mocarze,  
którzy od wieku byli mężowie sławni..."

- Co Jerome mówi na to wszystko?
- Nic. A czego się spodziewałaś?
- Czy wszyscy inni są cali i zdrowi?
- O ile mi wiadomo, tak. I co zrobisz? Mam nadzieję, że nic głupiego.
- Muszę coś sprawdzić.
- Georgino... - rzucił ostrzegawczo Hugh.
- Tak?
- Uważaj. Jerome jest w fatalnym nastroju przez to, co się stało.

Roześmiałam się szorstko.

- Wyobrażam sobie.

W słuchawce zapanowało niezręczne milczenie.

- Czego jeszcze mi nie mówisz?

Wahał się jeszcze chwilę.

- To... to dla ciebie niespodzianka, prawda? Że to Lucinda?

- Oczywiście że tak. Dlaczego pytasz?

Kolejna pauza.

- Chodzi o to... widzisz... musisz przyznać, że to trochę dziwne, najpierw Duane...

- Hugh!

- A potem, kiedy nikt nic mógł się z tobą skontaktować...

- Powiedziałaś ci, rozbiłam telefon. Chyba nie mówisz poważnie.

- Nie, nie. Tylko że... nie wiem. Pogadamy później. Rozłączyłam się.

Lucinda nie żyje? Lucinda, w plisowanej spódnicy, z bobem na głowie? To niemożliwe. Czułam się okropnie, widziałam ją ledwie przedwczoraj. Owszem, nazwałam ją

świętoszkowatą pindą, ale nie chciałam, żeby umarła.  
Podobnie jak nie życzyłam śmierci Duane'owi.

Sugestia Hugh była dziwaczna i niepokojąca.  
Pokłóciłam się z Duane'em i Lucinda i oboje zginęli niedługo  
potem. Ale dlaczego ktoś miałby atakować Hugh?  
Przypomniałam sobie docinek Lucindy: „Też mi przyjaciel.  
Podobno nieźle się bawił, opowiadając wszystkim dokoła o  
twojej małej maskaradzie z pejczem i skrzydłami”.  
Rzeczywiście, miałam drobną scysję z diablikiem tuż, zanim  
został pobity. Drobną scysją, niewielkie bicie, biorąc pod  
uwagę, że przeżył.

Zadrżałam, zastanawiając się, co to wszystko może  
znaczyć. Do gabinetu wszedł Doug.

- Wszystko już wyjaśniłaś?
- Tak. Dzięki. - Przez chwilę milczeliśmy zażenowani, aż  
w końcu dałam upust swojemu poczuciu winy. - Doug, ja...
- Zapomnij, Kincaid. Nic się nie stało.
- Nie powinnam była tego mówić. Byłam...
- Schlana. Urznięta. Pijana w trzy dupy. Zdarza się.
- Mimo to nie miałam prawa. Próbowałeś być miły, a ja  
naskoczyłam na ciebie jak jakaś stuknięta żoźa.
- No z tą stukniętą to może przesada.
- Ale z żoźą nie?
- Cóż... - Stłumił uśmiech, nie patrząc mi w oczy.
- Przepraszam, Doug. Naprawdę strasznie cię  
przepraszam.
- Przestań. Nie zniosę więcej tego mazgajenia się.  
Pochyliłam się i ścisnęłam mu rękę, opierając na chwilę czoło  
na jego ramieniu.
- Dobry z ciebie człowiek, Doug. Naprawdę. I dobry  
przyjaciel. Przepraszam... przepraszam za mnóstwo rzeczy,  
które zdarzyły się... i nie zdarzyły między nami.

- Hej, zapomnij o tym. Przyjaciele nie chowają urazy. – Na chwilę zapadła krępująca cisza. Doug najwyraźniej czuł się nieswojo, słuchając moich wyznań. - Czy... wszystko się dobrze skończyło? Po koncercie zniknął mi z oczu. A twoja dzisiejsza kreacja daje wiele do myślenia.

- Nie uwierzysz, czyja to koszula - zażartowałam. Opowiedziałam mu wszystko, od rzygania u Setha, po urodzinowe przyjęcie jego bratanicy. Pod koniec Doug chichotał już histerycznie, choć z niemałą ulgą.

- Ten Mortensen to porządny facet - powiedział w końcu, nie przestając się śmiać.

- On mówi to samo o tobie.

Doug wyszczerzył zęby.

- Wiesz, że on... O rany. Zapomniałem przez te wszystkie telefony. - Odwrócił się do biurka, pogrzebał wśród papierów i książek i wreszcie odnalazł niewielką białą kopertę. – Dostałaś list. Paige powiedziała, że znalazła go wczoraj wieczorem. Mam nadzieję, że to dobre wieści.

- Ja też.

Kiedy przyjrzałam się kopercie dokładniej, wiedziałam już, \_nie. Ujęłam ją ostrożnie, jakby miała mnie oparzyć. Papier i charakter pisma były identyczne jak poprzednim razem. Otworzyłam kopertę i przeczytałam:

*„Słyszałem, że interesują cię upadłe anioły. Otóż dziś w nocy otrzymasz lekcję poglądową. Zapewniam cię, że będzie bardziej pouczająca niż twoje obecne studia biblijne, no i nie będzie wymagała pieprzenia się z szefem, żeby pomógł ci w ekstrapolacji - nie żeby patrzeć, jak robisz z siebie dziwkę, nie było przyjemne”.*

Spojrzałam w zaniepokojone oczy Douga. - Spoko -  
powiedziałam lekkim tonem, składając list i chowając go do  
torebki. - Stare wieści.

Ze słów Hugh wynikało, że Lucinda została zamordowana  
poprzedniej nocy. Doug twierdził, że liścik podrzucono mi  
wcześniej. Ostrzeżenie nie zostało odczytane na czas. Autor  
listu albo nie znał szczegółowo mojego grafiku, albo nie chciał,  
żebym zdążyła zadziałać. Wyglądało mi to na taktykę  
zastraszania.

Upowiedzenie mnie o zabójstwie Lucindy, bez względu  
na motyw, błędnie w porównaniu z resztą listu. Na myśl, że  
ktoś patrzył, jak uprawiałam seks z Warrenem, zaczęła mnie  
mrowić skóra.

- Dokąd się teraz wybierasz? - zapytał Doug.
- Wierz lub nie, ale muszę znaleźć pewną książkę.
- Jesteś we właściwym miejscu.

Wróciliśmy do informacji, gdzie za ladą stała Tammi. Miło było  
widzieć, że Doug przyucza ją na swoje stanowisko. Na czas  
wakacji potrzebowaliśmy wszechstronnych pracowników.

- Masz okazję poćwiczyć - powiedziałam jej. - Powiedz  
mi, gdzie znajdziesz tę książkę.

Podaliśmy jej tytuł. Sprawdziła w komputerze i ze  
zmarszczonym czołem spojrzała na wyniki.

- Nie mamy jej. Możemy ją dla ciebie zamówić.

Skrzywiłam się. Nagle zrozumiałam, dlaczego klienci wyglądali  
na takich wkurzonych, kiedy im to mówiłam.

- Cudownie - mruknęłam. - Ale ja potrzebuję jej dzisiaj.
- Erik pewnie miał ją na składzie, ale jego sklep był już  
nieczynny.

- Nie lubię polecać konkurencji - zażartował Doug - ale  
mogą to mieć w bibliotece.

- Może... - Spojrzałam na zegar niepewna, jak długo są otwarte okoliczne placówki.
- Eee, Georgino? - zaczęła ostrożnie Tammy. - Znam sklep, który to ma. I jest jeszcze czynny. Spojrzałam na nią zdziwiona.
- Naprawdę? Gdzie... nie. Nie. Tylko nie tam.
- Przykro mi. - Jej niebieskie oczy patrzyły przepraszająco. - Ale kiedy byłam tam ostatnio, na stanie były trzy egzemplarze. Nie mogły się wszystkie sprzedać. Jęknęłam, masując skronie.
- Nie mogę tam pójść. Doug, załatwisz coś dla mnie?
- Muszę zamknąć księgarnię - rzucił karcącym tonem. - Jakiego miejsca tak unikasz?
- Krystal Starz, siedziby szurniętej czarownicy.
- Nie poszedłbym tam, nawet gdybyś mi zapłaciła.
- Mogłabyś zapłacić mnie - wtrąciła Tammi - ale ja też zamykam. Wiesz, ona tam nie siedzi przez cały czas.
- Właśnie - wtrącił Doug. - Żaden kierownik nie siedzi bez przerwy w pracy. Musi mieć kogoś na zastępstwo.
- Chyba że brakuje jej pracowników - mruknęłam. Co za ironia losu.

Wyszłam z księgarni i wsiadłam do samochodu. Po drodze do Krystal Starz rozmyślałam nad dwiema informacjami, które dziś zdobyłam.

Po pierwsze, wzmianka o nefilimach. Stary przekład Biblii mówił o potomkach aniołów, wspominał nawet, że mogą się różnić od ludzi, ale nigdy nie zastanowiłam się głębiej, kim naprawdę są anielskie dzieci. Przypis w Biblii Terry'ego i Andrei nie wyjaśniał wiele, ale dość, żeby w mojej głowie otworzyła się zapadka. W końcu, kto lepiej nadawał się do wybijania aniołów i demonów niż półbóg z nieprawego łoża?



Oczywiście, moje odkrycie było następstwem poznania wersetów o upadłych aniołach, poleconych przez Erika. Nefilimowie mogli stanowić fałszywy trop. W rzeczywistości mogłam mieć do czynienia ze zwykłym nieśmiertelnym - zapewne nie zrównoważonym - mordującym załogę po obu stronach barykady. Nie wykluczyłam jeszcze Cartera z kręgu podejrzanych ani nie wymyśliłam, dlaczego zabójca dokończył robotę z Duane'em i Lucinda, a Hugh zostawił przy życiu.

Kolejny strzęp informacji, nowy list, wnosił niewiele ponad to, co już wiedziałam. Po prostu znalazłam go zbyt późno, by móc skuteczniej go wykorzystać. A jeśli naprawdę śledził mnie jakiś podglądacz, nic nie mogłam na to poradzić.

To prowadziło do oczywistego pytania: dlaczego ten ktoś mnie śledzi? Wszystko wskazywało na to, że ja jedna cieszę się taką atencją, tylko ja dostaję liściki. Był jeszcze jeden niepokojący fakt: wszyscy, z którymi się ostatnio kłóciłam, stali się ofiarami...

Niedaleko Krystal Starz zjechałam w pustą ulicę. Tammi i Doug o tym nie wiedzieli, ale znalazłam proste rozwiązanie, jak stawić czoła Helenie. Zdjęłam z siebie sukienkę i koszulę Setha, by nie przepadły, po czym przeobraziłam się w wysoką, smukłą Tajkę w Inianej sukience. Czasami używam tego ciała podczas polowań.

W księgarni było cicho, wśród półek myszkowała tylko dwójka klientów. Przy kasie dostrzegłam sprzedawcę o chłopięcej urodzie, z którym rozmawiałam ostatnio. Chwała Bogu, nigdzie nie było widać Heleny. Nawet w przebraniu nie miałam ochoty wpaść na tę wariatkę. Podeszłam z uśmiechem do młodzieńca za ladą i zapytałam, gdzie znajdę książki Harringtona. Szczercząc zęby jak idiota - ciało Tajki jest niezwykle atrakcyjne - zaprowadził mnie do odpowiedniego działu (nigdy nie mogłam zrozumieć ich systemu

katalogowania). Natychmiast znalazł książkę. Jak powiedziała Tammi, na stanie były trzy sztuki.

Wróciliśmy do kasy, żebym mogła zapłacić.

Odetchnęłam z ulgą, sądząc, że uda mi się zwać stąd bez zwracania na siebie uwagi. Marzenia ściętej głowy. Drzwi w głębi sklepu, prowadzące do sali spotkań, otworzyły się i wypłynęła z nich Helena odziana w powiewną amarantową szatę i obwieszona kilogramami naszyjników. Niech to szlag. Może ta kobieta naprawdę ma szósty zmysł.

- Wszystko w porządku, Roger? - zapytała sprzedawcę, używając swojego ochryplego, popisowego głosu.

- Tak, tak. - Chłopak skwapliwie pokiwał głową, wyraźnie zadowolony, że zwróciła się do niego po imieniu. Odwróciwszy się do mnie, posłała mi uśmiech diwy.

- Witam, moja droga. Jak się pani dzisiaj miewa? Pamiętając, że Tajka nie ma z nią na pieńku, zmusiłam się do uśmiechu i odparłam grzecznie:

- Świetnie, dziękuję.

- Domyślam się - powiedziała z powagą Helena, gdy wręczałam gotówkę sprzedawcy - bo widzę wspaniałe rzeczy w pani aurze.

Otworzyłam szeroko oczy, udając podziw i zdumienie laika.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową zadowolona, że znalazła słuchacza.

- Jest bardzo jasna. Bardzo silna. Ma mnóstwo barw. Los ma pani do zaoferowania dużo dobrego. - Przepowiednia znacznie różniła się od tej, którą usłyszałam w Emerald City. Widząc moją książkę, przyjrzała mi się badawczo, zapewne dlatego, że była to poważna pozycja naukowa, a nie jeden z setek bzdetów, które sprzedawała. - Jestem zaskoczona. Spodziewałabym się, że będzie pani raczej czytać o tym, jak najlepiej spożytkować swoje dary, zmaksymalizować swój

potencjał. Mamy kilka tytułów, które mogę polecić, gdyby była pani zainteresowana.

Czy ta kobieta nigdy nie przestaje handlować?

- Och, z przyjemnością - odparłam, rozptylając się w uśmiechu - ale wzięłam pieniądze tylko na tę książkę. - Wskazałam torbę, którą wręczył mi sprzedawca.

- Rozumiem - odparła z powagą. - Ale i tak pani pokażę. Żeby pani wiedziała, po co przyjść następnym razem. Rozdarta, zastanawiałam się, co będzie mniej nieprzyjemne: godzenie się na jej towarzystwo czy rozpoczęcie wojny w kolejnym wcieleniu. Spojrzałam na zegar i stwierdziłam, że sklep zamyka podwoje za piętnaście minut. Nie zmarnuje mi zbyt wiele czasu.

- Okej. Chętnie zerknę.

Wyraźnie zadowolona, że oto znalazła kolejną ofiarę, poprowadziła mnie na drugi koniec sklepu. Zgodnie z zapowiedzią pokazała mi książki o tym, jak wykorzystać najsilniejsze elementy swojej aury, kilka pozycji o ukierunkowywaniu energii za pomocą kryształów, a nawet o tym, jak wizualizacja może pomóc w realizacji życiowych celów. Ta ostatnia była tak koszmarnie głupia, że miałam ochotę huknąć głową o ścianę, by skrócić swoje cierpienia.

- Nie wolno lekceważyć potęgi wizualizacji - szepnęła Helena. - Może pani kierować własnym losem, wyznaczać własne ścieżki i zasady. Wyczuwam w pani wielki potencjał, ale kierując się tymi wskazówkami, może pani wyzwolić go jeszcze więcej. Mieć wszystko, czego pragnie, by jej życie było szczęśliwe i spełnione: karierę, dom, męża, dzieci. Przed oczami stanął mi obraz bratanicy Setha, zwiniętej na moich kolanach. Pospiesznie odwróciłam się od Heleny. Sukuby nie rodzą dzieci. Nie czekała mnie żadna z rzeczy, o których mówiła, niezależnie od tego, czy kupiłabym tę książkę, czy nie.

- Muszę już iść. Dziękuję za pani czas.
- To drobiazg - odparła skromnie, wręczając mi listę, na której z dobrego serca wypisała tytuły. I ceny. - Dam pani jeszcze parę broszurek na temat naszych imprez okolicznościowych i kursów.

To się nigdy nie skończy, pomyślałam. Wreszcie mnie wypuściła, obładowaną makulaturą, którą cisnęłam do kosza na parkingu. Boże, nie cierpię tej kobiety. W roli podlizującej się naciągaczki była odrobinę znośniejsza niż jako wariatka w amoku, którą podziwialiśmy w Emerald City, ale i tak trudno mi było ją znieść. Na szczęście zdobyłam książkę, i tylko to się liczyło.

W drodze do domu, już w swoim zwykłym ciele, wstąpiłam do jednej z moich ulubionych chińskich knajpek. Jedząc kurczaka a la generał Tso, przeczytałam fragment o nefilimach:

„Nefilimowie po raz pierwszy wzmiankowani są w Księdze Rodzaju 6,4, gdzie czasem nazywani są »gigantami« lub »upadłymi«. Niezależnie od przekładu samego słowa, ustęp ów jasno precyzuje pochodzenie nefilimów: są oni półboskimi potomkami aniołów i ludzkich kobiet. Rzeczony werset określa ich jako »siłaczy« i »mężów sławnych«. Poza tym w Biblii rzadko wspomina się o anielskim rodowodzie nefilimów, choć w kilku jej księgach - Liczb, Powtórzonego Prawa czy Jozuego - znajdujemy liczne wzmianki o spotkaniach z olbrzymami i ludźmi »potężnej postury\*. Niektórzy badacze spekulują, że »wielka niegodziwość« która spowodowała na ziemię potop, była w rzeczywistości wynikiem deprawującego wpływu nefilimów na rodzaj ludzki. Pisma apokryficzne, jak etiopska Księga Henocha, szerzej omawiają losy upadłych aniołów, opowiadając, jak zdeprawowani słudzy niebios uczyli swe żony »symboli i zaklęć«, podczas gdy ich potomstwo

szalało po całej ziemi, mordując i szerząc zamęt wśród ludzi. Nefilimowie, obdarzeni nadzwyczajnymi cechami, podobnymi do zdolności herosów z greckiej mitologii, mimo swego rodowodu byli wyklęci przez Boga i po-rzucani przez rodziców, skazani na wieczną tułaczkę bez chwili spokoju, póki nie zostaną unicestwieni dla dobra rodzaju ludzkiego".

Oderwałam oczy od książki, z trudem łapiąc oddech. Nigdy nie słyszałam o tym, co tu napisano. Miałam rację, mówiąc Erkowi, że praktykujący wiedzą najmniej o własnej historii, ale przecież ktoś powinien był mi o tym wspomnieć. Potomkowie aniołów. Czy istnieli naprawdę? Czy wciąż chodzili po ziemi, czy był to kolejny fałszywy trop? Może znów brnęłam w ślepy zaułek, zamiast ograniczyć śledztwo do nieśmiertelnych mojej rangi lub wyższych, takich jak Carter? Ostatecznie nefilimowie byli w połowie ludźmi. Nie mogli być aż tak potężni.

Zapłaciłam rachunek i wyszłam do samochodu, otwierając po drodze ciasteczko z wróżbą. Było puste. Uroczo. Na ulicy mżyło, a mnie zaczęło dopadać zmęczenie - i nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak wyglądała moja ostatnia doba.

Kiedy dojechałam na Queen Annę, nie mogłam znaleźć miejsca do parkowania, co wskazywało, iż w pobliżu odbywa się jakiś mecz lub koncert. Burcząc pod nosem, zaparkowałam kilka przecznic od domu, przysięgając sobie, że nigdy więcej nie wynajmę mieszkania bez miejsca parkingowego. Wiatr, który wcześniej nękał mnie i Seta, przycichł, co było normalne, jako że Seattle nie jest wietrznym miastem. Za to deszcz się nasilił, jeszcze bardziej psując mi humor.

Byłam w połowie drogi do domu, kiedy usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam się, ale nie zobaczyłam niczego prócz

błyszczących chodników, odbijających światło latarní. Nikogo nie było. Przyspieszyłam kroku. Po chwili poszłam po rozum do głowy i po prostu stałam się niewidzialna. Jerome ma rację, za często myślę jak śmiertelnik.

Ulica, którą wybrałam, wcale mi się nie podobała - była zbyt pusta. Powinnam wrócić na główny trakt i resztę drogi przejść aleją Queen Anne.

Właśnie skręciłam za róg, kiedy coś z impetem wpadło mi na plecy, rzucając mnie dwa metry do przodu. Tak się wystraszyłam, że z powrotem stałam się widzialna.

Spróbowałam się odwrócić, wymachując pięściami, ale kolejny cios trafił mnie w głowę i powalił na kolana. Miałam wrażenie, że uderzyło mnie coś w kształcie ręki, tyle że z siłą kija bejsbolowego. Napastnik zdał kolejny cios, tym razem w łopatkę. Krzyknęłam, w nadziei że ktoś mnie usłyszy. Kolejne uderzenie sięgnęło skroni. Jego siła przewróciła mnie na plecy. Zmrużyłam oczy, próbując dostrzec, kto mi to robi, ale widziałam tylko niewyraźny amorficzny zarys, zbliżający się do mnie z prędkością błyskawicy. Następnym cios poczułam na szczęce. Nie byłam w stanie się podnieść pod gradem uderzeń, padających gęściej niż krople deszczu wokół mnie. Nie byłam w stanie walczyć z bólem, który bombardował mnie z każdej strony.

Nagle moje pole widzenia wypełniło jaskrawe światło, zadając ból moim oczom. Nie byłam już sam na sam z napastnikiem, który nagle się wycofał. Nad głową usłyszałam dziwny piskliwy wrzask. Kierowana nieodpartym pragnieniem spojrzałam w światło. Potworny ból przeszył mój mózg, a oczy dostrzegły zbliżającą się ku nam postać: piękną i straszliwą, we wszystkich kolorach i bezbarwną jednocześnie, utkaną z białego blasku i ciemności, skrzydlatą i zbrojną w miecz, o zmiennych, nieuchwytnych rysach. Następnym krzyk był mój - krzyknęłam z bólu i ekstazy, gdy cudowna wizja wypalała mi

zmysty, choć już jej nie widziałam. Wszystko wokół stało się białe, aż ogarnęła mnie czern i nie widziałam już nic.

Potem zapanowała cisza.

Siedziałam, szlochając, obolała na ciele i duszy.

Ustyszałam zbliżające się kroki i wyczułam, że ktoś przy mnie klęka. Jakimś cudem, pomimo ślepoty, wiedziałam, że to nie napastnik. Tamten uciekł już dawno.

- Georgina? - odezwał się znajomy głos.
- Carter - wyszlochałam, zarzucając mu ręce na szyję.

## Rozdział 17

Obudziła mnie Aubrey, mrużąc mi do ucha. Gdy wyczuła, że się ocknęłam, przysunęła pyszczek i polizała mnie w policzek tuż przy uchu, łaskocząc mnie wąsami. Drgnęłam i otworzyłam oczy. O dziwo, moje źrenice znów odbierały światło, barwy i kontury, choć wszystko było zamazane i zniekształcone.

- Widzę - mruknęłam do Aubrey, próbując usiąść. Moje ciało natychmiast przeszły setki bolesnych igieł i gwoździ, utrudniając jakikolwiek ruch. Zorientowałam się, że leżę na swojej kanapie przykryta starym orientalnym dywanikiem.
- Oczywiście, że widzisz - poinformował mnie zimny głos Jerome'a. Aubrey uciekła. - Chociaż należałoby ci się, gdybyś oślepla. Co ci strzeliło do głowy, żeby patrzeć na anioła w pełnej glorii? Rozum ci odjęło?
- Owszem - odparłam, patrząc spod zmrużonych powiek na postać w ciemnym ubraniu, przechadzającą się przede mną w tę i z powrotem. - Znaczą, chwilowo.
- No nie wiem, czy tak chwilowo.

- Opuść jej - dobiegła gdzieś z tyłu lakoniczna odzywka Cartera.

Wyprostowałam się, rozejrzałam i, choć niewyraźnie dostrzegłam go, opierającego się o ścianę. Peter, Cody i Hugh też tu byli. Proszę, proszę - regularny zlot naszej dysfunkcyjnej rodziny. Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- Robimy imprezę czy co?

Cody usiadł przy mnie. Jego rysy nabrały ostrości, kiedy pochylił się, by przyjrzeć się mojej twarzy. Delikatnie przeciągnął palcem po mojej kości policzkowej i zmarszczył brwi.

- Co się stało?

Otrzeźwiałam.

- Jest aż tak źle?

- Nie - skłamał. - Hugh wyglądał gorzej. - Diablik burknął coś z drugiego końca pokoju.

- Ja już wiem, co się stało - warknęła Jerome. Nie musiałam widzieć wyraźnie jego twarzy, by wiedzieć, że patrzy na mnie ze złością. - Nie rozumiem tylko, dlaczego. Postanowiłaś specjalnie narazić się na niebezpieczeństwo? Hm, pomyślmy... ciemna ulica, dokoła żywej duszy... Super. Tak to było?

- Nie - wypaliłam. - Nie myślałam o tym. Chciałam tylko jak najszybciej dotrzeć do domu. - Możliwie dokładnie zrelacjonowałam wydarzenia wieczoru, zaczynając od kroków za plecami, a kończąc na Carterze.

Kiedy wreszcie zamilkłam, Hugh usiadł zamyślony w fotelu naprzeciwko mnie.

- Przerwy, powiadasz?

- Co?

- Tak powiedziałaś... cios, przerwa, kolejny cios, przerwa i kolejny. Zgadza się?



- Tak, i co z tego? Nie tak wyglądają bójki? Cios, zamach, przygotowanie do kolejnego? Poza tym mówimy o przerwach długości sekundy. Nie zdążyłam nawet odetchnąć.

- Ze mną było zupełnie inaczej. Mnie oprócz bicia chla- stał nożem. Ale to był jeden ciąg. Nieprzerwany grad ciosów. Przekraczający wszelkie pojęcie czy ludzkie możliwości. Z całą pewnością nadnaturalny.

- Ta akcja też - odparowałam. - Uwierz mi, nie byłam w stanie się bronić. To nie był jakiś śmiertelnik, który próbował mnie okraść, jeśli to sugerujesz.

Hugh tylko wzruszył ramionami.

Zapanowała cisza. Zerknęłam na diabliska z ukosa.

- Znowu patrzą na siebie znacząco, zgadza się?

- Kto?

- Carter i Jerome. Czuję to. - Zwróciłam się do Cartera, zastanawiając się nagle, czy moja wczorajsza wyprawa do Krystal Starz poszła na marne. - Pewnie nie znalazłeś reklamówki, którą miałam przy sobie?

Anioł podszedł do kuchennej szafki, podniósł torbę i rzucił mi ją. Wciąż widziałam nieostro, więc jej nie złapałam. Torba odbiła się od kanapy i upadła na podłogę. Książka wysliznęła się z plastiku. Jerome porwał ją w ułamku sekundy i przeczytał tytuł.

- Niech mnie szlag, Georgie. To dlatego szlajałaś się po ciemnych ulicach? Dlatego prawie dałaś się zabić? Powiedziałem ci, żebyś sobie odpuściła śledztwo w sprawie łowcy wampirów...

- Och, daj spokój - krzyknął Cody, stając w mojej obronie.

- Nikt z nas już w to nie wierzy. Wiemy, że robi to anioł.

- Anioł? - W tonie demona usłyszałam rozbawienie, wręcz drwinę.

- To nie śmiertelnik mnie tak załatwił - rzuciłam ze złością.
  - Ani Hugh. Ani Duane'a. Ani Lucinę. To był nefilim.
  - Nefi-co? - zapytał ostupiały Hugh.
  - Czy to postać z Ulicy Sezamkowej? - odezwał się Peter, po raz pierwszy odkąd się ocknęłam.
- Jerome przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Wreszcie zapytał groźnie:
- Kto ci o tym powiedział? - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do anioła. - Miateś nie...
  - To nie ja - odparł spokojnie Carter. - Podejrzewam, że sama na to wpadła. Nie doceniasz własnych ludzi.
  - Owszem, sama na to wpadłam, chociaż nie bez pomocy.
- W skrócie zrelacjonowałam swoje poszukiwania i tropy, opowiedziałam, jak doszłam po nitce do kłębka, od Erika do książki z Krystal Starz.
- A nich mnie - mruknął Jerome, wysłuchawszy mojej przemowy. - Cholerny Sherlock Holmes.
  - No dobra - powiedział Peter. - Twoje śledztwo faktycznie jest fascynujące, ale ciągle nie powiedziałaś nam, co to jest ten nefilolog.
  - Nefilim - poprawiłam go. Spojrzałam z wahaniem na Jerome'a. - Mogę?
  - Pytasz mnie o pozwolenie? Jak uroczo.
- Uznając to za zgodę, zaczęłam niepewnie:
- Nefilimowie to potomkowie aniołów i ludzi.
- Pamiętacie fragment o tym, że upadłe anioły brały sobie ziemskie żony. Owocem tych związków byli nefilimowie. Posiadają pewne zdolności... nie wiem o wszystkich... siłę, moc... są jak greccy herosi...

- Raczej jak nieznośne bachory - dodał z goryczą Jerome.
- Jak to? - zapytał Hugh, kiedy Jerome nie rozwinął tematu.
- No więc... z tego, co wyczytałam, urządzali rzezie i siali zamęt wśród ludzi.
- Tak, ale ten nie wybija ludzi - przypomniał Peter. Carter wzruszył ramionami.
- Są nieprzewidywalni, nie grają według ustalonych zasad.

Szczerze mówiąc, nie wiemy, jakie są intencje tego tutaj. Prowadzi jakąś grę, to pewne, sądząc po atakach na przypadkowych nieśmiertelnych i liście do Georginy.

- Dwóch listach - sprostowałam. - Dostałam kolejny tuż przed śmiercią Lucindy, ale całą noc byłam z Sethem i przeczytałam go dopiero następnego dnia.

Hugh i wampiry zagapili się na mnie.

- Byłaś całą noc z Sethem? - zapytał osłupiały Cody.
- A który to Seth? - zapytał Hugh.
- Ten pisarz - podsunął Peter.

Diablik przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

- I co robiliście przez całą noc?
- Czy możemy w tej chwili nie dyskutować o życiu miłosnym Georginy, nawet jeśli jest fascynujące? - Jerome spojrzął na mnie pytająco. - Chyba że ten Seth to ktoś o głębokiej moralności, facet z zasadami, któremu zamierzasz ukraść energię

życiową, by wspierać misję szerzenia zła i jej wyższe cele.

- Pierwsza część zdania się zgadza, druga nie.
- Do cholery, muszę się napić.
- Obsłuż się.

Jerome podszedł do mojego barku i zaczął przeglądać zawartość.

- Jak możemy namierzyć tego nefilima? - zapytał Cody, kierując rozmowę na właściwy tor.

Spojrzałam niepewnie na Cartera i Jerome'a. Nie miałam pojęcia o szczegółach technicznych.

- Nie możecie - stwierdził pogodnie anioł.

- Więc i on potrafi maskować swoją aurę? Jak wyżsi nieśmiertelni? - dopytywałam.

Carter skinął głową.

- Tak, mają najgorsze cechy obojga rodziców. Sporo siły i pseudoanielskie umiejętności, przemieszane ze skłonnością Jo buntu, umiłowaniem fizycznych przyjemności i marnym palowaniem nad własnymi popędami.

- Jak dużo siły? - chciałam wiedzieć. - Są tylko w połowie aniołami, więc mają połowę ich mocy?

- Właśnie tu tkwi haczyk. - Ze szklanką dżinu w dłoni Jerome miał o wiele weselszą minę. - Pod tym względem bardzo się od siebie różnią, tak jak każdy anioł ma inny poziom mocy. Ale jedno jest pewne: nefilimowie dziedziczą o wiele więcej niż połowę mocy rodzica, choć nie są w stanie go przewyższyć. Tak czy inaczej mają jej mnóstwo i dlatego usiłowaliśmy wbić wam do głów, żebyście trzymali się od tej sprawy z daleka. Nefilim może z łatwością załatwić każde z was.

- Ale żadnego z was - powiedział Peter. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie pomimo nuty niepewności w jego głosie.

Ani demon, ani anioł nie odpowiedział, a ja dopasowałam kolejny kawałek układanki.

- To dlatego chodźcie z zamaskowanymi aurami. Wy też się przed nim ukrywacie.

- Po prostu zachowujemy konieczne środki ostrożności

-

sprostował Jerome.

- Przed tobą uciekł - przypomniałam Carterowi. -  
Widocznie jesteś silniejszy od niego.
- Zapewne - przyznał anioł. - Ale bardziej  
przejmowałem się tobą, więc nie wysondowałem go jak  
należy. Anioł w pełnej glorii wystraszy większość istot,  
śmiertelnika nawet zabije, więc niekoniecznie chodziło o to,  
że jestem od niego silniejszy. Trudno stwierdzić.  
Nie podobała mi się ta odpowiedź. Ani trochę.
- A co tam w ogóle robiłeś?  
Na jego twarzy pojawił się firmowy uśmiešek.
- A jak myślisz? Śledziłem cię.  
Drgnęłam.
- Co? Więc miałam rację... tego dnia, u Erika...
- Niestety.
- Boże - rzucił zdumiony Peter. - A więc byłaś bliska  
prawdy. Przynajmniej kiedy twierdziłaś, że cię śledzi.  
Poczułam odrobinę satysfakcji, nawet jeśli Carter  
przesłał być głównym podejrzanym. Hugh miał rację,  
twierdząc, że jestem uprzedzona. Naprawdę chciałam, żeby to  
Carter okazał się winny tych ataków - może z zemsty za  
wszystkie żarty, jakie sobie ze mnie stroi? Po jego interwencji  
w ciemnej uliczce już zupełnie nie wiedziałam, co o nim  
myśleć.
- Carter wyjaśnił:
- Kiedy zrozumiałem, że pierwszy list prawdopodobnie  
napisał nefilim, pomyślałem, że dobrze będzie mieć na ciebie  
oko, jako że nasz przyjaciel jest tobą szczególnie  
zainteresowany.  
Moim zamiarem było zaskoczenie go, a nie pomaganie ci, ale  
cieszę się, że na coś się przydałem. A tego dnia u Erika...  
Spojrzał na Jerome'a. Demon uniósł ręce.
- Jasne. Czemu nie? Powiedz im. Powiedz im wszystko.  
I tak już wiedzą za dużo.

- Ta istota, nefilim... - Carter umilkł, dobierając słowa. - Ta istota wie zdumiewająco dużo o naszej nieśmiertelnej społeczności.

- No bo... jest tak, jak mówiliście, nie? - zapytał Peter. - Wybiera sobie kogoś z nas i śledzi go.

- Nie. To znaczy, owszem, to możliwe, ale wszystko wskazuje na to, że wie więcej, niż mogłaby mu dać zwykła inwigilacja...

- Na litość boską - rzucił Jerome. - Jeśli chcesz im powiedzieć, to mów. Przestań się bawić w kalambury. - Demon zwrócił się do nas. - Carter chce powiedzieć, że ten nefilim ma wtyczkę. Ktoś udziela mu informacji o miejscowej społeczności nieśmiertelnych.

Cody podchwycił aluzję równocześnie ze mną.

- I myślicie, że to Erik.

- Jest naszym głównym podejrzanym - przyznał Carter przepaszająco. - Jest tu od dziesięcioleci i ma zdolność wyczuwania nieśmiertelnych.

- I pomyśleć, że tak dobrze się o tobie wyrażał - mruknęłam przerażona. - No więc mylicie się. To nie Erik.

- Nie obruszaj się, Georgie. To nie jest nasz jedyny trop, tylko najbardziej prawdopodobny.

- Mnie też się to nie podoba - dodał anioł. - Ale nie możemy wykluczyć żadnej możliwości. Musimy jak najszybciej zlikwidować zagrożenie. Sprawa wymyka nam się z rąk. Niedługo dojdzie do interwencji z zewnątrz, a to zawsze upierdliwa sprawa.

- Więc dlaczego nie pozwalacie, żebyśmy wam pomogli?

- wykrzyknęłam. - Po co te tajemnice?

- Czy ty jesteś głucha? Dla waszego bezpieczeństwa. To coś może was roznieść w pył! - Jerome jednym tykiem dopił

swój dżin.

Nie kupiłam tego. Tu chodziło o coś więcej niż nasze bezpieczeństwo. Jerome wciąż nie powiedział nam wszystkiego.

- Tak, ale...

- Zebranie komitetu uważam za skończone - przerwał mi lodowato. - Bądźcie tak mili i zostawcie nas samych z Georginą.

O cholera. Spanikowana spojrzałam na przyjaciół, w nadziei że zostaną i będą mnie bronić, ale wszyscy zwiali. Tchorze. Żaden z nich nie miał odwagi postawić się Jerome'owi, kiedy mówił takim tonem. No dobra, ja też bym nie miała na ich miejscu. Carter został. Polecenie najwyraźniej jego nie dotyczyło.

- Georgie - zaczął ostrożnie Jerome, kiedy reszta sobie poszła. - Ostatnio jakoś częściej się ze sobą kłócimy. Nie podoba mi się to.

- To właściwie nie są kłótnie - stwierdziłam, wierząc się niespokojnie na wspomnienie jego demonstracji siły w szpitalu i groźby, że mnie gdzieś „upchnie”. - Po prostu miewamy różnice zdań.

- Różnice, które mogą cię kosztować życie.

- Jerome, tu nie może chodzić tylko o...

- Dość.

Uderzyła mnie ściana mocy, odrzucając na oparcie kanapy. Czułam się jak w tej atrakcji w wesołym miasteczku, gdzie ludzie stają pod ścianami okrągłego pokoju, który obraca się coraz szybciej i szybciej, aż siła odśrodkowa przyspila im kończyny do ścian. Każdy ruch sprawiał ból. Nawet oddychanie było walką. Tak musiał się czuć Atlas dźwigający na barkach ciężar świata.

Głos Jerome'a zagrział we wnętrzu mojej głowy. Dzielniejsza część mnie wściekła się na niego za te salonowe sztuczki, ale cała reszta skuliła się ze strachu.

*Choć raz wysłuchaj mnie, nie przerywając. Nie możesz dalej węszyć. Robiąc to, ściągasz na siebie uwagę, a nefilim już i tak interesuje się tobą bardziej, niżbym chciał. Nie potrzebuję i nie chcę szukać nowego sukuba. Przyzwyczałem się do ciebie, Georgino. Nie chcę cię stracić. Ale jestem dla ciebie bardziej pobłażliwy, niż powinienem. Uchodzą ci na sucho rzeczy, na które nie pozwoliłby żaden arcydemon. Do tej pory tolerowałem twoje zachcianki, ale to się może zmienić, szczególnie jeśli nie zaczniesz się mnie słuchać. Mogę cię przenieść gdzieś indziej, daleko od przytulnej iluzji ludzkiego życia, jaką sobie stworzyłaś. Mogę też wezwać Lilith i poskarżyć się jej na twoje zachowanie. Jestem pewien, że z radością powtórzy ci szkolenie.*

Moje serce zatrzymało się na wzmiankę o Królowej Sukubów. Spotkałam ją tylko raz, kiedy wstępowałam w ich szeregi. To spotkanie, podobnie jak podziwianie Cartera w całej glorii, nie było doświadczeniem, które chciałabym powtórzyć.

*Zrozumiałaś?*

- T-tak.

*Na pewno?*

Ucisk narastał i byłam w stanie tylko słabo kiwnąć głową.

Nagle psychiczna klatka zniknęła i opadłam do przodu, oddychając głęboko. Wciąż czułam miejsca, gdzie dotykała mnie jego moc. Przypominało to pozorny obraz, który pozostaje przed oczami po spojrzeniu w słońce.

- Cieszę się, że rozumiesz. Pojmujesz też zapewne, że nie wierzę ci do końca. Taka już jest nasza natura.

- Czy... czy teraz mnie gdzieś upchniesz?

Roześmiał się cicho. Złowrogo.

- Nie. Przynajmniej na razie. Uważam, że wystarczy odrobina



nadzoru, żebyś nie pakowała się w kłopoty. Nie jestem też przekonany, że twoja znajomość z nefilimem to przelotna sprawa.

Na usta cisnęła mi się riposta, ale przełknęłam ją, bo skóra jeszcze mnie paliła.

- Poprosiłbym o to któregoś z twoich przyjaciół, ale nie wątpię, że każdego z nich potrafisz sobie owinąć wokół palca. Nie, potrzebujesz niańki, która się nie ugnie, która nie nabierze się na twoje sztuczki.

- Sztuczki? Kogo? - Przez chwilę myślałam, że mówi o sobie, aż zauważyłam zadowolony uśmiešek Cartera. O rany.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- To da mi pewność, że nie będziesz się wychylać, Georgie.

A co więcej, że przeżyjesz.

- W tej chwili jesteś naszym najlepszym tropem – wyjaśnił Carter. - Nefilim interesuje się tobą, chociaż to zainteresowanie

trochę zmieniło profil, od podsyłania liścików do napaści.

- Carter będzie gotów, jeśli nefilim spróbuje dokończyć to, co mu przerwano. Osłoni też twoje mieszkanie przed wścibskimi oczami.

- Ale nefilim go wyczuje, kiedy wyjdziemy... - zaczęłam słabo.

- Nie bardziej niż ty w tej chwili - przypomniał mi Carter. -

Poza tym będę niewidzialny. Jak duch u twego boku lub jeśli wolisz anioł stróż. Nawet nie będziesz pamiętać, że jestem przy tobie.

- Jerome, proszę, nie możesz mi tego zrobić...

- Mogę i zrobię. Chyba że wolisz, abym uciął sobie pogawędkę z Lilith?

Niech go szlag. Groźba wezwania Lilith przerażała mnie bardziej niż perspektywa upchnięcia w nieznanym miejscu, i demon o tym wiedział.

- Świetnie. Jeśli nie ma więcej pytań, to ja już pójdę, a wy się tu jakoś rozlokujcie. - Jerome spojrzął na nas. Jego ciemne oczy zatrzymały się na mnie. - A tak z innej beczki. Zerknij do lustra, jeśli znajdziesz chwilę.

Skrzywiłam się, myśląc o minie Cody'ego, kiedy oglądał moje obrażenia.

- Dzięki za przypomnienie.

- Pamiętaj że jesteś sukubem. Te sińce to przejaw twojej wiary, że jesteś śmiertelna. A nie jesteś. Musisz je czuć, ale nie musisz ich nosić.

Z tymi słowami demon rozpułnął się w powietrzu, pozostawiając po sobie słaby zapach siarki, który był zapewne tylko trikiem.

- To co, ja śpię na kanapie? - zapytał wesoło Carter.

- Idź do diabła. - Wysłałam z pokoju, żeby obejrzeć się w lustrze.

- Nieładnie tak traktować nowego współlokatora.

- Nie prosiłam o twoją...

Zatrzymałam się w połowie korytarza. Przez ostatnie dwa tygodnie podejrzewałam Cartera o morderstwo i inne straszne rzeczy. Przez ostatnie pół wieku nie cierpiałam go jako osoby. Mimo to uratował mi życie, a ja nawet mu nie podziękowałam.

Odwróciłam się do niego, z niechęcią myśląc o tym, co muszę powiedzieć.

- Przepraszam.

Zrobił minę podobną do tej, jaką miał Jerome, kiedy wcześniej prosiłam go o pozwolenie na pogadankę o nefilimach.

- Naprawdę? Za to, co usłyszałem przed chwilą?

- Za to, że wcześniej ci nie podziękowałam. Za to, że mnie uratowałeś. Oczywiście nie jestem szczęśliwa, że będziesz tu mieszkał, ale jestem wdzięczna za to, co zrobiłeś. I przepraszam, jeśli nie byłam dla ciebie zbyt miła...

Wyraz twarzy anioła był nieodgadniony.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

Nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, odwróciłam się i ruszyłam dalej.

- Co będziesz teraz robić? - zapytał.

Znow się zatrzymałam.

- Obejrzę siniaki i pójdę spać. Jestem zmęczona. I wszystko mnie boli.

- Och, czyli nie będzie piżamowej imprezy i popcornu? Nie będziemy się bawić w stylistki?

- Nie bierz tego do siebie, ale naprawdę przydałaby ci się zmiana stylu. Wyglądasz jak uchodźca. Dlaczego... - Przełknęłam ślinę i sformułowałam zdanie inaczej, przyglądając się mu. - Kiedy zobaczyłam cię tam, na ulicy, byłeś... byłeś taki piękny. Byłeś najpiękniejszą istotą, jaką widziałam w życiu. - Mój głos zamienił się w szept.

Twarz Cartera spoważniała.

- Jerome też taki jest, przecież wiesz. W swojej prawdziwej postaci. Równie piękny. Anioły i demony pochodzą z tej samej rodziny. Ciało Johna Cusacka sam sobie wybrał.

- Dlaczego? Dlaczego to robi? I dlaczego ty wolisz wyglądać jak ćpun czy włóczęga?

Kąciki jego ust wygięły się lekko do góry.

- A dlaczego kobieta, która twierdzi, że woli unikać miłych mężczyzn, wybrała postać, na której widok wszyscy odwracają głowy?

Znów przełknęłam ślinę zagubioną w głębinach jego oczu, ale nie tak, jak wsiąkałam w oczy Romana czy Setha. To było raczej tak, jakby anioł widział mnie na wskroś, potrafił przejrzeć wszystkie moje maski i zaglądał w sam środek duszy czy też tego, co z niej pozostało.

Z wielkim wysiłkiem wyrwałam się spod jego badawczego spojrzenia i odwróciłam się w stronę sypialni.

- Nikt nie jest karany wiecznie - powiedziała łagodnie.
- Tak? Ja słyszałam coś innego. Dobranoc.

Poszłam do sypialni i zamknęłam za sobą drzwi. Tuż zanim kliknął zamek, usłyszałam, jak Carter woła:

- To kto robi śniadanie?

## Rozdział 18

Około dziesiątej następnego ranka telefon wyrwał mnie ze snu o meduzie i miętowych lodach z czekoladowymi wiórkami. Przeturlałam się na łóżku i podniosłam słuchawkę, odkrywając przy okazji, że jestem o wiele mniej obolała niż wczoraj w nocy. Nieśmiertelne gojenie jest super.

- Halo?
- Cześć, tu Seth.

Seth! Przypomniałam sobie wydarzenia wczorajszego dnia.

Urodziny bratanicy. Lody. Perfumy. Znów ukłuła mnie ciekawość, z kim się spotkał, kiedy odwiózł mnie do księgarni.

- Cześć - rzuciłam radośnie, siadając. - Jak się masz?
- Nieźle. Ee, jestem w Emerald City i nie widziałem cię...

Powiedzieli, że masz dziś wolne.

- Tak, będę jutro.
  - Okej. Więc, hm, może chciałabyś coś dzisiaj porobić? Pójść na lunch? Albo do kina? Chyba że masz inne plany...
  - Nie... właściwie nie... - Przygryzłam wargę, zwalczając pokusę, by natychmiast się zgodzić.
- Wciąż czułam dziwne, niewyjaśnione przyciąganie między nami. Wciąż miałam to wrażenie, że znamy się do dawna. Chętnie spędziłabym z nim więcej czasu, ale próbowałam już przyjacielskich randek z Romanem i skończyło się to katastrofą. O wiele lepiej było nie zaczynać niczego z Sethem mimo moich pragnień. Poza tym miałam teraz anielskiego goryla. Nie miałam ochoty ciągać go ze sobą. Lepiej było zatrzymać Cartera w domu najdłużej, jak się da.
- Ale jestem chora.
  - Naprawdę? Przykro mi.
  - No wiesz... czuję się, jakby przejechał po mnie walec.
- To nie było do końca kłamstwo. - Nie nadaję się dziś na wyjścia.
- Ach. Okej. A potrzebujesz czegoś? Chcesz, żebym ci przyniósł coś do jedzenia?
  - Nie... nie - zapewniłam go pospiesznie, wyrzucając z głowy obraz Setha karmiącego mnie rosołkiem, gdy leżę sobie w ślicznej piżamie. Chryste. To będzie trudniejsze, niż sądziłam.
  - Nie chcę cię więcej wykorzystywać do opieki. Ale dzięki.
  - Nie miałbym nic przeciwko. Znaczy to żaden problem.
  - Powinam być jutro w pracy, jeśli mi się nie pogorszy... więc do zobaczenia jutro. Może napijemy się kawy. To znaczy, ja się napiję kawy, a ty... nie napijesz się kawy.
  - Okej. Z przyjemnością nie napiję się kawy. A nie masz nic przeciwko... żebym sprawdził później, jak się czujesz? Za-
- dzwonił jeszcze raz?

- Skąd. - Telefon był bezpieczny.
- W porządku. Gdybyś czegoś przedtem potrzebowała...
- Wiem, gdzie cię szukać.

Pożegnaliśmy się i rozłączyliśmy. Wygramoliłam się z łóżka, żeby zobaczyć, co zdążył zbroić Carter tego ranka. Zostałam go siedzącego na taborecie przy kuchennej wyspie. W jednej ręce trzymał jakąś kanapkę, a drugą podkarmił Aubrey kielbasą. Obok niego leżała wielka torba z McDonalda.

- Zrobiłem śniadanie - oznajmił, nie odrywając oczu od Aubrey.

- Nie dawaj jej tego - zbeształam go. - To jej szkodzi.

- Koty w środowisku naturalnym nie jedzą suchej karmy.

- Aubrey nie przetrwałaby w środowisku naturalnym.

Podrapałam ją po głowie, ale była bardziej zainteresowana wylizywaniem pyszczka z tłuszczu. W papierowej torbie znalazłam kilka różnych kanapek i placki ziemniaczane.

- Nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę – wyjaśnił Carter.

Wyjęłam kanapkę z bekonem, jajkiem i serem. Ugryzłam, rozkoszując się smakiem, szczęśliwa, że nadwaga i cholesterol mnie nie dotyczą.

- Zaraz, czekaj. Naprawdę byłeś w McDonalddie?

- Aha.

Przełknęłam.

- Tak po prostu wyszedłeś? Przed chwilą?

- Aha.

- Co z ciebie za ochroniarz? A gdyby nefilim wrócił i zaatakował mnie?

Anioł zerknął na mnie i wzruszył ramionami.

- Na moje oko nic ci nie jest.

- Nie jesteś w tym najlepszy.

- Kto dzwonił?

- Seth.
  - Pisarz?
  - Tak. Chciał się ze mną umówić. Powiedziałam mu, że jestem chora.
  - Biedny facet. Łamiesz mu serce.
  - Wolę to, niż zrobić mu większą krzywdę. - Dojadłam kanapkę i sięgnęłam po drugą. Aubrey patrzyła na mnie wyczekująco.
  - To co dzisiaj robimy?
  - Nic. W każdym razie ja nigdzie nie wychodzę, jeśli o to pytasz.
  - W ten sposób nie zwabisz nefilima. - Carter rozejrzał się po mieszkaniu i skrzywił, kiedy nie odpowiedziałam. - Więc czeka nas długi dzień. Mam nadzieję, że masz kablówkę. Resztę przedpołudnia spędziliśmy, starając się nie wchodzić sobie w drogę. Pozwoliłam mu skorzystać z laptopa i wciągnęło go surfowanie po eBayu. Nie miałam pojęcia, czego może tam szukać. Co do mnie, faktycznie zostałam w piżamie. Narzuciłam na nią szlafrok i uznałam, że to wystarczy. Raz spróbowałam zadzwonić do Romana, wiedząc, że wcześniej czy później muszę z nim porozmawiać, ale włączyła się poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość. Rozłączyłam się z westchnieniem i zwinęłam na kanapie z książką, którą polecił mi Seth w jednym z e-maili. Zaczynałam już myśleć, że dochodzę do siebie po obfitym śniadaniu i nabieram ochoty na lunch, kiedy Carter wyjrzał znad laptopa z miną ogara chwytającego trop.
  - Muszę wyjść - powiedział, wstając.
  - Co? Jak to wyjść?
  - Aura nefilima.
- Usiadłam gwałtownie.
- Co? Gdzie?
  - Nie tutaj.

Z tymi słowami zniknął mi z oczu.

Siedziałam na kanapie, rozglądając się niespokojnie. Choć wcześniej obecność anioła mnie przytłaczała, jego nagłe zniknięcie pozostawiło ziejącą dziurę w otoczeniu. Czułam się wystawiona na strzał. Bezbronna. Kiedy nie wrócił po kilku minutach, spróbowałam zająć się książką, ale poddałam się, przeczytawszy pięć razy to samo zdanie.

Wciąż miałam ochotę na lunch, więc zamówiłam pizzę, dość dużą, by wystarczyło i dla Cartera. Nie był to najlepszy pomysł, jako że odebranie zamówienia wymagało otwarcia drzwi. Kiedy w końcu to zrobiłam, spodziewałam się na progu całej armii nefilimów, ale ujrzałam tylko znudzonego dostawcę żądającego piętnastu dolarów i siedmiu centów. Pogryzając pizzę, próbowałam oglądać telewizję, ale bez wielkiego sukcesu. Usiadłam do laptopa, sprawdziłam pocztę i odkryłam zabawny list od Setha, jak zwykle bardziej błyskotliwy niż nasza wcześniejsza rozmowa. Ale zajął mnie tylko na chwilę. Byłam już o krok od rozpakowania zestawu do malowania po numerkach, kiedy w moim salonie z powrotem zjawił się Carter.

- Co to było, do cholery? Gdzie się podziewałeś?

Anioł popatrzył na mnie z kąpiącym uśmiechem.

- Spokojnie, nigdy nie słyszałaś o szanowaniu prywatności w związku? Piszą o tym w książce, którą potraktowałaś tak lekceważąco.

- Przestań. Nie możesz mówić: „aura nefilima” i tak po prostu znikać.

- Właściwie to mogę. Muszę. - Znalazł w kuchni zimną pizzę i ugryzł kawałek. Kiedy przełknął, mówił dalej: - Ten nefilim ma naprawdę pokręcone poczucie humoru. Od czasu do czasu lubi się odkryć... wysłać nam sygnał. Tym razem pokazał się w zachodnim Seattle.

- Da się to wyczuć z tak daleka?



- Jerome i ja wyczuwamy. Jak dotąd nie złapaliśmy tego świra, ale i tak musimy sprawdzać. Bawi się z nami w kotka i myszkę. Wniosek był oczywisty.
- Więc mnie zostawiasz? A jeśli to zasadzka? Jeśli ściągnie was tam, i teleportuje się do mnie?
- Nie może się teleportować. Nefilimowie nie przemieszczają się jak wyżsi nieśmiertelni. Mają takie same ograniczenia jak wy, na szczęście. Musiałby wsiąść do samochodu i przyjechać tutaj jak zwykły śmiertelnik, co trwałoby dość długo. Chronią cię całe kilometry korków.
- Dziwne.
- Mówiliśmy wam, że oni są nieprzewidywalni. Lubią łamać zasady, naruszać status quo tylko po to, żeby zobaczyć, jak zareagujemy.
- Dziwne - powtórzyłam. - Czy on w ogóle wie, że tu siedzisz? Że zmusza cię do rzucenia wszystkiego i ruszenia w pościg?
- Gdyby był dość blisko, mógłby wyczuć teleportację, nic poza tym. Dopóki się maskujemy, nasza tożsamość i moc pozostają ukryte. Więc jeśli czai się gdzieś tam, będzie wiedział, że dwóch wyższych nieśmiertelnych przybyło sprawdzić miejsce, gdzie się pokazał, i tyle.
- Obserwuje i czeka - podsumowałam. - Pokręcone. Boże, oni naprawdę są upierdliwi.
- Mało powiedziane. Raczej nie wchodzą łagodnie do tej dobrej nocy.  
Zamrugałam na tę poetycką aluzję.
- Zaraz... więc to tak się skończy? Zabijecie go... znaczy, unicestwicie?  
Carter przekrzywił głowę i popatrzył na mnie z zaciekawieniem.
- A myślałaś że co? Dziesięć lat i zwolnienie warunkowe?

- No... nie wiem. Po prostu myślałam... rany. Nie wiem. I ciebie to kręci? To całe gromienie? No tak, wasza strona pewnie na co dzień zajmuje się walką ze złem...

- Gromimy, jak to zgrabnie określiłaś, kiedy musimy. Demony kręci to bardziej niż nas. Nanette proponowała nawet, że wpadnie tu i zajmie się tym nefilimem - powiedział, wspominając arcydemonicę z Portland. - Ale powiedziałem Jerome'owi, że mu pomogę.

- Jerome nie chciał tego zrobić sam?

- A ty odrzucasz wsparcie, kiedy ktoś ci je proponuje? - Odpowiedział pytaniem na pytanie, czyli właściwie wcale nie odpowiedział. Pomyślał nad tym chwilę i roześmiał się cicho. - Oczywiście zapomniałem, że gdzie diabeł nie może, tam Georginę pośle.

- Tak, tak, bardzo zabawne. - Wstałam i się przeciągnęłam. - No dobra, jeśli już po krzyku, to pójdę wziąć kąpiel.

- Uuu. Ciężkie jest życie sukuba. Chciałbym mieć taką fuchę.

- Proszę bardzo, nasza strona szuka ochotników. Ale żeby być inkubem, musiałbyś być trochę ładniejszy. I miłszy.

- Nieprawda. Śmiertelne kobiety lecą na palantów. Wystarczy się rozejrzeć.

- Touche.

Zostawiłam go i wzięłam kąpiel, po której wreszcie rozstałam się z piżamą, zamieniając ją na dżinsy i T-shirt. Wróciłam do salonu, włączyłam telewizor i odkryłam, że właśnie zaczyna się Afrykańska Królowa. Carter zaniknął laptop i zaczął oglądać film ze mną. Bardzo lubię Katherine Hepburn, ale i tak nie mogłam się nadziwić, jak nudno spędzam ten dzień. Zamykanie się w domu na dłuższą metę nie miało sensu. Wiedziałam, że i tak będę musiała ciągnąć Cartera ze sobą, kiedy jutro pójdę do pracy. Mój dobrowolny arest domowy tylko odsuwał w czasie to, co nieuniknione. Pomyślałam, czy

nie oszczędzić sobie tych cierpień i nie zapytać Cartera, czy ma ochotę pójść po kolacji do kina. Zanim się odezwałam, poderwał się, znów wyczuwając aurę nefilima.

- Dwa razy w ciągu dnia?
- Zdarza się.
- Gdzie tym razem?
- W Lynnwood.
- Ruchliwy skurczybyk.

Mówiłam już do powietrza. Carter zniknął. Z westchnieniem wróciłam do oglądania filmu, tym razem odrobinę spokojniejsza dzięki wcześniejszym wyjaśnieniom anioła. Nefilim był w Lynnwood, starając się napsuć krwi Jerome'owi i Carterowi. Szybko zbliżała się wieczorna godzina szczytu, a Lynnwood było spory kawałek stąd. Żaden nefilim nie mógł tu zdążyć przed aniołem. Na razie byłam bezpieczna i nie miałam powodów do paniki.

Mimo to o mało nie wyskoczyłam ze skóry, gdy kilka minut później usłyszałam dzwonek telefonu. Zdenerwowana podniosłam słuchawkę, wyobrażając sobie wyskakującego z niej nefilima.

- Halo?
  - Hej. To znowu ja.
  - Cześć, Seth.
  - Mam nadzieję, że ci nie zawracam głowy. Chciałem tylko spytać, jak się czujesz...
  - Lepiej - odparłam zgodnie z prawdą. - Podobał mi się twój e-mail.
  - Naprawdę? Fajnie.
- Zapadło tradycyjne milczenie.
- Hm... dużo dzisiaj napisałeś?
  - Prawdę mówiąc, tak. Koło dziesięciu stron. Wydaje się, że to niewiele, ale...

Ustyszałam pukanie do drzwi i po plecach przebiegł mi dreszcz.

- Możesz chwilę zaczekać?

- Jasne.

Podkraślałam się do drzwi niczym włamywacz z filmów, jak-by powolne, kocie ruchy mogły przeszkodzić szaleńczo silnej, nadprzyrodzonej istocie. Gdy dotarłam do drzwi, ostrożnie spoglądałam przez judasza.

Roman.

Odetchnęłam z ulgą i otworzyłam, opanowując chęć rzucenia się mu na szyję.

- Cześć.

- Mówisz do mnie? - zapytał Seth w słuchawce.

- Cześć - odparł Roman, równie zmieszany jak ja. - Czy... mogę wejść?

- Nie, to znaczy, tak, możesz wejść, i tak, teraz mówię do ciebie. - Odsunęłam się, by wpuścić Romana. - Słuchaj, Seth, oddzwonię do ciebie. Albo... po prostu zobaczymy się jutro, okej?

- Hm, okej. Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Dzięki za telefon.

Rozłączyliśmy się i zajęłam się Romanem.

- Seth Mortensen, sławny pisarz?

- Byłam dzisiaj chora - powiedziałam, używając tej samej wymówki, którą podałam Sethowi. - Chciał tylko spytać, jak się czuję.

- Bardzo troskliwie z jego strony. - Roman włożył ręce do kieszeni i zaczął chodzić.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Oczywiście że tak. Bo przecież nie chodzisz na randki, prawda?

- Roman... - Powstrzymałam potok słów, który cisnął mi

się na usta i wycofałam się na bezpieczniejszy teren. –  
Napijesz się czegoś? Coli? Kawy?

- Nie mogę zostać. Przejeżdżałem w pobliżu i  
odstuchiłem twoją wiadomość. Pomyślałem, że... Nie wiem,  
co pomyślałem. To było głupie.

Odwrócił się, jakby chciał wyjść. Sięgnęłam  
gorączkowo i chwyciłam go za rękę.

- Poczekaj. Nie idź. Proszę.

Spojrzał na mnie z wysokości. Jego twarz, zwykle tak po-  
godna, była poważna. Nagle jego surowa mina złagodniała.  
Zdumiałam się, kiedy stwierdził, trochę zdziwiony:

- Ty naprawdę nie czujesz się dobrze.

- D-dlaczego tak myślisz? - Metamorfozą  
zamaskowałam

wszystkie sińce, jak sugerował Jerome, i choć wciąż czułam  
piekący ból, niczego nie było widać.

Delikatnie wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po policzku. Je-go  
palce stały się śmielsze.

- Nie wiem... jesteś po prostu... trochę blada.

Już chciałam mu powiedzieć, że nie mam makijażu, ale  
przypomniałam sobie, że przecież chcę wyglądać na chorą.

- To pewnie zwykle przeziębienie.

Opuścił rękę.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Przykro mi... widzieć cię  
w takim stanie...

Boże, pomyślałam, czy aż tak fatalnie wyglądam?

- Nic mi nie jest. Muszę tylko wypocząć. Posłuchaj, jeśli  
chodzi o tamten wieczór...

- Przepraszam - przerwał mi. - Nie powinienem był  
naciskać...

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Nie zrobiłeś nic złego. To ja zachowywałam się jak  
walnięta. Nie poradziłam sobie z sytuacją.

- Nie, to moja wina. Wiedziałem, co myślisz o angażowaniu się, a mimo to cię pocałowałem.
- A ja nie pozostałam ci dłużna. Ale nie w tym problem. Problem w tym, że zaczęłam świrować. Byłam pijana i zachowałam się jak idiotka. Nie powinnam ci tego robić.
- Nic się nie stało. Naprawdę. Cieszę się, że u ciebie wszystko okej. - Błdy uśmiech rozjaśnił jego przystojną twarz, a ja przypominałam sobie słowa Setha o tym, że łatwo mi wybaczyć. - Posłuchaj, skoro oboje czujemy się winni, może nawzajem to sobie wynagrodzimy. Wskoczmy gdzieś w weekend i...
- Nie. - Spokojna pewność mojego głosu zdumiała nas oboje.
- Georgino...
- Nie, Roman. Nie będziemy się więcej spotykać... i nie wydaje mi się, żeby udało nam się poprzestać na przyjaźni. - Przełknęłam ślinę. - Będzie lepiej, jeśli po prostu to utniemy...
- Nie mówisz poważnie, Georgino - wykrzyknął, otwierając szeroko oczy. - My...
- Wiem. Wiem. Ale nie mogę. Nie teraz.
- Zrywasz ze mną.
- Właściwie nigdy ze sobą nie chodziliśmy...
- Co ci się stało? - zapytał gniewnie. - Co takiego spotkało cię w życiu, że tak bardzo boisz zbliżyć się do drugiego człowieka? Dlaczego tak uciekasz? Kto cię skrzywdził?
- Och, to skomplikowane. Poza tym nie ma znaczenia. Przeszłość jest przeszłością, sam to mówiłeś. Po prostu teraz nie mogę się z tobą wiązać.
- Jest ktoś inny? Doug? A może Seth?
- Nie! Nie ma nikogo. Po prostu nie mogę z tobą być. Przerabialiśmy to w kółko i w kółko, powtarzając to samo

na tysiąc sposobów, coraz bardziej wzburzeni. Miałam wrażenie, że trwa to całe wieki, choć tak naprawdę minęło kilka minut. On naciskał, a ja odmawiałam. Ani przez chwilę nie był zagniewany czy bezczelny, ale jego rozpacz była oczywista, a ja byłam pewna, że się rozplaczę, kiedy tylko wyjdzie.

Wreszcie spojrzął na zegarek i z żalną miną, z oczami pełnymi żalu, przeczesał dłonią ciemne włosy.

- Muszę lecieć. Chcę jeszcze z tobą porozmawiać...
- Nie. Chyba nie powinniśmy. Tak będzie lepiej.

Naprawdę lubiłam z tobą być...

Roześmiał się szorstko.

- Przestań. Nie słódź mi na odchodne.
- Roman... - Czułam się koszmarnie. Na jego twarzy malowały się smutek i gniew. - Proszę cię, zrozum...
- Do zobaczenia, Georgino. A może nie.

Ledwie zatrzasnął za sobą drzwi, po moich policzkach popłynęły łzy. Wróciłam do sypialni i położyłam się na łóżku, żeby się porządnie wypłakać, ale nic z tego. Nie miałam więcej łez mimo rozpaczliwej mieszanki z ulgą. Część mnie chciała zawołać Romana z powrotem, sprawić, żeby do mnie wrócił, a inna część mówiła chłodno, że wreszcie myślę trzeźwo i że powinnam też uciąć znajomość z Sethem, zanim sprawy zajdą za daleko.

Dobry Boże, dlaczego zawsze ranie ludzi, na których mi zależy? Co takiego jest we mnie, co kazało mi powtarzać ten cykl wciąż od nowa? Wciąż miałam przed oczami zdruzgotaną twarz Romana, ale pocieszałam się faktem, że nie był w takim szoku jak Kyriakos. Daleko mu było do tego.

Odkrycie mojego romansu z Aristonem ściągnęło na mnie potępienie obu naszych rodzin. Groził mi także rozwód z

nieuchronną utratą posagu. Myślę, że jakoś zniostałabym pogardę, nawet spojrzenia pełne nienawiści. Ale nie mogłam znieść tego, że z Kyriakosa uszło życie, że przestało go obchodzić cokolwiek. Niemal chciałam, żeby się rozgniewał, wściekł na mnie, ale w nim nie było takich uczuć. Nie było nic. Zniszczyłam go.

Po wielu dniach separacji znalazłam go siedzącego na występie skalnym nad morzem. Kilka razy próbowałam zacząć rozmowę, ale nie reagował. Wpatrywał się tylko w połać błękitu, z twarzą martwą i bez wyrazu.

Stałam przy nim, przepętniona sprzecznymi emocjami. Zachwyciło mnie bycie zakazanym obiektem pożądania Aristo-na, ale chciałam też być kochana przez Kyriakosa. Niestety nie mogłam mieć jednego i drugiego.

Wyciągnęłam rękę, żeby otrzeć łzy z policzków Kyriakosa, ale on odtrącił ją gwałtownie. Był to jedyny brutalny gest, jaki kiedykolwiek wykonał wobec mnie.

- Nie waż się - ostrzegł, zrywając się na nogi. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj. Brzydzę się tobą.

Teraz to w moich oczach wezbrały łzy, choć ten wybuch złości oznaczał, że w Kyriakosie tli się jeszcze życie.

- Proszę cię... popełniłam błąd. Nie wiem, jak to się stało.

Z jego gardła wyrwał się głuchy straszny śmiech.

- Nie wiesz? Wtedy dobrze wiedziałaś, co robisz. On też.

- To był błąd.

Odwrócił się ode mnie i podszedł na krawędź urwiska, patrząc w morze. Rozłożył ręce i przechylił głowę do tyłu, pozwalając, by owiewał go wiatr. Nad jego głową krzyczały mewy.

- C-co robisz?

- Latam - odparł. - Jeśli będę leciał dalej... jeśli przelecę



przez tę krawędź, znów będę szczęśliwy. Albo jeszcze lepiej, nie będę czuł niczego. Nie będę już o tobie myślał. Nie będę myślał o twojej twarzy, twoich oczach, o twoim uśmiechu ani zapachu. Nie będę cię już kochał. Nie będzie już bolało.

Podeszłam do niego wystraszona, że moja bliskość po-pchnie go do skoku.

- Przestań. Przerażasz mnie. Nie mówisz tego poważnie.

- Nie?

Spojrzał na mnie, a w jego oczach nie było już gniewu ani cynizmu. Tylko smutek. Żal. Rozpacz. Depresja czarniejsza niż bezksiężycowa noc. To było straszne, przerażające. Chciałam, by znów się na mnie rozgniewał, by zaczął krzyczeć.

Pozwoliłabym nawet, żeby mnie uderzył, byleby tylko dostrzec w nim iskrę żaru. Ale widziałam tylko ciemność.

Posłał mi smutny, słaby uśmiech. Uśmiech człowieka umarłego za życia.

- Nigdy ci nie wybaczę.

- Proszę...

- Byłaś moim życiem, Letho... ale już nie. Już nie. Teraz nie mam życia.

Odszedł i choć serce mi pękało, odetchnęłam z ulgą, że oddalił się od urwiska. Chciałam za nim pobiec, ale zostawiłam go w spokoju. Usiadłam na jego miejscu, podciągnęłam kolana i schowałam w nich twarz, na poły żałując, że sama wciąż żyję.

- On tu wróci - odezwał się nagle głos za moimi

plecami. - Ciągnie go tu. I następnym razem może skoczyć.

Przestraszona, poderwałam głowę. Nie słyszałam kroków. Nie znałam mężczyzny, który stał za mną, co było dziwne w mieście, gdzie znali się wszyscy. Był szczupły i zadbany, ubrany w szaty bardziej eleganckie niż te, które zwykle widywało się w tych stronach.

- Kim jesteś?  
- Zwą mnie Nikon - powiedział z lekkim ukłonem. - A ty jesteś Letha, córka Martanesa, była żona Kyriakosa.

- Wciąż jestem jego żoną.

- Już niedługo.

Odwrociłam głowę.

- Czego chcesz?

- Chcę ci pomóc, Letho. Chcę ci pomóc wypić piwo, którego sobie nawarzyłaś.

- Nikt nie może mi pomóc. Chyba że potrafi odczynić to, co się stało.

- Nie. Tego nikt nie potrafi. Ale potrafię sprawić, żeby ludzie o tym zapomnieli.

Powoli odwróciłam się do niego, studiując jego jasne oczy i układne maniery.

- Nie jestem w nastroju do żartów.

- Zapewniam cię, że mówię całkiem poważnie.

Nagle nabrałam pewności, że mówi prawdę, choć trudno było w to uwierzyć. Później dowiedziałam się, że Nikon jest diablikiem, ale wtedy wyczuwałam tylko, że jest w nim coś dziwnego - wyczuwałam moc, która obiecywała, że potrafi spełnić swoje przechwałki.

- Jak?

Jego oczy błyszczały, zupełnie jak oczy Hugh, kiedy jest o krok od ubicia ważnego interesu.

- Wymazanie wspomnień o tym, co zrobiłaś, to nie lada wy-

czyn. I ma swoją cenę.

- Możesz sprawić, żebym i ja zapomniała?

- Nie. Ale wszyscy inni, owszem. Twoja rodzina, przyjaciele, całe miasto. On.

- Nie wiem... Nie sądzę, żebym nawet wtedy mogła do nich wrócić. Nawet jeśli oni nie będą pamiętać, ja będę. Nie

mogłabym spojrzeć w oczy Kyriakosowi. Chyba że... –  
Zawahałam się, myśląc, że może lepiej byłoby już nigdy się z nimi nie kontaktować. - Możesz sprawić, żeby całkiem o mnie zapomnieli? Żeby było tak, jakbym się nigdy nie urodziła? Nikon wciągnął gwałtownie powietrze podekscytowany.

- Tak, och, tak. Ale taka przysługa... taka przysługa ma jeszcze wyższą cenę...

Wyjaśnił mi, co musiałabym oddać w zamian za całkowite wymazanie mnie z myśli znanych mi ludzi. Moja dusza nie byłaby już moją własnością. Mogłam ją nosić, dopóki chodziłam po ziemi, ale byłaby mi tylko wypożyczona. To była standardowa cena za diabelski pakt. Ale piekło chciało ode mnie czegoś jeszcze: wiecznej służby na polu deprawowania dusz. Miałam spędzić resztę swoich dni, uwodząc mężczyzn, spełniając ich fantazje dla własnej korzyści i korzyści tych, którym służyłam. Co za ironia losu, zważywszy na to, co mnie do tego doprowadziło.

Dla ułatwienia zadania miałam zyskać umiejętność przybierania dowolnej postaci, a także podnoszenia własnej atrakcyjności. I, oczywiście, zyskałabym życie wieczne. Nieśmiertelność i odporność na rany. Dla niektórych już samo to było wystarczającym wabikiem.

- Byłabyś dobra. Może najlepsza. Wyczuwam to w tobie. - Diabliki posiadają zdolność zagładania w duszę człowieka i w jego naturę. - Większość ludzi uważa, że pożądanie zamieszkuje tylko ciało, ale ono kryje się także tutaj. – Dotknął mojego czoła. - I nigdy byś nie umarła. Pozostałabyś młoda i piękna na zawsze, póki ziemia się nie rozpadnie.

- A potem?

Uśmiechnął się.

- Do tego jeszcze daleko, Letho, a życie twojego męża jest zagrożone teraz.

To przeważało szalę. Świadomość, że mogę uratować Kyriakosa i dać mu nowe życie, życie wolne ode mnie, w którym znów będzie miał szansę być szczęśliwy. Życie, z którego ja się wymknę, ucieknę od hańby i może nawet poniosę sprawiedliwą karę. Moja dusza - a było to pojęcie, które ledwie rozumiałam - nie wydawała się wysoką ceną do zapłacenia. Zgodziłam się na kontrakt. Najpierw uściśniłam Nikonowi rękę, a potem podpisałam się na dokumencie, którego nie potrafiłam przeczytać. Diablik opuścił mnie, a ja wróciłam do miasta. Wszystko to wydawało mi się dziwnie proste.

Kiedy wróciłam, było dokładnie tak, jak obiecał. Moje życzenie zostało spełnione. Nikt mnie nie znał. Mijający mnie ludzie - ludzie, których znałam całe życie - rzucali mi spojrzenia zarezerwowane dla obcych. Moje własne siostry przeszły obok, nie rozpoznając mnie. Chciałam znaleźć Kyriakosa, żeby się przekonać, czy i z nim jest tak samo, ale nie potrafiłam zebrać się na odwagę. Nie chciałam, żeby znowu zobaczył moją twarz nawet jeśli miałby jej nie rozpoznać. Spędziłam dzień, błąkając się po mieście i próbując pogodzić się z faktem, że przestałam istnieć dla wszystkich. Było to trudniejsze, niż się spodziewałam. I smutniejsze.

Potem nadeszła noc i wróciłam na obrzeża miasta. Przecież nie miałam gdzie mieszkać. Nie miałam rodziny ani przyjaciół. Usiadłam w ciemności, patrząc na księżyc i gwiazdy, zastanawiając się, co mam teraz zrobić. Odpowiedź przyszła szybko.

Pojawiła się, jakby powstała z ziemi, najpierw jako cień, który stopniowo gęstniał w postać kobiety. Powietrze wokół niej wibrowało mocą i nagle poczułam, że brakuje mi tchu. Cofnęłam się przerażona, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Wiatr zerwał się znikąd, szarpiąc moje włosy i spłaszczając trawę wokół mnie.

Po chwili stała przede mną, a noc znów była cicha. Lilith. Królowa Sukubów. Pani Nocy. Pierwsza z kobiet.

Ogarnął mnie lęk, jakiego nigdy przedtem nie zaznałam, i pożądanie. Nigdy wcześniej nie czułam pociągu do kobiety, ale Lilith działa tak na wszystkich. Taka jest jej natura. Nikt nie potrafi się jej oprzeć.

Tej nocy przybrała postać wysokiej kobiety, smukłej jak trzcina i czarującej. Jej skóra miała jasny odcień charakterystyczny dla arystokracji tamtych czasów - taka bledość nieosiągalna dla kogoś, kto na co dzień pracował w słońcu. Jej czarne jak smoła włosy opadały połyskującymi falami aż do kostek. A oczy... cóż, powiem tylko, że nie bez powodu legendy nazywają sukuby „płomienookimi”. Jej oczy były piękne i śmiertelnie groźne, obiecywały dać ci wszystko, czego zapragniesz, jeśli tylko pozwolisz sobie pomóc. Nie pamiętam, jakiego były koloru, ale tamtej nocy nie mogłam oderwać od nich wzroku.

- Letha - powiedziała uwodzicielskim głosem, zbliżając się do mnie. Powietrze drżało wokół niej, a ja drżałam z pożądania. Chciałam uciekać, ale zamiast tego osunęłam się na kolana, po części, by okazać szacunek, po części, dlatego że nie mogłam stać. Podeszła do mnie i uniosła moją twarz do góry, zmuszając mnie, bym znowu spojrzała w jej oczy. Ostre, czarne paznokcie wbiły się w moją skórę, ale ból był rozkoszny. - Będiesz teraz moją córką. Będziesz siać niezgodę i rozpalać żądze do końca swoich dni. Będziesz karać i nagradzać, będziesz istotą z najpiękniejszych snów i najgorszych koszmarów. Śmiertelni zrobią wszystko za jeden twój dotyk. Będiesz kochana i pożądana, póki ziemia nie obróci się w proch.

Jęczałam od jej bliskości, ale ona podeszła jeszcze bliżej i uniosła mnie, aż stanęłam przed nią. Jej cudowne wargi opadły na moje, przeszywając moje ciało spazmem rozkoszy.

Moje krzyki zamilkły, zduszone pocałunkiem. Zamknęłam oczy, nie-zdolna patrzeć na nią i niezdolna się wyrwać. Utonęłam w ekstazie pulsującej w moim ciele nieskończonymi falami. Gdy tak tonęłam w błogości, stało się coś jeszcze. Została mi odebrana śmiertelność.

Miałam wrażenie, że rozpadłam się na kawałki, stałam się popiołem na wietrze. Zastanawiałam się, czy tak właśnie odczuwa się śmierć. Jakby było się niczym. Przestało istnieć. Potem, równie szybko, zostałam posklejana na nowo, znów byłam sobą. Ale teraz czułam płonącą we mnie moc, inną niż życie, które wypełnia ludzi. Moja nieśmiertelność lśniła niczym gwiazda nocy, zimnym i czystym światłem. Nie groziła mi już starość ani choroby. Moja cielesność nie była już podporządkowana świadomości, że mój czas się skończy, że muszę pozostawić po sobie jakiś ślad. Że muszę przekazać moją krew potomkom.

Otworzyłam oczy i powódź rozkoszy zniknęła. Zniknęła też Lilith. Stałam sama w ciemności rozsadzana nowo zyskaną mocą. Wraz z mocą poczułam coś jeszcze: dziwne mrowienie ciała. Mrowienie, które mówiło mi, że mogę stać się, czym zechcę, w jednej chwili. Narodziłam się na nowo. Byłam potężna. I głodna...

- Co się stało?

Mrugając, by odpędzić łzy, spojrzałam na Cartera. Stał w drzwiach mojej sypialni, odgarniając z oczu kosmyk włosów. Miał zatroskaną minę.

- Nic - mruknęłam, chowając twarz w poduszkę. - Nie złapałeś nefilima?

- Nie złapałem. - Zapadło krępujące milczenie. - Słuchaj... na pewno dobrze się czujesz? Bo nie wyglądasz najlepiej.

- Nic mi nie jest.

Anioł nie dawał za wygraną.

- Wiem, że nie jesteśmy ze sobą zbyt blisko, ale jeśli chcesz pogadać...

- Ty tego nie zrozumiesz - wypaliłam jadowicie. - Nigdy nie miałeś serca. Nie wiesz, jak to jest, więc nie udawaj, że wiesz.

- Georgino.

- Idź sobie. Proszę.

Wtuliłam się z powrotem w poduszkę, czekając na kolejny protest, ale nie usłyszałam go. Kiedy odważyłam się zerknąć, anioła już nie było.

## Rozdział 19

Następnego ranka Carter przyniósł mi żonkile. Nie miałam pojęcia, skąd je wziął o tej porze roku. Pewnie teleportował się na inny kontynent.

- Co to ma być? - zapytałam gniewnie. - Chyba do mnie nie startujesz, co?

- Wtedy przyniósłbym róże. - Po raz pierwszy, od kiedy go znam, anioł wyglądał na speszonego. - Nie wiem. Wczoraj wieczorem wydawałaś się strasznie smutna. Pomyślałem... pomyślałem, że może kwiatki cię rozweselą.

- Dzięki... to miłe, chyba. A co do wczorajszego wieczoru... kiedy tak na ciebie warknęłam...

Pokręcił głową.

- Nie przejmuj się tym. Wszyscy mamy chwile słabości. Tak naprawdę liczy się to, jak sobie z nimi radzimy później.

Wstawiłam żonkile do wazonu. Chciałam postawić je na kuchennej wyspie, ale stał tam bukiet od Romana, już trochę przywędły. Czerwone goździki, które kupiłam sobie tamtego wieczoru, kiedy zginął Duane, dawno poszły do kosza. Wydało mi się nie fair robić konkurencję kwiatom od Romana, więc te od Cartera postawiłam na parapecie w sypialni.

Potem nasze dni płynęły już utartym torem. Carter i ja nie staliśmy się przyjaciółmi, ale wypracowaliśmy coś w rodzaju pokojowej koegzystencji. Spędzaliśmy razem czas, oglądaliśmy filmy, a nawet czasem gotowaliśmy we dwójkę. Anioł okazał się całkiem zręczny w kuchni. Ja wciąż słabo sobie radziłam.

W pracy chodził za mną, niewidzialny i nienachlany, jak obiecał. Nie bardzo wiedziałam, co robi podczas moich godzin pracy. Miałam wrażenie, że snuje się po księgarni, obserwując ludzi. Może nawet przeglądał książki. Wiedziałam też, że spędza sporo czasu w moim gabinecie, nawet kiedy mnie tam nie było, w nadziei, że pojawi się nowy list od nefilima. Ale się nie pojawił. Pojawiały się za to kolejne sygnały i wtedy Carter zniknął na chwilę, nawet mi o tym nie mówiąc. Dawał mi znać o swoim powrocie, lekko muskając mnie w policzek albo mówiąc kilka słów, które tylko ja mogłam usłyszeć. Nabrałam też zwyczaju picia kawy z Sethem przed rozpoczęciem zmiany. Pierwszego dnia po moim powrocie czekał na mnie z mokrą z białą czekoladą dla mnie. Ku mojemu zaskoczeniu zamówił też jedną dla siebie.

- Bruce zrobił mi bezkofeinową - wyjaśnił.

Był to tak uroczy gest, że nie mogłam mu odmówić - usiadłam i rozmawiałam z nim tego dnia i następnego, i następnego...

Trudno było to nazwać zerwaniem kontaktów, które sobie obiecałam, ale stanowczo utracącałam wszelkie propozycje spędzania razem czasu poza pracą. Na szczęście, spotkania



przy kawie zdawały się mu wystarczać i nasza znajomość szybko nabrała charakteru interesującej przyjaźni. Jako że wciąż byłam zdołowana z powodu Romana, poruszałam się i działałam jak mucha w smole i mówiłam bardzo niewiele, zbyt pochłonięta własnym smutkiem. Seth musiał to wyczuwać, ale zamiast pozwolić, by nasze rozmowy całkiem zdechły, dla odmiany przejął inicjatywę. Z początku jego próby podtrzymania konwersacji były trochę wymuszone, ale gdy nabrał swobody, przekonałam się, że potrafi mówić równie ciekawie, jak pisze. Zachwyciła mnie ta zmiana i z przyjemnością spędzałam z nim czas, aż ból złamanego serca po stracie Romana zaczął odrobinę ustępować.

*Mily gość, powiedział w mojej głowie Carter któregoś ranka, kiedy pożegnałam się z Sethem i poszłam do pracy w informacji. Nie wiem, dlaczego spędzasz tyle czasu, zadreńczając się przez tamtego drugiego gościa, kiedy masz pod ręką tego.*

*To nie jest takie proste. A fakt, że Seth jest miły, nie ma tu nic do rzeczy, wypaliłam, również w głowie. Czułam się trochę dziwnie podczas tych telepatycznych rozmów, które wyższym nieśmiertelnym przychodzą z taką łatwością. I wcale nie szukam następnego gacha. Poza tym nawet nie znasz Romana. Jak możesz tak o nim mówić?*

*Wiem, że nie znałaś go zbyt długo. Co mogło zrodzić się między wami przez tak krótki czas?*

*Coś fajnego. Był naprawdę zabawny. I inteligentny. I przystojny.*

*Cóż, widywałem związki zbudowane na słabszych fundamentach. Mimo to wolę Setha.*

*Idź sobie. Muszę pracować.*

Anioły. Co one mogą wiedzieć?

Kiedy wracałam do domu po czwartym dniu pracy z Carterem, zapytał telepatycznie:

*Masz ochotę odwiedzić Erika?*

Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się nad tym. Pracowałam dziś na pierwszą zmianę, a wieczorem miałam poprowadzić ostatnią lekcję tańca. Miałam dwie godziny wolnego i sądziłam, że anioł i ja, zgodnie z naszym nowym zwyczajem, będziemy oglądać razem stare filmy.

- Co masz na myśli? - zapytałam na głos, kiedy byliśmy już w moim mieszkaniu.

Zmaterializował się obok mnie.

- Chcę wybadać teren. Ostatnio nefilim jakby się przycisnął.

Żadnych listów. Żadnych ataków. Ale wiemy, że jest w pobliżu, bo ciągle odbieram przebłyski jego obecności.

Zastanawiałem się dlaczego? W co on się bawi?

Wyjęłam z lodówki puszkę sprite'a i usiadłam na taborecie.

- I wciąż nie wykluczyłeś możliwości, że to Erik jest wtoczką.

- Nie, nie wykluczyłem. Już ci mówiłem, że nie chcę, żeby to był Erik, ale staruszek jest najlepszym śmiertelnym źródłem informacji o nieśmiertelnym w okolicy.

- No tak - przyznałam ponuro. - A jeśli komunikuje się z nefilimem, może znać przynajmniej część jego planów. I co zrobisz? Wytrząsniesz z niego informacje? Bo jeśli tak, to nie chcę przy tym być.

- Ja nie działałam w ten sposób. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie, ale nie jestem najlepszy w... och, jak by to ująć, w wyciąganiu od nich informacji podstępem. Jak niedawno wspomniałaś, nie jestem szczególnie czarujący. Za to ty jesk-s mistrzynią uroku.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- I co mam zrobić?

- Nic niezwykłego, obiecuję. Po prostu pogadaj z nim, jak zwykle. Jakby to był ciąg dalszy waszej ostatniej rozmowy. Jeśli ci się uda, zrób aluzję do nefilimów i zobacz, co z tego wyjdzie. Erik cię lubi.
- A ty co będziesz robił?
- Też tam będę, tyle że niewidzialny.
- Będziemy mieli problem, żeby wrócić tu na czas przed lekcją tańca.
- Nic podobnego. Przteleportuję cię.
- Uch. - Wyżsi nieśmiertelni robili mi to już kilka razy. Nie jest to przyjemne.
- Zgódź się - namawiał anioł, widząc, że się waham. – Nie chcesz, żeby ta historia z nefilimem wreszcie się skończyła?
- Dobra, dobra, tylko daj mi się przebrać. Mam nadzieję, że nie będziemy potem pędzić na złamanie karku. Rzucił kilka uwag w stylu Jerome'a na temat mojego przywiązania do ubierania się w tradycyjny sposób, ale zignorowałam go. Kiedy byłam gotowa, oboje staliśmy się niewidzialni.

Anioł chwycił mnie za nadgarstki. Poczułam - ledwie przez milisekundę - jakby przenikał przeze mnie wiatr i nagle znaleźliśmy się w kącie sklepu Erika. Poczułam lekkie mdłości, podobne do tych po przepiciu, ale szybko zniknęły. Nie widząc wokół żywej duszy, znów stałam się widzialna.

- Halo?

Po kilku chwilach Erik wychylił głowę z zaplecza.

- Panna Kincaid, a niech mnie, nie słyszałem, jak pani weszła. Miło znów panią widzieć.

- I nawzajem. - Postąpiłam mu promienny uśmiech sukuba.

- Wystroiła się pani - powiedział, przyglądając się mojej sukience. - Jakaś specjalna okazja?

- Idę potem na tańce. Prawdę mówiąc, nie mogę zostać długo.

- Tak, oczywiście. Ale ma pani czas na herbatę? Zawahałam się. Carter szepnął mi w głowie: Tak.

- Tak.

Jak już mieliśmy w zwyczaju, Erik poszedł nastawić wodę, a ja uprzętnęłam stół. Kiedy wrócił z herbatą, dowiedziałam się, że to kolejna z jego ziołowych mieszkanek, o nazwie Jasność Umysłu.

Skomplementowałam ją, uśmiechając się przez cały czas, jak najlepiej starając się grać rolę czarującej rozmówczynie.

Pozwoliłam sobie nawet na chwilę pogaduszek, zanim wreszcie przeszłam do wypełniania swojej misji.

- Chciałam panu podziękować za pomoc z cytatem, który mi pan polecił - wyjaśniłam. - Dzięki niemu zrozumiałam,

jak to jest z upadłymi aniołami, choć muszę przyznać... że ten fragment skierował moje poszukiwania w dziwnym kierunku.

- Tak? - Jego krzaczaste siwe brwi uniosły się, filizanka powędrowała do ust.

Skinęłam głową.

- Mówiąc o upadku aniołów... Pismo wspomina też o takich, którzy żenili się i płodzili potomstwo, nefilimów.

Nie tracisz czasu, dziewczyno, rzucił kwaśno Carter. Staruszek przytaknął moim słowom, jakbym uczyniła zupełnie naturalną uwagę.

- Tak, tak, nefilimowie to fascynujący temat. I dość kontrowersyjny wśród biblistów.

- Jak to?

- Niektórzy wierni niechętnie przyznają, że anioły, istoty najświętsze ze świętych, mogły oddawać się tak prymitywnym przyjemnościom, niezależnie od tego, czy upadły, czy nie.

A fakt, że ich półboskie bękarty wciąż mogą chodzić po ziemi, jest dla nich jeszcze bardziej niepokojący. Takie twierdzenia bardzo gniewają wielu wierzących.

- Więc nefilimowie naprawdę istnieją?

Erik posłał mi jeden ze swoich chytrych uśmiezków.

- I znów zaskakuje mnie pani, pytając o rzeczy, które sama powinna wiedzieć najlepiej.

*Widzisz? Mnie też to robi. Unika odpowiedzi,* odezwał się Carter.

*Ty i Jerome robicie to nam bez przerwy,* odgryzłam się.

Erikowi odpowiedziałam:

- Już panu wspominałam, moje kompetencje są dość ograniczone. - Roześmiał się tylko, ale ja pociągnęłam temat.

-Więc istnieją czy nie?

- Mówi pani, jakby pani polowała na UFO, panno Kincaid. Zabawne, tym bardziej że niektórzy zwolennicy teorii spiskowych twierdzą, iż bliskie spotkania z kosmitami to tak naprawdę spotkania z nefilimami, i vice versa. Ale uspokoję panią... a może zaniepokoję... mówiąc, że owszem, istnieją.

- Kosmici czy nefilimowie? - zażartowałam, próbując utrzymać lekki ton rozmowy, choć wiedziałam, że miał na myśli nefilimów. Wiedziałam już, że istnieją, ale ucieszyłam się, że tak skwapliwie to potwierdził. Gdyby chciał ukryć fakt, że jest sprzymierzeńcem nefilima, byłby bardziej powściągliwy.

- Jedni i drudzy, gdyby dobrze poszukać w moim poprzednim miejscu pracy.

Roześmiałam się głośno, przypominając sobie, że Krystal Starz rzeczywiście ma na składzie książki instruujące, jak zjednoczyć się z istotami z kosmosu.

- Na śmierć o tym zapomniałam. A wie pan, że ostatnio miałam parę starć z pańską dawną szefową.

Erik spojrzał na mnie zaniepokojony.

- Naprawdę? Co się stało?

- Nic wielkiego. Drobne różnice zdań w sprawach zawodowych. Podkraǳłam jej dwie pracownice. Tammi i Janice, pamięta je pan? Helena nie była szczęśliwa.

- Wyobrażam sobie. Zrobiła coś w tej sprawie?

- Przyszła do mnie do pracy, narobiła hałasu i rzuciła kilka klątw na moją głowę. Nic wielkiego.

- To interesująca kobieta - stwierdził.

- Oględnie mówiąc. - Zdałam sobie sprawę, że zesłaliśmy z tematu i spodziewałam się, że Carter mnie za to zbeszta, ale nie zrobił tego. - Hm, czy zna pan jakiś sposób na rozpoznanie nefilima? Na przewidzenie, gdzie się znajdzie?

Erik spojrzał na mnie dziwnie i nie odpowiedział od razu.

Poczułam lekki ucisk w żołądku. Może jednak wie coś więcej o nefilimach. Miałam nadzieję, że nie.

- Niestety - powiedział w końcu. - Identyfikacja nieśmiertelnych to skomplikowana sprawa.

- Ale da się to zrobić.

- Tak, oczywiście, ale niektórzy ukrywają się skuteczniej od innych. A nefilimowie mają szczególne powody, by się ukrywać, skoro są nieustannie ścigani.

- Nawet kiedy nie robią nic złego? - spytałam zaskoczona.

Ani Carter, ani Jerome nie wspomnieli o tym.

- Nawet wtedy.

- To smutne.

Przypomniałam sobie fragment książki Harringtona, mówiący o tym, że nefilimów wyrzekło się i niebo, i piekło. Może i ja w takiej sytuacji byłabym wkurzona, chciałabym rozrabiać i pokazać obu stronom, że nie akceptuję ich polityki.

Erik nie miał wiele więcej do powiedzenia o nefilimach i nasza rozmowa coraz bardziej zbaczła z tematu. Ku mojemu zaskoczeniu minęła godzina - spodziewałam się, że lada chwila Carter każe mi kończyć. Zaczęłam się żegnać, przepraszając Erika, że muszę już iść. Jak zwykle kupiłam paczkę herbaty, a on, jak zwykle, zaprosił mnie, bym jeszcze go odwiedziła.

Kiedy podeszłam do drzwi, zawołał za mną niepewnie:

- Panno Kincaid? Co do nefilimów...

Poczułam gęsią skórkę. On naprawdę wiedział coś więcej.

Cholera.

- Proszę pamiętać, że są nieśmiertelni. Żyją na ziemi od dawna, ale w przeciwieństwie do innych nieśmiertelnych nie wypełniają żadnej boskiej czy nieboskiej misji. Wielu z nich próbuje prowadzić zwyczajne życie, nadać mu jakiś sens. Rozważając tę dziwną informację, wyszłam na zewnątrz. Wyobraziłam sobie nefilima dojeżdżającego codziennie do pracy. Trudno było to pogodzić ze straszliwymi wizjami, które wykluwały się w mojej głowie.

Już dawno zrobiło się ciemno i parking był pusty. Stałam się niewidzialna i czekałam, aż Carter zabierze nas z powrotem. Czekałam i czekałam.

- Skąd to opóźnienie? - mruknęłam.

Żadnej odpowiedzi.

- Carter?

Znowu nic.

Nagle zrozumiałam: Carter wyruszył na kolejne polowanie. Byłam sama. Świetnie. I co mam teraz zrobić? Nie miałam samochodu i niezależnie od zapewnień anioła, że jestem w takiej sytuacji bezpieczna, czułam się nieswojo, stojąc samotnie w ciemnościach. Znów widzialna, wróciłam do sklepu. Erik spojrzął na mnie zdziwiony.

- Nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy poczekała tu na transport?

- Ależ skąd.

Oczywiście, musiałam jeszcze zorganizować jakiś transport. Wyjęłam nową komórkę i zastanawiałam się, do kogo zadzwonić. Najlepszy byłoby Cody, ale on mieszkał daleko na południe od księgarni, a ja byłam na północ od niej. Pewnie był już w drodze na lekcję tańca i gdyby podjechał tu po mnie, spóźnilibyśmy się oboje. Potrzebowałam kogoś, kto mieszka w pobliżu, ale nie znałam nikogo takiego, z wyjątkiem... hm, Seth mieszkał w U District. Całkiem niedaleko od Lake City. Pytanie tylko, czy był w domu, czy siedział jeszcze w księgarni. Raz kozie śmierć. Zadzwoniłam na jego komórkę.

- Halo?

- Hej, tu Georgina. Gdzie jesteś?

- Ee, w domu...

- Świetnie. A mógłbyś mnie podwieźć?

Piętnaście minut później Seth podjechał pod sklep Erika. Spodziewałam się, że może Carter zjawi się przez ten czas, ale nie było po nim śladu. Dziękując Sethowi, wsiałam do jego samochodu.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Mój kierowca mnie wystawił.

- Żaden kłopot. - Zawahał się, zerkając na mnie z ukosa.

- Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję. - Miałam na sobie czerwoną sukienkę bez rękawów, z gorsetową górą.



- Brakuje tylko flanelowej koszuli.  
Przypomniałam sobie zestaw, w którym byłam na urodzinach jego bratanicy, oraz to że nie oddałam mu koszuli. Przyznałam się, że całkiem wypadło mi to z głowy.

- Przepraszam - dodałam. - Przyniosę ci ją jak najszybciej.

- Nic się nie stało. Ja ciągle trzymam w niewoli twoją książkę. Zasłużyłam sobie. Ale ponoś ją jeszcze trochę, żeby pachniała tobą i tymi perfumami.

Umilkł nagle wystraszony, że powiedział za dużo - i chyba rzeczywiście powiedział. Miałam ochotę wyśmiać tę uwagę, by oszczędzić mu zażenowania, ale przed oczami stanął mi obraz Setha trzymającego koszulę przy twarzy i wdychającego mój zapach. Ta wizja była tak podniecająca, tak prowokacyjna, że odwróciłam głowę do okna, by ukryć emocje i przyspieszony oddech.

Jestem bezwstydną ladacznicą, uznałam, gdy jechaliśmy dalej w kompletnym milczeniu. W jednej chwili płacząc za Romanem, a w następnej mam ochotę wskoczyć do łóżka z Sethem. Jestem niestała. Wysyłam mężczyznom sprzeczne sygnały, przeskakuję z kwiatka na kwiatek, przywołuję jedną ręką, a odpycham drugą. To fakt, że zapas energii od Martina szybko mi się kończył, więc większość samców znów zaczynała mi się podobać, ale mimo wszystko... Nie miałam wstydu. Nie wiedziałam już nawet, kogo i czego chcę.

Seth zaparkował, ale kiedy odmówił wejścia do księgarni, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Na pewno uznał, że przez tę uwagę o perfumach pomyślałam, że jest zboczony czy coś w tym stylu. Nie mogłam tego tak zostawić, nie mogłam znieść myśli, że przeze mnie czuje się źle. Tym bardziej że tekst o perfumach był naprawdę kręcący. Musiałam to naprawić.

Pochyliłam się ku niemu, mając nadzieję, że gorset wykona za mnie część roboty.

- Pamiętasz scenę ze Szklanego domu? Tę, kiedy O'Neill odprowadza kelnerkę do domu?

Uniósł brew.

- Napisałem tę scenę.

- O ile pamiętam, powiedział wtedy coś w rodzaju: „To wstyd zostawiać kobietę w głęboko wyciętej sukience”.

Seth wpatrywał się we mnie z zagadkową miną. Nagle na jego twarz wypełznął psotny uśmiech.

- Powiedział: „Mężczyzna, który zostawia kobietę w takiej sukience, nie jest mężczyzną. Kobieta w takiej sukience nie chce być sama”.

Spojrzałam na niego wymownie.

- No więc?

- No więc co?

- Nie każ mi tego literować. Jestem w takiej sukience i nie chcę być sama. Chodź ze mną do środka. Jesteś mi winien taniec.

- Przecież wiesz, że nie tańczę.

- Myślisz, że O'Neilla to by powstrzymało?

- Myślę, że O'Neill czasem rzuca się na zbyt głęboką wodę. Przecenia swoje możliwości.

Zdesperowana pokręciłam głową i otworzyłam drzwi.

- Czekaj - zawołał Seth. - Idę.

- W ostatniej chwili - powiedział Cody, kiedy niemal biegiem wpadliśmy do kawiarni. Księgarnia była już zamknięta.

Uściskałam go szybko. On i Seth skinęli sobie serdecznie głowami, po czym pisarz poszedł się przywitać z resztą personelu.

- Długa historia.

Cody nachylił się do mnie.

- To prawda? - szepnął mi do ucha. - Że jest tu z tobą Carter?

- Nie. Był, ale mi zwał. Dlatego się spóźniłam.

Musiałam zadzwonić po Setha, żeby mnie podwiózł.

Poważna mina młodego wampira trochę poweselała.

- Wyobrażam sobie, jakie to poświęcenie dla was obojga.

Ignorując docinek, zagoniłam wszystkich na parkiet, żeby zacząć lekcję. Tak jak zauważyliśmy ostatnim razem, większość uczniów osiągnęła już szczyt swoich możliwości. Nie uczyliśmy niczego nowego, skupiając się na powtórce starych technik, by utrwalić podstawy. Seth, zgodnie z zapowiedzią, nie tańczył. Ale tym razem trudniej było mu się opierać, bo większość obecnych dobrze go już znała. Kobiety próbowały go zachęcać, ale pozostał niewzruszony.

- Zatańczyłby, gdybyś ty go poprosiła - stwierdził w pewnej chwili Cody.

- Wątpię. Odmawia cały wieczór.

- Tak, ale ty masz dar przekonywania.

- Carter sugerował to samo. Nie wiem, kiedy wyrobiłam sobie reputację królowej wdzięku.

- Idź go poproś i tyle.

Przewróciłam oczami i podeszłam do Setha. Po drodze zauważyłam, że na mnie patrzy.

- No dobra, Mortensen, ostatnia szansa. Jesteś gotów zmienić z się z podglądacza w ekshibcjonistę?

W jego oczach błysnęła psotna ciekawość.

- Ciągłe mówimy o tańcu?

- To zależy. Ktoś kiedyś powiedział, że mężczyźni tańczą tak samo jak uprawiają seks. Więc jeśli chcesz, żeby wszyscy myśleli, że jesteś z tych, co tylko siedzą i...

Wstał.

- Idziemy tańczyć.

Wyszliśmy na parkiet. Mimo tej śmiałej deklaracji był wyraźnie podenerwowany. Jego spocona dłoń chwyciła moją. Drugą rękę oparł niepewnie na moim biodrze.

- Twoja dłoń połyka moją - poinstruowałam żartobliwie.

- Po prostu się rozluźnij. Słuchaj muzyki i licz takty. Patrz na moje stopy.

Kiedy zaczęliśmy się poruszać, odniosłam wrażenie, że już kiedyś uczył się podstaw. Nie miał kłopotu z zapamiętaniem kroków, za to spore problemy ze skoordynowaniem ruchów nóg z muzyką, co mnie przychodziło instynktownie. Widziałam, że dosłownie liczy takty w głowie, usilnie starając się dopasować do nich kroki nóg. W efekcie więcej patrzył na stopy niż na mnie.

- Robisz coś ciekawego po lekcji? - zapytałam swobodnie.

- Przepraszam. Nie mogę rozmawiać i liczyć jednocześnie.

- Och. Okej. - Zrobiłam, co w mojej mocy, żeby stłumić śmiech.

Tańczyliśmy w milczeniu aż do końca lekcji. Taniec nie był dla Setha drugą naturą, ale nie mylił kroków, pilnował ich z determinacją i godną podziwu pilnością, przez cały czas obficie się pocąc. Będąc tak blisko niego, znów czułam przeskakujące między nami iskry, upajające i podniecające. Po lekcji obeszlśmy z Codym salę, żegnając się ze wszystkimi. Seth został najdłużej i wyszedł razem ze mną i Codym drzwiami na zaplecze.

- Nieźle się dziś spisałeś - pochwalił go Cody.

- Dzięki. Stawką była moja reputacja. - Seth zwrócił się do mnie. - Mam nadzieję, że trochę się zrehabilitowałem, jeśli nadal upierasz się przy porównywaniu tańca z seksem.

- Było parę podobieństw - stwierdziłam, zachowując kamienną twarz.
- Parę? A co z dbałością o szczegóły, wysiłkiem, litrami potu i determinacją, żeby spisać się jak najlepiej?
- Przede wszystkim odniosłam wrażenie, że podczas seksu nic nie mówisz. - Wiem, to było złośliwe, ale nie mogłam się powstrzymać.
- Cóż, moje usta mają wtedy lepsze rzeczy do roboty. Przełknęłam ślinę, bo mnie samej nagle zaschło w ustach.
- Czy ciągle mówimy o tańcu?  
Seth pożegnał się z nami i odszedł.  
Patrzyłam za nim tęsknie.
- Czy jeszcze ktoś ma ochotę zemdleć?
- Ja na pewno - odezwał się za nami jowialny głos Cartera.  
Podskoczyliśmy z Codym.
- Chryste - wykrzyknęłam. - Kiedy wrócisz?
- Nie ma czasu na pogaduchy. Trzymajcie się, dzieciaki.  
Anioł rozejrzał się szybko, by upewnić się, że jesteśmy sami, i chwycił nas za nadgarstki. Znów poczułam mdlący pęd i zanim się obejrzałam, staliśmy w bardzo eleganckim salonie. Nigdy wcześniej nie widziałam tego miejsca, ale było piękne. Doskonale dobrane, drogie meble, na ścianach drogocenne obrazy. Przepych. Styl. Majestat.  
Problem w tym, że pokój został kompletnie zdemolowany. Eleganckie kanapy były pocięte, stoliki przewracane, a obrazy wisiały krzywo, były pomazane albo jedno i drugie. Na jednej ze ścian namalowano sprejem wielki symbol, którego nie rozpoznawałam: okrąg, z jedną linią przecinającą go pionowo i drugą, biegnącą ukośnie od lewej do prawej. Ten przepych, zbezczeszczony w tak ohydny sposób, kompletnie mnie oszołomił.
- Witajcie w Chateau Jerome - oznajmił Carter.

## Rozdział 20

Wybaczcie to nagłe porwanie - powiedział Carter. - Jerome zaczął świrować, że zostawiłem was samych na tak długo.

- Nie świrowałem, odkąd żyję... ehm, egzystuję...

Nieważne - stwierdził Jerome, wchodząc do pokoju. Patrząc na niego, nietrudno było w to uwierzyć. Jak zwykle, nienagannie ubrany, w dłoni trzymał martini i wydawał się zupełnie nieprzejęty tym całym bałaganem.

- Ładne mieszkanie - powiedziałam, wciąż przerażona dewastacją tak pięknego wnętrza. - W trakcie remontu? W oczach demona błysnęło rozbawienie.

- Uwielbiam cię Georgie. - Upił łyk martini. - Tak, w tej chwili jest tu trochę nieporządku, ale bez obaw. Posprząta się. Poza tym mam jeszcze inne domy.

Jerome jest bardzo skryty w kwestii swojego miejsca zamieszkania i podejrzewałam, że tylko interwencja Cartera sprawiła, że się tu teraz znaleźliśmy. Demon nigdy by nas nie zaprosił. Podeszłam do wielkiego okna, z którego rozciągał się wspaniały widok na Jezioro Waszyngtona, z rozmigotanym zarysem Seattle na drugim brzegu. Sądząc po widoku, obstawiałam, że jesteśmy w Medinie, jednym z najbogatszych miasteczek w regionie Eastside. Jerome nie zadowala się byle czym.

- Co tu się stało? - zapytałam w końcu. Było jasne, że nikt inny nie zamierza poruszyć tego tematu. - Odwiedził cię nefilim czy tylko urządziłeś imprezkę, która wymknęła się

spod kontroli? Bo jeśli to drugie, to będę bardzo wkurzona, że nas nie zaprosiłeś.

- Bez obaw - odparł Carter z uśmiechem. - Nasz przyjaciel nefilim trochę poprawił wystrój i uprzejmie wysłał nam sygnał, kiedy skończył. Dlatego zostawiłem cię u Erika. Ostrzegłbym cię, ale kiedy poczułem go tutaj... - Spojrzał znacząco na Jerome'a.

Demon się obruszył:

- Co? Pomyślałeś, że jestem w niebezpieczeństwie? Wiesz, że to niemożliwe.

Carter mruknął, wyraźnie nie podzielając jego zdania.

- Tak? A jak nazwiesz to? - wskazał głową symbol na ścianie.

- Graffiti - odparł Jerome obojętnie. - To nic nie znaczy. Oderwałam się od stylowego okna i zapierającego dech widoku, by przyrzeć się malunkowi. Nigdy nie widziałam niczego podobnego, a przecież znam wiele znaków i symboli z najróżniejszych miejsc i czasów.

- To musi coś znaczyć - oznajmiłam. - Zadał sobie sporo trudu. Gdyby to nie miało znaczenia, napisałby: „Jesteś palantem” albo coś w tym stylu.

- Może napisał tak w innym pokoju - zasugerował Cody.

- Odżywka godna Georgie. Widzę, że uczysz się od niej nie tylko tańca.

Demon wyraźnie próbował zmienić temat, ale zignorowałam go i zwróciłam się do Cartera.

- Co to jest? Na pewno wiesz, co to znaczy.

Anioł przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie zwracałam się do niego o pomoc w żadnej sprawie. Do chwili, kiedy razem zamieszkaliśmy, odnosiłam się do niego raczej wrogo.

- To ostrzeżenie - powiedział powoli, nie patrząc na swojego piekielnego kolegę. - Ostrzeżenie o zbliżającej się

katastrofie. Oznacza, że teraz zacznie się decydująca faza bitwy.

Jerome w końcu nie wytrzymał. Trzasnął kieliszkiem o przekrzywiony stół. Twarz mu zapłonęła.

- Chryste, Carter! Czyś ty zwariował?
- To już nie ma znaczenia, i dobrze o tym wiesz.

Wszystko i tak wyjdzie na jaw.

- Nie - syknął lodowato demon. - Nie wszystko.
- Więc ty im powiedz. - Carter szerokim gestem wskazał symbol. - Ty im wyjaśnij, żebym ja nie powiedział za dużo.

Jerome spopielił go wzrokiem i, jak to oni, nawzajem wbili w siebie oczy. Widziałam to już niezliczoną ilość razy, ale nagle uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, by byli ze sobą tak skłóceni.

- Być może kiedyś ten symbol miał takie znaczenie – przyznał w końcu Jerome, oddychając powoli, by odzyskać spokój. – Ale już nie ma. Powtarzam: dziś jest bez znaczenia. To archaiczny bazgroł. Znak, który nie ma już mocy, bo nikt w nią nie wierzy.

- Więc po co go użyto? - zastanawiałam się głośno. - Kolejny dziwaczny dowcip nefilima?
- Coś w tym rodzaju. Poza tym miał mi przypomnieć, z kim mamy do czynienia. Jakbym mógł zapomnieć. - Podnosząc kieliszek z resztką martini, opróżnił go jednym łykiem. Westchnął i nagle dziwnie znużony spojrzał na Cartera. - Ty możesz im opowiedzieć o pozostałych, jeśli masz ochotę. Anioł zrobił lekko zdziwioną minę, słysząc przyzwolenie demona. Spojrzał na oszpeconą ścianę.

- To drugi z zestawu trzech symboli. Pierwszy to wypowiedzenie wojny, sposób psychologicznego oddziaływania na przeciwnika, by bał się tego, co nastąpi. Wygląda tak jak ten, tylko bez skośnej kreski. Ostatni symbol



oznacza zwycięstwo. Ma dwie skośne kreski i pojawia się po pokonaniu wroga.

Pobiegłam oczami za jego spojrzeniem.

- Zaraz... ale jeśli ten jest drugi, to znaczy, że widzieliście pierwszy?

Jerome wyszedł z pokoju, by po chwili wrócić i podać mi złożoną kartkę.

- Nie ty jedna dostajesz listy, Georgie.

Otworzyłam kartkę. Papier był identyczny jak ten z moich listów. Na środku, wyrysowana grubą czarną kreską, widniała kopia znaku ze ściany, tyle że bez skośnej linii. Pierwszy symbol. Według Cartera wypowiedzenie wojny.

- Kiedy to dostałaś?

- Tuż przed śmiercią Duane'a.

Sięgnęłam pamięcią kilka tygodni wstecz.

- To dlatego nie naciskaliście mnie zbyt mocno, kiedy zginął. Już wtedy domyśliliście się, kto jest za to odpowiedzialny.

Demon wzruszył ramionami.

- Zaraz, zaraz - wykrzyknął Cody, zaglądając mi przez ramię i patrząc na list. - Jeśli to jest pierwsze ostrzeżenie... Chcecie powiedzieć, że wszystko, co się stało... z Duane'em, Hugh, Lucindą, Georginą... było psychologiczną zagrywką? – Wampir zrobił ośupiałą minę, kiedy żaden z wyższych nieśmiertelnych nie odpowiedział. - Czego jeszcze możemy się spodziewać? Na czym polega decydująca faza bitwy? Bo przecież zabił albo pobił już czworo nieśmiertelnych?

- Czworo niższych nieśmiertelnych - uzupełniłam, nagle kojarząc, o co chodzi. Spojrzałam na Jerome'a i Cartera. – Mam rację?

Anioł rozciągnął usta w krzywym uśmiechu.

- Tak. Wy byliście rozgrzewką przed prawdziwym atakiem. - Posłał Jerome'owi kolejne znaczące spojrzenie.
- Przestań - warknął demon. - Nie ja jestem celem.
- Nie? Mnie nikt nie pobazgrał ścian.
- Bo nikt nie wie, gdzie mieszkasz.
- Ciebie też raczej nie ma w książce telefonicznej. To ty jesteś kaczką na strzelnicy.
- I co z tego. Nie może mnie tknąć.
- Nie wiesz tego...
- Wiem i ty też wiesz. Nie ma takiej opcji, by był silniejszy ode mnie.
- A jednak potrzebujemy wsparcia. Wezwij Nanette...
- O, jasne. - Jerome roześmiał się szorstko. - Nikt nie zauważy, kiedy ściągnę ją z Portland. Zdajesz sobie sprawę, co się będzie działo? Wszyscy zaczną się dziwić, zadawać pytania...
- I co z tego? To nic wielkiego...
- Łatwo ci mówić. Co ty wiesz o...
- Wiem dość, żeby wiedzieć, że przesadzasz z tą paranoją...

I żarli się tak na naszych oczach - Jerome, upierając się, że nie ma żadnego problemu, Carter, nalegając, by podjęli odpowiednie środki zaradcze. Jak już wspomniałam, nigdy nie widziałam, by kłócili się tak otwarcie. Zaniepokoiło mnie to, szczególnie że ich głosy zaczęły przybierać na sile. Nie chciałam być w pobliżu, gdyby miało dojść do przepychanki albo demonstracji mocy - dość się ich naoglądałam przez ostatnie tygodnie. Powoli wycofałam się z salonu do sąsiadującego z nim korytarza. Cody, widząc, co się święci, poszedł w moje ślady.

- Nie cierpię, kiedy mama i tata się kłócą - stwierdziłam, kiedy oddaliliśmy się od tej nadprzyrodzonej scysji, szukając

bezpieczniejszego schronienia. Zaglądając za kolejne drzwi, zobaczyłam łazienkę, sypialnię i pokój gościnny. Jakoś trudno mi było sobie wyobrazić, żeby u demona często nocowali goście.

- To wygląda obiecująco - powiedział Cody, kiedy skręciliśmy do pokoju multimedialnego. Skórzane kanapy i fotele otaczały ogromny, absurdalnie cienki telewizor plazmowy wiszący na ścianie. W strategicznych miejscach w pokoju umieszczono smukłe piękne głośniki, a w dużej przeszklonej gablocie stały setki filmów DVD. I ten pokój, podobnie jak pozostałe, został zdemolowany. Z westchnieniem rzuciłam się na jeden z rozprutych foteli, a Cody poszedł obejrzeć system nagłaśniający.

- Co myślisz o tym wszystkim? - spytałam go. - Znaczy, o ostatnich rewelacjach, nie o sprzęcie.

- A co tu myśleć? To chyba oczywiste. Nefilim zrobił sobie rozgrzewkę na niższych nieśmiertelnych, a teraz zamierza wziąć się za wyższych. Chore i pokręcone, ale tak to już bywa.

Patrząc z jaśniejszej strony, może nam nie grozi już niebezpieczeństwo, bez urazy dla Jerome'a i Cartera.

- Sama nie wiem. - Odchyliłam głowę, myśląc intensywnie. - Mnie ciągle się coś nie zgadza. Ciągle czegoś nie wiemy. Posłuchaj ich tam. Dlaczego Jerome zachowuje się jak idiota? Dlaczego nie słucha Cartera?

Młody wampir wyrzwał znad kolekcji filmów i uśmiechnął się przebiegle.

- Nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy staniesz po stronie Cartera. Musieliście się nieźle zakumplować przez ten tydzień.

- Daruj sobie te romansowe aluzje - ostrzegłam go. - Bóg mi świadkiem, że w tej dziedzinie dzieje się u mnie aż za wiele. Tylko że... nie wiem. Carter nie jest taki zły, jak myślałam.

- To anioł. Z natury nie jest zły.
  - Wiesz, o czym mówię. I musisz przyznać, że ma trochę racji. Jerome powinien podjąć odpowiednie kroki. To coś zniszczyło mu mieszkanie i zostawiło ostrzeżenia, nawet jeśli to tylko zapomniane symbole. Dlaczego Jerome jest taki pewny, że nic mu nie grozi?
  - Bo uważa, że jest silniejszy niż nefilim.
  - Ale skąd może to wiedzieć? Żaden z nich nie wysondował go jak trzeba, nawet Carter tamtego wieczoru, kiedy mnie uratował.
  - Jerome nie lekceważyłby sprawy bez dobrego powodu. Jeśli mówi, że jest silniejszy, to... A niech mnie. Popatrz na to.
  - Jego poważna przemowa zmieniła się w śmiech. Podeszłam i uklęknęłam obok niego.
  - Co?
- Wskazał dolny rząd płyty. Przeczytałam tytuły. Przeboje i podboje. Lepiej umrzeć. Nic nie mów. Zabijanie na śniadanie. Filmy Johna Cusacka.
- Wiedziałam - szepnęłam, myśląc o rzekomo przypadkowym podobieństwie demona do aktora. - Wiedziałam, że jest jego fanem. A zawsze zaprzeczał.
  - Poczekaj, aż powiemy Peterowi i Hugh - piał Cody. Zdjął z półki Lepiej umrzeć. - Ten jest najlepszy. Wyciągnęłam Być jak John Malkovich, na chwilę zapominając o dręczącym mnie napięciu.
  - W życiu. Ten jest najlepszy.
  - Za szybko zakręcony.
- Spojrzałam na głęboką rysę biegnącą przez środek plazmowego ekranu.
- W normalnych okolicznościach zaproponowałabym urządzenie pokazu, żeby to rozstrzygnąć,

ale zdaje mi się, że w najbliższym czasie nie będzie tu żadnego oglądania.

Cody spojrział na telewizor i skrzywił się, widząc zniszczenia.

- Co za strata. Ten nefilim to istny diabelski pomiot.

- Racja - przytaknęłam, wstając. - Nic dziwnego, że...

Znieruchomiałam. Wszystko znieruchomiało. Diabelski pomiot.

- Georgina? - spytał zaciekawiony Cody. - Nic ci nie jest?

Zamknęłam oczy. Kręciło mi się w głowie.

- O Boże. - Diabelski pomiot.

Przypomniałam sobie kolejno wszystkie zdarzenia związane z nefilimem, wszystkie ostrzeżenia Jerome'a. Z pozoru chodziło o to, by zapewnić nam bezpieczeństwo, ale w rzeczywistości nie było powodu ukrywać, że chodzi o nefilima. Poznanie prawdziwej natury naszego wroga nie stanowiło dla nas bezpośredniego zagrożenia. A jednak Jerome był bardzo tajemniczy i okropnie się złościł, kiedy któreś z nas zbliżało się do prawdy. Gdy Cody sformułował teorię o aniele renegacie, przypisałam przesadną dyskrecję wokół całej sprawy wstydu drugiej strony. Ale to nie ich strona miała coś do ukrycia, tylko nasza.

Klik, klik. Kostki domina w mojej głowie, pchnięte raz We właściwym kierunku, przewracały się jedna po drugiej.

Przypomniałam sobie fragment z książki Harringtona:

„zdeprawowani słudzy niebios uczyli swe żony symboli i zakłęcz, podczas gdy ich potomstwo szalało po całej ziemi...”

Symboli. Jak ten zapomniany na ścianie Jerome'a. „Miał mi przypomnieć, z kim mamy do czynienia. Jakbym mógł zapomnieć”, wyjaśnił Jerome.

Carter powiedział mi, że to głównie demony zajmują się polowaniem na nefilimów. Nanette chciała tu przyjechać i pomóc załatwić naszego, ale Jerome jej nie pozwolił,

minimalizując liczbę osób zaangażowanych w sprawę. Ale Cartera trzymał pod ręką, gdyby przyszło do zabijania. „Jerome nie chciał tego zrobić sam?”, zapytałam, ale anioł wymigał się od odpowiedzi. Domino przewracało się dalej. „Nefilimowie dziedziczą o wiele więcej niż połowę mocy rodzica, choć nie są w stanie go przewyższyć”. Były to słowa samego Jerome'a wypowiedziane od niechcenia w zeszłym tygodniu, tuż po ataku na mnie. Zaledwie kilka minut temu zastanawiałam się nad jego niezachwianym przekonaniem, że jest silniejszy od nefilima. Nie rozumiałam, jak może być tego taki pewny. Oczywiście że był pewny. Boska genetyka nie kłamie.

- Georgino? Dokąd idziesz? - wykrzyknął Cody, kiedy wściekłym krokiem wypadłam z pokoju i ruszyłam w stronę gromkich odgłosów kłótni w końcu korytarza.
  - Posłuchaj - mówił Carter - Przecież nie zaszkodzi, jeśli...
  - On jest twój - wykrzyknęłam do Jerome'a, patrząc na niego z wyższością. - Ten nefilim jest twój.
  - Chodzi ci o to, że to mój problem?
  - Nie! Dobrze wiesz, o co mi chodzi. To twoje dziecko. Twój syn... czy córka... czy co to tam jest. Zapadła cisza. Jerome wbił we mnie czarne przesywające oczy, wwiercając się prosto w moją duszę. Spodziewałam się, że lada moment ciśnie mną przez pokój. Ale on spytał tylko:
    - I co?
- Przestraszona tą spokojną odpowiedzią, przełknęłam ślinę.
- A to... to... że... mogłeś nam powiedzieć. Na samym początku. Po co te tajemnice?
  - Jak zapewne się domyślasz, nie jest to mój ulubiony temat. Poza tym czy to takie dziwne, że czuję się uprawniony do odrobiny prywatności?

- Tak, ale... - Teraz, kiedy wszystko wyszło na jaw, nie wiedziałam, co mówić, myśleć, robić. - Co teraz będzie? Co zrobisz?

- To, co planowałem od dawna. Znajdziemy tę istotę i zniszczymy ją.

- Ale... on... ono... jest twoje...

Ja, która tak zazdrośnie obserwowałam rosnący brzuszek Paige i stadko bratanic Setha, nie potrafiłam pojąć, jak można z takim spokojem opowiadać o zamiarze uśmiercenia własnego dziecka.

- To nie ma znaczenia - odparł demon. - Ta istota jest problemem, zagrożeniem dla nas wszystkich. Mój związek z nią jest nieistotny.

- Ciągłe mówisz „ta istota”. Jesteś tak obojętny, że nie potrafisz nawet... nazwać jej po imieniu albo przynajmniej nadać rodzaj? Co to w ogóle jest? Syn czy córka?

Zawahał się, a ja dostrzegam cień zażenowania w jego chłodnej masce.

- Nie wiem.

Wybałuszyłam oczy.

- Co?

- Nie było mnie przy jego narodzinach. Kiedy się dowiedziałem, że ona... moja żona... jest w ciąży, opuściłem ją. Wiedziałem, co się stanie. Nie ja pierwszy ani ostatni wziętem sobie śmiertelną żonę. Do tego czasu urodziło się i zginęło wielu nefilimów. Wszyscy wiedzieliśmy, do czego są zdolni.

Najwłaściwszą rzeczą byłoby unicestwić go w chwili narodzin.

- Umilkł.

Jego twarz znów przybrała kamienny wyraz. - Nie potrafiłem się na to zdobyć. Odszedłem, żeby nie stawiać temu czoła, nie musieć dokonywać tego wyboru. Postąpiłem jak tchórz.

- A... widziałeś ją jeszcze kiedyś? Twoją żonę?

- Nie.

Oniemiała zastanawiałam się, jaka była. Ledwie rozumiem Jerome'a jako demona, a co dopiero zanim upadł. Nigdy nie okazuje nikomu uczuć czy przywiązania. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaka kobieta mogła go omotać tak, że odwrócił się od wszystkiego, co było dla niego święte. A mimo to, mimo tej miłości, zostawił ją, by nigdy więcej jej nie zobaczyć. Teraz nie żyła już od tysiącleci. Zostawił ją, żeby ocalić ich dziecko, a teraz znów trzymał w rękach jego życie. Ta historia rozdzierała mi serce. Miałam ochotę zrobić coś - objąć demona - ale wiedziałam, że nie podziękowałby mi za współczucie. Był już zbyt wystarczająco zażenowany, że dowiedzieliśmy się o wszystkim.

- Więc nigdy go nie widziałaś? Skąd pewność, że to twoje dziecko?

- Jego sygnatura. Kiedy ją poczułem, wyczułem w niej połowę własnej aury i połowę... jej. Żadna inna istota nie może nosić takiej kombinacji.

- I czułeś to za każdym razem?

- Tak.

- Rany. A jednak nie wiesz o nim nic więcej.

- Zgadza się. Jak powiedziałem, odszedłem na długo, zanim się urodził.

- Więc... to ma sens. Że jesteś celem - powiedziałam, wskazując ścianę. - Pomijając już nawet te znaki. Ten nefilim ma dobre powody, żeby być na ciebie wściekły.

- Dzięki za bezwarunkowe wsparcie.

- Źle to zabrzmiało. Chodziło mi o to... że nefilimowie i tak mają poważne powody do gniewu. Wszyscy ich nienawidzą i próbują zabić. A ten... cóż, ludzie wydają tysiące dolarów na terapię, żeby uporać się ze złymi doświadczeniami związanymi z ojcem. Wyobraź sobie, jaką obsesję można wyhodować przez tysiące lat.

- Sugerujesz mi rodzinną terapię, Georgie?



- Nie... oczywiście, że nie. Chociaż... sama nie wiem. Próbowałeś z nim porozmawiać? Przemówić mu do rozumu? - Przypomniałam sobie uwagę Erika, że nefilimowie chcą tylko, by dano im spokój. - Może jakoś byście się dogadali.
- Ta rozmowa robi się coraz bardziej absurdałna. – Jerome zwrócił się do Cartera. - Zechcesz ich już zabrać do domu?
- Zostaję z tobą - odparł obojętnie anioł.
- Na litość boską! Myślałem, że już to ustaliliśmy...
- Carter ma rację - wtrąciłam. - Faza ostrzeżeń dobiegła końca. Jestem już bezpieczna.
- Nie wiemy...
- Poza tym tak naprawdę nie chodziło o moje bezpieczeństwo. Carter miał dopilnować, żebym nie odkryła prawdy na temat twoich rodzinnych problemów. Teraz już za późno, a ja mam dość chodzenia z ochroniarzem. Zatrzymaj go sobie i wszyscy będziemy spali spokojniej, nawet jeśli twoim zdaniem to strzelanie z armaty do komara.
- Eloquentnie to ujętaś - roześmiał się Carter. Jerome wciąż protestował i kłóciliśmy się tak jeszcze chwilę. W końcu decyzja spoczęła w rękach Cartera. Jerome nie miał mocy, by mu rozkazywać. Nawet gdyby anioł postanowił łączyć za nim przez wieczność, demon nie mógł nic zrobić. Na pewno nie wdałoby się w żadną epicką bitwę, niezależnie od tego, jak bardzo byli na siebie źli. Carter zgodził się odteleportować nas z powrotem, choć podejrzewałam, że zrobił to tylko przez grzeczność wobec Jerome'a - w ten sposób nie mogliśmy odnaleźć jego mieszkania. Odstawiwszy wampira do domu, Carter przeniósł mnie do mojego salonu. Zawahał się, zanim znowu zniknął.
- Tak chyba będzie lepiej -- powiedział. - Jeśli zostanę z Jerome'em. Wiem, że nefilim nie może być silniejszy od niego,

ale... dzieje się jeszcze coś dziwnego. Nie jestem pewny, czy naprawdę jesteś bezpieczna. Zamieszanie wokół ciebie to chyba zupełnie inna sprawa. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem. To trudne sprawy, i wolałbym, żeby Jerome pozwolił nam wezwać pomoc z zewnątrz. Oczywiście, bez przesady. Tylko odrobinę. Kogokolwiek.

- Nie martw się - uspokoiłam go. - Poradzę sobie. Nie możesz być wszędzie naraz.

- Niestety, to prawda. Kiedy będzie po wszystkim, zapytani tego nefilima, jak to robi.

- Nie da się przepytać zmarłego.

- Nie - przyznał ponuro. - Nie da się. - Odwrócił się, jakby chciał wyjść drzwiami.

- To dziwne... - zaczęłam powoli. - Sama myśl o tym, że Jerome mógł kogoś kochać. I że przez to upadł.

Carter posłał mi swój przebiegły uśmiešek.

- Miłość nie sprawia, że anioły upadają, Georgino. Jeśli już, jest raczej odwrotnie.

- Co? Chcesz powiedzieć, że gdyby Jerome znów się zakochał, mógłby z powrotem stać się aniołem?

- Nie, nie. To nie takie proste. - Widząc moją głupią minę, roześmiał się i szybko ścisnął moje ramię. - Uważaj na siebie, córo Lilith. I wzywaj nas, gdybyś potrzebowała pomocy.

- Tak zrobię - zapewniłam go, zanim zniknął. Nie żeby skontaktowanie się z wyższym nieśmiertelnym było proste. Jerome wyczuwa, kiedy dzieje mi się krzywda, ale żeby tak po prostu do niego zadzwonić i pogawędzić? Trudna sprawa. Niedługo potem położyłam się do łóżka, zmęczona tym całym zamieszaniem i zbyt wyczerpana, żeby martwić się, czy nefilim nie zaatakuje mnie we śnie. Jutro miałam pracować na drugą zmianę, i był to mój ostatni dzień przed dwudniową przerwą. Potrzebowałam odpoczynku.

Następnego ranka obudziłam się dość późno, wciąż żywa. W drodze do księgarni wpadłam na Setha, uzbrojonego w laptop i gotowego do kolejnego dnia pracy. Wspomnienie lekcji tańca chwilowo wyгнаło z mojej głowy nefilima.

- Masz moją książkę? - zapytałam, kiedy przytrzymał mi drzwi.

- Nie. Masz moją koszulę?

- Nie. Ale podoba mi się ta, którą masz na sobie. - Na jego T-shircie widniało logo musicalu Nędznicy. - Moja ulubiona piosenka pochodzi z tego musicalu.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Która?

- *I Dreamed a Dream*.

- Strasznie przygnębiający kawałek. Nic dziwnego, że nie chcesz chodzić na randki.

- A jaka jest twoja ulubiona? - Zadałam swoje sztandarowe pytania Romanowi, ale Sethowi jeszcze nie.

- Ultraviolet U2. Znasz?

Podeszliśmy do baru w kawiarni. Bruce zaczął parzyć moją mokkę, zanim ją zamówiłam.

- Znam kilka ich kawałków, ale tego nie. O czym jest?

- O miłości, oczywiście. Jak wszystkie dobre piosenki. O bólu towarzyszącemu miłości i o jej zbawczej mocy. Trochę bardziej optymistyczny niż twój.

Przypomniłam sobie, co powiedział mi wczoraj Carter.

„Miłość nie sprawia, że anioły upadają”.

Usiedliśmy, żeby pogadać - nasze rozmowy toczyły się już całkiem gładko. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś czuliśmy się ze sobą skrępowani. Seth był teraz taki swobodny.

W końcu stwierdziłam, że wypadałoby iść do pracy.

Powlokłam się, żeby skontrolować resztę personelu, a potem poszłam do swojego gabinetu. Chciałam tylko sprawdzić e-maile. Byłam dziś w towarzyskim nastroju i miałam ochotę

popracować w głównej sali. Rzuciwszy torebkę na biurko, zaczęłam sadzić na krześle, kiedy ujrzałam znajomą białą kopertę z moim imieniem.

Zabrakło mi tchu. I pomyśleć, że już prawie przestałam się bać nefilima. Drżącymi rękami podniosłam kopertę i niezdarnie ją otworzyłam.

*„Tęskniłaś za mną? Domyślam się, że ty i twoi nieśmiertelni przyjaciele byliście zajęci, sprawdzając, czy wszyscy są bezpieczni i czy nikogo nie brakuje. Pewnie byłaś też zajęta swoim fascynującym życiem osobistym i nie poświęciłaś mi ani jednej myśli. Okrutne, biorąc pod uwagę, ile dla ciebie zrobiłem.*

*Zastanawiam się, czy o śmiertelnych znajomych troszczysz się tak samo jak o nieśmiertelnych? Przyznaję, zgon śmiertelnika to o wiele mniej znaczące wydarzenie. Ostatecznie, czym jest pięćdziesiąt lat w tę i we w tę, w porównaniu ze stuleciami nieśmiertelnego? Śmiertelni wydają się niewarci zachodu, a jednak ty dzielnie udajesz, że cię obchodzą. Ale czy naprawdę? A może są tylko chwilową rozrywką, umilającą ci wielowiekowe życie? Na przykład twój chłopak? Czy to kolejna zabawka, kolejne hobby pozwalające zabić czas? Czy naprawdę coś dla ciebie znaczy?*

*Dowiedzmy się. Przekonaj mnie dziś, że tak jest. Masz czas do końca zmiany, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Znasz zasady - trzymaj go w bezpiecznym miejscu, nie pozwól, by był sam, i tak dalej. Będę cię obserwował. Przekonaj mnie, że naprawdę ci zależy, a oszczędzę go. Spraw, żebym uwierzył. Jeśli zawiedziesz - albo wmieszasz w sprawę innych nieśmiertelnych - nic mu nie pomoże”.*

List wypadł z moich lodowatych palców. Co to za popieprzona gra? To nie ma sensu. Nefilim w jednym zdaniu radził mi

zapewnić komuś bezpieczeństwo, a w następnym sugerował, że to niewykonalne. Głupie sztuczki, pomyślałam. Kolejne mącenie wody, wywracanie do góry nogami status quo tylko po to, żeby zobaczyć, co zrobię. Rozglądając się niespokojnie, zastanawiałam się, czy nefilim tu jest? Czy niezadowolony potomek Jerome'a czai się, niewidzialny, za moimi plecami, śmiejąc się pod nosem z mojego strachu? Co mam robić? A przede wszystkim, kto, do cholery, jest teraz moim chłopakiem?

## Rozdział 21

Nie miałam chłopaka. Mimo wielu niewiadomych w moim życiu tego jednego byłam pewna. Niestety, nefilim najwyraźniej miał bardziej optymistyczny pogląd na moje życie miłosne.

- Nie wiem, o kogo ci chodzi - krzyknęłam w pustkę gabinetu. - Słyszysz mnie, ty sukinsynu? Nie wiem, o kim mówisz, do cholery!

Nikt nie odpowiedział.

Paige, przechodząca chwilę później koło moich drzwi, zajrzała do środka.

- Wołałaś mnie?

- Nie - burknęłam. Miała na sobie sukienkę, która mocno opinała jej rosnący brzuch. To też mi nie poprawiło humoru. - Gadałam do siebie. - Kiedy wyszła, zamknęłam drzwi.

Moim pierwszym odruchem było biec po pomoc. Do Cartera, Jerome'a, kogokolwiek. Nie mogłam stawić temu czoła sama.

„Jeśli zawiedziesz - albo wmieszasz w sprawę innych nieśmiertelnych - nic mu nie pomoże”.

Do licha, nie wiedziałam nawet, kim jest „on”. Gorączkowo próbowałam wykombinować, którego z moich śmiertelnych przyjaciół nefilim mógł uznać za więcej niż znajomego. Jakby bycie moim przyjacielem nie było wystarczająco trudne. Dziwne, ale moje myśli natychmiast pobiegły do Setha. A może jednak nie takie dziwne. Pomyślałam o naszych relacjach w ostatnich dniach. Oczywiście były ocenzone i poprawne, ale mimo wszystko dość ciepłe. Wciąż była między nami swojska bliskość. Wciąż czasem zapierało mi dech, kiedy się dotykaliśmy.

Nie, to głupie, uznałam. Moja fascynacja Sethem była płytka. Dzięki jego książkom czciłam go jak bohatera, a nasza osobista przyjaźń stała się swego rodzaju lekiem na Romana. Jeśli nawet Seth się we mnie podkochiwał, podejrzewałam, że wkrótce mu przejdzie. Niczym nie okazywał, że żywi do mnie coś więcej niż przyjacielskie uczucia, a moje trzymanie go na dystans musiało w końcu przynieść efekt. Poza tym ciągle wymykał się na tajemnicze spotkania - pewnie z jakąś dziewczyną, o której przez nieśmiałość wstydził się powiedzieć. Byłoby zarozumiałstwem z mojej strony nawet myśleć o nim jako o potencjalnym chłopaku.

Tylko czy zdawał sobie z tego sprawę? Kto wie, co ten drań sobie myśli? Jeśli obserwował Setha i mnie podczas naszych pogawędek przy kawie, mógł wyciągnąć mylne wnioski. Strach ścisnął mnie za gardło. Miałam ochotę natychmiast pobiec na górę i sprawdzić, czy jest bezpieczny. Ale nie. To byłaby strata czasu, przynajmniej na razie. Siedział i pisał, w miejscu publicznym, wśród ludzi. Nefilim nie zaatakowałby go w takim otoczeniu.

Zastanawiałam się, kto jeszcze? Warren? Podglądacz nefilim patrzył, jak uprawiamy seks. Może uznał, że łączy nas coś

więcej. Oczywiście musiał też zauważyć, że Warren i ja nigdy nie okazywaliśmy sobie bliskości w żaden inny sposób. Biedny Warren. Seks ze mną już i tak mu szkodził. Byłoby niewyobrażalnym okrucieństwem, gdyby stał się celem złe pojętego poczucia humoru nefilima. Na szczęście widziałam dziś Warrena wchodzącego do księgarni. Był zajęty w swoim gabinecie, a gabinet też można chyba uznać za bezpieczne miejsce. Owszem, był sam, ale gdyby został zaatakowany, jego krzyki natychmiast ściągnęłyby czyjąś uwagę. Doug? Od czasu do czasu flirtowaliśmy w najlepsze. Ktoś mógłby pomyśleć, że jego sporadyczne próby zdobycia mnie to przejaw czegoś więcej niż przyjaźni. Ale przez ostatnie tygodnie niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Byłam zbyt zajęta atakami nefilima. I Romanem.

No właśnie, Roman. Ta opcja też majaczyła w moim umyśle. Wypierałam ten fakt, bo to oznaczałoby konieczność skontaktowania się z nim, przerwania milczenia, które tak starałam się utrzymać. Nie wiedziałam, co jest między nami, oprócz palącego pożądania i okazjonalnego poczucia solidarności. Nie wiedziałam, czy to miłość, początek miłości, czy jeszcze coś innego.

Ale wiedziałam, że mi na nim zależy. Bardzo. Tęskniłam za nim. Kompletnie odcięcie się było najbezpieczniejszym sposobem na dojście do siebie, wyleczenie się z tęsknoty i pójście dalej. Bałam się, co może wymknąć z odnowienia naszych kontaktów.

A jednak... właśnie dlatego, że zależało mi na nim, nie mogłam pozwolić, by stał się ofiarą nefilima. Nie mogłam ryzykować, że straci życie - a był najbardziej prawdopodobnym kandydatem. Połowa personelu księgarni uważała nas za parę, więc pewnie nefilim też tak myślał. Szczególnie że podczas wspólnych wyjść mocno się do siebie

kleiliśmy. Śledzący nas nefilim mógłby to zinterpretować jako przejaw zaangażowania.

Wyjęłam komórkę i wybrałam numer Romana, wstrzymując oddech. Nie odebrał.

- Cholera - zakląłam, słuchając komunikatu poczty głosowej. - Cześć, Roman, to ja. Wiem że miałam, uff, nie dzwonić do ciebie więcej, ale coś się wydarzyło... i koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Jak najszybciej. To naprawdę dziwne, ale też bardzo ważne. Proszę, zadzwoń do mnie. - Zostawiłam mu numer do księgarni i na swoją komórkę. Rozłączyłam się, usiadłam i znów zaczęłam myśleć. Co dalej? Zajrzałam do danych pracowników księgarni i zadzwoniłam na domowy numer Douga. Miał dzisiaj wolne. Nie odebrał. Gdzie się wszyscy podzieli?

Wróciłam myślami do Romana, próbując wykombinować, gdzie może teraz być. Pewnie w pracy. Niestety, nie wiedziałam, gdzie pracuje. Cóż ze mnie za niedbała pseudodziewczyna. Powiedział, że jest wykładowcą. Często mówił o swojej pracy, ale zawsze określał ją jako szkoła albo college. Nigdy nie wymienił nazwy.

Usiadłam do komputera i zaczęłam szukać miejscowych college'ów. Kiedy wyszukiwarka wyrzuciła kilkanaście trafień dla samego Seattle, znów zakląłam. Na przedmieściach i w okolicznych miejscowościach też było kilka szkół wyższych. To mogła być każda z nich. Wydrukowałam całą listę, z numerami telefonów i wepchnęłam kartkę do torebki. Musiałam stąd wyjść i zacząć szukać w terenie.

Otworzyłam drzwi gabinetu i wzdrygnęłam się spłoszona. Na drzwiach wisiał kolejny list. Rozejrzałam się po korytarzu w nadziei, że coś zobaczę. Nic z tego. Zerwałam list i otworzyłam go.



„Tracisz czas i mężczyzn. Zgubiłeś już pisarza. Lepiej ruszaj liczyć owieczki”.

- Liczyć owieczki, co ty powiesz - mruknęłam, gniotąc list w garści. - Ale z ciebie palant.

Co miał na myśli, pisząc, że zgubiłam pisarza? Setha? Puls mi przyspieszył. Pognałam do kawiarni, ściągając na siebie kilka zdziwionych spojrzeń.

Setha nie było. Jego kąś świecił pustką.

- Gdzie jest Seth? - zapytałam Bruce'a. - Przed chwilą tu był.

- Był - przyznał barman. - Ale nagle spakował się i wyszedł.

- Dzięki.

O tak, musiałam stąd wyjść. Znalazłam Paige w dziale „Nowe książki”.

- Muszę pójść do domu - powiedziałam jej. - Zaczyna mi się migrena.

Zrobiła przestraszoną minę. Mam najwyższy odsetek obecności z całej załogi. Nigdy nie biorę zwolnień. Choćby dlatego nie mogła mi odmówić. Nie jestem pracownicą, która nadużywa swoich praw.

Kiedy zapewniła, że mogę iść, dodałam:

- Może uda ci się ściągnąć Douga. - To by załatwiło dwie sprawy naraz.

- Może - odparła. - Nie martw się, na pewno sobie poradzimy. Warren i ja będziemy tu cały dzień.

- Warren jest dziś cały dzień?

Przytaknęła, a ja poczułam odrobinę ulgi. Uf. Mogłam go wykreślić z listy.

W drodze do domu zadzwoniłam na komórkę Setha.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.

- W domu. Zapomniałem ważnych notatek.

W domu? Sam?

- Chcesz zjeść ze mną śniadanie? - zapytałam nagle.  
Musiałam go stamtąd wyciągnąć.

- Dochodzi pierwsza.

- Drugie śniadanie? Lunch?

- Nie jesteś w pracy?

- Wzięłam chorobowe.

- A jesteś chora?

- Nie. Po prostu się ze mną spotkaj. - Podałam mu adres i się rozłączyłam.

Jadąc na miejsce spotkania, jeszcze raz spróbowałam dodzwonić się do Romana. Znowu włączyła się poczta głosowa. Wyjęłam listę college'ów i zaczęłam od pierwszego z brzegu.

Co za koszmar. Najpierw musiałam zadzwonić na informację kampusu, a potem spróbować połączyć się z odpowiednim wydziałem. Większość college'ów nie ma nawet wydziału filologicznego, choć niemal wszystkie prowadzą przynajmniej jeden kurs przygotowawczy z pokrewnych przedmiotów, jak antropologia czy nauki humanistyczne.

Zdążyłam obdzwonić trzy szkoły, zanim dojechałam do Capitol Hill, dzielnicy, w której mieszka Doug. Odetchnęłam z ulgą, widząc Seta czekającego przed wskazanym lokalem. Zaparkowałam, wrzuciłam pieniądze do parkometru i podeszłam do niego, usiłując uśmiechać się w miarę normalnie.

Najwyraźniej mi nie wyszło.

- Co się stało?

- Nic, nic - oznajmiłam radośnie. Zbyt radośnie.

Widziałam w jego oczach, że mi nie wierzy, ale nie drążył tematu.

- Tutaj jemy?

- Tak. Ale najpierw odwiedzimy Douga.

- Douga? - Seth był coraz bardziej skołowany.

Poprowadziłam go do kamienicy obok i weszliśmy na piętro Douga. Z mieszkania ryczała muzyka, co uznałam za dobry znak. Musiałam trzy razy załomotać do drzwi, zanim ktoś otworzył. Współlokator Douga. Wyglądał na upaloneg

- Jest Doug?

Mężczyzna zamrugał i podrapał się w długą, rozczochraną czuprynę.

- Doug? - zapytał.

- Tak, Doug Sato.

- A, Doug. Taa.

- Tak, jest w domu?

- Nie, kurde. Jest... - Gość zmrużył oczy. Boże, kto pali trawę o tej porze? Ja nie robiłam tego nawet w latach sześćdziesiątych. - Jest na próbie.

- Gdzie? Gdzie mają próbę?

Gość zagapił się na mnie.

- Kobieto, wiesz, że masz najładniejsze cycki, jakie w życiu widziałem? Są jak... poezja. Prawdziwe?

Zagryzłam zęby.

- Gdzie. Mają. Próbę? - powtórzyłam.

Odkleił wzrok od mojego biustu.

- W zachodnim Seattle. U Alkiego.

- Znasz adres?

- To ... na rogu Kalifornii i Alaski. - Znów zamrugał. - Kurde. Kalifornia skrzyżowana z Alaską. Kumaszc?

- Adres?

- Zielony domek. Nie da się przegapić.

Nie był w stanie dostarczyć więcej informacji, więc ja i Seth poszliśmy do restauracji, którą wybrałam.

- Poezja - rzucił po drodze ubawiony. - Powiedziałbym, że jak w wierszu, ee, Cummingsa.

Byłam zbyt niespokojna, żeby przetworzyć jego słowa. W głowie miałam tornado. Nawet gofry z truskawkami nie mogły oderwać moich myśli od głupiej gry w liczenie owieczek. Seth próbował ze mną rozmawiać, ale odpowiadałam półsłówkami i nie na temat. Myślami byłam zupełnie gdzie indziej. Kiedy skończyliśmy jeść, jeszcze raz bezskutecznie spróbowałam dodzwonić się do Romana, po czym spytałam Seta:

- Wracasz do księgarni?

Pokręcił głową.

- Nie. Jadę do domu. Okazało się, że potrzebuję zbyt wielu notatek do napisania tej sceny. Prościej będzie zostać we własnym gabinecie.

Ogarnęła mnie panika.

- W domu? Ale... - Co miałam mu powiedzieć? Że jeśli zostanie w domu, grozi mu atak socjopatycznej nadprzyrodzonej istoty?

- Zostań ze mną - wypaliłam. - Pozaałatwiasz ze mną parę spraw.

Jego gruczna uległość w końcu się wyczerpała.

- Na litość boską, Georgino, co się dzieje? Bierzesz zwolnienie, chociaż nie jesteś chora. Widać, że jesteś czymś przejęta, i to bardzo. Powiedz mi, o co chodzi. Czy coś się stało Dougowi?

Na sekundę zamknęłam oczy. Chciałam, żeby to się już skończyło. Chciałam być gdzie indziej. Albo kimś innym. Seth pewnie myślał, że zwariowałam.

- Nie mogę ci powiedzieć, co się dzieje, oprócz tego, że to coś złego. Musisz się tym zadowolić. - Z wahaniem wyciągnęłam rękę i ucisnęłam jego dłoń, patrząc mu błagalnie w oczy.

- Proszę cię. Zostań ze mną.

Chwycił mocniej moją dłoń i zbliżył się o krok. W jego twarzy widziałam troskę i współczucie. Na chwilę zapomniałam o

nefilimie. Cóż znaczyli inni mężczyźni, kiedy Seth tak na mnie patrzył? Nagle zapragnęłam go objąć, poczuć wokół siebie jego ramiona.

Omal się nie roześmiałam. Kogo chciałam oszukać?

Martwiłam się, że go zwodzę, ale nie tego powinnam się bać.

To ja traciłam dla niego głowę. To była moja wina, że nasza znajomość nabierała głębi. Nie mogłam dłużej zwlekać; musiałam to skończyć raz na zawsze.

Pospiesznie wyrwałam dłoń i spuściłam oczy.

- Dziękuję.

Zaproponował, że poprowadzi samochód do zachodniego Seattle, żebym ja mogła dalej obdzwaniać college'e. Prawie skończyłam, kiedy dojechaliśmy na skrzyżowanie ulic Alaska

i Kalifornia. Zwolnił trochę i oboje zaczęliśmy się rozglądać, szukając zielonego domku.

„Nie da się przegapić”. Co za głupia wskazówka. A poza tym, co to znaczy „zielony”? Zobaczyłam seledynowy dom, butelkowo zielony dom i dom, który można by uznać za zielony albo niebieski. Niektóre domy miały zielone gzymsy, zielone drzwi albo...

- Hej - powiedział Seth.

Mały zrujnowany domek, pomalowany na żarówiastozielony kolor z miętowym odcieniem stał trochę z tyłu, niemal zasłonięty przed dwa dużo ładniejsze budynki.

- Nie da się przegapić - mruknęłam.

Zaparkowaliśmy i ruszyliśmy do domku. Z garażu dobiegały głośne odgłosy próby zespołu. Kiedy stanęliśmy w otwartych drzwiach, zobaczyłam Nocturnal Admission w całej krasie i Douga wywrzaskującego tekst piosenki swoim niesamowitym głosem. Urwał nagle, kiedy mnie zobaczył.

- Kincaid?

Jego koledzy z zespołu patrzyli zdziwieni, kiedy zeskokczył z podwyższenia i podbiegł do mnie. Seth dyskretnie odsunął się o kilka kroków i zaczął oglądać krzaczki hortensji.

- Co tu robisz? - zapytał Doug osłupiały.
  - Wzięłam zwolnienie - odparłam głupio. I co teraz?
  - Jesteś chora?
  - Nie. Miałam... coś do załatwienia. Ciągle mam. Ale... ale martwię się, że zostawiłam księgarnię. Długo tu będziesz? Możesz mnie potem zastąpić?
  - Przyszłaś tutaj prosić mnie o zastępstwo? Dlaczego wzięłaś zwolnienie? Postanowiłaś wreszcie uciec z Mortensenem?
  - No... nie. Nie mogę ci tego wyjaśnić. Po prostu obiecaj mi, że po próbie zajrzysz do księgarni i sprawdzisz, czy nie potrzebują pomocy.
- Gapił się na mnie z taką samą miną, jaką przez całe popołudnie oglądałam u Seta - sugerującą, że przydałoby mi się coś na uspokojenie.
- Kincaid... trochę mnie przerażasz...

Włączyłam charyzmę sukuba i posłałam mu to samo zbolale spojrzenie, którego użyłam na Secie.

- Proszę. Nadal jesteś mi winien przysługę. Zmarszczył brwi skonsternowany. I trudno mu się dziwić. W końcu powiedział:
- Okej. Ale będę mógł stąd wyjść dopiero za parę godzin.
- Nic nie szkodzi. Tylko pojedź tam prosto z próby. Nigdzie się nie zatrzymuj. I... nie mów im, że mnie widziałeś. W końcu niby jestem chora. Wymyśl jakąś wymówkę, dlaczego przyszedłeś. Zrezygnowany pokręcił głową, a ja uściskałam go szybko, dziękując, że się zgodził. Kiedy wychodziliśmy, dostrzegłam, że

Doug spojrział pytająco na Setha. Seth wzruszył ramionami, odpowiadając mu skołowanym spojrzeniem.

Po drodze wykonałam jeszcze kilka telefonów, odfajkowując resztę college'ów z listy. Zostawiłam też kolejną rozpaczliwą wiadomość Romanowi.

- Co teraz? - zapytał Seth, kiedy umilkłam. Trudno było stwierdzić, co sobie myśli o moim nękanu Douga i Romana.

- Nie wiem.

Naprawdę nie miałam pojęcia. Wszyscy byli bezpieczni, z wyjątkiem Romana, a z nim nie mogłam się skontaktować. Zegar tykał. Nie wiedziałam, gdzie on mieszka. Wspominał kiedyś o Madronie, ale to duża dzielnica. Nie mogłam przecież pukać kolejno do wszystkich drzwi. Nefilim powiedział, że mam czas do końca zmiany. Urwałam się z pracy, ale zakładałam, że wciąż liczy się dziewięta wieczorem. Zostały mi jeszcze trzy godziny.

- Chyba wezmę swój samochód i wrócę do domu.

Seth podrzucił mnie pod restaurację i pojechał za mną na Queen Annę. Zatrzymało go czerwone światło, więc dotarłam do mieszkania jakąś minutę przed nim. Na moich drzwiach wisiał kolejny list.

*„Niezła robotą. Pewnie zniechęcisz do siebie wszystkich kumpli swoim nieobliczalnym zachowaniem, ale podziwiam twoją determinację. Został jeszcze jeden. Ciekawe, czy twój tancerz jest naprawdę szybki w nogach”.*

Zgniałałam właśnie list w kulkę, kiedy zjawił się Seth. Wyjęłam klucz z torebki i nieporadnie spróbowałam wsunąć go w zamek. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że mi się nie udało.

Seth wziął ode mnie klucz i otworzył drzwi.

Weszłam i klapnęłam na kanapę. Aubrey wysliznęła się spod niej i wskoczyła mi na kolana. Seth usiadł obok, przyglądając się mojemu mieszkaniu - łącznie z pięknie wyeksponowaną

kolekcją jego książek na nowym regale. W końcu spojrzął na mnie zaniepokojony.

- Georgino... co jeszcze mogę zrobić?

Pokręciłam głową bezradna i pokonana.

- Nic. Po prostu cieszę się, że tu jesteś.

- Ja... - Zawahał się. - Bardzo mi przykro, ale niedługo będę musiał wyjść. Jestem z kimś umówiony.

Poderwałam głowę. Kolejne tajemnicze spotkanie. Ciekawość chwilowo zastąpiła strach. Przecież nie mogę go wypytywać, pomyślałam. Nie mogę zapytać, czy spotyka się z kobietą. Przynajmniej powiedział, że jest umówiony z „kimś”. To znaczy, nie będzie sam.

- Więc... będziesz z... tym kimś... jakiś czas?

Skinął głową.

- Mogę zajrzeć do ciebie wieczorem, jeśli chcesz. Albo... odwołam to.

- Nie, nie, nie przejmuj się. - Do wieczoru będzie już po wszystkim.

Został jeszcze chwilę, próbując wciągnąć mnie do rozmowy, w której nie byłam w stanie uczestniczyć. Kiedy zaczął się zbierać do wyjścia, dostrzegłam wypisany na jego twarzy niepokój i poczułam się fatalnie, że go w to wplątałam.

- Do jutra wszystko się ułoży - powiedziałam mu. - Więc nie martw się. Niedługo będę normalna. Obiecuję.

- Okej. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi znać. Dzwon o każdej porze dnia i nocy. Jeśli nie... do zobaczenia w pracy.

- Jutro mam wolne.

- Och, no tak. A pogniewasz się, jeśli wpadnę?

- Bardzo proszę. - Zgodziłabym się na wszystko. Byłam zbyt zmęczona, żeby myśleć o swoim postanowieniu zerwania z nim kontaktów. Uznałam, że pomartwię się o to później. Bez przesady. Jedno zmartwienie naraz wystarczy.



Wyszedł z ociąganiem, bez wątpienia zdziwiony moją prośbą, żeby spędził dużo czasu z osobą, z którą miał się spotkać. Co do mnie, zaczęłam krążyć po mieszkaniu, nie wiedząc, co robić. Może nie mogłam złapać Romana, bo nefilim już go dopadł. To byłoby nie fair, skoro nie miałam możliwości go ostrzec, ale nefilim nie wyglądał na kogoś, kto postępuje fair. W przypiływie natchnienia zadzwoniłam do biura numerów, zdając sobie sprawę, że przegapiłam najbardziej oczywisty sposób skontaktowania się z Romanem. Nic z tego. Jego numeru nie było w książce.

Dwie godziny przed końcem zmiany zostawiłam Romanowi kolejną wiadomość.

- Proszę, proszę, proszę, zadzwoń - błagałam. - Nawet jeśli jesteś na mnie zły za to, co się stało. Chcę tylko wiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku.

Nie oddzwonił. Minęła ósma. Została godzina. Jeszcze raz nagrałam mu się na pocztę głosową. Czułam, że ogarnia mnie histeria. Boże, co robić? Nie wiedziałam. Dalej chodziłam po mieszkaniu, zastanawiając się, czy tak krótkie przerwy między kolejnymi telefonami do Romana to nie przeciążenie.

Za pięć dziewiąta, u kresu wytrzymałości złapałam torebkę, gnana potrzebą wyjścia z mieszkania i zrobienia czegoś. Czegokolwiek. Czas już prawie minął.

Co się teraz stanie? Skąd będę wiedziała, czy udało mi się spełnić warunki nefilima? Kiedy w jutrzejszej gazecie zobaczę na pierwszej stronie nagłówek o zamordowaniu Romana? Czy dostanę jeszcze jedno ostrzeżenie? A może jakiś makabryczny dowód? A jeśli nefilim wcale nie miał na myśli mężczyzn, których wzięłam pod uwagę? A jeśli to był ktoś zupełnie spoza kręgu...

Otworzyłam drzwi i wciągnęłam głośno powietrze.

- Roman!

Stał w progu z ręką uniesioną do pukania, równie zaskoczony jak ja.

Upuściłam torebkę i rzuciłam się na niego, żarliwie go ściskając, przez co o mało go nie przewróciłam.

- Boże - sapnęłam w jego ramię. - Tak się cieszę, że jesteś.

- Właśnie widzę - odparł, odsuwając się trochę. Spojrzał na mnie zatroskanymi turkusowymi oczami. - Jezu, Georgino, co się stało? Dostałem od ciebie chyba z osiemdziesiąt wiadomości...

- Wiem, wiem - odparłam, wciąż go nie puszczając. Jego widok obudził we mnie dawne uczucia, choć myślałam, że skutecznie pogrzebałam je w sobie. Świetnie wyglądał. I cudownie pachniał. - Przepraszam... ale... myślałam, że coś ci się stało...

Znów go uściśkałam, kątem oka zerkając na zegarek.

Dziewiąta. Moja zmiana się skończyła, a wraz z nią idiotyczna gra nefilima.

- Okej, już dobrze. - Pogłaskał mnie niezręcznie po plecach. - Co się dzieje?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Głos mi się trząśł.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zmienił zdanie.

- Już dobrze. Powoli. Jesteś błada. Chodźmy coś zjeść i przy okazji wszystko mi wyjaśnisz.

Tak, to by była zabawna rozmowa.

- Nie. Nie możemy tego zrobić...

- Daj spokój. Chyba nie będziesz mi znowu wmawiała, że potrzebujemy przestrzeni po tym, jak zostawiałaś mi te rozpaczliwe wiadomości. Mówię poważnie, Georgino. Jesteś w proszku. Trzęsiesz się. W żadnych okolicznościach nie zostawiłbym cię samej w takim stanie, a co dopiero po tych wszystkich telefonach.

- Nie. Nie. Żadnego wychodzenia. - Usiadłam na kanapie.  
Wiedziałam, że muszę go wyprosić, ale wcale nie miałam na to ochoty. - Zostańmy tutaj.  
Wciąż zaniepokojony przyniósł mi szklankę wody, a potem usiadł przy mnie i wziął mnie za rękę. Mijał czas, a ja uspokajałam się, słuchając Romana, który rozprawiał o jakichś głupstwach, żebym poczuła się lepiej.  
Muszę przyznać, że zachował się bardzo w porządku w sprawie moich psychopatycznych telefonów. Z początku próbował delikatnie wydobyć ze mnie wyjaśnienie, ale kiedy wciąż się migałam, mówiąc tylko, że miałam powody się o niego martwić, przestał naciskać. Dzielnie mnie rozweselał, opowiadając zabawne historyjki lub wygłaszając swoje polityczne monologi, narzekając na bezsensowne przepisy i hipokryzję władz.  
Późnym wieczorem byłam już całkiem spokojna - pozostało tylko zażenowanie po tym, jak się zachowywałam. Do diabła, nienawidziłam tego nefilima.
- Robi się późno. Mogę iść? Poradzisz sobie? - zapytał, stojąc ze mną przy oknie salonu wychodzącym na aleję Queen Annę.
- Pewnie lepiej niż jeśli zostaniesz.
- To zależy od punktu widzenia. - Roześmiał się i pogłaskał moje włosy.
- Dzięki, że przyszedłeś. Wiem... wiem... że to wyglądało na jakąś bzdurę, ale musisz mi zaufać w tej sprawie.  
Wzruszył ramionami.
- Chyba nie mam wyboru. Poza tym... miło wiedzieć, że się o mnie martwiłeś.
- Oczywiście że tak. Jak mogłam się nie martwić?

- Nie wiem. Trudno cię rozgryźć. Nie wiem, czy naprawdę mnie lubisz, czy... byłem tylko rozrywką. Zabawką.

Jego słowa trąciły strunę w mojej głowie.

Przypomniały coś, na co powinnam była zwrócić uwagę. Ale byłam bardziej zajęta jego nieoczekiwaną bliskością, dłonią zsuwającą się z policzka na szyję i na ramię. Miał długie, zmysłowe palce. Palce, które mogły zdziałać cuda w odpowiednim miejscu i czasie.

- Naprawdę cię lubię, Roman. Nawet jeśli nie wierzysz w resztę tego, co mówię, uwierz w to.

Uśmiechnął się, a jego uśmiech był tak pełny, tak piękny, że serce mi stopniało. Boże, tęskniłam za tym uśmiechem, za jego zabawnym, zawadiackim urokiem. Przesunąwszy rękę z powrotem na moją szyję, przyciągnął mnie do siebie.

Zrozumiałam, że za chwilę znowu mnie pocałuje.

- Nie... nie... nie rób tego - wymamrotałam, wykręcając się spod jego dłoni.

Wycofał się z pocałunku, ale wciąż trzymał mnie w objęciach. Westchnął z rozczarowaną miną.

- Wciąż się o to martwisz?

- Nie zrozumiesz tego. Przepraszam. Po prostu nie mogę...

- Georgino, nic straszego się nie stało, kiedy ostatnio się pocałowaliśmy. Pomijając twoją reakcję.

- Wiem, ale to nie takie proste.

- Nic się nie stało - powtórzył dziwnie twardym tonem.

- Wiem, ale...

Moje usta znieruchomiały w połowie zdania, kiedy dotarły do mnie jego słowa: „Nic się nie stało”. A jednak coś się stało tamtej nocy na koncercie, kiedy całowaliśmy się w korytarzu. Widziałam, jak Roman zatoczył się po pocałunku. A ja... co stało się ze mną? Co czułam? Nic. Pocałunek tak namiętny, pocałunek z kimś silnym, z kimś, kogo tak bardzo pragnęłam,

powinien wywołać jakąś reakcję. Nawet głęboki pocałunek z człowiekiem o niskim poziomie energii, jak Warren, budził instynkt sukuba, inicjując połączenie, nawet jeśli nie następował znaczący przepływ energii. Całowanie się w taki sposób z Romanem - szczególnie że najwyraźniej na to zareagował - powinno i u mnie wywołać jakieś odczucia. A jednak nie czułam nic. Absolutnie nic.

Wtedy zrzuciłam winę na nadmiar alkoholu. Ale to było śmieszne. Nieraz piłam przed kradzieżą energii. Alkohol mógł mi zmącić rozum - tak jak to się stało tamtej nocy - ale upojenie alkoholowe nie było w stanie całkowicie znieść odczuwania przepływu siły życiowej. Nic nie mogło tego zamaskować. Pijana czy nie zawsze czułam coś podczas intymnego kontaktu, chyba że...

Chyba że byłam z innym nieśmiertelnym.

Odskoczyłam od Romana, wyrrywając się z jego objęć. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, szybko ustępując miejsca zrozumieniu. Jego piękne oczy błysnęły niebezpiecznie, kiedy się roześmiał.

— Długo ci zeszło.

## Rozdział 22

- Udawałeś... udawałeś, że ci zaszkodziłam. - Byłam w szoku. Moje słowa były zduszone, urywane. Śmiejąc się, zrobił krok w moją stronę, a ja skuliłam się, gorączkowo szukając drogi ucieczki z własnego mieszkania. Wnętrze, które jeszcze przed chwilą wydawało się tak bezpieczne i przytulne, stało się ciasne i duszne. Pokoje były zbyt małe, drzwi za daleko.

Nie mogłam oddychać. Rozbawienie na twarzy Romana zmieniło się w osłupienie.

- Co się stało? Czego się boisz?

- A jak myślisz?

Zamrugnęłam.

- Mnie?

- Tak, ciebie. Mordujesz nieśmiertelnych.

- To fakt - przyznał - ale ciebie nigdy bym nie skrzywdził.

Nigdy. Chyba to wiesz, prawda? - Nie odpowiedziałam. - Nie wiesz?

Cofałam się coraz dalej, choć miałam odciętą drogę ucieczki. Stałam w taki sposób, że mogłam cofnąć się tylko do sypialni, nie w stronę drzwi wyjściowych. Niedobrze.

Roman wciąż wydawał się zaskoczony moją reakcją.

- Żartujesz? Przestań. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

Jestem w tobie prawie zakochany. Do diabła, masz pojęcie, jak mi już nabruździłaś w tej akcji?

- Ja? A co ja zrobiłam?

- Co zrobiłaś? Owinęłaś sobie mnie wokół małego palca. Tamtego dnia... kiedy poprosiłaś mnie o pomoc w księgarni? Nie wierzyłem we własne szczęście.

Obserwowałem cię przez cały tydzień, starając się poznać twoje zwyczaje. Chryste, nie zapomnę dnia, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy. Jaka byłaś zadziorna. Jaka piękna. Już wtedy poszedłbym za tobą na koniec świata. A później... kiedy po spotkaniu z Mortensenem nie chciałaś się ze mną umówić? Nie mogłem w to uwierzyć.

Z początku miałaś być moim pierwszym celem, wiesz? Ale nie potrafiłem tego zrobić. Nie po rozmowie z tobą. Kiedy już się przekonałem, kim jesteś.

Przełknęłam ślinę, ciekawa wbrew samej sobie.

- A... a kim jestem?

Zbliżył się o krok, z tęsknym uśmiechem na przystojnej twarzy.

- Sukubem, który nie chce być sukubem. Sukubem, który chce być człowiekiem.

- To nieprawda...

- Oczywiście że tak. Jesteś taka jak ja. Nie grasz według zasady. Masz dość systemu. Nie pozwalasz się wtłoczyć w rolę, którą ci wyznaczono. Boże, nie mogłem w to uwierzyć, kiedy cię obserwowałem. Im bardziej byłaś mną zainteresowana, tym bardziej starałaś się wycofać. Myślisz, że to normalne u sukuba? Była to najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką widziałem, nie wspominając już, że najbardziej frustrująca. To dlatego zdecydowałem się dziś do ciebie przyjść. Nie wiedziałem, czy naprawdę zerwałaś ze mną dla mojego dobra, czy dla tego że jesteś zainteresowana kimś innym, na przykład Mortensenem.

- Zaraz... to dlatego urządziłaś tę głupią grę? Żeby podbudować swoje pieprzone ego?

Roman wzruszył bezradnie ramionami, wciąż bardzo zadowolony z siebie.

- To wydaje się bardzo płytkie, kiedy tak to ujmujesz. Zgoda, to było dość głupie. I może trochę dziecinne. Ale musiałem się dowiedzieć, co czujesz. Nie wyobrażasz sobie, jak się wzruszyłem, widząc, że tak się o mnie martwisz, nie wspominając już o tym, że zadzwoniłaś do mnie jako pierwszego. To mi dało prawdziwego kopa: że wybrałaś mnie przed innymi.

Już miałam sprostować, że w pierwszej chwili pomyślałam o Secie, a do niego zadzwoniłam najpierw tylko dlatego, że uważałam, iż Seth jest bezpieczny, ale ugryzłam się w język. Lepiej niech Roman myśli, że dowiódł swego.

- Powinieneś się leczyć na głowę - powiedziałam w zamian, może nierozsądnie. - To nienormalne, żeby tak mnie tresować dla własnej frajdy. Mnie i innych nieśmiertelnych.
- Być może. I przepraszam, jeśli naraziłem cię na nieprzyjemności. A co do reszty... - Pokręcił głową. - To im dobrze robi. Oni tego potrzebują, Georgino. Czy to cię nie złości? To, co ci zrobili? Najwyraźniej nie jesteś zadowolona ze swojego losu, ale czy goście na górze pozwolą ci coś zmienić? Nie. Tak jak nie dadzą spokoju mnie i mnie podobnym. System jest niesprawny. Są zamknięci w swojej pieprzonej mentalności, która dzieli świat na dobry i zły. Nie dopuszczają żadnej szarości, żadnej elastyczności. Dlatego krążę po świecie i robię to, co robię. Oni potrzebują takiej pobudki. Muszą wiedzieć, że nie są alfą i omegą grzechu i zbawienia. Niektórzy z nas wciąż walczą.
- Krążysz po świecie... Jak często to robisz? Jak często zabijasz?
- Och, nie tak znowu często. Co jakieś dwadzieścia do pięćdziesięciu lat. Czasem wiek. Takie akcje oczyszczają mnie na chwilę, a potem, w miarę upływu lat, znów zaczynam się wkurzać na system i wybieram nowe miejsce, nowy krąg nieśmiertelnych.
- I schemat jest zawsze ten sam? - Przypomniałam sobie symbole, które widziałam u Jerome'a. - Faza ostrzeżenia... a potem decydujące starcie? Roman się ożywił.
- Proszę, proszę, odrobiłaś lekcje. Tali, zwykle tak to się odbywa. Najpierw eliminuję kilku niższych nieśmiertelnych. Są łatwymi celami, choć zawsze kosztują mnie trochę wyrzutów sumienia. Są takimi samymi ofiarami systemu jak ty czy ja. Zamieszanie wśród nich napędza stracha wyższym nieśmiertelnym. Kiedy wszystko jest już gotowe, mogę przejść do głównej atrakcji.



- Jerome'a - rzuciłam ponuro.
- Kogo?
- Jerome'a... miejscowego arcydemona. - Zawahałam się.
- I twojego ojca.
- Ach, tak.
- Co to ma znaczyć? Mówisz, jakby nie miał dla ciebie większego znaczenia.
- W szerszej perspektywie, nie ma.
- Tak... ale to twój ojciec...
- I co z tego? Nasz związek, czy też jego brak, niczego nie zmienia.

Jerome powiedział niemal dokładnie to samo o Romanie. Nieco uspokojona, że nie grozi mi natychmiastowe unicestwienie, a jednocześnie oszołomiona usiadłam na poręczy najbliższego fotela.

- Ale... to przecież on jest główną atrakcją. Wyższym nieśmiertelnym, którego planujesz zabić.
- Roman pokręcił głową z poważną miną.
- Nie. Nie tak działa ten schemat. Kiedy mam już z głowy niższych nieśmiertelnych, skupiam się na grubej rybie. Na prawdziwej elektrowni napędzającej okolicę. To bardziej wytrąca ich z równowagi, daje lepszy efekt psychologiczny. Jeśli uda mi się załatwić najsilniejszego koguta w kurniku, zaczynają się bać, że nikt nie jest bezpieczny.
  - Więc jednak Jerome.
  - Nie, nie Jerome - zaprzeczył cierpliwie. - Arcydemon czy nie arcydemon, mój szanowny ojciec nie jest największym źródłem mocy w okolicy. Nie zrozum mnie źle, mam sporą satysfakcję, że obszczywam jego terytorium, ale jest ktoś, przy kim Jerome to płotka. Pewnie go nie znasz. Raczej nie miałabyś powodu się z nim zadawać. Silniejszy niż Jerome? Zostawał tylko...

- Carter. Polujesz na Cartera.
- Tak ma na imię? Miejscowy anioł?
- Jest silniejszy niż Jerome?
- O wiele. - Roman spojrział na mnie z zaciekawieniem. -  
Znasz go?

- S... słyszałam o nim - skłamałam. -Jak powiedziałeś, raczej się z nim nie zadaję.  
Mój umysł pracował jak szalony. Celem był Carter? Łagodny, sardoniczny Carter? Nie chciało mi się wierzyć, że jest

silniejszy niż Jerome, choć w sumie niewiele o nim wiedziałam. Nie wiedziałam nawet, jaką ma pracę czy misję w Seattle. Jedno było dla mnie oczywiste i najwyraźniej tylko dla mnie - jeśli anioł naprawdę przewyższał mocą demona, to Roman nie mógł mu nic zrobić, nie jeśli zasada o nieprzewyższaniu mocą rodzica była prawdziwa. Nie było opcji, żeby Roman mógł skrzywdzić Jerome'a czy Cartera. Na wszelki wypadek postanowiłam mu o tym nie wspominać - ani o fakcie, że w rzeczywistości znam Cartera lepiej, niż sądził. Im więcej miał złudzeń, tym większe mieliśmy szansę skutecznie mu się przeciwstawić.

- To dobrze. Nie sądziłem, że sukub może być w dobrych stosunkach z aniołem, ale z tobą nigdy nic nie wiadomo. Masz ostry język, a i tak kręci się koło ciebie mnóstwo wielbicieli.

- Roman rozluźnił się trochę i oparł o ścianę, krzyżując ręce na piersi. - Słowo daję, że już i tak stawałem na rzesach, żeby omijać twoich przyjaciół.

Złość pomogła mi przetrwać strach.

- Naprawdę? A Hugh?
- A który to?
- Diablik.

- Ach, tak. Cóż, musiałem dać przykład innym, więc owszem, trochę go pokiereszowałem. Był wobec ciebie bezczelny.
- Ale go nie zabiłem. - Postął mi na wpół krzepiące spojrzenie.
- Zrobiłem to dla ciebie.
- Nie odpowiedziałam. Przypomniałam sobie, jak Hugh wyglądał w szpitalu. Bezczelny?
- A reszta? - ciągnął Roman. - Ta wkurzająca anielica? Wampir, który ci groził? Chciałem mu skrócić kark na miejscu. Pozbyłem się ich dla ciebie. Nie musiałem tego robić. Zemdliło mnie. Nie chciałam mieć ich krwi na rękach.
- Bardzo troskliwie z twojej strony.
- Och, daj już spokój. Musiałem coś zrobić. Natomiast kiedy poznałem na lekcji tańca twojego przyjaciela wampira, nie potrafiłem się zdobyć, żeby zrobić mu krzywdę. Postawiłaś mnie w trudnej sytuacji. Kończyły mi się ofiary.
- Przepraszam za kłopot - wypaliłam, coraz bardziej wściekła. Pewnie powinnam mu jeszcze podziękować za współczucie.
- To dlatego potraktowałaś mnie ulgowo tamtego wieczoru?  
Zmarszczył brwi.
- O czym mówisz?
- Dobrze wiesz, o czym mówię! - Kiedy przypomniałam sobie okoliczności tamtego ataku, wszystko ułożyło się w sensowną całość. Zostałam pobita po wizycie w Krystal Starz, dzień po tym, jak uciekałam od Romana na koncercie. Miał doskonały powód, żeby się na mnie wściec i chcieć się odegrać. - Nie pamiętasz? Dzień po koncercie Douga? Kiedy byłam z Sethem?  
Nagle zrozumiał, o czym mówię.
- Ach. To.
- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Przyznaję, że to było trochę szczeniackie, ale nie możesz mi się dziwić. Nie było mi łatwo patrzeć, jak przytulasz się do Mortensena po tym, jak mnie urządziłaś taką scenę. Poprzedniego wieczoru patrzyłem, jak idziesz z nim do domu. Musiałem coś zrobić.

Zerwałam się z fotela. Mój dawny lęk powrócił.

- Musiałeś coś zrobić? Na przykład sprać mnie do nieprzytomności w ciemnej uliczce?

Roman uniósł brew.

- O czym ty mówisz? Przecież powiedziałem, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

- W takim razie, o czym ty mówisz?

- O lodziarni. Śledziłam was tego dnia i kiedy zobaczyłem, jak wam się miło gawędzi przy deserze, zrobiłem się zazdrosny i wywaliłem drzwi. Szczeniacka zagrywka, powtarzam.

- Pamiętam to... - Umilkłam, przypominając sobie, jak drzwi nagle się otworzyły i gwałtowny wiatr narobił bałaganu w kawiarence. Tak silny wiatr jest nietypowy w tych stronach, ale nigdy bym nie podejrzewała, że był zjawiskiem nadprzyrodzonym. Roman miał rację, to było szczeniackie.

- Więc o co chodzi z tą ciemną uliczką? - przypomniał mi.

Wyrwałam się z zamyślenia.

- Później... tego samego wieczoru. Załatwiałam sprawy i ty... albo ktoś... zaatakował mnie w drodze do domu. Twarz Romana stała się lodowata, oczy zmieniły w turkusowe stalowe ostrza.

- Opowiedz mi o tym. Opowiedz wszystko. Co dokładnie się stało.

Opowiedziałam mu o tropie prowadzącym do książki Harringtona, o wycieczce do Krystal Starz i powrocie do domu po ciemku. Ocenzurowałam tylko interwencję anioła. Nie chciałam, by Roman wiedział, że znam Cartera bliżej, bo mógłby wpaść na pomysł, że zechcę zasabotować jego plany. Im bardziej był przekonany, że anioł mnie nie obchodzi, tym większe miałam szansę wysłać jakieś ostrzeżenie. Kiedy skończyłam, Roman oparł głowę o ścianę, zamknął oczy i westchnął. Nagle nie wyglądał już jak niebezpieczny morderca. Przypominał raczej zmęczoną wersję faceta, którego omal nie pokochałam.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że to za wiele prosić, żeby nie mieszano się w moje sprawy.

- Co... co masz na myśli? - Po plecach przebiegły mi ciarki.

- Nic. Zapomnij o tym. Posłuchaj, przepraszam cię za to. Powinienem był wcześniej pomyśleć o zapewnieniu ci bezpieczeństwa. I wiedziałem... pamiętasz następny dzień? Kiedy przyszedłem, a ty ze mną zerwałaś? Mimo metamorfozy wiedziałem, że jesteś ranna. Wiedziałem też, że to sprawa nieśmiertelnego, ale nigdy bym nie podejrzewał... Myślałem, że to ktoś z twojego kręgu, ktoś z kim zadarłaś. Zostały na tobie ślady... resztki czyjejś mocy... jakby demona...

- Ale to nie... och. Masz na myśli Jerome'a.

- Ukochanego tatusia? Nie mów mi... nie mów mi, że coś ci zrobił. - Jego chwilowa łagodność zniknęła bez śladu.

- Nie, nie - odparłam szybko, przypominając sobie pogadankę Jerome'a, kiedy przyszpilił mnie do kanapy. - To nie było tak. To był raczej popis mocy, nic groźnego. To nie on mnie pobił. On nie podniósłby na mnie ręki.

- I dobrze. Oczywiście nie jestem zachwycony tym, co się stało w tej uliczce i utnę sobie pogawędkę z winowajcą.

Dopilnuję, żeby to się nie powtórzyło. Kiedy cię zobaczyłem tego dnia, kusiło mnie, żeby wymieść wszystkich nieśmiertelnych z okolicy. Na myśl, że ktoś zadał ci ból... - Był coraz bliżej i bliżej. Niepewnie uściśnął moje ramię. Nie wiedziałam, czy się cofnąć, czy wyciągnąć do niego ręce. Nie wiedziałam, jak pogodzić dawną fascynację z nowym strachem przed nim. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy, Georgino.

- Więc jak... w tej uliczce...

Zanim dokończyłam tę myśl, w głowie zadźwięczały mi słowa Romana: „Kiedy cię zobaczyłem tego dnia”. Odwiedził mnie wtedy, po napaści - przyszedł, kiedy Carter pognał sprawdzić sygnał od nefilima. Czy to możliwe? Nie pamiętałam, gdzie dokładnie pojawił się sygnał, ale na pewno nie w pobliżu. Roman nie mógł podpuścić Cartera, a potem tak szybko znaleźć się w moim mieszkaniu.

Wiedziałem, że to za wiele prosić żeby nie mieszano się w moje sprawy. Utnę sobie pogawędkę z winowajcą.

Nagle zrozumiałam, dlaczego Roman uważa, że może załatwić Cartera, dlaczego brak wystarczającej mocy go nie martwi. Ta świadomość spadła na mnie jak ołowiany ciężar, przytłaczający i zimny. Nie wiem, co wyrażała moja twarz, ale rysy Romana zmiękczyło nagle współczucie.

- Co się stało?

- Ilu? - spytałam szeptem.

- Co ilu?

- Ilu nefilimów jest w mieście?

## Rozdział 23

Dwójka - odparł po chwili wahania. - Tylko dwójka. - Tylko dwójka - powtórzyłam bezbarwnym tonem. Jasna cholera. - Dwójka łącznie z tobą?

- Tak.

Rozmasowałam skronie, zastanawiając się, jak ostrzec Jerome'a i Cartera, że mamy do czynienia z dwoma nefilimami. Nikt nie wspomniał o takiej możliwości.

- Ktoś powinien był się zorientować - mruknęłam, bardziej do siebie niż do Romana. - Ktoś powinien to wyczuć... Powinny być dwie różne aury. To w ten sposób Jerome zorientował się, że to ty. Masz niepowtarzalną aurę, nikt inny nie ma takiej samej.

- Nikt - przyznał Roman z drwiącym uśmieszkiem - z wyjątkiem mojej siostry.

Cholera. Cholera. Cholera.

- Jerome nie wspominał, że ma więcej... ach. - Zamrugalam, nagle rozumiejąc. Jerome sam przyznał, że nie był obecny przy narodzinach dziecka. - Bliźniaki? Czy... jest was więcej?

- Arcydemon równie dobrze mógł splotzić pięcioraczki. Roman pokręcił głową, wciąż rozbawiony moją dedukcją.

- Bliźniaki. Jest nas tylko dwójka.

- Więc to rodzinny interes? We dwójkę ruszacie w drogę, wędrujecie od miasta do miasta, siejąc zamęt...

- To nie wygląda tak romantycznie, kochanie. Zwykle działam sam. Moja siostra stara się nie wychylać, spędza więcej czasu w pracy i próbuje prowadzić normalne życie. Nie daję się wciągać w dziejowe spiski.

- Więc jak ją namówiłeś do udziału w tym? - Znowu przypomniały mi się słowa Erika, że większość nefilimów chce tylko, by dano im spokój.

- Mieszka tutaj, w Seattle. Jesteśmy na jej terenie, więc namówiłem ją, żeby pomogła mi zabić najważniejszą ofiarę. Zabawy z niższymi nieśmiertelnymi zupełnie jej nie kręcą.

- Z wyjątkiem pobicia mnie - wytknęłam mu.

- Przykro mi. Zdaje się, że ją wkurzyłaś.

- Nawet jej nie znam - wykrzyknęłam, zastanawiając się, co gorsze: zakochany nefilim czy nefilim mający do mnie pretensje.

Uśmiechną się tylko.

- Nie byłbym tego taki pewny. - Wyciągnął rękę, by mnie dotknąć, jak gdyby nigdy nic, ale cofnęłam się, gasząc jegouśmiech. - Co znowu?

- Jak to co? Myślisz, że możesz mi to wszystko zwalić na głowę i wszystko między nami będzie cacy?

- A dlaczego nie? Czym się tak przejmujesz? -

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale on mówił dalej: - Już ci po wiedziałem, że nie skrzywdzę ani ciebie, ani twoich przyjaciół. Na mojej liście został tylko ktoś, kogo nie znasz i kto cie nie obchodzi. I tyle. Koniec pieśni.

- Tak? A co będzie potem? Kiedy już zabijesz Cartera? Wzruszył ramionami.

- Odejdę. Znajdę jakieś miejsce, gdzie przez chwilę po- mieszkam. Pewnie znów zacznę wykładać. - Pochylił się nade mną, zaglądając mi w oczy. - Możesz pójść ze mną.

- Co?

- Przemyśl to. - Mówił z żarem, z każdym słowem bardziej podniecony. - Ty i ja. Mogłabyś się ustatkować i robić wszystko, co lubisz... czytać książki, tańczyć... bez obawy, że nieśmiertelna polityka spieprzy ci życie.

Prychnęłam.

- Jasne. Tyle że nie przestałabym być sukubem.

Potrzebuję

seksu, żeby przetrwać.



- Tak, tak, wiem, że od czasu do czasu musiałybyś wysłać jakąś ofiarę, ale pomyśl, jakby było w przerwach. Ty i ja. Razem. Byłabyś z kimś, kto nie doznawałby od ciebie krzywdy. Byłabyś z kimś wyłącznie dla przyjemności, nie z konieczności. Żadni nadzorcy nie truliby ci głowy, że nie wyrabiasz norm.

W tej chwili przyszedł mi do głowy Seth. Zaczęłam bezsensownie zastanawiać się, jakby to było być z nim wyłącznie dla przyjemności.

Wracając do rzeczywistości, odparłam:

- Nie mogę tak po prostu uciec. Dostałam przydział w Seattle. Mam przełożonych. Nie pozwolą mi tak po prostu odejść.

Ujmując moją twarz w dłonie, szepnęłam:

- Georgino, Georgino. Mogę cię przed nimi ochronić. Mam dość mocy, by cię ukryć. Mogłabyś żyć własnym życiem. Nie musiałybyś się spowiadać przed biurokratami na górze. Możemy być wolni.

Jego hipnotyzujące oczy trzymały mnie jak rybę na haczyku. Przez stulecia przeżywałam swoją nieśmiertelność w bolesnej samotności, przeskakując od jednego krótkiego związku do drugiego i ucinając każdą relację, która stała się zbyt głęboka. Teraz miałam przed sobą Romana. Pociągał mnie i nie musiałam go odpychać. Nie mogłam go skrzywdzić przez fizyczny kontakt. Mogliśmy być razem. Mogliśmy budzić się razem. Mog-iliśmy razem przeżyć wieczność. Już nigdy nie byłabym sama.

Wezbrała we mnie tęsknota. Pragnęłam tego. Boże, jak ja tego pragnęłam. Nie chciałam już wysłuchiwać potajjanek Jerome'a za uwodzenie samych szumowin. Chciałam wracać do domu i opowiadać komuś o swoim dniu. Chciałam chodzić w weekendy na tańce. Chciałam spędzać z kimś wakacje. Chciałam, żeby ktoś trzymał mnie w ramionach, kiedy zrobi mi

się smutno, kiedy będę miała powyżej uszu wzlotów i upadków tego świata.

Chciałam mieć kogoś do kochania.

Jego słowa płonęły we mnie, przesywając mi serce. Ale wiedziałam, że to tylko słowa. Wieczność to bardzo długo. Nie moglibyśmy się ukrywać do końca świata. W końcu by nas znaleźli albo Roman zostałby unicestwiony podczas którejś ze swoich protestmisji. Ja zostałabym bezbronna i musiałabym się tłumaczyć przed mnóstwem wściekłych demonów.

Ofiarowywał mi dziecinny sen, niepraktyczną fantazję, krótkoterminową i z góry skazaną na niepowodzenie.

Co gorsza, ucieczka z Romanem oznaczałaby współudział w jego wariackim spisku i jego skutkach. Z logicznego punktu widzenia rozumiałam jego gniew i chęć odegrania się.

Współczułam jego siostrze, która pragnęła tylko zwyczajnie żyć, nawet jeśli ona nienawidziła mnie z niewiadomych powodów. Przez wieki napatrzyłam się na rzezie i rozlew krwi, widziałam, jak ginęły całe narody, których imienia i kultury już nikt nie pamięta. Przeżywać to wciąż od nowa przez tysiąclecia, wiecznie uciekając, ukrywając się, tylko dlatego że ma się nieodpowiednie pochodzenie... tak, pewnie i ja byłabym wkurzona.

Mimo wszystko nie uważałam tego za wystarczający powód, by mordować przypadkowych nieśmiertelnych. Fakt, że osobiście znałam tych nieśmiertelnych, jeszcze pogarszał sprawę. Zachowanie Cartera wciąż mnie denerwowało, ale uratował mi życie, a spędzone z nim dni nie były aż tak nieznośne. Właściwie Roman powinien go podziwiać.

Najważniejszym argumentem nefilima było to, że nieśmiertelni trzymają się skostniałych zasad i ról, ale anioł, który blisko przyjaźnił się ze swoimi hipotetycznymi wrogami, wychodził poza ten schemat. On i Jerome byli najlepszym

przykładem buntu i nonkonformizmu, tak wystawianych przez Romana.

Szkoda, że to nie wystarczało, by odwieść nefilima od realizacji jego planów. Byłam ciekawa, czy mnie uda się ta sztuka.

- Nie - powiedziałam. - Nie mogę tego zrobić. I ty też nie musisz.

- Czego nie muszę?

- Doprowadzać do końca tego spisku. Zabijać Cartera. Po prostu mu odpuść. Odpuść sobie to wszystko. Przemoc rodzi wyłącznie przemoc, nigdy pokój.

- Przykro mi, kochanie. Dla mojego gatunku nie ma pokoju.

Dotknęłam jego twarzy.

- Nazywasz mnie tak, ale czy mówisz poważnie?

Kochasz mnie?

Wstrzymałam oddech, a ja zdałam sobie sprawę, że mogę go zahipnotyzować oczami, podobnie jak on mnie.

- Tak. Kocham.

- Więc zrób to dla mnie. Odejdź, wyjedź z Seattle. A ja... pojedę z tobą, jeśli to zrobisz.

Nie wiedziałam, że chcę to powiedzieć, dopóki słowa nie wyszły z moich ust. Wiedziałam, że ucieczka była dziecinną mrzonką, ale byłam skłonna zapłacić tę cenę, jeśli w ten sposób mogłam zapobiec temu, co miało nastąpić.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Jeśli naprawdę możesz mi zapewnić bezpieczeństwo.

- Mogę, ale...

Odsunął się ode mnie i zaczął chodzić po pokoju, z konsternacją przeczesał włosy dłonią.

- Nie mogę odejść - powiedział w końcu. - Zrobiłbym dla ciebie niemal wszystko, ale nie to. Nie wiesz, jak to jest.

Myślisz, że nieśmiertelność była dla ciebie okrutna, ale wyobraź sobie, jak to jest, kiedy wiecznie musisz uciekać, wiecznie oglądać się przez ramię. Mnie równie trudno jest się gdzieś osiedlić, jak tobie. Dziękuję Bogu za moją siostrę. Mam tylko ją, jest jedyną ostoją w moim życiu. I jedyną osobą, którą kochałem, dopóki nie zjawiłaś się ty.

- Mogłabyś pójść z nami...

Zamknął oczy.

- Georgino, kiedy jeszcze żyła moja matka, tysiące lat temu, mieszkaliśmy w obozie razem z grupą innych nefilimów i ich matek. Wciąż uciekaliśmy, wciąż staraliśmy się ujsć prześladowcom. Pewnej nocy... nigdy tego nie zapomnę. Znaleźli nas i przysięgam... Armagedon nie może być tak straszliwy. Nie wiem nawet, kto to zrobił: demony czy anioły... Nieważne. Kiedy przychodzi co do czego, niczym się od siebie nie różnią. Piękni i straszni.

- Tak - szepnęłam - Widziałam ich.

- Więc wiesz, na co ich stać. Wpadli do obozu i roznieśli wszystkich w pył. Nie obchodziło ich, kogo mordują. Małych nefilimów. Ludzi. Nikt nie był godzien, by żyć.

- Ale ty uciekłeś?

- Tak. My mieliśmy szczęście. Większość nie miała. - Odwrócił się i spojrzał na mnie. Łzy zapiekły mnie w oczach na widok jego bólu. - Czy teraz rozumiesz? Rozumiesz, dlaczego muszę to zrobić?

- Przelewasz tylko więcej krwi.

- Wiem, Georgino. Na litość boską, wiem. Ale nie mam wyboru.

Jego twarz mówiła, że nienawidzi być częścią tej wojny, narzędziem tych samych destrukcyjnych zachowań, które zniszczyły mu dzieciństwo. Ale widziałam, że jest z tym nierozzerwalnie związany. Nie potrafił od tego uciec. Żył zbyt

długo, o wiele dłużej ode mnie. Lata strachu, gniewu i krwi skrzywiły go. Musiał dokończyć dzieła.

„Walczę każdego dnia, by nie pozwolić jej mnie wchłonąć. Czasem ja wygrywam, czasem ona”.

- Nie mam wyboru - powtórzył z desperacją. - Ale ty masz.

Wciąż chcę, żebyś ze mną wyjechała, kiedy tu skończę.

Tak. Miałam wybór. Był to wybór między nim a Carterem. Ale czy na pewno? Czy mogłam jeszcze w ogóle pomóc aniołowi? Czy chciałam to zrobić? Nie wiedziałam nawet, czy przez wieki nie wyrzną niezliczonych nefilimskich dzieci w imię dobra. Może zasługiwał na karę, którą chciał mu wymierzyć Roman. Zresztą, czym tak naprawdę są dobro i zło. Tylko głupimi kategoriami. Głupimi kategoriami, które ograniczają ludzi, każą ich karać i nagradzać zależnie od tego, czy uda im się poskromić własną naturę, na którą tak naprawdę nie mają wpływu.

Roman miał rację. Ten system był chory. Tyle że zupełnie nie wiedziałam, co z tym fantem zrobić.

Potrzebowałam czasu. Czasu, żeby wszystko przemyśleć, żeby znaleźć sposób na uratowanie i anioła, i nefilima, jeśli taki wyczyn był możliwy. Nie wiedziałam tylko, jak go kupić, kiedy Roman stał w moim mieszkaniu, wpatrując się we mnie, rozpalony romantyczną wizją wspólnej ucieczki.

Czas. Jak go zdobyć? Nie mam mocy, które pomogłyby mi w takich sytuacjach. Gdyby Roman uznał, że jestem zagrożeniem, nie byłabym w stanie stawić mu czoła. Nefilim może z łatwością załatwić każde z was. Nie mogę pociągnąć za boskie sznurki i uruchomić kontaktów, jak Hugh, nie mam nadludzkiego refleksu i siły, jak Cody i Peter. Jestem sukubem. Zmieniam postać i uprawiam seks z mężczyznanami. To na nic. Na nic...?

## Rozdział 24

Co o tym myślisz? - zapytał miękko Roman. - Pójdiesz ze mną?

- Nie wiem - odparłam, spuszcżając wzrok. - Boję się. - Mój głos zadrżał lęklíwie.

Odwrócił moją twarz ku swojej przejęty.

- Czego się boisz?

Spojrzałam na niego spod spuszcżonych powiek. Grałam wstydlíwą, bezbronną. Miałam nadzieję, że dzięki temu trudniej będzie mi się oprzeć.

- Ich... Chciałabym... ale nie sądzę... nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek byli wolni. Nie ukryjesz się przed nimi. Nie zdołasz ukrywać się przez wieczność.

- Uda się nam - szepnął, obejmując mnie. Jego serce wzbierało, gdy widział mój strach. Nie opierałam się, pozwoliłam, by przycisnął mnie do siebie. - Mówiłem ci, że potrafię cię ochronić.

Jutro odnajdę anioła, a następnego dnia znikniemy. To proste.

- Roman... - Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami. Było to spojrzenie kobiety poddającej się uczuciom. Nadziei.

Namiętności. Zachwytowi. Ujrzałam odbicie tych uczuć w jego oczach, a kiedy pochylił się, żeby mnie pocałować, nie powstrzymałam go. Nawet oddałam pocałunek. Minęło wiele czasu, od kiedy ostatnio całowałam kogoś dla samego całowania - by poczuć jego język delikatnie wciskający się w moje usta, wargi pieszczące moje wargi, jego dłonie przyciskające mnie do siebie.

Mogłabym się tak całować w nieskończoność, rozkoszując się fizycznymi doznaniemí, wolnymi od głodu sukuba. To było cudowne. Upajające. Nie było w tym już strachu. Ale Roman

chciał czegoś więcej i kiedy pociągnął mnie w dół, prosto na dywan w salonie, nie protestowałam.

Jego żar, pragnienie były oczywiste. A jednak poruszał się nade mną ostrożnie i powoli, wykazując opanowanie, które mnie zaskoczyło. Zaimponował mi. Spałam z tyloma mężczyznami, którzy natychmiast ulegali własnym potrzebom, że szczerze zdumiewało mnie bycie z kimś, kto tak przejmował się moją przyjemnością.

Nie zamierzałam się skarżyć.

Przyciskał ciało do mojego ciała tak, że nie dzielił nas nawet milimetr, i wciąż mnie całował. W końcu od ust do przeszedł mojego ucha. Obwiodł je językiem i wargami i przeniósł się na szyję. Szyja jest u mnie jednym z najbardziej erogennych miejsc, chwyciłam więc drżący oddech, kiedy zręczny język zaczął muskać wrażliwą skórę, wywołując dreszcze. Wygięłam ciało, napierając na niego, by wiedział, że może przyspieszyć, gdyby chciał, ale jemu się nie spieszyło.

Zsuwał się coraz niżej i niżej, całując piersi przez delikatny jedwab, aż mokry materiał zaczął kleić się do sutków.

Usiadłam, żeby zdjął ze mnie bluzkę. Kiedy się tym zajmował, zsunęłam z siebie spódnicę i zostałam tylko w majtkach.

Roman, wciąż zajęty moimi piersiami, całował je i pieścił, to muskając lekkimi jak piórko całusami, to przygryzając mocniej, aż bałam się, że zostawi sińce. Wreszcie zsunął się niżej, wędrując językiem po gładkiej skórze mojego brzucha. Kiedy dotarł między uda, zatrzymał się.

Byłam już w prozku, boleśnie spragniona. Rozpaczliwie chciałam odwzajemnić jego pieszczoty. Ale kiedy sięgnęłam ku niemu, delikatnie przycisnął mi nadgarstki do podłogi.

- Jeszcze nie - upomniał mnie.

Może to i dobrze, pomyślałam, bo przecież chcę kupić czas.

Tak, właśnie. Zwlekam, żeby wymyślić plan. Plan, jak skontaktować się... później.

- Magenta - stwierdził, wiodąc palcami po moich majtkach. Były bardzo skąpe, ledwie parę strzępków materiału i koronki. - Kto by pomyślał?
- Prawie nigdy nie noszę różowych czy amarantowych ubrań - przyznałam - ale uwielbiam bieliznę w tych kolorach. I czarną.
- Pasuje do ciebie. Możesz je sobie stworzyć w każdej chwili, prawda?

- Tak, bo co?

Sięgnął ręką i jednym zręcznym ruchem zerwał je ze mnie.

- Bo mi przeszkadzają.

Pochyliwszy się, rozsunął mi uda i ukrył twarz między nimi. Jego język obwiodł powoli moje wargi i nagle wyskoczył do przodu, by pieścić płonącą, nabrzmiałą szparkę. Z jękiem uniosłam biodra i przycisnęłam się do niego, starając się choć po części zaspokoić moją palącą potrzebę. Ale on się nie spieszył. Znów pchnął mnie na podłogę. Jego język krążył i drażnił, doprowadzając mnie do coraz większej przyjemności. Za każdym razem, kiedy już miałam osiągnąć szczyt, zmieniał pieszczołę i zanurzał go we wnętrzu, które było coraz bardziej mokre.

Wreszcie pozwolił mi dojść. Zrobiłam to, głośno i dziko, rzucając się jak szalona, a on przytrzymał mnie, nie przestając całować i ssać, nie zważając na moje spazmy. Byłam już tak rozpalona i oszołomiona, że jego dotyk był niemal nieznośny. Usłyszałam własne błaganie, żeby przestał, ale on jeszcze raz doprowadził mnie do orgazmu. Odpuścił mi wreszcie i cofnął się, patrząc, jak upojne dreszcze cichną. We dwójkę w dwie sekundy pozbyliśmy się jego ciu-chów i położył się na mnie, przyciskając nagą skórę do



skóry. Kiedy moje dłonie zeszyły niżej i zaczęły ścisnąć i pieścić jego erekcję, westchnął z rozkoszą.

- Boże, Georgino - sapnął, patrząc mi w oczy. - Boże.

Nie wiesz, jak bardzo cię pragnę.

Wiedziałam.

Pokierowałam go i wsunęłam w siebie. Moje ciało otworzyło się przed nim, witając go jak kawałek mnie samej, którego mi brakowało, a on zaczął poruszać się we mnie długimi, kontrolowanymi pchnięciami, obserwując moją twarz i sprawdzając, jak działa na mnie każdy kąt i ruch.

Ja tylko kupuję czas, pomyślałam rozsądnie, ale kiedy przygwoździł mi nadgarstki do podłogi, z każdym pchnięciem przejmując kontrolę nad moim ciałem, zrozumiałam, że się okłamuję. Tu chodziło o coś więcej niż tylko zyskanie na czasie, żeby ostrzec Jerome'a i Cartera. Tu chodziło o mnie.

Byłam samolubna. Przez ostatnie tygodnie nieustannie pożądałam Romana, a teraz go miałam. W dodatku było dokładnie tak, jak powiedział: nie było w tym walki o przetrwanie - wyłącznie przyjemność. Zdarzało mi się już uprawiać seks z nieśmiertelnymi, ale to było dawno.

Zapomniałam już, jak to jest nie słyszeć w głowie cudzych myśli, po prostu rozkoszować się własnymi odczuciami.

Poruszaliśmy się wyćwiczonym rytmem, jakby nasze ciała robiły to ze sobą bez przerwy. Kontrolowane pchnięcia stały się bardziej gwałtowne, mniej precyzyjne. Wchodził we mnie mocniej i ostrzej, jakby chciał się przebić przez podłogę. Ktoś robił strasznie dużo hałasu i wreszcie zdałam sobie sprawę, że to ja. Powoli traciłam poczucie wszystkiego, co dzieje się dokoła, zdolność logicznego myślenia. Liczyły się tylko reakcje1 mojego ciała, narastająca siła, która pożerała mnie, spalała, a jednak wciąż kazała żądać więcej. Pragnęłam już spełnienia i popędzałam go, unosząc ciało, wychodząc mu na spotkanie, zaciskając wokół niego mięśnie.

Chwycił gwałtowny wdech, kiedy poczuł, że robię się ciałniejsza. W jego oczach płonęła prymitywna żądza.

- Chcę zobaczyć, jak znowu dochodzisz - wysapał. –  
Dojdź dla mnie.

Tym rozkazem pchnął mnie na sam szczyt ekstazy. Krzyknęłam jeszcze głośniejsze, choć moje gardło już dawno było zdarte. Wyraz mojej twarzy wystarczył, żeby i jego doprowadzić do końca. Jego usta rozchyliły się, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Zamknął tylko oczy i został we mnie po ostatnim mocnym pchnięciu, drżąc z rozkoszy. Kiedy skończył, wciąż rozedrgany od siły orgazmu, sturlał się ze mnie na plecy, spocony i zaspokojony. Odwróciłam się do niego i położyłam dłoń na jego piersi, podziwiając twarde mięśnie i opaloną skórę.

- Jesteś piękny - powiedziałam mu, biorąc jego sutek w usta.

- Sama jesteś całkiem niezła - mruknął, głaszcząc mnie po włosach. Po mojej skórze też toczyły się kropelki potu, sprawiając, że niektóre kosmyki stały się mokre i bardziej skręcone niż zwykle. - To ty? Twoja prawdziwa postać?

Pokręciłam głową, zaskoczona tym pytaniem. Powędrowałam wargami do jego szyi.

- Tamto ciało nosiłam tylko raz, od kiedy stałam się sukubem. Dawno temu. - Przerywając pocałunek, spytałam: - Chcesz czegoś innego? Wiesz, że mogę stać się wszystkim, czego zapragniesz.

Błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- To jeden z plusów kochania sukuba. - Usiadł, wziął mnie na rękę i wstał, odrobinę się chwiejąc pod dodatkowym ciężarem. - Ale nie. Zapytaj mnie za sto lat, a może usłyszysz inną odpowiedź. Na razie mam jeszcze sporo do nauczenia się o tym ciebie.

Zaniósł mnie do sypialni, gdzie kochaliśmy się w nieco bardziej cywilizowany sposób. Nasze ciała splatały się jak dwie wstęgi płynnego ognia. Zaspokoiwszy odrobinę pierwsze, zwierzące pożądanie, teraz działaliśmy wolniej, badając nawzajem swoje reakcje na różne pieszczoty. Ten cykl powtarzał się przez większą część nocy: powoli i z uczuciem, szybko i wściekle -odpoczynek, i powtórka. Poddałam się zmęczeniu około trzeciej. Zasnęłam, z głową na jego piersi, ignorując dręczący niepokój, który schował się gdzieś głęboko. Obudziłam się kilka godzin później i usiadłam jak smagnięta batem, kiedy wydarzenia nocy zwały się na mnie z porażającą jasnością. Zasnęłam w ramionach nefilima. Kompletnie bezbronna. A jednak... wciąż żyłam. Roman leżał obok mnie, miękki i ciepły, z Aubrey u stóp. Oboje popatrzyli na mnie zm-czonymi, na w półprzymkniętymi oczami, zdziwieni moim nag-łym ruchem.

- Co się stało? - zapytał Roman, tłumiąc ziewnięcie.

- N-nic - zapewniłam go. Teraz, gdy nie byłam pijana namiętnością, myślałam odrobinę jaśniej. Co ja zrobiłam? Śpiąc z Romanem, może i zyskałam trochę czasu, ale nie byłam ani odrobinę bliższa znalezienia wyjścia z tej wariackiej sytuacji. Położyłam się z powrotem. Nagle zobaczyłam żonkile od Cartera i one pomogły mi podjąć decyzję. Kwiaty były tylko drobnym gestem, ale uświadomiły mi, że nie mogę siedzieć beczynnie i czekać, aż Roman zabije anioła. Musiałam działać, niezależnie od ryzyka, niezależnie od możliwości porażki. „Wszyscy mamy chwile słabości. Tak naprawdę liczy się to, jak sobie z nimi radzimy później”.

Nie miało znaczenia, że kocham nefilima i nie cierpię anioła - zresztą ani jedno, ani drugie nie było do końca prawdą. Chodziło raczej o mnie, o to, kim jestem. Przez całe wieki krzywdziłam mężczyzn, by przeżyć, nieraz niszcząc ich doszczętnie, ale nie zamierałam brać udziału w morderstwie

z premedytacją, choćby w najlepszej sprawie. Jeszcze tak nisko nie upadłam.

Zamrugałam, tłumiąc łzy, przytłoczona tym, co muszę zrobić. Co muszę zrobić Romanowi.

- Pośpij jeszcze - mruknął, przeciągając dłonią po moim ciele, od talii po udo.

Tak, wiedziałam, co trzeba zrobić. Szansę powodzenia były znikome i trudno było to nazwać solidnym planem, ale nic miałam innego pomysłu na wykorzystanie uśpionej czujności Romana.

- Nie mogę - powiedziałam, wyplątując się z pościeli. - Muszę iść do pracy.

Otworzył szerzej oczy.

- Co? Kiedy?

- Otwieram księgarnię. Muszę tam być za pół godziny.

Usiadł skonsternowany.

- Pracujesz cały dzień?

- Tak.

- Chciałem ci zrobić jeszcze parę rzeczy - wymruczał, otaczając ręką moją talię. Pociągnął mnie do tyłu i objął dłonią moją pierś.

Oparłam się o niego, udając, że ogarnia mnie podniecenie. No dobra, może nie udawałam.

- Mmmm... - Odwróciłam do niego twarz i musnęłam wargami jego usta. - Może zadzwonię i powiem, że jestem chora... chociaż i tak nie uwierzą. Ja nigdy nie choruję.

- Pieprzyć ich - mruknął, popychając mnie na łóżko. Jego dłoń poczyniała sobie śmieiej. - Pieprzyć ich, żebyś ja mógł znowu pieprzyć ciebie.

- To pozwól mi wstać - roześmiałam się. - Nie mogę tak po prostu nie przyjść.

Niechętnie puścił mnie. Wyśliznęłam się z łóżka, uśmiechając się do niego na odchodnym. Obserwował mnie żarłocznie, jak kot czatujący na zdobycz. Podobało mi się to.

Pożądanie szybko ustąpiło miejsca lękowi, kiedy weszłam do salonu i podniosłam bezprzewodową słuchawkę telefonu.

Wszystkie drzwi zostawiłam otwarte. Staralam się zachowywać swobodnie i normalnie, aby nie dać Romanowi powodów do podejrzeń. Wiedząc, że pewnie będzie mnie słyszał w sypialni, przećwiczyłam w myślach, co mam mówić, i wybrałam numer komórki Jerome'a.

Nie zdziwiłam się zbyt, kiedy demon nie odebrał. Niech go szlag. Jaki pożytek jest z naszych dobrych stosunków, jeśli nie mogłam ich wykorzystać w razie potrzeby? - pomyślałam. Na szczęście przewidziałam to i wypróbowałam kolejną opcję: Hugh. Miałabym pecha, gdyby i u niego odezwała się poczta głosowa. Mój plan by się nie powiódł, gdybym musiała zadzwonić do niego do pracy i przedzierać się przez armię sekretarek.

- Hugh Mitchell.
- Hej, Doug, tu Georgina.

Pauza.

- Czy właśnie nazwałaś mnie Doug?
- Słuchaj, nie mogę dzisiaj przyjść. Zdaje się, że złapałam tego wirusa, który krąży po mieście.

Roman wyszedł z sypialni, więc uśmiechnęłam się do niego, widząc, że zmierza do lodówki. Tymczasem Hugh próbował zrozumieć bzdury, które wygadywałam.

- Eee, Georgino... Chyba wybrałaś zły numer.
- Nie, mówię poważnie, Doug, więc nie bądź taki cwany. Nie mogę przyjść do pracy, okej?

Martwa cisza. Wreszcie Hugh zapytał:

- Georgino, wszystko w porządku?

- Nie. Przecież mówię. Słuchaj, możesz to przekazać wyżej?
- Co się dzieje...
- Na pewno coś wymyślisz - ciągnęłam - ale na mnie nie licz. Postaram się przyjść jutro.  
Rozłączyłam się i spojrzałam na Romana, kręcąc głową.
- Mogłam się domyślić, że Doug tam będzie. Oczywiście nie uwierzył mi.
- Za dobrze cię zna, co? - zapytał Roman znad szklanki soku pomarańczowego.
- Tak, ale mnie zastąpi mimo marudzenia. To dobra dusza.  
Rzuciłam telefon na kanapę i podeszłam do Romana. Uznałam, że pora na ciąg dalszy działań dywersyjnych. Wątpiłam, by Hugh zrozumiał, co jest grane, ale musiał się przynajmniej zorientować, że coś jest nie tak. Jak już wspomniałam, ktoś, kto żyje tak długo, nie może być głupi. Miałam nadzieję, że zacznie coś podejrzewać i skontaktuje się z Jerome'em. Ja zajmę nefilima, dopóki nie przybędzie odsiecz.
- Więc co takiego chciałeś mi zrobić? - wymruczałam.  
Jak się okazało mnóstwo rzeczy. Wylądowaliśmy z powrotem w sypialni, gdzie przekonałam się, że czekanie, aż Hugh zadziała, nie było wcale takie trudne, jak się obawiałam. Miałam odrobinę wyrzutów sumienia, że czerpię z bycia z Romanem tyle frajdy, zwłaszcza teraz, kiedy podjęłam decyzję i wezwałam pomoc. Facet zamordował nie wiadomo ilu nieśmiertelnych i zasadał się na mojego prawie przyjaciela. Jednak nic nie mogłam poradzić na własne uczucia. Ciągnęło mnie do niego, i to od dawna, i był naprawdę świetny w łóżku.
- Wieczność nie wydaje się taka zła, kiedy trzymam cię w ramionach - mruknął, głaszcząc moje włosy, kiedy później leżałam wtulona w niego. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że

ma poważną minę.

- Co się stało?

- Georgino... czy ty... naprawdę chcesz, żebym zostawił tego anioła w spokoju?

- Tak - wypaliłam po chwili zaskoczenia. - Nie chcę, żebyś krzywdził nikogo więcej.

Przyglądał mi się długo, zanim się odezwał.

- Wczoraj wieczorem, kiedy mnie o to prosiłaś, nie sądziłem, że byłbym w stanie. Nie sądziłem, że potrafiłbym sobie odpuścić. Teraz... po nocy spędzonej z tobą... wydaje mi się to takie małostkowe. No, może małostkowe to złe słowo. To, co nam zrobili, było straszne... ale może mszcząc się na nich, pozwalam im wygrać. Staję się tym, za co mnie uważają. Pozwalam im decydować o moim życiu. Chyba byłem konformistyczny w swoim nonkonformizmie i nie zauważałem tego, co naprawdę ważne. Jak dawanie miłości i bycie kochanym.

- C-co ty mówisz?

Położył dłoń na moim policzku.

- Mówię, że to zrobię, kochanie. Przeszłość nie będzie rządzić moją teraźniejszością. Dla ciebie odejdę. Z tobą. Ty i ja znikniemy dzisiaj i zostawimy wszystko za sobą. Założymy gdzieś dom i zaczniemy wspólne życie. Możemy pojechać do Vegas.

Zesztywniałam w jego ramionach, moje oczy otwierały się coraz szerzej. O Boże.

Usłyszałam pukanie do drzwi i podskoczyłam prawie pod sufit. Minęło tylko czterdzieści minut. Nie, nie, myślałam. To za szybko. Szczególnie w świetle najnowszego zwrotu akcji. Hugh nie mógł zadziałać tak szybko. Nie wiedziałam, co robić. Roman uniósł brew, bardziej zaciekawiony niż zdziwiony.

- Spodziewasz się kogoś?

Pokręciłam głową, próbując ukryć łomotanie serca.

- Doug wiecznie się odgraża, że po mnie przyjdzie - żartowałam. - Mam nadzieję, że nie postanowił nagle spełnić swoich gróźb.

Wstałam z łóżka i podeszłam do szafy, za wszelką cenę próbując zachowywać się swobodnie. Włożyłam ciemnoczerwone kimono, przeczesalam palcami potargane włosy i wyszłam do pokoju, starając się nie hiperwentylować, kiedy tylko znalazłam się poza zasięgiem wzroku Romana. Boże, myślałam, podchodząc do drzwi. Co robić? Co robić...

- Seth?

Pisarz stał w progu z pudełkiem ciastek w dłoniach z zaskoczonym wyrazem twarzy. Zauważyłam, że szybko zmierzył mnie wzrokiem i nagle uświadomiłam sobie, jak krótkie jest moje kimono i jak niewiele pozostawia dla wyobraźni. Poderwał głowę i spojrzał mi w twarz. Przełknęłam ślinę.

- Cześć. Eee...

Jeden z moich sąsiadów, idący właśnie po schodach, zatrzymał się i zagapił na mój negliż.

- Wejdz - popędziłam Setha, krzywiąc się. Zamknęłam za nim drzwi. Spodziewałam się szwadronu nieśmiertelnych, więc teraz byłam jeszcze bardziej skołowana niż przed chwilą;).

- Przepraszam - wydusił w końcu, starając się powstrzymać od zerkania na moje ciało. - Mam nadzieję, że cie nie obudziłem...

- Nie... Nie... Nic sienie stało...

Jak na złość, Roman wybrał sobie tę chwilę, żeby się objawić, wychodząc z sypialni w samych bokserkach.

- Kto to... och, cześć, jak leci? Seth, zgadza się?

- Zgadza - odparł głucho Seth, spoglądając to na mnie, to na Romana. Gdy zobaczyłam to spojrzenie, przestał mnie



obchodzić nefilim, nieśmiertelni i ratowanie Cartera. Myślałam tylko o tym, jak cała ta sytuacja wygląda w oczach Setha. Biedny Seth, który od pierwszego dnia znajomości starał się być dla mnie miły, a który mimo to wciąż cierpiał przez moją niewrażliwość - nie wspominając już o niefortunnych zbiegach okoliczności. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam równie zakłopotana jak on. Nie chciałam, żeby na mnie patrzył w chwili, kiedy wszystkie moje kłamstwa i sprzeczne sygnały zostały zdemaskowane.

- To śniadanie? - zapytał wesoło nefilim. On jeden z naszej trójki czuł się swobodnie.

- Hę? - Ostłupiały Seth wciąż nie mógł wydusić słowa. - A tak. - Położył pudełko na stoliku do kawy. - Częstujcie się. To tort kawowy. Z syropem klonowym i pekanami. A ja... chyba... Ja już pójdę. Przepraszam za najście. Bardzo przepraszam. Mówiłaś, że masz wolny dzień i pomyślałem, że moglibyśmy. ..mi nie wiem. Wczoraj powiedziałaś... cóż. To głupie. Powinienem być zadzwonić. Głupio zrobiłem. Przepraszam.

Odwrócił się do drzwi, ale kości zostały rzucone. Z dziesiątków scenariuszy musiał się sprawdzić właśnie ten, w którym małowówny Seth dostaje słowotoku. „Mówiłaś, że masz wolny dzień”. Cholera. Roman spojrział na mnie z niedowierzaniem, które błyskawicznie przemieniło się w furję.

- Do kogo - sapnął, z wściekłości ledwie mogąc wydobyć głos. - Do kogo dzwoniłaś? Do kogo dzwoniłaś, do cholery?

Cofnęłam się.

- Seth, wyjdź stąd w tej...

Za późno. Fala mocy, podobna do tej, której użył wobec mnie Jerome, uderzyła nas oboje i rzuciła o ścianę salonu.

Roman podszedł do nas, patrząc na mnie z wściekłością oczami niebieskimi jak płomień.

- Do kogo zadzwoniłaś? - ryknął. Nie odpowiedziałam. - Zdajesz sobie sprawę, co narobiłaś?

Odwracając się od nas, złapał mój telefon i wybrał numer.

- Masz tu natychmiast przyjść... tak, tak, nie obchodzi mnie to, do cholery. Rzuć wszystko. - Podał mój adres i rozłączył się. Nie musiałam pytać, po kogo dzwonił. Wiedziałam. Po drugiego nefilima. Swoją siostrę. Przeczesując włosy dłonią, Roman chodził gorączkowo po moim salonie.

- Cholera. Cholera jasna. Być może wszystko zepsułaś! - wrzasnęła na mnie. - Rozumiesz? Rozumiesz, ty kłamliwa suko? Jak mogłaś mi to zrobić?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Ruch, nawet mówienie, są zbyt trudne w psychicznej klatce. Nie mogłam nawet spojrzeć na Setha. Bóg jeden wie, co sobie myślał.

Dziesięć minut później znów rozległo się pukanie do drzwi.

Jeśli ktoś tam, u góry, jeszcze trochę mnie lubił, to byli to Jerome i Carter, gotowi przyjść mi z pomocą. Nawet nad sukubem można się chyba czasem zlitować, myślałam, patrząc, jak Roman otwiera drzwi.

Do mieszkania weszła Helena. O kurde.

- Najwyższa pora - warknął Roman, zatrzaskując za nią drzwi.

- Co się... - Urwała w pół zdania, wybałuszając oczy na widok Setha i mnie. Odwróciła się do Romana i obrzuciła wzrokiem jego półnągą postać. - Na litość boską, w coś ty się znowu wpakowała?

- Ktoś tu przyjdzie - wysyczał, ignorując pytanie. - Zaraz.

- Kto? - zapytała, biorąc się pod boki. W jej głosie nie było śladu chrypy i wyglądała zdumiewająco kompetentnie.

Gdybym przed jej przyjściem była w stanie mówić, oniemiałabym n u jej widok.

- Nie wiem - przyznał. - Pewnie nasz szanowny tatuś. Po kogoś zadzwoniła.

Helena podeszła do mnie. Strach przeniknął mnie aż do kości, kiedy zdałam sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa. Helena była drugim nefilimem. Szalona, niepoważna Helena. Helena, którą obraziłam przy licznych okazjach, z której drwiłam za jej plecami i której podkradałam pracowników. Wyraz jej twarzy mówił, że ona również pamięta o tych zniewagach.

- Wyłącz pole - warknęła do Romana i w następnej chwili Seth i ja poleciliśmy do przodu, gwałtownie chwytając powietrze, uwolnieni spod działania mocy. - Czy to prawda? Dzwoniłaś po naszego ojca?

- Ja... do nikogo... nie dzwoniłam...

- Kłamie - stwierdził łagodnie Roman. - Do kogo dzwoniłaś, Georgino?

Nie odpowiedziałam. Helena podeszła do mnie i wymierzyła mi siarczasty policzek, który głośno klasnął o moją twarz. Było w nim coś znajomego i nic dziwnego - to ona pobiła mnie wtedy na ulicy. Zrozumiałam, że musiała mnie rozpoznać, kiedy poszłam do Krystal Starz w innym ciele. Wyczuła moją aurę i postanowiła się ze mną zabawić, wciskając mi kity o świetlanej przyszłości, podsuwając książki i propozycje warsztatów.

- Zawsze musisz namieszać, co? - rzuciła jadowicie. - Przez lata znosiłam cię i tobie podobnych, którzy wyśmiewają się z mojego stylu życia i z moich nauk. Już dawno powinnam się z tobą rozprawić.

- Dlaczego... - zapytałam głośno, odzyskawszy kontrolę

nad głosem. - Dlaczego to robisz? Właśnie ty, która wiesz o istnieniu aniołów, demonów... dlaczego uczysz tych New ageowych bzdur?

Spopielili mnie wzrokiem.

- Bzdur? Uważasz, że to bzdury zachęcać ludzi, żeby przejmowali kontrolę nad własnym życiem, żeby postrzegali siebie jako źródło mocy, zamiast pozwalać zaszczepiać w sobie poczucie winy, dawać wciągać się w zabawę w dobro i zło? – Kiedy nie odpowiedziałam, mówiła dalej: - Uczę ludzi, jak zyskać siłę. Uczę ich, żeby przestali myśleć o grzechu i zbawieniu i szukali szczęścia teraz, tutaj. Owszem, czasem to trochę... upiększam, by stworzyć odpowiedni klimat, ale czy to ma znaczenie, jeśli cel zostaje osiągnięty? Ludzie wychodzą z moich zajęć, czując się jak bogowie i boginie. Odnajdują w sobie moc tu i teraz, a nie dopiero wtedy, kiedy sprzedadzą się jakiemuś bezdusznemu, zakłamanemu systemowi. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dotarło do mnie, że Helena i Roman myślą dokładnie tak samo, że oboje są krytyczni wobec systemu, który ich wydał, tyle że każde z nich buntuje się na swój sposób.

- Wiem, co o mnie myślisz. Słyszałam, co o mnie mówisz.

Widziałam, jak wyrzucasz materiały, które ci dałam tamtego wieczoru, myśląc, że jestem szurniętą, bełkoczącą, nawiedzoną idiotką. A jednak... mimo całego swojego samozadowolenia, pewności siebie i poczucia wyższości, jesteś jedną z najnieszczęśliwszych istot, jakie spotkałam. Nienawidzisz tej gry, a jednak w nią grasz. Grasz w nią i usprawiedliwiasz ją, bo nie masz odwagi zrobić niczego innego. - Pokręciła głową, śmiejąc się cierpko. - Nie muszę być medium, żeby przepowiedzieć twoją przyszłość. Jesteś utalentowana, ale marnujesz ten talent. Marnujesz swoje życie i spędzisz je nieszczęśliwa i samotna.

- Nie mogę zmienić tego, kim jestem - odparłam gniewnie dotknięta jej słowami.

- Tak mówi niewolnica systemu.

- Pieprz się - wypaliłam. Cios zadany dumie i tożsamości często wywołuje irracjonalny gniew, niezależnie od tego, kto ma rację. - Wolę być wygodnie żyjącą niewolnicą niż walniętym anielskim bękartem. Wcale się nie dziwię, że chcą wybić wasz gatunek do nogi.

Znowu mnie uderzyła, tym razem wkładając w cios moc nefilima. Poczulałam coś podobnego, jak tamtej nocy w uliczce, i to bolało - bardzo.

- Ty mała dziwko. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Zamachnęła się, żeby znów mnie uderzyć, ale wstrzymała dłoń, kiedy Seth nagle stanął przede mną.

- Przestań - wykrzyknął. - Przestańcie wszy...  
Fala mocy - nie wiedziałam, czy Romana, czy Heleny - rzuciła go przez pokój na przeciwległą ścianę. Skuliłam się.

- Jak śmiesz - zaczęła Helena, gniewnie błyskając niebieskimi oczami. - Jesteś śmiertelnikiem, który nie ma pojęcia, na co...  
Poderwałam się, zanim zdołała dokończyć. Widok bitego Setha obudził we mnie bezsilną wściekłość. Nie mogłam się powstrzymać. Skoczyłam na Helenę, przybierając pierwszy kształt, jaki przyszedł mi do głowy, zapewne z powodu przywiązania do Aubrey: tygrysa.

Przemiana trwała ledwie sekundę, ale bolała jak diabli. Moje ludzkie ciało rozděło się, a ręce i nogi zmieniły w ciężkie, pazurzaste łapy. Wykorzystałam element zaskoczenia i choć miałam przewagę tylko przez chwilę, zdążyłam wpaść na Helenę i przewrócić jej szczupłe ciało na podłogę.

Niestety, moje zwycięstwo było krótkotrwałe. Nim zdążyłam zatopić kły w jej szyi, siła godna huraganu zdmuchnęła mnie z niej, rzucając o witrynkę z zastawą. Uderzenie było dziesięć

razy silniejsze niż to, które wcześniej unieruchomiło mnie i Setha. Z bólu wróciłam do dawnej postaci, a potłuczone szkło i kryształ posypały się wokół mnie, raniąc mi skórę.

Zerwałam się znowu świadoma daremności swoich wysiłków, napędzana gorączką bitwy. Tym razem rzuciłam się na Romana, zmuszając ciało, by przybrało formę... nawet nie wiem, co to było. Nie miałam dla tego nazwy, liczył się tylko wygląd: szpony,

kły, łuski, mięśnie. Ostre. Wielkie. Niebezpieczne.

Przeistoczyłam się w stwora z sennych koszmarów, demona z piekła rodem.

Jednak nawet nie dotknęłam nefilima. Jedno z nich albo oboje przewidzieli mój ruch i chwycili mnie w pół skoku, ciskając koło Setha, który patrzył na mnie oczami szeroko otwartymi z przerażenia i zdumienia. Uderzyły we mnie młoty mocy.

Krzyknęłam z bólu, gdy poraziły każdy mój nerw. Moja nowa postać ochroniła mnie tylko na mgnienie, a potem ból i zmęczenie sprawiły, że straciłam kontrolę nad transformacją i wróciłam do słabego ludzkiego ciała. W tej samej chwili kolejna niewidzialna sieć uwięziła mnie w miejscu.

Mój widowiskowy atak trwał może minutę, ale kompletnie mnie wykończył. Mój zapas siły życiowej od Martina Millera zupełnie się wyczerpał. Oto cena za brawurę. Ponownie przypomniałam sobie słowa Jerome'a: „Nefilim może z łatwością załatwić każde z was”.

- Cóż za bohaterstwo, Georgino - rzucił Roman ze śmiechem, ocierając pot z czoła. On też zużył sporo mocy, ale miał jej o wiele więcej niż ja. - Bohaterstwo, ale i głupota. - Zbliżył się, obejrzał mnie od stóp do głów i pokręcił głową z gorzkim uśmiechem. - Nie umiesz racjonować energii.

Wypstrykałaś się.

- Roman... tak mi przykro...

Nie musiał mi mówić, jak mało zostało mi energii. Czułam to. Jej poziom nie był niski. Był zerowy. Jechałam na oparach. Patrząc na swoje dłonie, dostrzegłam, że zamigotały słabo, zaczęły mżyć, trochę jak miraż wywołany upałem. Niedobrze. Kiedy długo nosisz jakieś ciało, nawet jeśli nie jest twoje, po kilku latach się przyzwyczajasz, a ja nosiłam swoje od piętnastu lat. Było moją drugą naturą. Myślałam o nim jak o swoim ciecie i do niego zawsze podświadomie wracałam. Teraz jednak musiałam walczyć, żeby je utrzymać, by nie prześliznąć się w moją przyrodzoną postać. Niedobrze, bardzo niedobrze.

- Przykro ci? - powtórzył Roman i widziałam w jego twarzy, jak strasznie go zraniłam. - Nawet sobie nie wyobrażasz...

Poculiśmy to wszyscy jednocześnie. Roman i Helena odwrócili się i wymienili zaniepokojone spojrzenia. W tej samej chwili drzwi wejściowe wypadły z futryny jak zdmuchnięte. Krępujące mnie więzy opadły, kiedy nefilim skierował swoją moc przeciw żywiołowi, który wpadł przez próg.

Do mieszkania wlało się światło tak jaskrawe, że zadawało ból. Znałam to światło. Ujrzałam tę samą straszliwą postać, którą widziałam w ciemnej ulicy, tyle że tym razem zdublowaną. Było ich dwóch. Byli jak lustrzane odbicia. Nierozróżnialni. Nie widziałam, który jest który, ale nagle przypomniałam sobie komentarz Cartera sprzed tygodnia: „Anioł w pełnej glorii wystraszy większość istot - śmiertelnika nawet zabije...”

- Seth - szepnęłam, odwracając się od nadprzyrodzonego spektaklu, by spojrzeć na pisarza. Gapił się na nich, z oczami szeroko otwartymi z zachwytu i lęku - ich piękno przyciągało go nieodparcie. - Seth, nie patrz na nich. - Resztkami sił uniosłam migoczącą dłoń i odwróciłam jego twarz ku sobie. - Seth, nie patrz na nich, patrz na mnie. Tylko

na mnie. Gdzieś za nami ktoś wrzeszczał. Świat rozpadał się na kawałki.

- Georgino... - szepnął Seth, delikatnie dotykając mojej twarzy. - Co ci jest?

Siłą woli starałam się zmusić ciało do walki, do utrzymania postaci, w której mnie poznał. Ale to była przegrana bitwa. Wiedziałam, że w takim stanie nie przetrwam długo. Seth nachylił się do mnie, a ja wyciszyłam w głowie odgłosy szalejącej wokół bitwy i cały mój świat, wszystkie zmysły, skupiłam na jego twarzy.

Mówiłam, że Roman był piękny, ale był nikim - nikim -w porównaniu z Sethem w tej chwili: z jego długimi rzęsami, bursztynowymi oczami, z dobrocią obecną w każdym uczynku. Z rozczochranymi włosami i zaniedbanym zarostem okalającym twarz, która nie potrafiła ukryć jego prawdziwej natury. Siła jego charakteru lśniła w moich oczach, a dusza była jak latarnia morska w mglistą noc.

- Seth - szepnęłam. - Seth.

Pochylił się ku mnie, pozwalając przyciągać się bliżej i bliżej aż, wśród nieba i piekła szalejącego nad nami, pocałowałam go

## Rozdział 25

Czasami człowiek budzi się ze snu. Czasami budzi się we śnie.

A czasami, choć bardzo rzadko, budzi się w czyimś śnie.

*Gdyby chciał mnie stąd wynieść i zrobić ze mnie swoją seksualną niewolnicę, zgodziłabym się, byle tylko mieć wcześniejszy dostęp do jego powieści.*



Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam do Setha, kiedy z pasją dyskutowaliśmy o jego pracy. Jego pierwszy kontakt z mną. Ujrzałam samą siebie z głową uniesioną wysoko i włosami przerzuconymi przez ramię, zawsze gotową do dowcipnej riposty, opanowaną w każdej sytuacji, pewną siebie w sposób, jakiego nieśmiały Seth mógł mi tylko zazdrościć. Jak ona to robi? Jak to się dzieje, że nigdy nie zapomina języka w gębie? Potem usłyszałam moje rozwlekłe wyjaśnienie zasady pięciu stron, dziwaczного nawyku, który on uznał za uroczy. Nareszcie spotkał kogoś, kto tak jak on doceniał literaturę, smakował ją jak dobre wino. Bystra i głęboka. I piękna. Tak, piękna. Widziałam się teraz taką, jaką widział mnie Seth tamtego wieczoru: w krótkiej spódnicy, wyzywającej fioletowej bluzce, zapierającą dech. Myślał o mnie, jak o egzotycznym ptaku, zupełnie niepasującym do banalnej scenerii księgarni.

To wszystko było w Secie - cała przeszłość. Jego budzące się uczucie do mnie mieszało się z teraźniejszością, a ja piłam to wszystko.

Nie tylko piękna, ale także seksowna. Zmysłowa. Bogini, która zstąpiła na ziemię, i której każdy ruch był obietnicą przyszłych rozkoszy. Ramięczko sukienki ześlizgujące się z mojego ramienia. Kropelki potu na moim dekolcie. Ja w jego kuchni, ubrana tylko w tę śmieszoną koszulkę z Black Sabbath. Nie ma pod nią bielizny. *Ciekawe, jak by to było obudzić się, mając ją u boku, taką rozczochraną, niezrobioną.*

To wszystko wlewało się we mnie coraz szerszym strumieniem.

Obserwował mnie w księgarni. Uwielbiał patrzeć, jak obsługuję klientów. Uwielbiał to, że sprawiam wrażenie, jakbym wiedziała coś na każdy temat. Dowcipne dialogi, które wymyślał dla swoich bohaterów, bez trudu wypływały z moich ust. Niesamowite. *Nigdy nie spotkałem nikogo, kto umiałby*

*tak mówić w prawdziwym życiu.* Usłyszałam nawet moje przekomarzańki z właścicielem antykwariatu. Charyzma sukuba, która przyciągała cichego, nieśmiałego Seta, zmieniała mnie w jego oczach w jakąś promienną istotę. Sprawiała, że czułem się pewniejszy

Jego uczucia wciąż płynęły przeze mnie. Nigdy nie doznałam niczego podobnego. Oczywiście, czułam w swoich ofiarach seksualny pociąg i czułość, ale nigdy takiej miłości do mojej osoby

Seth uważał, że jestem seksowna, pożądał mnie, ale żywił i też do mnie bardziej subtelne uczucia. Zobaczyłam siebie siedzącą w fotelu, z Kaylą na kolanach, zaplatającą małej płowy warkoczek. Po chwili Seth wyobraził mi siebie z jego córką. *Przebojowa i dowcipna, a przy tym czuła i wrażliwa.*

Zmiana scenografii: jesteśmy w mieszkaniu Seta, ja kompletnie pijana. Pełny opiekuńczych uczuć Seth odprowadza mnie do łóżka, a potem przez kilka godzin przygląda się, jak śpię. Moja chwila słabości, utrata panowania nad sobą nie ranią go. Przeciwnie - wady zdają się czynić mnie bardziej przystępną, umacniają jego miłość. Piłam coraz więcej i więcej. Desperacja i słabość sprawiały, że nie mogłam się powstrzymać.

*„Dlaczego Georgina nie chodzi na randki?”* - zapytał Seth Cody'ego. Cody? Tak, gdzieś w głębinach umysłu Seta był także Cody. Wspomnienie: Cody, potajemnie uczący tańczyć Seta swinga. Żaden mi o tym nie powiedział - wciskali mi tylko niejasne wymówki, że się „z kimś” umówili. Seth, usilnie starał się zmusić stopy do posłuszeństwa, żeby móc ze mną zatańczyć, być bliżej mnie. „Boi się, odparł wampir. Myśli, że miłość sprawia ból”.

Miłość sprawia ból.

Tak, Seth mnie kochał. To nie było zwykłe zadurzenie ani powierzchowna fascynacja, którą, jak sądziłam, będę mogła z łatwością ukroić. To było coś poważniejszego, dużo poważniejszego. Uosabiałam wszystko, czego pragnął w kobiecie: dowcip, urodę, inteligencję, dobroć, siłę, charyzmę, zmysłowość, współczucie... Jego dusza rozpoznała moją i przylgnęła do niej. Kochał mnie z siłą, jakiej nigdy przedtem nie czułam, ani w sobie, ani w nikim innym, a uwierzcie, że jej szukałam. Pragnęłam tego. Chciałam poczuć głębię jego uczuć, wysssać płonącą w nim miłość. Wchłonąć ją. Pozwolić, by rozpałała i mnie.

- Georgino!

Ktoś zawołał mnie z daleka, ale byłam zbyt zajęta Sethem. Zbyt zajęta wchłanianiem siły, która w nim tkwiła, a która była nierozzerwalnie związana z uczuciami do mnie. Uczuciami, które nasz pocałunek jeszcze wzmocnił. Miękkie, spragnione wargi. Wygłodniałe. Żarłoczne.

- Georgino!

Pragnęłam stać się jednym z Sethem. Potrzebowałam tego. Chciałam, aby mnie wypełnił... fizycznie, umysłowo, duchowo. Było w nim jeszcze coś... coś ukrytego, czego nie mogłam dosięgnąć, co wciąż mi się wymykało. Oszłamiająca tajemnica, którą powinnam poznać już dawno temu. Jesteś moim życiem. Musiałam wejść jeszcze głębiej, sięgnąć dalej. Dowiedzieć się, co przede mną ukrywa. Nasz pocałunek był moim kołem ratunkowym, drogą do czegoś większego niż ja sama, czegoś, za czym tęskniłam przez całe życie, a czego nigdy nie zaznałam. Nie mogę przestać, pomyślałam gorączkowo. Nie mogę przestać całować Setha. Nie mogę przestać. Nie...

- Georgino! Puść!

Czyjeś dłonie oderwały mnie brutalnie od Setha, jakby oddzierały kawałek mojego własnego ciała. Krzyknęłam z

bólu, gdy kontakt się urwał, walczyłam z dłońmi, które ciągnęły mnie i nie puszczały. Orałam paznokciami tego, kto mnie trzymał. Musiałam poznać sekret kryjący się za tym pocałunkiem, czułam dziką tęsknotę, by dopełnić zjednoczenia z Sethem...

Seth.

Moje ręce opadły. Zamrugałam, wreszcie dostrzegając świat wokół siebie. Rzeczywistość. Nie byłam już w głowie Setha, byłam w swoim mieszkaniu. Czułam się znowu silna. Nie musiałam spoglądać w dół, by wiedzieć, że moje ciało przestało się przeobrażać wbrew mojej woli, że znów jestem niską, szczupłą kobietą z miodowymi włosami. Dziewczyna, którą byłam dawno temu, znów spoczęła pogrzebana głęboko we mnie. Siła życiowa Setha wypełniała mnie po brzegi.

- Chryste, ale mnie wystraszyłaś - mruknął Hugh za moimi plecami, rozluźniając chwyt na moich ramionach.

Na drugim końcu pokoju zobaczyłam Cartera, jak zwykle w jakichś szmatach, pochylonego nad ciałem Setha.

- O Boże... - Zerwałam się, podbiegłam do nich i uklękłam obok anioła. Seth leżał na podłodze, błydy i zimny. - O Boże. O Boże. O Boże.. Czy on...?

- Żyje - odparł Carter. - Ledwie.

Głaszcząc policzek Setha, rudawy mech jego zarostu, czułam, jak do oczy napływają mi łzy. Jego oddech był płytki i urywany.

- Ja nie chciałam. Nie chciałam mu zabrać aż tyle...

- Zrobiłaś to, co musiałaś. Byłaś w fatalnym stanie, mogłaś umrzeć.

- A teraz Seth może...

Carter pokręcił głową.

- Nie umrze. Będzie potrzebował czasu, żeby dojść do siebie, ale wyliże się.

Cofnęłam rękę, nagle wystraszona, że mój dotyk może wyrządzić Sethowi jeszcze większą krzywdę. Rozejrzałam się i dopiero teraz zauważyłam, w jakim stanie jest moje mieszkanie. Wyglądało gorzej niż mieszkanie Jerome'a. Fotele i kanapa leżały wywrócone. Wszędzie wałały się potrzaskana porcelana, szkło i odłamki stołów. Niestabilny regał został rozbity na kawałki.

W kuchni Aubrey kulila się pod stołem, zdezorientowana. Sama byłam ciekawa, co się stało. Nie widziałam nefilimów. Co tu zaszło? Czyżbym wszystko przegapiła? W moim mieszkaniu rozegrała się boska bitwa stulecia, a ja przegapiłam ją dla całusa?

Przyznaję - dla całkiem niezłego całusa - ale mimo wszystko...

- Gdzie jest... reszta?
- Jerome wyszedł, żeby, hm, posprzątać u sąsiadów.
- To nie brzmi dobrze.
- Standardowa procedura. Jak wiesz nadprzyrodzone bitwy nie należą do cichych. Jerome wymaże odpowiednie wspomnienia i dopilnuje, żeby nikt nie wezwał policji.

Przełknęłam ślinę, bojąc się zadać następane pytanie. . - A co... co z nefilimami?

Carter utkwiał we mnie szare oczy na długą, bolesną chwilę.

- Wiem, wiem - powiedziałam w końcu, spuszczać wzrok.

Nie potrafiłam wytrzymać jego spojrzenia. - Nie ma dziesięciu lat i zwolnienia warunkowego. Zniszczyliście ich.

- Zniszczyliśmy... jedno z nich.

Poderwałam głowę.

- Co? A co z drugim?
- Uciekł.

On. Łzy, które od dawna zbierały mi się pod powiekami, wreszcie popłynęły. Nie umiałam ich powstrzymać. „Dla ciebie odejdę”.

- Jak?
- Carter położył dłoń na czole Setha, jak lekarz doglądający pacjenta, i znów spojrzał na mnie.
- Wszystko stało się bardzo szybko. Kiedy rozprawialiśmy się z siostrą, zamaskował się i stał niewidzialny. A tak szczerze... - Anioł spojrzał na zamknięte drzwi mieszkania, a potem na Hugh i na mnie.
- Co? - szepnęłam.
- Nie jestem... nie jestem pewny, czy Jerome nie pozwolił mu uciec. Nie spodziewał się dwójki. Ja zresztą też, chociaż pewnie powinienem. Kiedy ją zabiliśmy... - Carter wzruszył ramionami. - Nie wiem. Trudno powiedzieć, co się stało.
- Więc on wróci - pojęłam nagle rozdarta między strachem a ulgą na myśl o ucieczce Romana. - Wróci... i nie będzie dla mnie miły.
- Nie sądzę, by tak się stało - stwierdził anioł. Delikatnie podniósł Setha i podszedł do wywróconej kanapy. W następnej chwili stanęła na nogach, choć nikt jej nie dotknął. Carter położył na niej Setha i mówił dalej. - Dostał niezłe cięgi... mam na myśli nefilima. Naprawdę mocno oberwał. Nie sądzę, by zostało mu dość mocy, żeby dalej się ukrywać. Spodziewam się go poczuć lada chwila. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, to w tej chwili ucieka jak najszybciej i jak najdalej od nas, by móc rzucić kamuflaż i odpocząć.
- A wtedy co? - zapytał Hugh.
- Jest w złym stanie. Będzie potrzebował bardzo dużo czasu, żeby dojść do siebie. Poza tym wie, że nawet zdrowy nie ma tu po co wracać, bo stracił wsparcie.
- Do załatwienia mnie nie potrzebuje współnika - zauważyłam, drżąc na wspomnienie gniewu Romana. Nie do

wiary, że niecałe dwadzieścia cztery godziny temu namiętnie się kochaliśmy.

- Może i nie - przyznał Carter - ale nie może już tknąć mnie ani Jerome'a. A już na pewno nie nas obu razem. Ostatecznie to przesądziło o wyniku bitwy. Nie spodziewali się tego.

Że anioł i demon będą grać w jednej drużynie. Zastanowi się dwa razy, zanim tu wróci, nawet jeśli ty sama nie stanowisz dla niego zagrożenia.

Jakoś mnie to nie uspokoiło. Myślałam o Romanie, pełnym pasji buntowniku, zawsze gotowym pokazać, co sądzi o systemie. Mściwość pasowała do jego osobności. Oszukałam go -kochałam się z nim, a potem go zdradziłam, unicestwiając jego plany, i jego siostrę.

„Dziękuję Bogu za moją siostrę. Mam tylko ją, jest jedyną ostoją w moim życiu”.

Może i zastanowi się dwa razy, jak sugerował Carter, ale to go nie powstrzyma. Tego byłam pewna.

- On wróci - szepnęłam bardziej do siebie niż do anioła.  
- Kiedyś na pewno wróci.

Carter spojrzał na mnie spokojnie.

- Wtedy się z nim rozprawimy.

Drzwi się otworzyły i do mieszkania wszedł Jerome, schludny i elegancki. Nie wyglądał na kogoś, kto właśnie stoczył apokaliptyczną bitwę z własnymi dziećmi.

- Pozamiatane? - zapytał Carter.

- Tak. - Spojrzenie demona pobiegło w stronę Setha. - Żyje?

- Tak.

Anioł i demon wymienili spojrzenia. W pokoju zapadła cisza.

- Ma cholerne szczęście - mruknął w końcu Jerome. - Cóż, cuda zdarzają się każdego dnia. Teraz powinniśmy go wyczyścić.

. Wstałam.

- O czym ty mówisz?

- Miło, że znów jesteś z nami, Georgie. A tak przy okazji, ślicznie wyglądasz.

Posłałam mu wściekłe spojrzenie, rozgniewana jego żarcikiem: wiedział, że to energia Setha dodaje mi uroku.

- Co to znaczy, że musicie go wyczyścić?

- A jak myślisz? Nie możemy pozwolić mu tak po prostu odejść po tym, co zobaczył. Przy okazji trochę ostudzę jego uczucia do ciebie. Przeszkadza ci w pracy.

- Co? Nie. Nie możesz tego zrobić.

Jerome westchnął, przybierając cierpienniczą minę.

- Georgino, czy zdajesz sobie sprawę, co ten człowiek przed chwilą przeżył? Musimy wyczyścić mu pamięć. Nie może o nas wiedzieć.

- Ile ze mnie chcesz mu odebrać? - Skrawki wspomnień Setha, teraz już i moich, błyszczały w moich myślach jak diamenty.

- Tyle, żeby zapomniał, że jest między wami coś więcej niż przelotna znajomość. Przez ostatnie tygodnie zaniedbywałaś obowiązki bardziej niż zwykle. - Nie uważałam, żeby to była wyłącznie wina Setha. Roman też się do tego przyczynił. - Obydwojgu dobrze wam zrobi, jeśli on uczyni obiektem swojej obsesji jakąś śmiertelną kobietę. Przypomniałam sobie pytanie, które Carter zadał mi tak dawno temu: „Nie chcesz się jakoś wyróżnić?”

- Nie musisz tego robić. Nie musisz odbierać mu mnie razem z całą resztą.

- Skoro już przy tym będę, mogę wymazać i ciebie. Nie może normalnie funkcjonować po tym, jak zobaczył w akcji nieśmiertelnych. Chyba przyznasz mi rację.



- Niektórzy śmiertelni o nas wiedzą - zaprotestowałam.

- Na przykład Erik. Erik wie i trzyma to w tajemnicy.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Erik zachował w tajemnicy również sekret Heleny. Pracując z nią przez tyle lat, domyślił się prawdy o niej, ale nigdy jej nie wyjawiał. W rozmowach ze mną rzucał tylko aluzje

- Erik to szczególny przypadek. Ma dar. Zwykły śmiertelnik, jak ten, nie poradzi sobie z tym. - Jerome podszedł do kanapy i spojrzał obojętnie na Setha. - Tak będzie lepiej.

- Nie, proszę - krzyknęłam, podbiegając do Jerome'a i ciągnąc go za rękaw. - Proszę cię, nie rób tego.

Arcydemon odwrócił się i spojrzał na mnie zimno, najwyraźniej zdumiony, że osmielam się go szarpać. Kuląc się pod jego spojrzeniem, zrozumiałam, że coś w naszych ciepłych, pobłażliwych stosunkach zmieniło się na zawsze - coś drobnego, ale ważnego. Nie wiedziałam, co było tego przyczyną. Może Seth. Może Roman. A może jeszcze coś innego. Wiedziałam tylko, że to się stało.

- Proszę cię - błagałam, nie zważając, jak rozpaczliwie to brzmi. - Nie rób tego. Nie wymazuj mnie z jego głowy. Zrobię wszystko, co zechcesz. Wszystko. - Otarłam oczy, starając się wyglądać na spokojną i opanowaną, choć wiedziałam, że to na nic.

Jerome uniósł lekko brew - wzbudziłam jego ciekawość.

Określenie „pakt z diabłem” nie wziął się znikąd. Mało który demon może się oprzeć, kiedy proponuje się mu interes.

- A co ty masz mi do zaoferowania? Seks działał tylko na mojego syna, więc nawet nie próbuj tego ze mną.

- Masz rację - przyznałam. Mój głos nabierał pewności, więc brnęłam dalej. - Podziałał na niego. Działa na większość mężczyzn. Jestem w tym dobra, Jerome. Lepsza niż sądzisz. Jak myślisz, dlaczego jestem jedynym sukubem w mieście?

Dlatego, że jestem jednym z najlepszych. Zanim wpadłam w ten dołek... w ten dziwny nastrój, w którym jestem od jakiegoś czasu, mogłam mieć każdego mężczyznę, jakiego zapragnęłam. I nie tylko odbierałam im siłę życiową. Mogłam nimi manipulować. Mogłam sprawić, by zrobili wszystko, co im każe, namawiać ich do grzechów, o jakich im się nie śniło. I robili to. Robili to i podobało im się.

- Mów dalej.

Zaczerpnęłam powietrza.

- Masz dość, że przyprowadzam same szumowiny, tak? Masz dość mojego obijania się? To się może zmienić. Wywinduję wyniki tak, że nie uwierzysz. Robiłam to już wcześniej.

Wystarczy tylko, że zostawisz Setha w spokoju, pozwolisz mu zachować wspomnienia. Wszystkie.

Jerome przyglądał mi się przez chwilę, myśląc intensywnie.

- Żadne wyniki mi nie pomogą, jeśli ten pisarzyna zacznie paplać wszystkim, co widział.

- Więc najpierw się przekonajmy, czy sobie z tym poradzi.

Kiedy się ocknie, porozmawiamy z nim. Jeśli uznamy, że nie udźwignie prawdy... będziesz mógł wymazać mu pamięć.

- Kto oceni, czy udźwignie, czy nie?

Zawahałam się. Nie chciałam, żeby rozstrzygał o tym demon.

- Carter. Carter umie rozpoznać, czy ktoś mówi prawdę.

- Spojrzałam na anioła. - Będziesz wiedział, czy Seth sobie poradzi, prawda? Czy poradzi sobie z wiedzą o nas.

Carter posłał mi zagadkowe spojrzenie.

- Tak - przyznał w końcu.

- A twoja część umowy? - zapytał Jerome. - Dotrzymasz jej, nawet jeśli Carter uzna, że nic z tego?

To był ciężki warunek. Czułam, że Jerome nie ustąpi, ale byłam skłonna zaryzykować - byłam pewna, że Seth poradzi

sobie z wiedzą o istnieniu nieśmiertelnych. Już miałam się zgodzić, kiedy kątem oka dostrzegłam, że Hugh kręci głową. Marszcząc brwi, postukał w zegarek, bezgłośnie wypowiadając słowo, którego z początku nie zrozumiałam. Nagle zaskoczyłam. Czas. Dość się nasłuchiwałam opowieści o pracy diablika, żeby poznać parę zasad negocjacji. Jedna z nich brzmiała: nigdy nie zawieraj otwartej umowy z demonem.

- Jeśli Seth zachowa wspomnienia, będę pilnym sukubem przez sto lat. Jeśli trzeba je będzie wymazać, będę to robić przez... trzydzieści.

- Pięćdziesiąt - odbił piłeczkę Jerome. - Nie jesteśmy śmiertelnikami. Nawet sto lat to nic wobec wieczności.

- Pięćdziesiąt lat - zgodziłam się ponuro - ale nie częściej niż będzie to konieczne dla mojego przetrwania. Powiem wprost: Nie będę tego robić codziennie. Będę zdobywać dawki energii w miarę potrzeby, ale będą to duże dawki, silne i pełne grzechu. Z porządnymi mężczyznami to będzie... hm, raz na cztery do sześciu tygodni.

- Chcę czegoś więcej. Dodatkowy bonus. Raz na dwa tygodnie, czy będziesz tego potrzebować, czy nie.

Zamknęłam oczy, nie mając siły dalej walczyć.

- Raz na dwa tygodnie.

- W porządku - odparł Jerome, z nutą ostrzeżenia w głosie. - Ale będziesz związana tą umową, dopóki nie zdecyduję, że wygasła z jakiegoś powodu. Ty nie masz nic do gadania. Nie przyjmę żadnych wykrętów.

- Wiem. Wiem i zgadzam się.

- No to szufla.

Wyciągnął do mnie rękę. Chwyciłam ją bez wahania i poczułam, jak moc skwierczy wokół nas. Demon uśmiechnął się krzywo.

- Umowa stoi.

## Rozdział 26

Skąd ten dołek, Kincaid? Oderwałam oczy od komputera w informacji i spojrzałam na Douga, opartego leniwie od brzeg lady.

- Jestem w dołku?
- Jasne. Masz najsmutniejszą minę, jaką w życiu widziałem. Serce mi się kraje.
- Och. Przepraszam. Chyba jestem zmęczona.
- Więc zmykaj stąd. Koniec szczyty.

Spojrzałam na zegar w komputerze. Piąta siedem.

- Na to wygląda.

Obserwował mnie z ukosa, kiedy ospale wstałam z krzesła i wyszłam zza lady. . - Na pewno wszystko w porządku?

- Tak. Mówię ci, jestem tylko zmęczona. Do zobaczenia.

Ruszyłam do drzwi.

- Hej, Kincaid?
- Tak?
- Kumplu jesz się z Mortensenem, prawda?
- Poniekąd - przyznałam ostrożnie.

- Nie wiesz, co się z nim stało? Przesiadywał tu codziennie, a teraz nie ma go od tygodnia. Paige dostaje świra. Myśli, że go obraziliśmy czy coś.

- Nie wiem. Aż tak blisko nie jesteśmy. Przykro mi. - Wzruszyłam ramionami. - Może jest chory. Albo wyjechał.
- Może.

Wyszłam z księgarni na ciemny jesienny wieczór. Był piątek i po Queen Annę krążyły grupki ludzi wywabionych z domu atrakcjami nocnego życia. Ignorując ich, pogrążona w myślach, podeszłam do samochodu zaparkowanego na sąsiedniej przecznicy. Natychmiast pojawił się jakiś sęp w

czerwonej hondzie, zwolnił i włączył światła awaryjne, czekając, aż zwolnię miejsce.

- Jesteś gotowa? - zapytał Carter, materializując się na siedzeniu pasażera.

Zapięłam pas.

- Bardziej gotowa już nie będę.

Jechaliśmy do U District w milczeniu, chociaż w głowie kłębiły mi się dziesiątki pytań. Zabierając w zeszłym tygodniu Setha z mojego mieszkania, anioł powiedział mi, żebym się nie martwiła i że dopilnuje, by pisarz doszedł do siebie.

Oczywiście i tak się martwiłam - o Setha, i o umowę, którą zawarłam z Jerome'em. Miałam stać się największą szeryfcielką chaosu i obiektem pożądania w Seattle. Nawet Hugh ze swoimi wzorowymi wynikami nie będzie tak dobry... ehm, tak zły, jak ja. Miałam zostać kimś więcej niż niewolnicą, którą nazwała mnie Helena. Na samą myśl o tym robiło mi się słabo.

- Będę przy tobie - dodał mi otuchy Carter, kiedy kilka minut później stanęliśmy pod drzwiami Setha. Anioł zamigotał mi przed oczami i zrozumiałam, że stał się niewidzialny dla śmierelnych oczu, choć ja nadal go widziałam.

- Co on wie?

- Niewiele. Przez ostatnie dwa dni był częściej przytomny i trochę mu powiedziałam, ale tak naprawdę... sądzę, że czeka na ciebie.

Z westchnieniem skinęłam głową i zagapiłam się na drzwi. Nagle poczułam, że nie mogę się ruszyć.

- Dasz radę - powiedział łagodnie Carter.

Jeszcze raz kiwnęłam głową, przekręciłam gałkę i weszłam do środka. Mieszkanie Setha nie zmieniło się od czasu mojej ostatniej wizyty: kuchnia wciąż była jasna i wesola, a salon pełny nierozpakowanych pudeł z książkami. Z sypialni słychać było cichą muzykę. Wydawało mi się, że to U2, ale nie znałam

tej piosenki. Podążając za dźwiękiem, dotarłam do sypialni i zatrzymałam się w drzwiach, bojąc się przestąpić próg. Seth siedział w łóżku, podparty poduszkami. W ręce trzymał Zieloną księgę baśni przeczytaną w jednej trzeciej. Uniósł głowę i spojrzał na mnie. Kolana omal nie odmówiły mi posłuszeństwa, taką poczułam ulgę, widząc, o ile lepiej wygląda. Wróciły mu kolory, a oczy były bystre i przytomne. Tylko zarost wyglądał na bardziej zaniedbany niż zwykle, pewnie dlatego że nie golił się przez tydzień. Tak poznałam odpowiedź na pytanie, czy Seth utrzymuje swoją cienką, schludną bródkę celowo.

Sięgnął po pilota leżącego na nocnej szafce i wyłączył muzykę.

- Cześć.

- Cześć.

Zrobiłam jeszcze kilka kroków, ale bałam się podejść bliżej.

- Może usiądziesz - zaproponował.

- Jasne. - Twarze Cady i O'Neilla przyglądały mi się uważnie z korkowych tablic, kiedy przysunęłam sobie krzesło do jego łóżka. Usiadłam, spojrzałam na niego i nagle odwróciłam wzrok, nie mogąc poradzić sobie z głębią bursztynowych oczu, po tym jak zajrzałam w głąb jego umysłu.

Zapadło znajome milczenie - postępy, jakie wcześniej zrobiliśmy, zniknęły bez śladu. Wiedziałam, że tym razem Seth nie przejmie inicjatywy. Jak powiedział Carter, czekał na mnie.

Uniosłam głowę, zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy. Musiałam to zrobić. Musiałam mu wszystko wyjaśnić, ale bałam się. Co za ironia losu. Ja, której zwykle buzia się nie zamyka, znana z tego, że zawsze mam na podorędziu jakąś dowcipną odzywkę.

W końcu wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam wszystko z siebie, czując na plecach ciężar nieba i mając przed oczami piekło, któremu zaprzedałam się na następnych sto lat.

- Tak naprawdę... tak naprawdę nie pracuję w księgarni.

To znaczy pracuję, ale nie dlatego jestem w Seattle. To nie jest moje prawdziwe zadanie. Prawda jest taka, że jestem sukubem. Pewnie już o nas słyszałeś... albo tak ci się wydaje, ale wątpię, żeby to, co słyszałeś, było zgodne z prawdą... I tak dalej. Powiedziałam mu wszystko. Wyjaśniłam zasady kierujące życiem sukuba, moje niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy i wynikającą z niego niemożność wiązania się z ludźmi, których lubię. Opowiedziałam mu nawet o nefilimie, napomykając, że obecność Romana w moim mieszkaniu była częścią zasadki, choć pominęłam krępujące okoliczności, w jakich zastał nas Seth. Mówiłam i mówiłam, przez większość czasu nie bardzo nawet wiedząc, co mówię. Wiedziałam tylko, że muszę mówić dalej, muszę spróbować wyjaśnić Sethowi coś, co wymykało się wyjaśnieniom.

Wreszcie mój słowotok się wyczerpał.

- Cóż, to chyba wszystko. Możesz wierzyć albo nie, ale siły dobra i zła są obecne na świecie, a ja działam w ich służbie. To miasto pełne jest nadprzyrodzonych istot i bytów, tyle że ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Może to i dobrze. Gdyby wiedzieli o nas za dużo, mogliby odkryć, jakie żałosne i pokrecone jest naprawdę nasze życie.

Zamknęłam się, myśląc, że gdyby Seth nie widział tego, co widział, pewnie pomyślałby, że zwariowałam. Do diabła, nawet po tym, co widział, pewnie tak pomyślał. I miał do tego prawo. Brązowe oczy ważyły w milczeniu moje słowa, a w moich własnych oczach poczułam irytującą wilgoć. Odwróciłam się, by ukryć łzy, i zamrugałam gwałtownie, bo choć sukuby posądza się o różne dziwne zachowania, płacz zapewne do nich nie należy.

- Powiedziałaś... powiedziałaś, że byłaś kiedyś zwykłą kobietą. - Jego głos brzmiał niepewnie. Bez wątpienia trudno

mu było ogarnąć koncepcję śmiertelnych i nieśmiertelnych bytów.

- Więc jak... jak stałaś się sukubem?

Spojrzałam na niego. W tej chwili nie mogłam mu odmówić niczego, choćby pytał o najboleśniejże sprawy.

- Zawarłam umowę. Powiedziałam ci kiedyś, że byłam mężatką. .. że zdradziłam męża. Konsekwencje... nie były przyjemne. Sprzedałam swoje życie - stałam się sukubem - by naprawić krzywdę, którą wyrządziłam.

- Sprzedałaś się na wieczność, żeby naprawić jeden błąd?

- Seth zmarszczył brwi. - To chyba nie jest sprawiedliwe.

Wzruszyłam ramionami, czując się nieswojo. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam.

- Nie wiem. Ale stało się.

- Okej. - Poprawił się lekko na łóżku. Przez chwilę szelest pościeli był jedynym dźwiękiem w pokoju. - Cóż. Dzięki, że mi powiedziałaś.

Potrafię rozpoznać, kiedy się mnie odprawia, i jego słowa zraniły mnie jak nóż. Już po wszystkim. Koniec. Seth ze mną skończył. Po tym, co mu powiedziałam, nie było mowy, żeby między nami wszystko było jak dawniej. Może tak było lepiej.

Wstałam szybko. Nagle nie chciałam tu dłużej być.

- Jasne. - Ruszyłam do drzwi, ale zatrzymałam się jeszcze i spojrzałam na niego. - Seth?

- Tak?

- Czy rozumiesz? Dlaczego robię to, co robię? Dlaczego nie możemy... dlaczego musimy... - Nie byłam w stanie dokończyć. - To niemożliwe. Ale żałuję, że nie jest inaczej...

- Uhm - odparł cicho.



Uciekłam z jego mieszkania do samochodu. Kiedy wsiadłam, oparłam twarz o kierownicę i zaczęłam szlochać bez opamiętania. Po kilku minutach otoczyły mnie łagodne ramiona. Odwróciłam się do Cartera, by wyłakać się na jego piersi. Słyszałam opowieści o ludziach, którzy mieli kontakt z aniołami, o tym, jakiego spokoju i piękna doświadczali w takich chwilach. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, po kilku minutach, straszliwy ból w mojej piersi zelżał i zrobiłam się spokojniejsza. Wreszcie uniosłam głowę i spojrzałam na anioła.

- On mnie nienawidzi - wyszlochałam. - Seth mnie znienawidził.

- Dlaczego tak myślisz?

- Po wszystkim, co mu powiedziałam...

- Podejrzewam, że jest zagubiony i dezorientowany, ale nie sądzę, by cię nienawidził. Taka miłość niełatwo zmienia się w nienawiść, choć przyznaję, że czasem się ze sobą splatają. Pociągnęłam nosem.

- Poczułeś to? Jego miłość?

- Nie tak jak ty, ale owszem.

- Ja nigdy nie czułam czegoś podobnego. Nie potrafię tego odwzajemnić. Może i ja go kocham, ale nie tak, jak on mnie. Nie jestem warta tej miłości.

Carter pokręcił karcąco głową.

- Każdy zasługuje na miłość.

- Nawet ktoś, kto właśnie zgodził się przez następnych sto lat krzywdzić ludzi, deprawować dusze, wodzić je na pokuszenie? Ty sam musisz mnie za to nienawidzić. Ja sama się za to nienawidzę.

Anioł patrzył na mnie spokojnie.

- Więc dlaczego się zgodziłaś?

Oparłam głowę o siedzenie.

- Bo nie mogłam znieść myśli, że ja... że ta miłość zostanie wymazana z jego głowy... że o mnie zapomni.
  - Ironia losu, co?
- Spojrzałam na niego. Nic mnie już nie zaskakiwało.
- Ile o mnie wiesz?
  - Dość. Wiem, co dostałaś w zamian za zostanie sukubem.
  - Wtedy myślałam, że robię dobrze... - mruknęłam, wracając myślami do tego odległego czasu i miejsca. Do innego mężczyzny. - On był taki smutny i rozgniewany... Nie mógł żyć dalej ze świadomością tego, co mu zrobiłam. Chciałam na zawsze zniknąć z jego myśli. Sądziłam, że będzie lepiej, jeśli on... jeśli wszyscy o mnie zapomną. Zapomną o moim istnieniu.
  - A teraz uważasz, że to był błąd?
- Pokręciłam głową.
- Widziałam go... wiele lat później, kiedy był już starym człowiekiem. Przybrałam postać, pod którą mnie znał... wtedy ostatni raz nosiłam tę twarz... i podeszłam do niego. Ale on spojrzał przeze mnie na wylot. Nie poznał mnie. Czas, który spędziliśmy razem, miłość, która do mnie czuł, bezpowrotnie zniknęły. Na zawsze. To mnie zabiło. Poczułam się jak żywy trup. Nie mogłam pozwolić, żeby to się powtórzyło. Nie z Sethem, nie po tym, jak doświadczyłam tego, co do mnie czuje. Nawet jeśli ta miłość jest zniszczona... zbrukana tym, co teraz o mnie myśli. Nawet jeśli już nigdy się do mnie nie odezwie. To i tak lepsze, niż gdyby ta miłość nigdy nie istniała.
  - Miłość rzadko jest pozbawiona rys - stwierdził Carter.
  - Ludzie łudzą się, myśląc, że musi taka być. To niedoskonałości czynią miłość doskonałą.
  - Skończ z tymi zagadkami, proszę - powiedziałam, nagle strasznie zmęczona. Właśnie straciłam jedyne

człowieka, którego mogłam kochać po tych wszystkich latach. Tak naprawdę, szczerze. To nie byłoby tylko cielesne pożądanie jak z Romanem. Seth... Seth miał w sobie wszystko. Namietność. Przywiązanie. Przyjaźń. A na dodatek zgodziłam się znów przejść do czynnej służby jako sukub. Ale było warto, jeśli Seth zachowa wspomnienia. Spojrzałam niepewnie na anioła. - Będzie mnie pamiętał? - Carter skinął głową, a ja odetchnęłam z ulgą. - To dobrze. Dobrze znaleźć w mroku choć promyk nadziei.

- Oczywiście. Zawsze jest nadzieja.  
- Nie dla mnie.  
- Zawsze jest nadzieja - powtórzył z naciskiem. Władczyna w jego głosie przestraszyła mnie. - Każdy zasługuje na nadzieję.

Czułam, że łzy znów napływają mi do oczu. Boże. Ostatnio ciągle beczałam.

- Sukub też?  
- Zwłaszcza sukub.

Znów mnie objął, a ja rozszlochałam się na nowo - potępiona dusza znalazła chwilowe wytchnienie w ramionach niebiańskiej istoty. Zastanawiałam się, czy to, co powiedział, jest prawdą, czy to możliwe, że jest jeszcze dla mnie nadzieja, ale nagle przypomniałam sobie coś, co sprawiło, że roześmiałam się przez łzy.

Anioły nie kłamią.

## Epilog

Casey jest na zwolnieniu - powiedziała żywo Paige, wkładając płaszcz. - Więc pewnie będziesz musiała ją zastąpić przy kasach.

- Nie ma sprawy. - Oparłam się o ścianę gabinetu. –  
Dzięki temu jest ciekawie.

Posłała mi uśmiech.

- Naprawdę jestem wdzięczna, że zgodziłaś się przyjść  
tak szybko. - Bezwiednie pogłaskała się po brzuchu. - To  
pewnie nic takiego, ale mam te bóle przez cały dzień...

- Wszystko w porządku. Leć. Musisz dbać o siebie. O  
was oboje.

Znów się uśmiechnęła. Chwyliła torebkę i ruszyła do drzwi.

- Doug się tu gdzieś ukrywa, więc gdybyś potrzebowała  
pomocy, zapędź go do roboty. Hm... miałam ci jeszcze coś  
powiedzieć... ach tak, w biurze jest coś dla ciebie. Zostawiłam  
ci na krześle.

Poczułam ucisk w żołądku.

- C-co to jest?

- Sama zobacz. Muszę lecieć.

Wysłałam za Paige z jej gabinetu i niepewnie weszłam do  
swojego. Ostatnią rzeczą, jaką znalazłam na krześle, był lisi od  
Romana, dotyczący jego pokręconej gry w miłość i nienawiść.

Boże, pomyślałam. Wiedziałam, że to nie będzie takie proste,  
jak mówił Carter. Roman wrócił i zaczyna wszystko od nowa,  
bo chce, żebym...

Wybałuszyłam oczy, tłumiąc okrzyk. Na moim krześle leżał  
Pakt z Glasgow.

Podniosłam książkę ostrożnie, jakby była z porcelany. To był  
mój egzemplarz, ten, który dałam Sethowi do podpisania  
ponad miesiąc wcześniej. Całkiem o nim zapomniałam. Kiedy  
otworzyłam okładkę, wysypały się spod niej płatki  
lawendowej róży. Było ich ledwie kilka, ale były dla mnie  
cenniejsze niż wszystkie bukiety, jakie dostałam w ciągu  
ostatniego miesiąca. Próbując je złapać, czytałam:

„Do Tetydy

Długo mi zeszło, wiem, ale czasem na to, czego pragniemy najbardziej, trzeba sobie zasłużyć cierpliwością i walką. To jedna z ludzkich prawd, jak sądzę. Peleus o tym wiedział.

Seth"

- Wrócił.

- He? - Oderwałam oczy od niezrozumiałej inskrypcji i zobaczyłam Douga opartego o framugę drzwi.

Ruchem głowy wskazał książkę.

- Mortensen. Znowu siedzi w kawiarni i klepie w laptop.

Zamknęłam książkę i ścisnęłam ją w dłoniach.

- Doug... dobrze znasz grecką mitologię?

Prychnął.

- Nie obrażaj mnie, Kincaid.

- Tetyda i Peleus... to rodzice Achillesa, zgadza się?

- W rzeczy samej - powiedział z miną eksperta.

Byłam zdezorientowana. Nie rozumiałam wpisu Setha i zachodziłam w głowę, dlaczego zrobił aluzję do największego wojownika wojny trojańskiej.

- A znasz resztę tej historii? - zapytał Doug.

- Co? Że Achilles był zwykłym psychopata?

- Ee, o tym wiedzą wszyscy. Ja pytam o ten fajniejszy kawałek, o Tetydzie i Peleusie. - Pokręciłam głową, więc ciągnął profesorskim tonem: - Tetyda była morską nimfą, a Peleus śmiertelnikiem, który ją kochał. Ale kiedy zaczął się zalecać, była dla niego strasznie wredna.

- Jak to?

- Umiała zmieniać kształty.

Omal nie upuściłam książki.

- Co?

Doug pokiwał głową.

- Kiedy ją objął, ona zaczęła się zmieniać w najgorsze gówna, żeby go odstraszyć. W dzikie zwierzęta, żywyoty, potwory i takie tam.
- I... i co on zrobił?
- Trzymał dalej. Złapał ją i nie puszczał przez wszystkie straszliwe metamorfozy. W cokolwiek by się zmieniała, dzielnie trzymał dalej.
- I co? - Ledwie słyszałam własny głos.
- Wreszcie z powrotem zmieniła się w kobietę i tak jej już zostało. Potem się pobrali.

Gdzieś w połowie „umiiała zmieniać kształty” przestałam oddychać. Wciąż ściskając książkę, gapiłam się w przestrzeń, a w mojej piersi wzbierało cudowne, skrzydlate uczucie.

- Dobrze się czujesz, Kincaid? Chryste, ostatnio strasznie dziwnie się zachowujesz.

Zamrugałam, wracając do rzeczywistości. Uczucie w mojej piersi wybuchło, zerwało się do triumfalnego lotu. Znów zaczęłam oddychać.

- Tak. Przepraszam. Po prostu miałam sporo na głowie.
  - Już normalnym tonem dodałam: - Obiecuję, że od tej pory nie będę zachowywać się dziwnie.
- Na twarzy Douga odmalowała się ulga.

- W twoim przypadku ta obietnica może być trudna do spełnienia. Ale zawsze jest nadzieja.
- Tak - przyznałam z uśmiechem. - Zawsze jest nadzieja.

**MADABOB** 😊